



Format Literacki

NR 3 (2022)

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

ISSN 2720-0892

KWARTALNIK BEZPŁATNY



W numerze, m.in.: U. M. Benka, E. Sonnenberg, J. Mieleczarek, S. Karolewski, K. Rudowski,
H. Waniek, B. Jasiński, J. Skrzypeczak, L. Koczanowicz, A. Saj, M. Braun, C. Wąs, R. Piaskowski



Format Literacki

NR 3 (2022)

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

ISSN 2720-0892

KWARTALNIK BEZPŁATNY

W numerze, m.in.: U. M. Benka, E. Sonnenberg, J. Mielczarek, S. Karolewski, K. Rudowski,
H. Waniek, B. Jasiński, J. Skrzypczak, L. Koczanowicz, A. Saj, M. Braun, C. Wąs, R. Piaskowski

Format Literacki

Wydawcy:

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich — Oddział we Wrocławiu

Prezes: prof. Waldemar Okoń

Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu | Instytucja Kultury Samorządu

Województwa Dolnośląskiego

Dyrektor: Igor Wójcik | Rynek-Ratusz 24, 50-101 Wrocław

www.okis.pl, sekretariat@okis.pl

Redakcja:

Redaktor Naczelny

Andrzej Więckowski

e-mail: andrzej.a.wieckowski@gmail.com

Z-ca red. naczelnego, Sekretarz Redakcji

Andrzej Saj

e-mail: aasaj@interia.pl

Zespół redakcyjny:

Urszula M. Benka, Robert Gawłowski (promocja), Waldemar Okoń, Krzysztof Rudowski

Stali współpracownicy:

Magdalena Barbaruk, Monika Braun, Bogusław Jasiński, Janusz Jaroszewski,

Gabriel L. Kamiński, Stanisław Karolewski, Leszek Koczanowicz, Andrzej

Kostołowski, Roger Piaskowski, Jakub Skrzypczak, Marek Śnieciński, Henryk

Waniek, Igor Wójcik, Tadeusz Złotorzycki

Opracowanie graficzne: Artpunkt

Okładka: Patricia Piccinini, widok wystawy, Centrum Sztuki Współczesnej
w Toruniu, fot. Andrzej Jerzy Lech, czyt. s. 206

Korekta: Natalia Karnecka

Druk: Jaks

Nakład: 350 egz.

Za finansowe wsparcie dziękujemy Panu Prezydentowi
i Wydziałowi Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia

Projekt współfinansowany z Budżetu Województwa Dolnośląskiego

Dolnośląskie pismo artystyczno-literackie pod patronatem:

Urzędu Miasta Wrocławia,

Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu,

Instytutu Kulturoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego

Kwartalnik bezpłatny

Wrocław miasto spotkań



OŚRODEK KULTURY I SZTUKI
WE WROCŁAWIU



INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO

URZĄD MARSZAŃKOWSKI WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO



www.umwd.pl

Spis treści

Redaktor Od redaktora — **4**

Ewa Sonnenberg Wiersze — **8**

Janusz Mielczarek T U N E L — **14**

Waldemar Okoń My i Apokalipsa — **28**

Aleksander Wajs Zielony zmierzch — **30**

Stanisław Karolewski Mesjasz — **42**

Roger Piaskowski Chłopiec ze sztetla — **54**

Natalia Belczenko Wiersze — **62**

Musa Çaxarxan Czachorowski Smak dawnego czasu — **64**

Krzysztof Rudowski APOKRYFALIPSA — **70**

Henryk Waniek O początkach końca — **80**

Bogusław Jasiński Apokalipsa według Izajasza, wnuka Zorobabela i potomka
królów judzkich — **86**

Monika Braun Wybrać własną apokalipsę? — **104**

Leszek Koczanowicz „Nie patrz w górę” i katechon, czyli negocjowanie Apokalipsy — **112**

Jakub Skrzypczak Zombie, feminizm i rewolucja — **118**

Cezary Wąs „Die heimlich offenbarung ioh(a)nnis / Apocalipsis cum figuris” Albrechta
Dürera. Problemy interpretacji — **150**

Waldemar Okoń Max z drugiej strony ulicy — **162**

Urszula M. Benka Pozwól tej miłości płynąć, ale nie wchodź do wody — **168**

Krzysztof Rudowski O starzeniu się starzenia — **186**

Janusz Jaroszewski Apokalipsa według J&J — **190**

Ireneusz Makowski CHARENTON APOCALIPSIS — **194**

Andrzej Saj Hybrydowe lęki — **206**

Bogusław Klimsa Gdyby lalki mogły mówić... (wspomnienie o Jadwidze
Mydlarskiej-Kowal w 21. rocznicę śmierci artystki) — **214**

Urszula M. Benka Kronika — **220**

Od redaktora

Na apokalipsę nie ma słów.

Cisza nagle podchodzi do ust i rośnie w gardle.

Roztrzaskane miary nie pozwalają zaczerpnąć oddechu.

Ale jednak trzeba mówić, bo jakiś żulik, teraz to widać przeraźliwie wyraźnie, postawiony na czele podwórkowej bandy, gładzący nieprawdopodobne kłamstwa, naprawdę podpała świat. Imperium wyposażone we wszystkie możliwości zagłady świata ma wymiar prymitywnego bandytyzmu podwórkowej szajki przeżartych alkoholem od wielu pokoleń meneli, a propagandowy bełkot, który uzasadnia masowe zbrodnie, byłby tyle samo wart, co właśnie rżenie degenerata, który nigdy nie był trzeźwy, gdyby nie to, że masowe zbrodnie dzieją się naprawdę, a wojna, która ma możliwość przerodzenia się w kosmiczny kataklizm, jest codziennością zarówno po przebudzeniu, jak i przed coraz trudniejszym zaśnięciem.

To wszystko jest oczywiście niemożliwe, absolutnie niemożliwe, ale dzieje się naprawdę.

Zanim Rosja napadła na Ukrainę, niemożliwa rzeczywistość napadała ludzi już niezliczoną ilość razy. Zawsze staje się to wedle tego samego wzoru. Najpierw „to wszystko” wydaje się pospolite, zwyczajnie chamskie i bezczelne, a więc niejako mieszczące się w normalnej, wprawdzie dokuczliwej, ale jednak normalnej codzienności.

To uspokaja. Jad działa. Jednak to nie jest mała apokalipsa, ona się tylko tak na początku ukazuje jako drobne ukąszenie. Niby zwykłe chamstwo, niby zwykła bezczelność, ale jednak wymyka się słowom, dusi i przygniata ukrytym bezmiarem. Ukrywa się w opinii publicznej, która zawsze wszystko zaciemnia i tak zakryte podaje jako znane i każdemu dostępne.

Więc się wydaje, że to jednak zwykłe chamstwo, wprawdzie dziwnie powszechne, ale właśnie powszechne; wydaje się, że to zwyczajna bezczelność, nagle wprawdzie wszechobecna, ale przecież znana wszystkim z bogatego doświadczenia bezinteresownej podłości bliźnich. Ta niby zwyczajność uspokaja, ukrywa bezmiar nadchodzącego zła.

Jad działa nawet rozweselająco. Ale dowcipnisie, kłowni, kabareciarze ciągle jeszcze nie zdają sobie sprawy, że nie tworzą już karykatury do śmiechu, lecz lukrują rzeczywistość i jakby się nie wysilali w jej wykrzywianiu, pokazują ją w gruncie rzeczy znacznie

bardziej wyprostowaną niż w istocie jest. I tylko ją usprawiedliwiają, w karykaturze czynią ludzką, a ludzką już nie jest.

Kłamcy nie są już kłamcami, bo prawda została zniesiona i nie ma się do czego odwoływać. Obłudnicy już nie są obłudnikami, gdyż demonstracja zakłamania przekroczyła wyżyny świętego gniewu oburzonych tłumów i osiągnęła apogeum w powszechnym sądzie ostatecznym sprawowanym przez chamów, czyli rządzącą większość; potwarcy przestali być potwarcami, bo spotwarzane zostały wszystkie autorytety, a wszystkie wartości zostały zdemaskowane jako efekt spisku, zdrady i zbrodni.

Dotychczasowa rzeczywistość utkana z tradycji i zwyczajów, zdrowego rozsądku z niewielkim dodatkiem rozumu została anulowana na rzecz świata wmówionego. Chamy realizują mianowicie przekonanie, że wszystko da się innym wmówić, że świat składa się z dowolnych rzeczy wmówionych, to znaczy powtórzonych dostatecznie często, zgodnie z maksymą klasyka tego twierdzenia. Najbardziej słynne powiedzonko wodza chamów (nie tylko tego, każdego innego także): „nikt nam już nie wmówi, że białe jest białe, a czarne czarne”.

Oczywistość w sensie zdroworozsądkowej prawdy, namacalnej i bezspornej, zostaje zepchnięta na bok. Wypowiadać się, powiedzieć, to znaczy teraz wmówić. Relacje mowy z rzeczywistością są całkowicie ignorowane. Mówić to wmawiać. Proceder ten uprawiają rządowe media w formie jawnej, bez najmniejszej próby owijania w bawełnę, bez próby fałszowania, czyli pozorowania prawdy. Pozorowanie prawdy zakłada jej istnienie, jej ważność. Tak właśnie działała propaganda komunistyczna, która potrafiła karać śmiercią za mówienie prawdy, ale właśnie represyjnie postępując wzmacniała znaczenie i ważność prawdy tym bardziej, im surowsze były represje. Teraz prawda jest tak dalece nieważna, że rządy bezprawia się nią w ogóle nie zajmują.

Apokalipsa w pospolitym znaczeniu kulminacji zła jest właśnie pospolita. Nieustająca. Nieubłagane od początku trwa upadek. Bez wytchnienia Adam z Ewą są wypędzani z Raju. Nie ma chwili, żeby Kain nie zabijał Abła. Potop był, jest i będzie jeszcze większy. Wieże Babel wspomagane geniuszem i nieokiełznaną pracowitością przekraczają coraz szybciej niebieskie sfery. Plagi mnożą się tysiącami i kpią z tych pocziwych dziesięciu.

Wszystkie bez wyjątku znaki na niebie i ziemi jak zawsze mrozącym krew szeptem zapowiadały, tak teraz już przez gigantofony wieszczą straszny koniec i zaiste – ten hałas nim jest. Nie tylko prorocy widzą zbliżający się kres, ale także odliczają chórem kosmiczny krach ogromne rzesze ekologów. Doszło do tego, że ostateczny kataklizm jest już od dawna dowodzony naukowo. A jednocześnie groźba apokalipsy jako unicestwiającej otchłani nie robi na nikim wrażenia. I to jest dopiero apokaliptyczne. Wszyscy to widzą i nic.

A w tej apokalipsie powszechnej i już oswojonej w kulturze masowej wybucha ją apokalipsa wojenne, w których zagłada ostateczna jest coraz bardziej możliwa

i których racje są coraz jawniej bezpodstawne: propaganda wojenna hitlerowskich Niemiec w porównaniu do propagandy putinowskiej Rosji napadającej Ukrainę mogłyby się wydawać subtelną filozofią.

Dzisiaj, każdego dnia, pęka kolejna miara.

W czas Apokalipsy świat zrzuca skrywające go maski i zasłony, wypłuwa kłamliwe słowa i splukuje z siebie nieczyste obrazy. Wyłania się nagi. Nagi świat. Wydarza się jako *czyste doświadczenie czystego bytu w tej oślepiającej chwili, gdy płoną draperie iluzji* – jak to oświecił Levinas. Oświecił dodatkowo i bardzo przenikliwie „płonącymi draperiami iluzji”, bo one także (jeśli nie przede wszystkim) pozwalają wyraźniej dostrzec „czysty byt” w „czystym doświadczeniu”.

Natychmiast wszelako natrafiamy na paradoks, bowiem staje się ono, doświadczenie mianowicie (posądzane o czystość), uwarunkowane przez pożar iluzji. A więc nie jest w istocie „czyste”, bowiem ktoś lub coś ten pożar przecież wywołało, jest on wynikiem jakiejś awantury, w wyniku której „brudne” draperie, plugawe najpewniej zasłony mogą dopiero spłonąć. Mało tego, brud iluzji jest energią światła poznania, pewnie im większy, tym światło mocniejsze; iluzja jest bowiem paliwem poznania. Więc takie poznanie czyste nie jest, wyłaniający się z niego byt również, płonąca iluzja musi przecież wydzielać trucizny. Apokalipsa nie tylko oczyszcza. Oczyszczając zatruwa na zawsze.

Ale, z drugiej strony, czy jest w ogóle możliwe doświadczenie nieapokaliptyczne, a zdzierające iluzję ze świata bez awanturniczego podpalacza? Przecież warunkiem ujżenia nagiej rzeczywistości jest zdarzenie, spalanie skrywających ją draperii. Światło pożaru jest tutaj jedynym możliwym światłem poznania. W tej perspektywie to tylko katastrofa czyni widocznym. (Na przykład klęska Rosji jako konieczna podstawa jej dalszego istnienia). Czy jest jakaś inna możliwość? Czy taka możliwość jest do pomyślenia u źródeł, na początku, kiedy poznanie nie musi wynikać z kataklizmu, kiedy nie musi przedzierać się przez draperie, lecz staje się nieuprzedzone draperiami w świetle dnia?

Inaczej bowiem trzeba upadek rozumieć jako rudymenarny sposób myślenia. Na przykład, bo tutaj możliwości jest sporo, jako popadnięcie w przedmioty, a nie jako przypadek złego jego (sposobu myślenia) stosowania. W swojej funkcji wytwarza on obraz rzeczywistości najlepiej przystosowany do przewidywania zdarzeń i dokonywania na materii pragmatycznych zabiegów, a więc nie zamierza zgłębić istoty rzeczywistości, tylko ją użyć; abstrahując i analizując zniekształca, rozkłada na arbitralnie izolowane fragmenty, czyni ruch martwą, unieruchomioną sumą stanów statycznych, w której płynność zjawisk ulega zapomnieniu, szuka w nich tylko powtarzalności, a to, co jednostkowe i niepowtarzalne, co dopiero w pełni rzeczywiste, czyni niewidzialnym; myślenie naukowe jako wyspecjalizowany sposób myślenia dysponuje tylko klasami abstrakcji, a konkret potrafi opisać tylko jako przecięcie wielości takich klas abstrakcji; redukuje

przemiany do różnic ilościowych, przy pomocy przestrzeni przedstawia rozwój czasowy itd., ponieważ tak właśnie, poprzez takie zniekształcenia, najlepiej konstruować przedmioty technicznie dogodne. Przy czym staje się widoczne, że istota techniki nie polega na rozwoju technicznym, lecz na takim związku człowieka ze światem, w którym staje się on materiałem do zaprojektowanego konstruowania, i taki związek człowieka ze światem jest uprzedni, decydował o wszystkim zanim pojawiła się technika jako powtarzalny sposób wytwarzania. Jako rudymenarny sposób myślenia.

Apokalipsa jest zatem niekończącą się apokalipsą. Zawsze apokalipsą tych teraz czasów. Nie ma innej apokalipsy (Miłosz). Jest zawsze ta apokalipsa, tu i teraz. Być może jest apokalipsa czasów ostatecznych, czy to w sensie najgłębiej religijnym, czy w sensie antropocenu, czy tak, jak to jest rozumiane przez kulturę masową, jako temat tabloidów. We wszystkich tych przejawach naraz. Być może człowiek dotarł już do kresu niegodziwości, być może wyczerpał wszystkie rezerwy naturalne i dokonuje się w związku z tymi rozległymi jak potop ludzkich grzechów przyczynami, już niebawem się dokona, zagłada ludzkości. To bardzo prawdopodobne.

W każdym z tych przypadków najważniejsza jednak jest moja Apokalipsa, czyli to, co słowo to etymologicznie znaczy: objawienie, odsłonięcie, ujawnienie. Sięgając głęboko w źródłowe znaczenie tego słowa oddalamy się od apokalipsy jako szczególnego rodzaju proroctwa, a zbliżamy się do proroctwa jako indywidualnego ujawnienia się prawdy. I apokalipsa będzie wtedy strukturą prawdy jako rzeczy się ujawniającej, objawiającej.

Jeśli tak będziemy ją rozumieć, to prawda jest apokaliptycznym proroctwem zawsze – w objawianiu się.

I gdy wsłuchamy się w to, co nam apokalipsa jako struktura odsłaniania prawdy w nas samych czyni, prorokuje, to usłyszymy odchylenie się zasłon bez pożaru (chyba tylko zorzy porannej i wieczornej). Zawsze jest nasza własna, najbardziej osobista, intymna Apokalipsa czasów ostatecznych. Kiedy odsłanianie w nas niemożliwą, paradoksalną nieskończoność, domostwo ludzkiej tożsamości i wspólnoty.

Dla nas w każdej chwili czas jest ostateczny i odsłanianie, lub tego nie czyni, naszą tożsamość indywidualną i zbiorową, bo to przecież To Samo, aż do zachwyty. I to jest nadzieja. ■

xxx

Jestem kamieniem na czyimś grobie
Moje ciało jest drzwiami
Te drzwi to światło
Wchodzę w siebie i przenikam tam dokąd zmierzam, od zawsze na zawsze
Kilka dni temu jest jak kilka godzin temu
Kilka lat temu jest jak kilka minut temu
Kilka tysięcy lat temu jest jak kilka sekund
Widzę przy drzwiach mechanizm z kodem
Drzwi są już otworzone a przez drzwi wyszły hordy
Słyszę ich tętent i wiem kto jest na początku tych hord
Ja pozostałam w jaskini
Jest przy mnie kosmiczna matka i Słowo
Dotykamy ujścia życia pisząc o tym co nigdy już się nie wydarzy
Jest przy mnie kosmiczna matka przynosi mi muzea z obrazami
Zobacz malowałam to wszystko przez dwa tysiące lat
Nie jestem mistrzem malowania ale starałam się udawać że nim jestem
I mówię to dla ciebie malowałam te obrazy
ale ja jej nie wierzę bo ja w nic nie wierzę
Nie wierzę że istnieje człowiek że istnieje świat że istnieje niebo
Nie wierzę żeby cokolwiek istniało poza mną
Tylko to co czuję może istnieć a przecież czuję tylko siebie zwierzęta i drzewa
Gwiazdy słońce i księżyc i to jest ja
Wierzę tylko w pragnienie które pali jakby z ust wychodził ogień
Tym ogniem spopielam wszystko na swojej drodze
Wierzę w pragnienie Kogoś ponad wszystkim czym jestem
Tylko w to wierzę nie wierząc w nic poza sobą
Poza drzwiami światła które są kosmiczną matką
Która mówi do mnie: odejdziemy stąd od tych ludzi
Pokonani i upokorzeni ale z największym orężem które nazywa się
Na zawsze

Drzwi światła staną się ekranem z krótkim i tymczasowym przekazem
Tam gdzie były twoje wiersze będzie tylko ocean niedopasowanych słów
Tam gdzie były nasze wcielenia pozostaną puste balkony z oszukanymi kochankami
Tam gdzie były nasze serca i czyny pozostanie towar na sprzedaż
Tam gdzie były nasze porywy miłości będzie ich czekać tylko zdrada
Od ciebie do ciebie jest jak ode mnie do mnie
Jak jedno i to samo imię jak jedno i to samo Ja

xxx

przez całe życie na czymś mi zależało
ale nie wiem na czym
gdy przyszło do mnie prawdziwe życie powiedziało mi:
zostaw wszystko i zrób gest ku sobie
przez całe życie zależało mi na życiu
a na koniec życie mi powiedziało:
ja nie jestem twoim prawdziwym życiem
twoje prawdziwe życie zostało ci ukradzione
przez całe życie szukałam mojego prawdziwego życia
by na koniec zrozumieć że szukam samą siebie
przez całe życie chciałam udowodniać że jednak żyję
a życie cały czas udawniało mi
ty mylisz życie ze słowem życie
przez całe życie nie byłam tym kim jestem
ale życie mi odpowiadało: tym lepiej
to ja cały czas udawałam ciebie
przez całe życie byłam obok mojego życia
ale ani ja ani życie nie zauważyliśmy że przenikamy nie siebie
ale coś poza nami
przez całe życie wierzyłam że jednak zacznę żyć
a życie do mnie:
nie żartuj gdybyśmy zaczęli żyć zrobiliby się nudno
przez całe życie chciało mi się płakać
a na końcu okazało się że płacz i śmiech to jedno i to samo
przez całe życie na czymś mi zależało ale nie wiem na czym

Wrocław, 24.08.2019

SEN

śpię pod jakimś drzewem
jakby już nie było nigdzie ani jednego drzewa
tylko to drzewo pod którym śpię

śpię pod drzewem
ale już żadne żebro nie będzie ze mnie wyjęte
by stworzyć dla mnie człowieka - przyjaciela

co mi się stało?
dlaczego czułam sercem każdego człowieka?
dlaczego kochałam każdego człowieka?
dlaczego czuwałam przy każdym człowieku?
co mi się stało?
nic przebudziłaś się
i teraz tym każdym człowiekiem jestem Ja i ty
nie potrzebujemy już tych ludzi by być razem
nie potrzebujemy już tych ludzi by być obok siebie
tam gdzie staje stopa człowieka pojawia się rana
tam gdzie człowiek jest konieczność naszego Ja
dlaczego ludzie są już tylko atrapami?
dlaczego ci ludzie cały czas wołają jakąś Ewę?
dlaczego ci ludzie krzyczą Ewa Ewa
przypominają mi z daleka moich rodziców których od dawna nie mam
z bliska ci obcy ludzie chcą wołać do mnie jak do psa i trzymać mnie na smyczy
ty znasz jakąś Ewę?
kim była ta Ewa?
kto to był dla nich?

List 16

Dziękuję Ci za ogień
Nie ma takich słów by to opisać
Nie ma takich łez by go ugasić

16.06.2018

List 34

Spacerowałam dziś wzdłuż siebie mijając różne postacie mojego ja
Dostosowywałam się do różnych możliwości przekazywania siebie ciałem
Szukałam swojej prawdziwej formy a nie tej dostosowanej do otoczenia
Można powiedzieć że szukałam siebie jak facet który szuka dziwki na noc
Dziwki są po to
Nie chcę żadnego potem później ja nawet nie chcę tego teraz czy dzisiaj
Dla mnie jest to że nie jest i to jest wystarczające by być na tyle by istnieć wszędzie

Kwiecień 2019

xxx

Nie ma takiej rozmowy w której można by to opowiedzieć
Nie ma takiej drogi którą moglibyście do mnie dotrzeć

Maj 2019

xxx

Nagle z mojego ciała zrobił się worek a w nim pełno ran takich otwartych co to jeszcze krew się leje. Te rany w tym worku jak nie wiadomo jaka ilość kotów. Myślę sobie jakby te koty nagle wszystkie w tym samym momencie zaczęły miauczeć to byłby straszny problem. Albo jakby się porozłaziły wokół z tego worka to byłaby rzecz już nie do powstrzymania. Takie koty mogłyby zrobić dużo zamieszania nie tylko chodzić po dachach i gzymsach ale nagle urosnąć i z kotów zrobiłyby się tygrysy. Wtedy nie tylko łapałyby myszki ale zaczęłyby polować na ludzi. Akurat przyszło mi żyć w kraju gdzie chciano schować nie tylko te rany ale cały worek. Żeby schować chciano ten worek zabić i zakopać w ziemi. Już o mnie nawet nie chodzi ale o te koty. Trochę mnie to przestraszyło bo tym workiem byłam ja. A te rany to było to każde nie spełnienie narodu tego kraju wobec mnie. Każda nie spełniona obietnica każde nie spełnione przyrzeczenie. Te rany to były te wszystkie upokorzenie i ciągnięcie mnie całym nagim po waszej ziemi. Te wszystkie obrazy wymierzane mi jak policzek za policzkiem. To chodzenie na czworakach w błocie i w brudzie gdy już ledwo czołgałam się nisko twarzą przy kolejnej bryle błota zaczynało się kopanie i rzucanie za mną kamieniami. Te wszystkie

ciosy poniżej pasa że zwijałem się i upadałem na waszą ziemię. Te wszystkie wynoś się stąd idź się leczyć idź do burdelu. Te wszystkie upokorzenia w którym byłem jak cień kogoś kto jest już od dawna gdzie indziej. I to odrzucenie na wskroś i przez wszystkich. To popychanie mnie przez każdego. To mycie rąk po dotykaniu mnie. To mycie blatów i lad gdy się pojawiałam. Że niby po co ja się tutaj pojawiłem. Tak z niczego? Że niby po co akurat w tym kraju i między tymi ludźmi co to od wieków udawali że są ze mną. Nie wiem co teraz będzie jak zamiast ciała mam worek z kotami. Nic nie będzie trzeba będzie tak ułożyć plan dnia żeby te wszystkie koty nakarmić i wypuścić na spacer. Spo- ro tych kotów jest to fakt ale co taki worek ciała zrobiłby bez obecności takich kotów. To prawdziwy rarytas. Worek bez kotów to po prostu worek do wyrzucenia. Liczy się tylko worek z kotami z takim workiem to ma się z czym pokazać. A mi szkoda tych kotów że nagle moje rany się zamieniły w te koty. Trudno to są inne koty to są twoje osobiste koty które nigdy by się nie ukazały gdyby nie te rany. ■

23.05.2019



© Andrzej Dudek-Dürer, *Cyfrowa Apokalipsa 00*, 1998, technika mieszana, inkografia, 60 × 45 cm

TUNEL

Zasapany, w ostatniej chwili dotarł do stacji. Przebiegając obok kas biletowych usłyszał, jak pociąg daje znak do odjazdu. Wyminął ludzi na peronie i otworzył drzwi najbliższego wagonu. Zajął miejsce, powiesił marynarkę i rozejrzał się; był sam. Lipcowe popołudnie było słoneczne, a ledwie wyczuwalny wiatr bawił się liśćmi topoli stojących z lewa i prawa stacyjnego budynku z czerwonej cegły.

W wagonie panował zaduch; przebijała woń starych niewietrzonych ubrań, w jakich spotyka się ludzi w wiejskich kościołkach. Pociągnął za uchwyt okna, ale nie mógł otworzyć; ustąpiło dopiero po kilku szarpnięciach. Nim do wnętrza przedarło się świeże powietrze, z kąta wagonu usłyszał płacz dziecka.

„Jak dobrze – pomyślał – że moje paroletnie wnuczeta, od których wracam, są radosne i szczęśliwe.”

Pociąg nie odjeżdżał, a na peronie stali ludzie. Dlaczego nie wsiadają? Następny będzie tu za trzy godziny. Była niedziela, a ci ludzie, podobnie jak on, po wypoczynku wracali do swoich obowiązków w mieście. Zaniepokoił się.

Wyszedł na peron; przyglądano mu się, jak komuś, kto z niewiadomych powodów stoi na parapecie okna, na którymś piętrze wysokiego budynku i nie jest zdecydowany, co robić dalej.

– Czego ode mnie chcą? – zapytał po cichu i sprawdził, czy jego ubranie nie jest rozdarłe albo brudne. „Nie pojedę – zdecydował – i na przydworcowej ławce poczekam na następny”, ale przypomniał sobie, że w wagonie zostawił marynarkę z dokumentami i niewielki bagaż. Rozległ się gwizdek konduktora i metalicznie klasnęły o siebie wagonowe zderzaki. Pociąg ruszył.

W wagonie nie było już tak duszno, ale sięgając okna znowu usłyszał głos podobny do płaczu dziecka. W jego stronę szedł konduktor. Poprosił go o wypisanie biletu.

– Spokojnie – kolejarz zmierzył go spojrzeniem bez wyrazu – mamy dużo czasu. Przestępując z nogi na nogę, grzbietem notesu stukał o ściankę starej lampy kolejowej przewieszanej przez ramię.

– Co to za pociąg? – zapytał konduktora.

– Przecież widział pan do jakiego wsiadał.

– Dlaczego tylu ludzi zostało na peronie?

– Ich wybór – konduktor podszedł do okna i dłonie oparł o szybę. – Tak już jest, że raz my wybieramy, a kiedy indziej wybierają nas. Nie wiadomo, co lepsze.

Pasażer obserwował człowieka stojącego obok. W czasie wielu lat pracy nauczył się kierować wzrok w jakąkolwiek stronę, ale kontrolować jednocześnie to, co działo się obok. Było mu to szczególnie przydatne, gdy występował w sądzie, jako obrońca. Sędzia, do którego się zwracał, był przekonany, że mówi do niego, a on w tym czasie kontrolował zachowania i wyrazy twarzy: prokuratora, ławników, a nawet obrońcy strony przeciwnej.

Kolejarz był od niego młodszy i niższy, ale miał dziwną budowę: korpus zakończony proporcjonalną głową, posadowiony był na zbyt długich nogach. Patrząc na niego od dołu dostrzegł też, że między zębami, a może na podniebieniu, miał jakieś ciemne metalowe części podobne do drutów.

– Gdy otwierałem okno – zwrócił się do konduktora – doszedł mnie głos podobny do płaczu dziecka.

– Ramy pordzewiały, z oknami trzeba się siłować, a jak ustąpią, to jęczą, skrzypią i Bóg wie co jeszcze robią. – przetarł czoło wierzchem dłoni. – Wagony stare, pasażerów coraz mniej. Na stacji w Landi obszedłem pociąg i niczego nie widziałem.

Usiadł bokiem na skraju siedzenia i zwrócony do pasażera profilem, mówił:

– Panie, czego to ludzie nie zostawiają w pociągu – uśmiechnął się i po przerwie kontynuował. – Kiedyś znalazłem protezę nogi, innym razem uduszonego psa, był jeszcze ciepły, a któregoś przedpołudnia jadące na pogrzeb towarzystwo tak się dobrze bawiło, że zapomnieli nieboszczyka.

– Niemożliwe.

– Wciąż go wożę. – Zamyślił się. – Widocznie pogrzeb zrobili bez niego. Jak za życia ludzie nie są sobie potrzebni, to co dopiero po śmierci. – Stuknął palcami w szkło lampy. – Do pijaństwa każdy pretekst dobry. – Kolejarz poprawił opadające mu rękawy białej koszuli. – Chce pan, to przyniosę?

– Dziękuję, nie mam zboczeń nekrofilskich – wymówił się, ale nadal oczekiwał wyjaśnienia pochodzenia głosu podobnego do płaczu dziecka, dlatego przypomniał: – Przy zamykaniu okna popłakiwanie się powtórzyło.

– Mówiłem panu, że w pociągu ludzie zostawiają przeróżne różności – podparł czoło ręką. – Może to zakwiliły czyjeś dawne tęsknoty? Dajmy na to: ktoś uciął sobie drzemkę w podróży i przyśniła mu się matka, którą dawno temu prosił o cukierka albo chciał się do niej przytulić. Potem wysiadł, a to jego sieroce pragnienie zostało i błąka się z kąta w kąt.

Pasażer obiema dłońmi potarł wydatny nos, nieco bledszy od reszty twarzy i powiedział:

– W mojej praktyce zawodowej nasłuchiwałem się przedziwnych opowieści i może pan sobie oszczędzić taniego fantazjowania. Potrzebuję dojechać do domu i proszę wypisać mi bilet. – Wstał, odwrócił się plecami do okna i z wyuczoną starannością cyzelując

słowa, powiedział: – Chcę mieć ważny bilet na ten po... – zawiesił głos – o, słyszy pan, znowu odezwał się ten zbłąkany bachor.

– Nie słyszałem – odpowiedział służbowo konduktor. – Bilet, oczywiście, będzie pan miał, ale on teraz nie najważniejszy – uśmiechnął się zagadkowo. – Przecież jedziemy.

– Robi pan ze mnie głupka – mężczyzna, przytrzymując się półki na bagaże nachylił się do konduktora. – Będę musiał poskarżyć na pana w dyrekcji kolei.

– Skoro pan musi... – sięgnął do identyfikatora.

– Bez nauk, bez nauk, panie kolejarzu, zostaw je pan sobie – skupił się na starannej gestykulacji, która miała pogłębić wrażenie jego wywodu. – Nie powinienem tego mówić w takich okolicznościach – zatoczył ręką łuk i wskazał na wnętrze wagonu – ale sprowokowany powiem, że ukończyłem prawo i psychologię na uniwersytecie. Dwa fakultety, proszę pana! Z dyplomami!

– Co było pierwsze?

– Do czego to panu.

– Zaznaczę na bilecie – uśmiechnął się konduktor i ruszył ku przejściu między wagonami. Sięgając klamki odwrócił się i zawołał:

– Wiem, najpierw była psychologia.

– Skąd ta pewność?

– Nie lubił pan ludzi, nawet własna rodzina uważała pana za samoluba i dlatego musiał się pan nauczyć ich rozpoznawać – spojrzał na chwilę w okno i dokończył – ale wyłącznie w celach zawodowych.

Pociąg zwalniał, ale nie było słychać odgłosów hamowania, towarzyszących zatrzymywaniu się wielu ton rozpędzonego żelastwa. Pasażer zaniepokoił się. Ukrył twarz w dłoniach i podparł na łokciach. Po chwili usłyszał nad sobą głos konduktora:

– Postoimy tu trochę – powiedział i schylił się, by pomasaować sobie kolana.

Robiąc to przypominał kaczkę na nogach bociana i pasażer z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– Mam problem – próbował się usprawiedliwić. – Dawno przekroczyłem pięćdziesiątkę, a moje nogi, jakby o tym zapomniały i wciąż rosną.

Wyprostował się, poprawił koszulę. Wyciągnął z torby drewnianą skrzyneczkę większą od piórnika. – Przyniosłem panu nieboszczyka – powiedział i znowu dziwnie się uśmiechnął. Tak od środka, niby całą twarzą, ale wargi miał nieruchome.

Pasażer spojrzał i odsunął się z odrazą. Dopiero po chwili zastanowił się, dlaczego taką reakcję wywołał w nim drewniany sześcian zbity z kawałków dykty i byle jak pomazany bejcą, w którym może nawet nie było nic w środku.

– Po co mi pan to pokazuje?

– Żeby pan uwierzył.

– Nie obchodzi mnie jakiś nieboszczyk, czyjaś proteza, czy uduszony pies. Proszę powiedzieć dlaczego pociąg się zatrzymał?

Stali blisko siebie. Poczuł chłód od ciała konduktora, ale na jego twarzy dojrzał krople potu. „To jakiś dziwny gość”, pomyślał. „Nogi nie słuchają głowy i rosną wbrew wiekowi i logice, ciało chłodne, a głowa się poci. Zamiast pętać się po pociągach powinien być przebadany przez naukowców, jako wybryk natury.”

Spojrzał przez okno i zamarł; za resztkami spróchniałego ogrodzenia jeżyły się gdzieniegdzie kępy zszarzałej trawy, a po prawej stronie dawnego pastwiska, na którym kiedyś harcowały konie z pobliskiej stadniny, stał, jakby wrośnięty w ziemię, obciągnięty wyleniałą skórą koń. Opuścił wzrok; bronił się przed wpisaniem do pamięci oglądanego przed chwilą obrazu. Chciał pamiętać to miejsce takim, jakim było kiedyś.

– Nie podoba się panu? – zapytał konduktor.

Pasażer skinął głową i usiadł.

– Zgadza się, pan pamięta, jak tu było przed laty.

Rozsiadł się na siedzeniu po przeciwnej stronie pasażera i wyciągnął nogi, jakby odcinał mu drogę wyjścia.

– Pan miał wtedy może trzydzieści lat, a nawet mniej.

– To stare dzieje, bardzo stare...

– Wtedy, któregoś lata, pociąg też musiał się tu zatrzymać, bo upał powyginał szyny – konduktor zaczął opowiadać. Przerwał i przyjrzał się wierzchowi dłoni z wyraźnie zaznaczonymi żyłami. – Zanosiło się na dłuższy postój. Część ludzi wyszła z wagonu, jedni się opalali, inni drzemali z zasłoniętymi od słońca twarzami. Na padoku konie skubały trawę i niektóre podchodziły blisko ogrodzenia. Najodważniejszym był siwy ogier, przełożył łeb przez tyczki i czekał aż ktoś da mu jabłko, kromkę chleba lub kostkę cukru. Nie doczekał się, jedynie dziecko rzuciło w jego stronę garstkę liści mlecza i trawy.

Z wagonu wyszła kobieta w białej sukience i słomkowym kapeluszu. W ręku niosła małą walizkę, którą zabawnie kołysała na boki. Zbliżyła się do konia i uniosła rękę, niczym dyrygent uciszający orkiestrę przed koncertem, wtedy koń, zakołysał głową na boki i opuścił ją. Ona objęła jego szyję, poszeptowała mu coś do ucha i czystym głosem zaśpiewała: „Ech, wy konie, konie – góry złotogrzywe...” Stał nieruchomo przy niej, a po kilkunastu taktach zastrygł uszami, zdeptał kopytami w miejscu, zakręcił się i poderwał resztę stada do galopu. Po chwili konie zniknęły za pagórkami.

Za niedługo wróciły i siwek znowu zbliżył się do ogrodzenia, ale nie podszedł do kobiety. Prężył się, chodził bokiem, a nawet stanął na tylnych nogach, czym wzbudził zainteresowanie ludzi, którym przerwano podróż. Przebiegł jeszcze wzdłuż ogrodzenia i wtedy dopiero podszedł do kobiety. Ona, na końskiej głowie, między oczami, serdecznym palcem lewej dłoni nakreśliła jakieś tajemne znaki, oparła się o końską szyję i zaśpiewała to samo, co wcześniej.

Z boku, oparty o żerdzie, stał młody konduktor. Nie wyróżniał się wzrostem, ale miał rudą czuprynę i przewieszoną przez ramię torbę z żółtej skóry. Zasłuchany przysłuchiwał się śpiewającej. Gdy skończyła, patrzył jeszcze, jak obiema rękami gładzi koński łeb, a potem podszedł do niej. Chwilę przysłuchali się sobie bez słowa, sięgnął po jej małą, powycieraną walizkę, a ona nałożyła na głowę słomkowy kapelusz z wstążką w niebiesko-czerwona kratę i poszła z nim.

– Potem żyli ze sobą długo i szczęśliwie, no i, oczywiście, mieli dużo dzieci. Tak było?
– zaśmiał się pasażer.

– Niezupełnie.

– To po co plótł mi pan te bzdury?

– Nigdy nie miałeś potrzeby zwierzenia się komuś? – zapytał konduktor, a pasażer uznał za niedopuszczalne, że zwrócił się do niego per ty. – Nie chciałeś niczego opowiedzieć komukolwiek, jak to robią ludzie przy wódce, w pociągu, czy w więzieniu?

– Nie mam takich zachcianek – powiedział oschle, i obojętnym spojrzeniem lustrował sufit wagonu. – Ale ta scena z koniem jest niezła.

– Muszę dodać, że ta kobieta wcześniej, przez jakiś czas, pracowała w tamtej stadninie, której pastwisko przylegało do torów kolejowych. Było to po tym, jak usunięto ją dyscyplinarnie ze studiów. – Konduktor wczepił się przeszywającym wzrokiem w twarz pasażera, aż ten zamrugał oczami i odwrócił głowę.

– W tamtych latach, w stadninie, był koń, który wyczekiwał pojawienia się pociągu, a potem ścigał się z nim.

– Brakowało mu tego – powiedział pasażer. – Może jego przodek był mistrzem?

– Polubiono go, byli tacy, którzy specjalnie przejeżdżali tylko do następnej stacji, żeby podziwiać jego galop.

– Pewnego dnia dziewczyna dojrzała w oknie pociągu znajomego mężczyznę. Od tej pory we dwójkę pędzili w zawody, a ona zaglądała do okien, ale tamtego gościa więcej nie spotkała – kolejarz podkurczył swoje za długie nogi i przetarł twarz czerwoną chustką. – Ja myślę, że on wtedy jeszcze jeździł, tylko siadał po przeciwnej stronie.

– Robota przy koniach nudna, to mieli atrakcję – mężczyzna przetarł czoło i zapytał:
– Co studiowała?

– Medycynę – odpowiedział konduktor i pomagając sobie obiema dłońmi, ćwiczył zginanie prawego kolana. – Dzisiaj podobną sprawą, jaką ona miała przed laty, nikt by się nie zajmował, ale wówczas jedynie słuszne ideologie i partyjniackie lizuski niszczyły ludziom życie. We wszystkim dopatrywano się wrogości wobec ustroju.

– Tak sobie myślę – pasażer zmrużył oczy – że scenę podobną do tej z koniem, to gdzieś już widziałem. Chyba w jakimś filmie.

– Dziewczyna też była zakochana, jak to bywa w filmach – kolejarz znowu wpatrzył się w twarz pasażera. – Podczas letniego obozu poszła na trzy dni do chłopaka, którego

kochała. Komendant, zetempowiec, zrobił z tego aferę, że kurwiła się po nocach.

Kolejarz opuścił głowę i pstrykał haczykiem od lampy.

– Wystarczyłoby, żeby ten jej kochaś poszedł do tego zetempowskiego palanta i zaświadczył, że była z nim i byłoby po sprawie – podniósł wzrok i wpatrzył się w wydatny i bledszy od reszty twarzy nos pasażera. – Ale to musiał być jakiś bażant bez jaj. Pełno takich wokoło – z lekceważeniem machnął ręką. – Ostatecznie, ten zetempowiec obiecał zapomnieć o wszystkim jeśli ona przyjdzie do niego w nocy. Nie widząc reakcji mężczyzny z przeciwka, zapytał:

– Nie interesuje cię, czy ona poszła?

– Miałem w swojej praktyce zawodowej sprawy o podobnym tle.

– Wiesz, ja bym zwariował, gdybym we wszystkich ludziach widział pasażerów na gapę, jak ty przestępców.

– To sprawa charakteru.

– Nie, gościu, to sprawa skurwienia się. Takiego samego, jak tamtego zetempowca. Na szczęście spotkała go kara.

– Niepotrzebnie się unosisz, skoro sprawiedliwości stało się zadość – powiedział z nutą ironii. – Któż był tak dzielny, że ją pomścił?

Konduktor zajął się starym zegarkiem ze zmatowiałym od porysowań szkłem, który nosił na prawej ręce. Rozpiął pasek i nakręcał go powoli do oporu, potem potrząsnął nim i przyłożył do ucha.

– Zaparł się i nie zamierza ruszyć – powiedział. – Zatrzymał się na szesnastej siedemnaście. Wtedy ruszaliśmy ze stacji – pokręcił głową.

– Mój też kiksuje. – pasażer postukał palcem w zegarek. – No, to jak? – zapytał. – Dowiem się, kto ukarał zetempowca?

– Poszła do niego w ostatnią noc. Chełpił się swoją męskością i władzą, poniżał i upokarzał. Ale, jak wiesz, przedwczesne fetowanie zwycięstwa tępi instynkt. Ta menda była pewna, że ona jest złamana do końca – zasłonił usta dłonią, jakby mu się chciało ziewać. – Mój dziadek mawiał, że jak ci zimno w łóżku, to nie rozpala się pod nim ognia.

Konduktor zamilkł, odchylił głowę do tyłu i opuścił powieki, jakby rzeczywiście zrobił się senny.

Pasażer usiłował nie zdradzać zaniepokojenia, ale robiły to za niego ręce. Po dłuższej chwili zapytał:

– Czy wiesz, co było dalej?

Kolejarz być może naprawdę się zdrzemnął, bo zdziwiony rozchylił powieki, poprawił koszulę pod szyją i ścisłym głosem, powiedział:

– Zetempowiec rozgrzał się, a ona, w czasie symulowanej sceny czułości, nagle zaczęła się histerycznie śmiać. Tamten zgłupiał, przeraził się, że wszyscy dowiedzą się, kto jest u niego, a wtedy ona wbiła zęby w jego ucho i szarpnęła z całą siłą. Potem rzygała przez dwa dni.

Konduktor ziewnął i zrobił minę, jakby ponownie chciał się zdrzemnąć.

– Doszywanie ucha partyjni towarzysze uznali za wypadek przy pracy, w służbie idei. I w ten sposób, w przyspieszonym trybie, dostał czerwoną legitymację.

Pasażerem szarpnęło, jakby tłumił w sobie śmiech albo torsje. Odsunął dłoń od ust i zapytał:

– Po co mi to opowiedziałeś?

– Bo czasem warto coś wiedzieć, ty... – nie dokończył, odwrócił się i odszedł kilka kroków.

Pasażer zerwał się i zaczął krzyczeć:

– Dość mam już ciebie, twoich impertynencji i tego pociągu!

– On teraz jest nasz – powiedział spokojnie konduktor – nasz wspólny.

– Ty zwariowałaś! Ja tu wysiadam. Wolę iść kilka dni i nocy, byle dotrzeć do domu, niż błądzić po pustkowiu w towarzystwie twoim, nieboszczyka i płaczu dziecka. Energetycznym krokiem przeszedł na drugą stronę wagonu.

– Wysiadam, a ty jedź sobie dalej.

– Pomogę otworzyć drzwi. Czy przynieść bagaż?

– Nie trzeba, poradzę sobie.

Zatrzymał się w otwartych drzwiach i postawił stopę na pierwszym stopniu schodków. Przez jakiś czas stał z przymkniętymi powiekami, a gdy je otworzył, spojrzał w stronę, z której kiedyś nadbiegał ścigający się z pociągiem wierzchowiec z kobietą o rozwianych włosach. Powoli przekręcał głowę, jakby wzrokiem prowadził galopujących aż do drogi, przy której, za kapliczką, zawracali. Zmęczony przysiadł na stopniu, ułożył marynarkę na kolanach i opuścił głowę.

Konduktor przysiadł obok, ale bokiem, żeby swobodnie kołysać w powietrzu za długimi nogami i zapytał:

– Próbowaleś kiedyś zajrzeć w przyszłość?

– Każdy jest jej ciekawy.

– A przeszłość?

– Ona się dokonała, minęła.

– Jesteś pewien? – konduktor rytmicznie stukał palcem o szkło lampy. – Coś, co dla ciebie minęło i umarło, w kimś mogło pozostać nie gojącą się nigdy raną.

– Ty jesteś kolejjarzem? – zapytał i odchylił się, aby dokładniej przyjrzeć się twarzy człowieka obok – czy może wykładasz filozofię w jakiejś szkółce niedzielnej?

– W moim gadaniu tyle filozofii, co u żebraka grosza w kapeluszu. To wy, ci niby mądrale, macie nas za tępaków – podwinął lewy rękaw koszuli i przyjrzał się sinemu śladowi w pobliżu łokcia.

– Trudno, niech ci będzie – mężczyzna, pierwszy raz od czasu kiedy się spotkali, uśmiechnął się pojednawczo. – Powiedz mi dlaczego ten pociąg nie opuszcza no... tego

tu... umarłego przylądka?

– Niczego nie odczułeś, nic nie pokojarzyłeś?

– Absolutnie. Mnie obchodzi tylko powrót do domu.

– Zauważyłeś przecież, że przemieściliśmy się w czasie.

Konduktor spojrzał na pasażera, ale jego wzrok nie miał w sobie nic z tej przenikliwości, która pyta, piętnuje albo onieśmiela. W jego oczach bez wyrazu, wypłukanych z koloru przez chorobę albo nieszczęścia, pasażer dostrzegł jedynie namiastkę spojrzenia losu. Bo za nią, za tą ścianą, w głębi, rozpisane masz szczegółowo na dni, godziny i minuty – swoje życie.

– Z jakiegoś powodu padło na ciebie i na mnie – powiedział z zakłopotaniem kolejjarz.

– Kto mógł mnie tak urządzić?

– Niektórzy nazywają to przeznaczeniem.

– Niczym nie zawiniłem.

– Wszyscy tak uważają, a jako psycholog z dyplomem uniwersyteckim, wiesz o tym najlepiej.

Ze środka wagonu doszły ich odgłosy śmiechu.

– Przypomnij sobie, poskładaj ważniejsze zdarzenia, może znajdziesz klucz do tego, co się stało. Często rozdawałeś karty, na których były napisane kwiecistym językiem ważne uzasadnienia, a przecież nie wszystko robiłeś za pieniądze. – Konduktor znowu wachlował się czerwoną chustką. – Przemyśl to i teraz zrób podobnie. – Zajął się bezsensowną czynnością składania pomiętego materiału. – Jeśli tego nie zrobisz, ten pociąg stąd nie odjedzie. – Przyklepał w dłoniach złożoną czerwoną szmatkę. – Ja też nie chciałbym przyrosnąć do tych schodów, jak tamten dumny kiedyś i pewnie piękny koń do spalonej ziemi.

– To jest szantaż – powiedział pasażer.

– Być może, ale takie są reguły gry bez reguł.

– Słuchaj no, ty, panie „konduktorze łaskawy“, w swojej praktyce zawodowej udawało mi się wyciągnąć z opresji moich klientów dlatego, że potrafiłem omijać paragrafy kodeksów ważniejszych niż te, ustalone przez jakiegoś kalekiego kolejjarza.

– Działaj, życzę powodzenia.

Pasażer zacisnął zęby, uderzył dłonią w dłoń, a potem skrył twarz za skrzyżowanymi rękami, trwał tak chwilę i z widoczną niechęcią, a może strachem, zszedł między spopielałe zielska.

Spieszył się, żeby zdążyć na odjeżdżający z tej górskiej stacyjki pociąg. Następny odchodził dopiero za trzy godziny. Miał do zakomunikowania ważną nowinę: był na szczycie! Komu chciał to powiedzieć? Też pytanie. Wszyscy powinni to wiedzieć: znajomi i nieznanymi, przechodnie i bliscy, wszyscy.

Ponad dziesięć lat mozolił się wspinaniem na szczyt. Każde kolejne podejście kończyło się upadkiem. Paraliżował go strach, że ta ułomność zostanie z nim do końca.

Miał dwadzieścia pięć lat i ani jednego udanego zbliżenia z kobietą. Jadąc tu na spotkanie z Anis, przyrzekł sobie, że jeśli tym razem nie uczyni choćby małego kroku, to sięgnie do rozwiązań ostatecznych. Ale choć miał przy sobie pełną fiolkę z różową nalepką, to przecież okłamywał się; zbyt kochał siebie, choć jego męskie niepowodzenia rysowały za każdym razem skazy na portrecie.

Czyżby więc nadal. czekały go dni z nazbyt częstymi pobytami w toaletach i noce zaprzyjaźnione z erotycznymi koszmarami, których nie były w stanie wyciszyć kilkakrotne nawet samozaspokojenia?

Teraz, po tych nadzwyczajnych dniach i nocach z Anis, był na szczycie. Wiedział, że odtąd mijające go kobiety patrzeć będą na niego z pożądaniem.

Przypomniał sobie o zdarzeniu z zetempowcem, ale nie uważał go za ważne. Od żadnej z kobiet nie zaznał tyle czułości. Tylko ona przekonywała go, że jest wyjątkowym i wspinałym mężczyzną. Wciąż jeszcze miał wrażenie, że ona, potykając się na wyboistej ścieżce, niesie go na rękach na niezdobytą wcześniej górę.

„Nie mogę jej zostawić – zarzekał się – wrócę i powiem temu palantowi, że ona cały czas była ze mną i niech się od niej odwali.”

Zawrócił, wyszedł już za stacyjne ogrodzenie, gdy wjechał pociąg. Stał krótko. Było pod górę, bo ruszał z trudem.

– Dogonię go! – zawołał do siebie i wbiegł na peron.

Pociąg przyśpieszał. Stojący na stopniach wagonu konduktor dawał mu znaki chorągiewką, żeby pozostał. Wkurzył się. „Ten stary nie wie, że jestem na szczycie”, pomyślał. „A w takim miejscu jest się dobrym we wszystkim. We wszystkim, pojmujesz to staruszk, który już dawno nie obracałeś swojej babci?”

Wciąż biegł obok przyśpieszającego pociągu. Za kilkanaście metrów kończył się peron. Na twarzy czuł coraz silniejszy powiew wiatru i przyśpieszający stukot kół. Za sekundy minie go ostatni wagon z uchwytem przy drzwiach, za który może złapać i stopniem do postawienia nogi.

Człowiek w oknie pierwszego wagonu wymachiwał czerwoną szmatką i krzyczał coś niezrozumiale. Przypomniał mu się aktor, który kilka lat temu na dworcu we Wrocławiu zagrał swoją ostatnią rolę. Ale, czy tamten był wtedy na szczycie? Czy może z niego schodził, a nawet spadał?

Zdążył. Ze wszystkich sił trzymał się uchwyty przy drzwiach. Ręce wytrzymały targnięcia, ale reszta ciała przez chwilę była w powietrzu. Sapiąc, moknąc od potu twarz przyciskał do blachy wagonu. Wczoraj przytulał ją w ten sam sposób do gorącego brzucha Anis. Spojrzał do tyłu; niekończące się szyny skute słońcem leżały nieruchomo, a klawiatura podkładów kolejowych ulatywała w stronę gór.

Siedział w przedziale i powolniała w nim gorączka pościgu. Sięgnął po gazetę leżącą na siedzeniu. Przebiegł wzrokiem po tytułach i poczuł się senny, Przekładając stronicę mignęły mu obserwujące go twarze kobiet. Odchylił głowę i niezupełnie przymknął oczy; ich ruchy zdradzały potrzeby ciała. Czuł narastające tętno między udami, wyszedł na korytarz. Jedna z kobiet wkrótce wyszła za nim. Zamienili ze sobą jakieś ple... ple... i ona sięgnęła ręką do jego biodra. „Tak powinno być – pomyślał – z kimś, kto jest na szczycie.” Za chwilę włożyła ją do kieszeni jego spodni.

– To nie z tej strony – mruknęła i przeszła tam, gdzie było poszukiwane.

Nie musiała go wiele namawiać. Wysiedli na stacyjce bez peronu. Zanim doszli do domu pod lasem zboczyli jeszcze w przydrożne krzaki. Na trzeci dzień błada i ledwie powłócząca nogami przyprowadziła sąsiadkę.

Panując nad ich ciałami, wsłuchując się w dobywające z nich nieznane mu wcześniej odgłosy nasycenia, lewitował nad swoim Everestem, wetując dawne porażki i zamazując gęstą, nieprzenikającą farbą szybę swojej pamięci.

Po kilku krokach przystanął; odniósł wrażenie, że wiór jałowej ziemi ugina się, jakby pod nim było bagno. Ostrożnie stawiał stopy.

Zbliżał się do mumii wierzchowca, gdy usłyszał skrzypienie i przełamywanie starego drewna. Dźwięki powtórzyły się. Zastygł; końska kukła, ledwie widocznymi, rwanymi ruchami, usiłowała odwrócić ku niemu łeb obciążony wygarbowaną przez deszcze i wiatry skórą. Na wypukłościach nozdrzy i oczodołów, przez przeźroczystą w tych miejscach skórę prześwitywała biel czaszki.

Za chwilę na końskim łbie przysiadł motyl. Dla tego strzępka życia z innego świata koński maszkaron nie był szpetny ani odrażający. Żółtawe skrzydełka przesunęły się ku przepaści oczodołu, obeszły go i na dłużej zajrzały do środka. Czego tam szukał? Czy obrazu tej łąki z dawnych lat, a może portretu kobiety w słomkowym kapeluszu?

Motyl był pospolitego gatunku, ale mężczyźnie przyniósł nadzieję, że ten straszny pociąg i miejsce na którym stoi, są tylko koszmarem, jaki zdarzył mu się pierwszy raz w życiu. Przekonany o tym, zbyt mocno postawił nogę do kolejnego kroku i ziemia osunęła mu się pod stopą. Stracił równowagę, ale zdołał się cofnąć. W powstałej szczelinie z trzaskiem spadały w dół kamienie, jakby leciały w studnię bez dna.

Motyl przefrunął do drugiego oczodołu końskiej czaszki i znowu czegoś tam szukał.

Mężczyzna stał zeszytywniały i bał się, że jego każdy ruch może spowodować katastrofę. Spojrzał za siebie; w miejscu, gdzie stał pociąg, jarzyła się podłużna, świetlista plama. „Boże, jak dobrze, że tamto minęło, że było tylko złym snem”, pomyślał i przysłonił oczy. Ale przypomniał sobie, że ma astygmatyzm, wadę wzroku powodującą, że często, przy ostrym świetle, obrazy budowane na siatkówce oka sprawiają niespodzianki.

Wzrok oswoił się ze światłem i znowu zarysowały się kontury wagonów. Przetarł oczy, nie wierzył; miały teraz powybijane szyby i zagniecione ściany, jak po katastrofie. Sterczały z nich płyty wyrwanej blachy, dachy pokrywała rdza, a po bokach spływały brunatne sople zacieków.

Krzyknął w stronę konduktora, ale tamten nie słyszał. Siedział bez ruchu na najniższym ze schodów z ułożonymi do góry nogami. Ostrożnie zrobił krok do tyłu, ale nie wytrzymał i zaczął biec. Ziemia pękała za nim, jak cienki lód, a w głębi huczały spadające skały. Upadł i zaczął się czołgać; odgłosy ze środka ziemi cichły. Twarz opadła mu w kaleczące ją zielska. Na kolana podniósł się, gdy był blisko pociągu.

Podszedł do konduktora, spojrzeli na siebie.

– W ten sposób może wolniej rosną – powiedział kolejarz, jakby chciał usprawiedliwić pozycję, w jakiej siedział.

– Wołałem na ciebie.

– Nie słyszałem, może się zdrzemnąłem.

– Obok mnie zapadała się ziemia, grzmiało, ale tak jakoś od środka...

Nie dokończył, bo uwagę ich obu zwrócił motyl, którego pasażer widział wcześniej na końskiej czaszce. Wykonał w powietrzu kilka wywijasów i odleciał. Konduktor patrzył za nim, póki nie stracił go z oczu, a potem wsunął ręce pod kolana i swoje za długie nogi przeniósł niżej.

– Co się stało z wagonami? – zapytał, gdy konduktor stał już na ziemi.

– One też płacą cenę przemieszczania się w czasie.

Wszedł po schodkach i stanął w otwartych drzwiach wagonu.

– Zostajesz? – zapytał. – Pamiętasz, jaki jest warunek, żebyśmy mogli stąd odjechać?

Pasażer usiadł na pochyłości nasypu i próbował dojrzeć choć jedno źdźbło zielonej trawy, które lubił przeżuwać, podobnie, jak robią to ludzie z gumą lub innymi sztucznymi łakociami. Trawy nie było. Ręce oklejone spopielałą ziemią próbował wytrzeć o spodnie, ale cały wyglądał podobnie. I w tej samej chwili zobaczył siebie, jako kogoś dożywającego ostatnich chwil na pustkowiu, którego jedyną przyjaźnią są hulające i nigdy nienasycone wiatry przysypujące go pyłem ziemi.

Zakasłał kilka razy, splunął śliną z popiołem i zapytał:

– Jak miała na imię?

– Anis.

– A jakieś znaki szczególne?

– Niewielka blizna po operacji przebytej w dzieciństwie.

– Na boku – upewnił się – poniżej lewej piersi?

Powoli, w parosekundowych odstępach stuknęły zderzaki, wagony drgnęły. Konduktor zawołał na niego.

Podniósł się i przypomniał sobie tamten bieg do pociągu na górskiej stacyjce, który

zostawiał za sobą wyslizgane słońcem strugi szyn, umykającą w stronę gór klawiaturę podkładów kolejowych i wszystko, co tam jeszcze wtedy było. Dzisiaj nie mógł już biec, ani do kogokolwiek powrócić. Pociąg ledwie się toczył. Przeszedł kilka kroków i sięgnął dłonią do ręki podanej mu przez konduktora.

Znowu jechał. Odetchnął z ulgą, że powoli oddala się z miejsca naznaczonego katastrofą i opadł na siedzenie. Odpoczął, poszedł po butelkę wody, którą miał w torbie. Po zaspokojeniu pierwszego pragnienia podał napój kolejarzowi, ale ten podziękował. Wrócił na poprzednie miejsce i rzucił:

– Wlecz się ten pociąg i wlecz.

Założył nogę na nogę, bo nie mógł opanować ich drżenia. Kolejarz nadal naprawiał lampę posługując się zakrzywionym drutem. W powietrzu wciskał się ledwie wyczuwalny zapach nafty.

– Czy ona żyje?

Konduktor znieruchomiał, przestał dłużyć przy naftówce i nie podnosząc głowy, odburknął: – Nie.

„Z wielu sytuacji bez wyjścia potrafiłem się wymknąć – mówił do siebie – a tutaj płacę się przy niedouczonym kolejarzu. Co się ze mną dzieje?”

– Na pewno wynagrodziłeś jej doznane krzywdy – powiedział, tak tylko, dla zamknięcia tematu.

Kolejarz, spoglądał na niego tym wzrokiem bez wyrazu, w którym pewnie dlatego można się było doszukać tych wszystkich stanów i nastrojów człowieka, od błogości do skrajnej nienawiści.

– To, według ciebie, było stwierdzenie obrońcy, czy prokuratora? – zapytał konduktor.

– Może tylko człowieka?

– Widziałeś go tutaj? – zapytał kolejarz i nie czekając odpowiedzi, kontynuował.

– Pamiętasz, co powiedziałeś nim zszedłeś na tamtą wypaloną ziemię? – Pasażer milczał, więc mówił dalej: – „Wyciągałem z opresji moich klientów, bo potrafiłem omijać, a może okpić, kodeksy ważniejsze od wymyślonych przez jakiegoś tam...” – nie dokończył. – Ruszaj więc, ratuj się. – Wrócił do majstrowania przy lampie, ale za chwilę znowu podniósł wzrok. – A może szachrując w obronie swoich klientów pograżałeś się, aż do stanu, w jakim jesteś?

Mężczyzna wsłuchiwał się w powolny stukot kół. Wydał mu się on teraz powtarzającymi się rytmicznie uderzeniami noża gilotyny. „Do szyi jeszcze nie sięgnął – pomyślał – ale ręce i nogi tnę po kawałku i z rozmysłem”. Chciał dojechać do domu, ale ten stawał się dla niego pojęciem abstrakcyjnym. Mógł nim być zapamiętany budynek stacyjny z czerwonej cegły, ten wagon z pogniecionymi burtami, rozstępujące się pod jego stopami otwory w ziemi, a nawet wnęki oczodołów końskiej czaszki. Wszystko, czyli nic. „Jak wyglądał dom, w którym przebywałem i do którego zamierzałem wrócić? – pytał

siebie. – Nie jestem w stanie go umiejscowić. Przemieszczał się z podobnymi bryłami stworzonymi przez ludzi. Jakie miał ogrodzenie, czy rosła przy nim zieleń? Co dzieje się z moją głową? Czy mój organizm wszedł w stan odliczania ostatnich... nie, muszę się opanować. Spokojnie, tylko spokojnie”.

W wagonowych głośnikach rozległy się piski, potem zacharczało i znudzony głos obwieścił:

– Uwaga, uwaga, pasażerów uprasza się o zgaszenie papierosów i zamknięcie okien, pociąg zbliża się do tunelu. Powtarzam...

Mężczyzna poderwał się, w pośpiechu przeszedł kilka kroków w stronę przeciwną do jazdy pociągu. Po chwili wrócił i krzyknął do konduktora:

– Kurwa, co tu się dzieje, przecież na tej trasie nie było tunelu! – wzburzony wymachiwał ramionami. – Co komu da zamknięcie okien przy wybitych szybach? To absurdałne!

– Potrafiłeś okpić ważniejsze kodeksy, to z tym też sobie poradzisz – powiedział konduktor, a pasażer pochylił się nad nim i, spokojniejszy, wysunął ku niemu dłoń w proszącym geście.

– Zrozum mnie i moją głowę, bo to jej wina – powiedział. – Jako dziecko wpadłem do kopanej na podwórzu studni. Wołając pomocy, ze złamaną nogą, przeleżałem kilkanaście godzin. – Złapał kolejarza za rękę, ale ten się odsunął. – Od tamtego czasu choruję na nieuleczalny rodzaj klaustrofobii, która powoduje, że w tunelach, windach i innych ciasnych pomieszczeniach zamkniętych nie panuję nad sobą.

– Tunel nie jest długi, chyba że...

– Że co, że co... – dopytywał zdenerwowany pasażer.

– Czasami się zdarza...

– Wydukaj to wreszcie, wyrzygaj, do cholery! Co się zdarza?

– Spadające głazy zablokują wyjazd.

– Zatrzymaj natychmiast ten pociąg! – Pasażer złapał kolejarza za ramiona. – Rozkazuję ci, natychmiast!

Konduktor silnym pchnięciem odrzucił jego rękę.

– Sam go sobie zatrzymaj.

Mężczyzna rozejrzał się za hamulcem. Podbiegł do skrzynki z czerwoną rączką, szarpnął za nią, ale urwała się i została mu w dłoni. Rozejrzał się za drugim, był w oddległej części wagonu. Ciągnął wielokrotnie, ale dźwignia nawet nie drgnęła.

Pociąg wsuwał się w cień góry i zbliżał do kamiennego obramowania tunelu. Pierwsze okna wagonu wypełniła szarość. Za chwilę powiało wilgocią od czarnych ścian tunelu, po których spływała woda. Teraz było już ciemno.

– Zapal lampę, po diabła ja nosisz! – krzyknął pasażer, stojąc w oddległej od konduktora części wagonu.

– Nafty mało, może być bardziej potrzebna – usłyszał w odpowiedzi i przytrzymując się krawędzi siedzeń, poszedł w stronę, z której doszedł go głos.

Z bliska rozpoznał zarysy sylwetki kolejarza. W sąsiedztwie były drzwi; zwolnił zamek.

– To jak z tą lampą, ty spasiona kaczko na szczudłach! – krzyknął z zupełnie bliska. Odniosł wrażenie, że pociąg zwalnia. Mogło to oznaczać, że tunel zatarasowany jest głazami.

Kopniakiem otworzył drzwi i rzucił się na konduktora. Zerwał mu lampę, zadał nią kilka ciosów i zaczął dusić.

– Skrócę ci twoje kulasy! – krzyczał i charczał, pchając konduktora ku otwartym drzwiom. – Utną ci je i pogniotą jak zwietrzałe trzciny, jak trzciny... – ręce kleiły mu się od krwi.

Sądził, że łatwiej pójdzie mu z konduktorem, ale ten wiał się i wyślizgiwał z kleszczy jego wciąż silnych rąk. Kolanem kopnął go w podbrzusze, ale tamten zaklinował się w ramie drzwi i nie pozwalał wypchnąć.

W gorączce walki, pasażer, poczuł ucisk przy karku. Przeciwnik opierając tam dłoń nie wbijał mu kołki kciuków pod krawędzie żuchwy, miażdżąc krtań. Wydawało mu się, że ktoś odkrawa z jego głowy czerep, jak wierzch z bochenka chleba i rzuca między głazy. Wypadł, odbił się od ściany tunelu i wpadł pod koła.

Pociąg toczył się jeszcze, zwolnił, i ruszył powoli z powrotem. Konduktor kawałkami rozdartej koszuli wycierał twarz z krwi. W końcu wagonu pojawiło się światło i wolno przesuwało się w jego stronę. Poczuł swędzenie w kolanach, podobnie, jak czuje się, gdy rany zaczynają się goić. Wydawało mu się, że z oddali usłyszał tętent galopującego w jego stronę konia. ■

My i Apokalipsa

Grzbiet apokaliptycznej bestii
jest gładki
da się na nim mieszkać można o nim mówić
bestia codziennie przygląda się swoim granicom
nakłuwamy je butem lub słowem
bestia porusza brwiami płacze gryzie cebulę morza
wznosi naszymi ramionami ciemne budowle
inspiruje pochody ponad kopułami ku szczytom
niekiedy ocierając ślinę objawia swoją prawdę
jej grzbiet nigdy nie prostuje się do końca
nie znamy jej ogromu
nie ułatwia to nam spadania
dlatego osuwamy się mozolnie wśród bólu i wydzieliny
oblepieni materią czerwoną
kiedy chcemy oderwać się ostatecznie
skurcze i odór niepokoju
wiążą nam ręce i nogi i poruszony jest kręgosłup
obwódzie piekieł napinaj się spokojnie i objawiona jest siła
suchego werbla który zaszyty pod skórą
milczał dotąd
by nie skaleczyć przybitych do kości wytrzebionych
i musimy tak trwać
odradzać się i znikać
spojeni w jedno z księciem zagłady
z przerażeniem i tronami
których imię brzmi śmierć
brzmi zniewolenie

kiedy budzimy się bestia porusza czaszką
rozrzuca uda powtarza cud
który nie niszczy jej przeznaczenia trwa nad siedmioma górami
i pijemy razem z nią z miedzianego kielicha
jesteśmy poza światem
ruchomi niepewni uczepieni podbrzuszem
gładkiego stoku.

Wiersz z tomu „Poematy nadziemne”, Wydawnictwo TIKKUN, Warszawa 2000, powstał w roku 1985.



© Andrzej Dudek-Dürer, *Lustro Apokalipsy wobec... Klepsydry*, 2009, technika mieszana, inkografia, rysunek, 50 × 70cm

Zielony zmierzch

Pod wieczór powietrze już całkiem skrzepło w rozrzedzony kisiel, a miasto jakby w nim bezpowrotnie utonęło. Złe, białe światło wywracało się zielonymi rozbłyskami na śliskich brukach i roztrzaskiwało w szybach domów. Było wstrętne. Zachodzące słońce wystąpiwszy z brzegów rozlewało się po niebie zimną powodzią szmaragdowego blasku. Ten wieczór upamiętnił się trupią bladością zorzy. Dzień odchodził bez złota i purpury. Pamiętam i widzę każdy szczegół. Ten dzień straszny, który codziennie obraca we mnie swoje obrazy jak noże w pamięci. Ale jeszcze nie jest wieczór, lecz popołudnie.

Biegący chłopiec w rozpiętym płaszczu przy Ogrodzie Botanicznym to ja. Biegłem między splekanymi płytami chodnika, a odbicia ze śródstopia od płyty do płyty poprzez ścięgną Achillesa i natychmiast poprzez kolana jednoczesnego wyskoku z mięśni czworogłowych i zjednoczonego z nim grzebnienia bicepsu uda i w tym samym momencie wzniesionego do góry kolana nogi atakującej dal, poprzez dodany do wybicia nóg jednoczesny skręt bioder złączony kręgosłupem z równoległą i jednoczesną pracą ramion i zamachami rąk czyniły ze mnie łuk, który z cięciwy połączonych kości, ścięgien i mięśni wystrzeliwał się strzałą ruchu w kosmos między galaktyki drzew Ogrodu. Jednocześnie. O, sprężystości odbicia! O, locie swobodny!

Na pozór łatwo unoszę się nad chodnikiem, ale ten lot jest niebezpieczny. Mogę wziąć cię za rękę, młodzieńcze. Mogę wyrównać twój krok, byś się nie potykał na nierównych płytach chodnika. Pamiętasz, jak coś cię podtrzymało? I jeszcze raz, teraz, o właśnie teraz, gdy już twarzą niemal dotykałeś kamienia? To ja! To ja, teraz, w tej chwili opowieści, twój starzec, podtrzymuję cię za rękę, byś nie upadł. Kiedy biegniesz wiele dziesięcioleci wcześniej koło Ogrodu Botanicznego.

Och, jakżeś lekki, szczuplutki chłopcze! Biorę cię w objęcia jak wir powietrza. I patrzę w twoją twarz rozpaloną i czuję jej niecierpliwe ciepło. Ach, to nie tylko wysiłek biegu. To strach i rozpacz. Do dzisiaj je odczuwam. Jakiś ty młody! Zrozpaczony biegniesz do zrozpaczonej. Dławiony płacz dusi ci serce. Dwoje zrozpaczonych kochanków.

Ale to nie jest film przeszłości, która się odbyła. Nie ma takiej przeszłości. Biegniesz, młodzieńcze, w rozpiętym płaszczu, a ja, twój starzec, patrzę, jak się kształtuje tamta teraźniejszość z wielu możliwości. I nie jestem pewien żadnego twojego kroku, choć tak mocno podtrzymuję cię w pamięci, żebyś wtedy nie upadł.

Tak długo oddzieleni, czy jesteśmy w stanie powrócić tam, skąd odeszliśmy, jakby czas nie upłynął? Ależ oczywiście! Chłopcze drogi, przecież tamto z wówczas nosimy jako nieuchwytnie mijające teraz, które można zobaczyć w zamasytystych projektach na przyszłość. Wszystkie skorupy archeologii materii i ducha widzimy w młodzieńczych urokach przyszłości. Czas wszystko nieodwołalnie gromadzi i w każdym dzisiaj jest przede wszystkim wczoraj. Więc co się zmienia? Więc jak mogę zmienić przeszłość, pytasz mnie zrozpaczony chłopcze, twego starca. Czy to w ogóle możliwe? Spróbujemy to zbadać.

Biegłem na spotkanie. Katarzyna niecierpliwie krążyła po ulicy i gdy zziąjany i spocyny przy niej stawałem, już miała otwarte usta i brwi uniesione. Wygłaszała monolog o karygodnej wadzie spóźniałstwa, która w moim przypadku nie tylko była jej zdaniem wadą ogólną, towarzyszącą mi zawsze, lecz demonstracyjnie dotyczyła jej osobie, w nią była wymierzona jako swego rodzaju perfidna złośliwość i w gruzy obracała mocno już zachwianą jej wiarą w moją do niej miłość, o której tylko słowa, te umiem mnożyć, o tak, wykrzykiwała, mnożyć słowa, a więc słowa zaświadczały bez pokrycia (ten leciutki paradoks wywoływał jej rumieniec), bo spóźnianiem się okazywałem niedostateczny, łagodnie mówiąc (o, jakże łagodnie mówiąc! – podkreślała wielokrotnie), dla niej szacunek.

Ocierałem pot z czoła i uspokajałem oddech, w miarę jak się Katarzyna w tyradzie rozpędzała. Wreszcie na chwilę milkła, a mnie pot kroplami w tej ciszy głośno spływał po plecach.

Ale zaraz zaczynała krytykować sposób, w jaki chodzę, mianowicie jakoś jedną nogę stawiam nierówno, co nawet widać po zużyciu obcasów, a to przecież nie wynika z wady wrodzonej, lecz z niedbalstwa, czyli niedoskonałości charakteru. To nie jest żaden drobiazg bez znaczenia, mówiła, to swego rodzaju ujawnianie się zasadniczego braku wiarygodności moralnej. Oczy jej lśniły, a krągłe piersi drżały z gniewu, gdy o to lub owo miała do mnie pretensje. I parła retorycznie i także drobnymi kroczkami, do przodu.

Przystawałem, gdy ona drobiła dalej, mówiąc coraz szybciej i coraz głębszym głosem, który zawsze przeczył jej delikatnej dziewczęcości, i nie widziała, że już przy niej nie jestem, zamknięta w swoim wzburzeniu. Nie odwracała się w kierunku miasta i nie widziała także bladego zmierzchu między gotyckimi wieżami. Ale czuła wyraźnie obce napięcie, które napływało do niej zewsząd, widać nawet było, jak ją pętało, bo przecież nic wokół siebie nie widziała, a ruchy, choć gwałtowne, były dziwnie ograniczone.

Wspominała od paru dni, że wśród zapachów rozpoczynającej się wiosny rozgrzanej niezwykle w marcu słońcem czuje rozedrganie, które ją przeraża. Potęgowała jej złość ta siła zawieszona na wieżach, opadająca na latarnie i drzewa. Na razie moc przyczajona, ale już bolesna wzrastaniem bez uścicia. Biedna Katarzyna źle znosiła wibracje

życia społecznego, o których nic nie wiedziała, ale które nieszczęśliwie nakładały się na wirujący w niej erotyzm.

Nie wiedziała, nie mogła przecież tego wiedzieć, że to nie tylko ciepło przedwczesnej wiosny w niej samej było najgorętsze, że to właśnie powszechne napięcie tamtych dni tak konkretnie, fizycznie wzmagало możliwości jej istnienia i stawiało ją przed oszłamiającymi wyborami, a te z kolei, na domiar złego, wszystkie, wszystkie bez wyjątku, niestety, niweczyły jej rozsądek paradoksami.

Już ten jeden, który nią targał najmocniej, którego nie umiała ani w dzień, ani w bezsenną noc rozwiązać, strącał ją w rozpacz: jej ekstatycznym dylematem było bowiem dziewictwo, z istoty swej przecież wewnętrzne w każdym sensie i jako ekstatyczne również w każdym sensie trywialne. Chciała je zachować. Może nawet nie tyle chciała, co zachowywała wbrew swemu temperamentowi. I nie miała najmniejszego pojęcia, dlaczego. A poza tym wezbrana nieustannym pożądaniem zagryzała wargi do krwi i nienawidziła się w niespełnieniu, i wielbiła w dziewictwie.

Dopiero otwierające wtargnięcie z zewnątrz pomaga na swój sposób bytowi stać się sobą. A ona nie była sobą i nie tylko nie potrafiła się nią stać, ale też brutalnie zakazywała wszelkiej możliwości zewnętrznego wdarcia się...

To były dni, które weszły do historii otwartymi na oścież i wirującymi z nadmiaru potencji oczekiwaniami. Krążyli niby bez celu po mieście, ich przyspieszony niezwykajnie krok robił wrażenie, jakby dokądś zdecydowanie zmierzali, jakby byli żołnierzami jednej dywizji maszerującymi jednym krokiem, ale – co dziwne – przecież ten równy krok nie miał miary defiladowej i mówiąc o równym kroku mówimy o wspólnym sposobie chodzenia osób zarówno wysportowanych, jak i otyłych, z długimi nogami lub krótkimi, z platfusem lub z nogami krzywymi na wszystkie możliwe sposoby.

Chodzili najróżniejszymi krokami, ale jednocześnie, jeśli ktoś umiał to zobaczyć, jednym, wedle wspólnej wewnętrznej harmonii. Maszerowali wedle jednej idei, wedle jednej radosnej emocji, choć realnie powłóczyli nogami i raczej tylko w spojrzeniu mieli dumny rytm.

Oni z reguły jeszcze nie wiedzieli, może podejrzewali tylko, dlaczego i dokąd tak spieszą, nie wiedzieli, może im ledwie świtało (i to jedynie niektórym), że są żołnierzami (niektórzy się nimi później stali, odnieśli rany, polegli), żołnierzami przeszłych bojów i przyszłej wojny, więc przyspieszali. Biegali od Mostu Uniwersyteckiego Świdnicką przez Rynek pod Arkady i z powrotem zaglądając po kilka razy do MPiK-u, Klubu Dziennikarza i Monopolu, gdzie brzmiał w tle fortepian, inni zaś z Rynku skręcali do Mostu Grunwaldzkiego i tam pędzili prosto aż do Mostu Szczytnickiego mijając po drodze liczne akademiki, a boczną odnogą inni maszerowali też do Mostu Zwierzynieckiego, obok klinik w obłokach wirusów i bakterii.

Ten krok, ten marsz, ten bieg tak harmonijny mógł zachwycać, ale łamany był przez

tych liczniejszych i mniej wyróżniających się na tle przechodniów, którzy szli z naprzeciwka i siłą rzeczy jakby zagradzali drogę. Ale chyba też trochę jakby chcieli zagradzać, bo w trakcie mijania zwalniali nagle i rzadko co prawda, ale nieraz to i wręcz demonstracyjnie wchodzili w drogę maszerującym i zaglądali im w oczy może nie bezczelnie, ale zaczepnie z niemym pytaniem: No i co?

Ale nieraz nie mieli do końca pewności, czy zastępują drogę tym, którym trzeba, więc uważnie sprawdzając patrzyli po oczach, po nosach, po uszach. Z tego braku pewności hamowali się, nie zagradzali agresywnie, tylko jakby żartobliwie. Nieraz nawet przy zetknięciu, przy zderzeniu jakby przypadkowym mówili przepraszam, oj, przepraszam bardzo szanownego pana. I nie chcieli ustąpić, ale ustępowali.

A ci, którym drogę zastąpiono, nie zamierzali odchodzić na bok. Maszerowali naprzód z wyzywającym pytaniem zwrotnym: No właśnie, no i co? I przestrzeń aż się kołysała jak dzwon, a woda w Odrze mocniej falowała.

Z boku zaś przemylali we wszystkich kierunkach ci, którzy chcieli być niezauważalni, i przez to właśnie tak się wyróżniali. O tym skrajnie dyskretnym wyróżnianiu się zresztą wiedzieli i ich umowna niewidzialność zadawała im szyku, a na pewno była częścią ich strategii. Wszystko widzieli i milcząco porozumiewali się z sobą wzrokiem oraz niby niezauważalnymi dla innych gestami. Starali się być blisko możliwych wydarzeń, by w razie czego móc świadczyć, albo pomóc sytuacji się rozwijać we właściwym dla ich pojęć kierunku.

Tak tkąta się materia miasta i nawet przy ogromnym chaosie ulicznym ujawniał się jej splot misterny, który stada matek ciągnących dzieci i toboły na skróty przez tory tramwajowe oraz tłumy mężczyzn wypełzających z fabryk czynił elementem wprowadzie najliczniejszym, ale dziwnie mało istotnym. Na kanwie ludu plotła się zgrzebną nicią fastrygowana intryga, której krzykliwość, jak i cały tamten okres, przeszła do jaskrawej historii hańby i wstydu.

Katarzyna szła więc, a ja już byłem daleko. Nie, jeszcze wtedy nie odwróciłem się i nie poszedłem w innym kierunku, to nastąpiło później. Teraz (o, jednak całkiem nie teraz, ale niech będzie to teraz) pozostałem na miejscu, nieruchomy. Stałem, a ona osamotniała mnie, jej sylwetka już ginęła w mroku i ledwie słyszeć było jej monolog, gdy wreszcie zamilkła i odwróciła się, a potem opadła na kolana. Podbiegłem i uniosłem ją do góry.

I oto trzymam ją jakby omdłą, a przecież skupioną w sobie wielką siłą. Patrzyłem na jej twarz, której nie broniło spojrzenie jej oczu. Ta twarz, właśnie ta, a nie jej, a więc ta twarz spoczywała poza obserwacją i była bezwstydnie rozwarta, nieoczekiwanie naga w swojej samoistości. Uwięziony w tej nagłej tajemnicy, korzystając z dobrodziejstw ducha opowieści, którym też, trochę tym ciągle zawstydzony, jestem, zostawię siebie z Katarzyną na rękach i przeniosę się do Ossolineum, gdzie za chwilę wydarzy coś ważnego.

Przez otwarte okna czytelnicy wbiegały z dziedzińca biblioteki stłumione nawoływania kukułki. Na grynszpanowej wieżyczce wystrzelającej z dachu niczym nagły pomysł tłumiły się niespokojnie gołębie. Przez uchylone okna wlewał się zmierzch i zatapiał szczyty wysokich półek z oprawnymi księgami. Tylko na samym dnie sali jarzyły się snopy światła, obejmujące swym jasnym kręgiem rozłożone na stołach książki i ręce przerzucające stronicę, czasem dolną część nisko pochylonych nad tekstem twarzy, resztę głowy zgubiwszy w podwodnym mroku zielonego zmierzchu, który kłębami schodził spod sufitu coraz niżej, już wpełzał pod stoły i rozrastał się tam wodorostami rozkołysanych nóg i bełtał je z nogami stołów i krzesel.

Ci nurkowie szmaragdowego zmierzchu przycupnięci przy iskierkach światła i przerzucający karty zatopionych ksiąg nurkowali głęboko, bowiem i w księgi także, a dna nie zgruntowawszy szybko wynurzali się z powrotem i ziewali z braku tlenu i co godne uwagi ziewali falą, poddani niczym meduzy przemożnemu rytmowi ciemności, która wyrzucała ich na plażę bibliotecznych stolików. Ziewali jak się już rzekło falą, a ziewnawszy zdziwieni rozglądali się wokół.

Kto ziewał?

Pierwsza ziewała Maryśka rozdziawiając swoje małe, pulchne usteczka, co unaoczniało ich sprężystą i zadziwiającą rozciągliwość. Potem ziewał Mucha i drżały mu przy tym usiłujące się nie otworzyć szczęki, a kiedy jednak rozwarła na moment zatraskiwała się znowu ze zgrzytem zębów, ziewała już Wiśniewska, która, jak głosił niezbyt udany żart Juliusza Miary, gdyby nie miała uszu, ziewałaby naokoło głowy. A kiedy Wiśniewska spóźnionym gestem zakrywała zamykającą się szkarłatno-złotą (zab!) czeluść swej ciemnej twarzy, ziewał Waks nie zaprzestając dłubania w nosie, a kiedy wreszcie wyjął palec z nosa i wycierał nim załzawione oczy, wtedy ziewała już gruba Izabella Gniot zwana Cebullą, a po niej z głuchym westchnieniem rozdziawił pryszczatą gębę Feliks Mańko, przewodniczący ZMS, wielbiciel Lenina i osobisty wróg Pana Boga, i tak ziewali rzędami od stolika do stolika, zarażając jeden drugiego we wspólnotę ziewania, która wznosiła się i opadała, aż rozkołysaną falą dotarła do metalowych drzwi Magazynu Głównego.

I wtedy właśnie te drzwi otworzyły się i garbaty docent Dępczak obładowany wielkimi tomami, który wszedł do czytelnicy, by tam spomiędzy ksiąg ogromniastych podglądać z poczerwieniałymi uszami sennie zaczytane i nic o podglądaniu docenta nie wiedzące dziewczęta, przewrócił się. Najpierw to niby się tak jakoś przewrócił, bo się potknął. Ale po chwili można było stwierdzić, że nie przewrócił się ot tak sobie. Oj, on się strasznie przewrócił, po prostu okropnie, uderzony tą leniwie rozpędzoną falą ziewania, tą gnuśną nieubłaganą falą zacządkowania przedsennego, tym kopciem dogorywającej z braku tlenu i jasnych pojęć logiki, tym dusznym, smrodliwym ciepłym wspólnym niemyśleniu, a nie tylko wywrócił się tak strasznie ten Dępczak, że pośliznął się na wypastowanym świeżo parkiecie, śliskiego parkietu na taki wypadek było za mało.

Najróżniejsze potem krążyły domysły. Niektórzy bowiem pamiętali, jak dzień wcześniej spojrzał na Dępczaka Juliusz Miara, mówili, że nagle zrobiło się tak zimno... Byli nawet tacy, którzy jakoby słyszeli, że warknął prawie bezgłośnie do Dępczaka, a ten zbladł: – Podpisałeś na siebie wyrok.

Huk uderzających o podłogę ksiąg i docenta Dępczaka przebudził czytelnicy. Głowy – nagle wszystkie ptasie uniosły się zgodnie na wydłużonych ciekawością szyjach w kierunku otwartych drzwi Magazynu Głównego, gdzie w dziwacznej pozie leżał Dępczak rozgarniając gwałtownymi ruchami rozrzucone księgi: płynął na wznak.

Twarz pozbawiona okularów i potargane włosy, które zwykle starannie pożyczał z tyłu głowy, wyglądała bardzo śmiesznie. Piszczął przy tym dziwnie wysokim głosem, pewnie z bólu. Wreszcie uniósł się na łokciach i ciągle nie wiedząc, gdzie jest, rozglądał się nieprzytomnie i macał ślepymi rękami wokół siebie szukając okularów.

Było to w tej chwili już zawstydzająco śmieszne, toteż cała sala śmiała się cicho, hamowanym przez wstyd chichotem. Docent Dępczak przestał szukać okularów i z nienaturalnie rozrzuconymi nogami, niczym kobieta po gwałcie, leżał nieruchomo z wzrokiem też nieruchomo skierowanym w sufit. Poruszała się szybko tylko jego grdyka na wiotkiej szyi. Chichoty umilkły powoli i chociaż sytuacja wydłużała się poza wszelkie przypisane jej granice, nikt się nie poruszył.

Dępczak ciągle leżał w drzwiach Magazynu Głównego, garb jego uwydatnił się w niemożliwym, wydawałoby się, przechyleniu, a sala milcząc patrzyła na niego, leżącego. I może dlatego, że już dawno Dępczak powinien był wstać, albo ktoś powinien był mu pomóc wstać, a jednak we właściwym momencie tego nie uczynił, sytuacja nie zmieniała się. W ogóle się nie zmieniała.

Wszyscy siedzieli jak zaczarowani i nikt, dosłownie nikt z obecnych w olbrzymiej czytelnicy, nie poruszył się, by przyjść z pomocą Dępczakowi, ten zaś najwyraźniej poturbowany i półprzytomny, na oczach tego tłumu zaczął kwilić żałośnie jak małe prosię. I im dłużej tak siedzieli, tym bardziej nie mogli się poruszyć, mimo że każdy, gdyby go o to zapytać, chciał, bardzo chciał wstać i podbiec do Dępczaka, by go podnieść, odprowadzić na krzesło, założyć mu okulary na nos, może nawet zadzwonić po pogotowie.

Takie myśli jako oczywiste przychodziły każdemu do głowy i już zrywali się z krzesel, już pędzili w kierunku Dępczaka, a jednak w ostatecznym rozrachunku nie wiedzieć czemu siedzieli nadal. Mimo że wprost niemożliwe było wytrzymać w tej gęstniejącej atmosferze zażenowania, niemocy, ba, nawet hańby, hańby!

Cóż za zaraza poraziła zgłębiających księgi studentów? Już w łbach im się ćmiło od trującego zażenowania i pot wystąpił na pobladłe z niemocy czoła, a drżące ręce to się podnosiły ku twarzy, by z niej zetrzeć niewidzialną pomrokę, to znów bezradnie opadały na stoły. Piękna Elżbieta, zwana flecistką, która siedziała tuż obok żelaznych drzwi Magazynu Głównego i obserwowała wszystko z najbliższej odległości ze wstrętem

pozwalającym jej niczym przez szkło powiększające widzieć pajęczynę czerwonych żyłek i węgry na twarzy docenta Dępczaka, poczuła spływający po jej plecach strumyczek zimnego potu.

A kiedy docent, usiłując wreszcie powstać, podparł się rękoma, a bezwładnie rozrzuconymi nogami począł poruszać, przybliżając je do stóp skamieniałej Elżbiety, ta zzieleniała, oczy jej pobiegły gdzieś ku górze, a ona sama osunęła się cicho pod stół, padając na podrygujące, szmaciane nogi Dępczaka, który, ach, mój Boże, ślepy przecież wrzasnął rozdzierająco z bólu i strachu, i wtedy wszyscy, ilu ich tam było tego dnia w czytelni, rzucili się na ratunek. W tłoku, czego nikt nie zauważył, zdeptano okulary Dępczaka. Trzask miażdżonych soczewek uszedł w ogólnym tumultcie uwadze.

Trzeba odetchnąć świeżym powietrzem, zbiec szybko po schodach na bluszczowe podwórko ze studnią, przez barokową bramę wyjść na Szewską i stanąć zaraz tutaj ostrożnie, bo można wpaść pod tramwaj pośliznąwszy się na wąskim chodniku, a tory przebiegały tuż koło krawężnika, a tramwaj kołysał się jak statek na morzu i zgrzytał tonami żelastwa, więc ostrożnie pod kiedyś klasztornym murem idąc podziwiać można przez chwilę po lewej stronie tajemniczą perspektywę placu uniwersyteckiego zwieńczoną fontanną z nagim szermierzem, szybko potem skręcić w prawo i brzegiem Odry dojść do Mostu Piaskowego i mijając strzelistą i surową Najświętszą Marię Pannę na Piasku skręcić przez Most Tumski na Ostrów, tam przy moście minąć mnie podnoszącego Katarzynę i minawszy katedrę świętokrzyską wejść po trzystu krokach do katedry Jana Chrzciciela ze ścietymi wieżami i przeczekać przedsionek piekła, do którego wstąpił docent Dępczak, o czym najmniejszego nawet pojęcia nie mieli podnoszący go z podłogi studenci.

Nie wiedzieli, że nie ma już ratunku dla Dępczaka. Tylko Piękna Elżbieta zwana flecistką wiedziała, ale nie mogła nic powiedzieć, gdyż nie odzyskała jeszcze przytomności. Dępczak się rozpadał, przerażony patrzył na swoje ogromniejące na horyzoncie nogi i z niemożliwą szybkością przelatujące po niebie ramiona. Jego dłonie świeciły w stratosferze niczym zorza polarna, ale spektakl ten nie mógł go cieszyć, bo z najwyższym wysiłkiem, w śmiertelnej trwodze dmuchał w zanikającą iskierkę świadomości, na którą walił się ocean czerni.

Przeniesiono go ostrożnie do pokoju dyrektora biblioteki i ułożono na wąskiej wypłowiej kozetce, jedna z bibliotekarek stała bezradnie nad Dępczakiem ze szklaną wodą, druga ocierała mu chustką wilgotne czoło. Zaraz też wezwano pogotowie, które zjawilo się tak błyskawicznie, co przecież nigdy się wcześniej nie zdarzało, jakby lekarz i sanitariusze stali pod drzwiami i czekali tylko na sygnał ruszenia z pomocą.

Młody lekarz, brunet o zagniewanych oczach, mierząc puls i świecąc Dępczakowi latarką w źrenice pytał, co się stało. Nikt jednak nie umiał mu powiedzieć, co się stało, nikt bowiem nie widział upadku Dępczaka z wyjątkiem Elżbiety zwanej flecistką, a ta nie

była jeszcze zdolna do rozmowy, stała zielona przy otwartym oknie, a podtrzymywał ją ostrożnie zażenowany Waks.

Nikt więc nie umiał powiedzieć, co się stało, a i lekarz nie bardzo się tym interesował, bo nagle zaniepokojony nakazał szybko, ale delikatnie przenieść Dępczaka na nosze i gdy to uczynili, poganiał sanitariuszy ostrożnie schodzących z nieruchomym i bezwładnym Dępczakiem po schodach. Potem nosze zazgrzytały przy wkładaniu do karetki, trzasnęły szybko zamykane drzwi i na syrenie odwieziono go do szpitala.

Kilkunastu studentów pozostało w grupce po odejździe karetki. – Co robimy? – zapytała Wiera i się zaczerwieniła. – Prowadzimy akcję, jakby się nic nie stało – odpowiedział charczącym szeptem Feliks Mańko, a oczy mu pociemniały. – Zdemaskujemy Czeremchę! Jako idealistę, który zacządza umysły mrzonkami imperialistycznej filozofii! – I jako syjonistę – dodała nieśmiało Wiera. Mańko spojrzał na nią natchnionym wzrokiem. – Tak. To równie ważne – potwierdził. Otrząsnął się z zamyślenia i warknął – Do roboty! Wszystko przygotowane!

Niby spiskowcy wiedzieli, co to znaczy, że wszystko jest przygotowane, ale właściwie nie wiedzieli. To „wszystko”, choć podczas narad wielokrotnie nazywane i w sposób skrajny materialne, było dla nich abstrakcyjne jak matematyczne równanie, a o matematyce jako tak zwani humaniści i na dodatek studenci filologii i filozofii nie mieli najmniejszego pojęcia. Więc hasło „do roboty” do niczego ich właściwie nie zobowiązało i rozeszli się w spokoju i bez żadnych przeczuć.

Podnosiłem Katarzynę z kolan i opierałem o ceglany mur kościoła. Nie, nie była ona osłabła. Rozpalona wprawdzie, ale nie w gorączce choroby. Była silna, osuwała się z nóg jedynie z rozpaczy, porażona wcielonym paradoksem, moja najdroższa, szeptałem zniewolony rolą męskiej opieki i zawstydzony nią, jak każdą rolą. Moja najdroższa, a ona stała w nienasyconym pragnieniu.

A ona przytulała się mocno w nieustającym pragnieniu, pragnieniu bez końca ku temu, co nadchodzi, ale nigdy nie jest dość blisko. Gorąca coraz bardziej, ale płomienie jej nie ogarniały, mój kochany, mówiła niskim ochrypłym głosem ta dziewczynka smukła, mój kochany, jestem taka niedobra dla ciebie, sama nie wiem, dlaczego tak postępuję, kocham cię przecież nade wszystko, mój kochany, wariuję przez ciebie, dla ciebie, ty, ty, przytulała się i pokrywała mi twarz pocałunkami coraz gwałtowniej, pochłaniała mnie pocałunkami i ścisła tak mocno, że mi tchu brakowało, ta dziewczynka krucha, mój kochany, powtarzała mi w mokre od pocałunków policzki, czoło, nos i usta, pragnę cię tak mocno, usycham bez ciebie, mój najdroższy Józefie, Józefie, Józienku, pozwól, pozwól, zjem cię, słodki, wstydu nie mają, jakieś baby za nami krzyczały, do czego to dochodzi, Józienku, szeptała mi Katarzyna prosto w ucho, kochany, bezwstydnicy, jak tak można, chciałabym się w tobie rozpuścić, pod kościołem, żadnej świętości nie uszanują,

kurwy pierdolone, nie zwracaj na nich uwagi, Józieńku, kocham cię, o, jak bardzo cię kocham, spierdalać spod kościoła, kurwy jebane, szarpały mnie baby za poły płaszcza, a jakiś starszy mężczyzna za kołnierz.

Uciekliśmy w Piaskową w lewo i tyle nas widzieli, ale ich okrzyki obelżywe jeszcze wybrzmiewały. Rozstaliśmy się na pl. Nankiera przy kościele św. Marcina. Katarzyna pobiegła na lektorat z francuskiego, a ja na wykład profesora Czeremchy. Wbiegłem w górę i korytarzami, a potem w dół i przez salę. Usiadłem. Rozmowy ustawały.

Profesor Czeremcha chyłkiem przemknął przez salę i choć szedł jej środkiem w ogromnym tłumie, bo przyszli nie tylko ci, dla których był to obowiązek, ale mnóstwo ciekawskich z innych wydziałów, a nawet także osoby, które już dawno przestały być studentami, a nawet takie, które nigdy nimi nie były, to jakby prześlizgiwał się pod ścianą, żeby go nikt nie zauważył, a na ustach miał uśmieszek zawstydzienia. To było zdumiewające i przypominało sceny sprzed lat, kiedyśmy się poznali, o czym jeszcze wspominać będę, jeśli opowieść mi na to pozwoli.

– Szczur, szczur! – szczechnął Feliks Mańko, ale nikt się nawet odwrócił w jego kierunku.

Sala uciszała się powoli, coraz rzadziej rozbrzmiewały niezrozumiałe okrzyki i zapóźnione rechoty. Czeremcha postawił na katedrze swą wielką teczkę i ukrył się za nią. Studenci umilkli i czekali, wypatrując za teczką twarzy profesora. Teczka była wypchana, wystawały z niej po obu stronach papiery i książki. Ponad nimi wychylała się i znikąca siwa czupryna. Studenci czekali w milczeniu, ale niektórzy, zniecierpliwieni i zaciekawieni kiwaniem się lwiej grzywy Czeremchy, powstawali z ławek, żeby zajrzeć za teczkę.

Kiedy wreszcie cisza napięła się aż do drżenia ścian od przejeżdżających w oddali tramwajów, ojczym wstał i z tym zawstydzającym także innych uśmieszkiem zażenowania, bo przecież właściwie głupkowatym na jego pięknej twarzy, powiedział coś zasapanym szeptem, ale po chwili, gdy wypowiedział „rzeczywistość”, mówił już donośnie i twardo:

– Dzisiaj uwagę naszą skupimy na dramatycznej roli, jaką odgrywają ogólne formy myślenia w podtrzymywaniu rozbicia świata i udaremnianiu naszych dążeń do osiągnięcia pełni. Podział świata na części, praktyczny i niezbędny, jest dokonywany nieustannie, ale na ogół błędnie przede wszystkim dlatego, że sądzimy, iż nasze myślenie ukazuje „świat takim, jakim jest”: jakby nasze myśli były prostym odwzorowaniem rzeczywistości. Natomiast związek myśli z rzeczywistością jest niezwykle złożony i na pewno nie tłumaczy go w pełni relacja odpowiedniości.

– Bzdura – wycharczał półszeptem Mańko – kompletna bzdura! – W sali podniosła się wrzawa. – Cisza! – krzyczeli jedni. – Bzduuuury! – buczeli kumple Mańki. Hałas się powoli uciszał, a profesor Czeremcha, jakby tego hałasu nie zauważając, mówił

mimo wrzawy, a teraz, kiedy ucichło, kontynuował: ...Proszę jednak też zauważyć, że jeśli każde rozdwojenie miałoby być chorobą, byłaby nią też każda refleksja, która tym jest doskonalsza, im bardziej w niej swoje myśli traktować potrafimy bezwzględnie, bez taryfy ulgowej, jakby były obce. W tym sensie refleksja jest czystą schizofrenią. Na tym właśnie między innymi polega filozofowanie: na krytycznym przyglądaniu się własnemu myślowi, na podglądaniu, co my właściwie myślimy, kiedy myślimy, i dlaczego tak właśnie jak myślimy, myślimy. Bo przecież nasze myślenie determinują język i tradycja we wszystkich swoich przejawach o wiele głębiej, niż to się nam na ogół wydaje.

I tu się zaczyna bieda związana z upowszechnianiem filozofii, bo wielu ludzi nie na żarty się zżyma na tak postawione pytanie. Myślimy, co myślimy, i koniec – odpowiadają tautologicznie wyznawcy tak zwanego zdrowego rozsądku i gotowi są nawet bardzo agresywnie zwalczać jako przejaw chorego umysłu pytania typu, co myślimy, myśląc.

Mniej agresywni przedstawiciele zdrowego rozsądku zwykli mawiać, że filozof stawia sprawy na głowie. Jeśli tak by być miało, jest filozof osobą bardzo kłopotliwą, przed którą trzeba się bronić i po której trzeba bez przerwy sprzątać. Zauważmy, w życiu codziennym określenie „filozof” ma wyraźnie pejoratywne znaczenie. Jest prawie obelgą.

Bo jakżeby: myśląc nie myślę tego, co myślę, tylko co innego? Filozof odpowiada: Myślisz to, co myślisz, ale także i przede wszystkim co innego myślisz, z czego w ogóle nie zdajesz sobie sprawy. To, co myślisz, że myślisz, jest tylko wierzchołkiem góry lodowej tego, co myślisz naprawdę. – Ach, banialuki – oburza się zdrowy rozum, szukając w pobliżu kołka do ciosania na głowie filozofa. Ociosany kołek zawsze się w gospodarstwie przyda, a filozof – nie.

Czeremcha przerwał i rozglądał się po sali. Po chwili zaczął mówić głośniejszym głosem.

– Ziemia krążąca wokół Słońca jest twierdzeniem nieobecnym w praktyce życia codziennego. Na ogół uzmysławiamy sobie płaską, nieruchomą Ziemię i ruchomy ozdobiony gwiazdami firmament. Do sprawnego codziennego krzątania się nie jest wcale konieczny uzmysłowiony pogląd, że Ziemia jest okrągła, że wiruje wokół własnej osi z ogromną szybkością i wokół Słońca z o wiele większą szybkością wraz z innymi planetami, że Słońce wiruje z jeszcze większą szybkością wraz z innymi gwiazdami wokół centrum Galaktyki, ta znów z innymi galaktykami... itd., itd. Chcę przez to powiedzieć, że nieraz, powtarzam słowo „nieraz”, do naszego wyposażenia teoretycznego należą wprawdzie odpowiedzi w szerokim znaczeniu tego słowa filozofów, wiemy o nich, *vide* okrągła Ziemia, ale my się tymi odpowiedziami na co dzień nie posługujemy, bo nie latamy na Księżyc, tylko po własnym podwórku i „latanie” po nim jest tylko intencjonalną metaforą, z której na dodatek nie zdajemy sobie sprawy. A więc myślimy co innego, niż myślimy, i niekoniecznie wcale — to już denerwujący nadmiar — że myślimy.

A więc jesteśmy na ogół, na co dzień zdroworozsądkowcami, to znaczy, że posługujemy

się wiedzą wydobytą z naoczności, wiedzą opartą bezpośrednio na logicznym fundamencie „wyłączonego środka”, A nie jest B, te widły nie są tamtymi widłami. Gdybyśmy wszakże powiększyli nasze podwórko codziennego gospodarowania do rozmiarów Układu Słonecznego, wtedy to, co teraz tylko teoretyczne, stałoby się oczywistą naocznością, która jest dzisiaj udziałem kosmonautów. I także – już od zawsze, ale myślowo, refleksyjnie (to jest ogromna różnica) – filozofów.

– Co za wierutne pierdoły! Czy musimy tych bredni słuchać?! „Refleksja jest czystą schizofrenią”, „myślimy nie to, co myślimy”, przecież tą są kompletne idiotyzmy – wołał już na cały głos Mańko, a jego kompani mu wtórowali ośmieleni też na całe gardło. – Głupoty, głupoty, tereferę kuku! – wołali. – Cicho, nie przeszkadzać! – krzyczeli inni. Wrzask się wzmagił, audytorium falowało wzburzone, a Czeremcha, mimo że nie było go słychać, mówił dalej. Ale przecież nie był zanurzony w myślach tak, żeby nie wiedzieć, co się wokół niego dzieje. Widział to i obserwował z powagą dokładnie. I mówił w ten wrzask, który się wzmagił do chwili, gdy wstała piękna Elżbieta, zwana Flecistką, i powiedziała cicho, ale dla wszystkich nawet poprzez wrzawę słyszalnie:

– Mańko, ty debilu, nie przeszkadzaj. – I wtedy nieoczekiwanie zapadła cisza i ponownie usłyszeliśmy głos Czeremchy:

– ...pokazuje nam wartości estetyczne przedmiotów, których o estetyczność na ogół nie podejrzewamy, które poniewierają się po kątach naszej zagrodowej codzienności. I nagle te przedmioty, szare, zakurzone, prawie nieodróżnialne od wysypiska, na którym leżą, zaczynają jaśnieć, pięknieć, wyjątkowo znaczyć, rosnać w inne światy. Mogą stać się przedmiotami, w których zapisana jest przeszłość wielkich wydarzeń historycznych, albo najważniejszych w życiu jednego tylko człowieka, mogą być unikatami, oryginałami, albo nawet przedmiotami, w których przejawia się świętość. Jak to się dzieje, jakie mechanizmy powodują takie cudowne metamorfozy?

Najogólniejszy mechanizm to właśnie krytyczne zrozumienie zasad powodujących tzw. zdrowym rozsądkiem i odejście od nich w kierunku myślenia szerszego, teoretycznego. Czyli cudowne metamorfozy przedmiotów, to, że otoczone zostają niczym na obrazie Rembrandta aureolą, że jaśnieją i pięknieją i rosną w większe światy, ma źródło w metamorfizie zasad myślenia. Nie w zmianie etykiety naklejanej na rzeczy, nazwy to nie etykiety. Język, jakkolwiek rozumiany, także jako kultura, jako system takich czy innych wartości, etycznych, estetycznych, ekonomicznych czy odżywczych, nazywając, czyni to nie poprzez etykietę, tylko przez umieszczenie realnego przedmiotu w duchowym porządku.

Wieńc ta alchemia zamiany zwykłego przedmiotu w przedmiot niezwykły, odbywa się poprzez umieszczenie go w logosie, a im on głębszy i przestronniejszy, im bardziej wewnętrznie powiązany w harmonijnych związkach, im częściej przedmiot, ten alchemizowany, zanurzany w duchu, jest niezbywalnym elementem całościowej struktury powoływane go w twórczym myśleniu Logosu, tym bardziej błyszczący.

Uwaga całego systemu na nim spoczywa. Cały świat w nim się odzywa. To jest rzecz nazwana. Wyjmuję ją nie z chaosu, bo wtedy nadal nie miałyby nazwy i godności i piękna, wyjmuję ją z logosu i cały świat się jej przygląda. Ta cudowność wydobywania rzeczy z nicości, która się wiąże z pięknem, jest pięknem myślenia, czynności najbardziej ludzkiej.

– Bzdura, kompletna bzdura! – wykrzyknął Mańko, wstał hałaśliwie odsuwając krzesło i szedł w kierunku Czeremchy. Zdumiona sala patrzyła niczego nie rozumiejąc na twardo krocącego Mańkę. – Zaraz zobaczysz „zanurzenie w duchu”! – Nikt z początku nie zauważył, że w rękę trzyma wiadro. Dopiero gdy doszedł do Czeremchy. Wtedy bowiem podniósł je do góry. Trzymał je w górze, żeby wszyscy je dokładnie zobaczyli. I potem wylał całą jego zawartość jakichś obrzydliwych nieczystości, być może kału, nie mogliśmy w to uwierzyć, ale powoli stawało się to naoczne, że wylał wiadro kału na lwią grzywę profesora, który cały natychmiast pokrył się tą straszną mazią.

Cisza trwała tylko mgnienie oka. Juliusz Miara natychmiast znalazł się przy katedrze i jednym ciosem ściał Feliksa Mańkę, który padł bezwładnie na podłogę. Tłum ruszył na znokautowanego aktywistę i pewnie by go zdeptał, gdyby nie ci, którzy nigdy nie byli, w sposób skrajnie oczywisty, studentami. Ogrodzili oni katedrę, pomogli wstać Mańce i wyprowadzali go bezwładnego z sali. Piękna Elżbieta wcisnęła się między nich, tego się nikt nie spodziewał, i kopnęła z całej siły ślaniającego się przewodniczącego ZMS-u w dupę, co sala natychmiast nagrodziła owacyjnymi oklaskami. Owacja była dwuznaczna: siłą rzeczy jej adresatem był przede wszystkim umazany ekskrementami profesor Czeremcha, a nie tylko kopnięty w dupę Mańko, i Piękna Elżbieta, dumna kreatorka wspańskiego kopnięcia.

Ojczym siedział nieruchomo. Na chwilę zniknął w ekskrementach, ale nie był nierzezywisty. Wręcz przeciwnie, po chwili spływający z niego lśniący brąz wydobył wyrazistą rzeźbę jego wspańskiej czaszki, której nie przesłaniała już przyklepana rzadkim gównem grzywa. Gnojowica spływała mu strużkami do ust. Większa grudka łajna zatrzymała się na jego wardze, którą bezwiednie poruszał, jakby chciał ten gówniany nadmiar strącić w dół. Zaciskał usta i podrygiwał wargą górną, a jednocześnie wystawiając dolną dmuchał w górę. Mimo zaciśniętych warg i wydmuchu gnojowica musiała przedostać się ojcu do ust, bo stężał i jego błękitne oczy poczerniały.

W rzeczywistości działo się to o wiele szybciej niż w opowieści. Nie upłynęło kilka sekund, a Juliusz Miara zdjął błyskawicznie marynarkę i jednym ruchem rozszarpał z siebie koszulę, którą obcierał zawzięcie z gówna twarz Czeremchy. Obudziwszy się z osłupienia podbiegłem do ojczyma, otuliłem go swoim płaszczem i wraz z Juliuszem podnieśliśmy go i powoli dźwigając szliśmy przez całą salę do drzwi. Tłum był wzruszony, nie tylko dziewczęta miały łzy w oczach. Nie milknące, gorące, serdeczne oklaski dla profesora Czeremchy mam w uszach do dzisiaj. ■

*H*istoria poniższego tekstu nie jest może bardzo skomplikowana, ale wymaga jednak krótkiego komentarza. Otóż po publikacji w Formacie Literackim nr 1 z 2021r. fragmentu mojej powieści pt.: *Ciemność, w progi Antykwariatu Szarlatan* – który prowadzę – zawitała kobieta z zieloną teczką w dłoni. Wyjęła z niej egzemplarz kwartalnika i spytała, czy to ja jestem autorem *Ciemności*. Gdy przytaknąłem, powiedziała, że ma nietypową prośbę: w jej rodzinie przechowuje się pewien tekst, a właściwie jego fragmenty, bo nie dość, że nigdy go nie dokończono, to rękopis został uszkodzony.

Podobno cała rodzina zgodnie orzekła, że już czas, aby wyjąć tekst z przysłowiowej „szuflady” oraz że ja powinienem być osobą, która zajmie się zredagowaniem tekstu i uzupełnieniem go o brakujące fragmenty. Zanim odesłałem ją do stu redaktorów – zaintrygowany tą nietypową sytuacją – zerknąłem na wydruk, który mi przedstawiła i mimo że były to właściwie jedynie pourywane części zdań, przepadłem. Wiedziałem, że leży przede mną perła i że „biorę tę robotę”.

W teczce leżała wypisana już na moje nazwisko umowa, która dawała mi wolną rękę w zakresie prac literackich, jak to określała: „wedle moich upodobań i najlepszych intencji”. Umowa zakłada też, że opublikuję ów tekst pod własnym nazwiskiem, co niniejszym czynię, pragnąc jednak wyraźnie zaznaczyć moją poślednią rolę w jego powstaniu.

Być może dłużej zastanawiałbym się nad moralnym aspektem całej sprawy, nad tym, czy i do literatury stosuje się zasady konserwatora, który nie tylko lepi potłuczoną porcelanę, ale i dosztukowuje brakujące fragmenty wedle własnej wiedzy i woli, choć w tym przypadku może lepsze byłoby porównanie z paleontologiem, który na podstawie tylko jednej znalezionej cząsteczki snuje fantazje o przedpłowych gigantach wmawiając światu nie tylko fakt ich istnienia, ale i wygląd wraz z kolorem, a nawet kulinarne upodobania. Dłużej zastanowiłbym się też nad warunkiem jasno określonym w umowie, a mówiącym o „uwspółcześnieniu tekstu” – gdyby nie fakt, że moja mocodawczyni jasno postawiła sprawę: jeżeli będzie zadowolona znajdzie kolejny rozdział – a z tego jako nałogowiec wciąż łaknący dobrych tekstów, zrezygnować nie umiałem.

Mesjasz

Powołanie

Wszystko mogło się zacząć, któregoś z tych letnich, czerwcowych lub jeszcze cieplejszych – sierpniowych poranków, gdy słońce prześwietlało firany, kreśląc swymi promieniami jej nieobecność. Wydobywało ją z esencji samego dnia pełnego światła, ciepła i obfitości letnich kwiatów oraz gałęzi pełnych owoców, gdy życie po raz kolejny przeżywało festiwal pełni. Suszące się pranie, tak pełne braku jej bielizny, raziło jej nieobecnością. Niezgnieciona pościel, rozrzucona w porannym geście. Zapach, którego nie czułem. Brak szminki na kieliszku. W dodatku pojedynczym, grubościennym, ręcznie rżniętym przed laty, przypominającym o biedermeierowskiej obyczajowości, kieliszku jak z Kutnej Hory – kieliszku absolutnie i krańcowo – samotnie-kawalerskim.

Może właśnie wtedy zacząłem zapełniać kartkę, niczym sam Stworzyciel wypełniający sady swoimi darami, znajdując w kolejnych literach jej ramię, długie palce i zawijasy włosów miękko opadających na poduszkę. Może właśnie wtedy pióro i wypływający zeń atrament zapładniający białe pościel stał się tożsamy z jej dłonią przesuwającą się wzdłuż pełni tego letniego poranka.

Mogło to być jednak tylko rozwinięcie, a wszystko odbyło się o wiele wcześniej wśród ciemności zimowej nocy, podczas której rodził się Mesjasz, od początku powołując do służby swoich poddanych. Swym niemowlęcym sercem przywołującym nie tylko „pasterzów”, ale i Judasza grzejącego się wtedy jeszcze w cieple domowego ogniska. I Króla Heroda nie będącego jeszcze w gotowości, by wypełnić przepowiednie i urządzić rzeź niewiniątek. Może to wtedy, nie w pełni jeszcze świadomy nie tylko znaczenia, ale i samego gestu, czynu nie tyle dłoni, co ducha, może właśnie wtedy i ja narodziłem się, stawałem do życia jak po raz pierwszy, może ślubując gwiazdom wyłaniającym się nad śnieżne przestrzenie lub drzewom stojącym jedynie w grafice swych nagich gałęzi pod zimowym firmamentem.

To rozdwojenie, zawieszenie między sierpniowym porankiem a chłodem ciemności miało mi towarzyszyć przez wszystkie te dni, w których zapełniałem kolejne kartki, na których ona przymierzała kapelusze, nasączała szminką owal swych ust lub oddawała się lekturze leżąc na brzuchu, z niebezpieczną nonszalancją eksponując swe wdzięki – w owym czasie wyszło też bowiem, że dużo rysowałem. Wybierałem z pieca niedopałek węgla, kreśląc nim po kartonach wykradanych z kuchni spod żelaznej władzy Body, która puste pudła po sprawunkach odkładała do ponownego wykorzystania.

Właściwie nie rozróżniałem jeszcze potęgi czystego słowa, nie czułem go dla niego samego. Stworzenie zlewało się w jeden obraz ze stwarzającym. Nie czułem więc różnicy pomiędzy stawianiem ciągów liter od stawiania innych kresek tożsamyh ze słowami. Naładowana pełnią litera „B” gotowa rozlać swe bogactwo niczym nie różniła się od niepewnego szkicu, nakreślenia drżącą ręką falującej linii, wzorowanej na obfitości Boda i wypełniającej ten poranek, światło przebijające firany, zgniecioną pościel, pranie gęste od jej obecności. Litera „M” jak podwojony klin przynoszący mesjańską i matczyną miłość, przez swą podwójną bezkompromisowość i moc od razu skazana na cierpienie. Litera „A” – grot pojedynczy, w dodatku przekreślony, będąca więc antytezą, przeciwieństwem grotów z litery „M”: antymatka i antychryst – automatyzm i android.

Zatracałem się więc w dziele stworzenia, nie rozróżniając Jego kreacji od mojej. Kresek od słów, a słów od liścia przyniesionego na parapet przez nagły powiew wiatru zwiastującego czającą się gdzieś tam, mającą nieuchronnie nadejść jesień. I nie chodzi wcale o to, że chciałem zachować wieczne lato i ciepło wnętrza jej ciała. Raczej zaczynałem czuć, że wahadło lub jojo mają w sobie wpisany wieczny ruch dwustronny. Tylko przyptywy i odpływy krążka zawieszonego na gumce tworzą z niego to, czym jest, tylko ruch wydobywa jego istotę, a wobec jego braku, krążek pozostawiony w szufladzie lub nawet na stole ginie, właściwie przestaje istnieć aż do czasu, gdy dłoń wyrwie go z niebytu. Szukanie więc samej dłoni bez zgody na ruch w czasie, ruch obustronny było szaleństwem, któremu zdawała się oddawać nieomal cała ludzkość, bez kompletnego zrozumienia, czego pragną i za czym gonią. – Ach głupcze, biedny głupcze – powtarzałem w tych chwilach zrozumienia – jakże pragniesz powrócić do Źródła, nie oddalając się od niego, jakże chcesz wrócić do domu, z niego nie wychodząc. Oddal się, wyjdź, wyjedź – świat jest owalny, nić jojo zawsze się kończy, ruch puszczonego w ruch wahadła zawsze zakreśla tę samą linię kończącą się w punkcie startu.

Boda była świetnym przykładem zgody na ten rytm, odwiecznego falowania, poddania się. Więc po pierwsze, w przeciwieństwie do moich zmyśleń – była. Namacalna w swej cielesności. Którą od dzieciństwa dawała mi odczuć, gdy ciężką dłonią karała mnie za dobieranie się do masy tortowej lub gdy tuliła mnie do swoich ciężkich piersi kiedy stłukłem kolano. Po drugie, po każdym posiłku, gdy uczucie sytości zadamawiało się już w brzuchu na dobre, zaczynała myśleć o kolejnym, bo wiedziała, że wahadło głodu właśnie osiągnęło swoje przeciwstawne maksimum i już rusza w drugą stronę. Pytała więc matkę o obiad tuż po śniadaniu, a w czasie obiadu rozmyślała, co poda na kolację. Matka śmiała się z tej jej wiecznie niekończącej się troski, wygasającej może jedynie w chwilach, w których podawała nam pełne talerze, a wahadło głodu było znów wychylone maksymalnie, by dopiero za chwilę osiągnąć przeciwne maksimum – sytości. W rzeczywistości jednak, to ona miała rację,

a matka ze swoimi modłami i brakiem zrozumienia działających nań sił była gąską codziennie pożeraną przez bezmiar swej głupoty. Kończącej się jedynie w tych rzadkich chwilach, w których mówiła: – Dziś ja pójde na targ. – A potem wspinała się na drabinę u kupca kolonialnego i na ciasno poukładanych workach pełnych przypraw przeżywała chwile, po których wahadło mogło kontynuować swój ruch, a ona mogła wracać do pobożnego życia wypełnionego drogą jednokierunkową ku wiecznym, płaskim rajom, w których wszystkie dni upływają na śpiewaniu psalmów i deklamacji powieści Rodziewicz, za którymi matka przepadała.

Boda była więc mistrzem drogi środka, umiejącym nie dopuszczać do żadnej ze skrajności. Nasz głód nigdy nie wrzał. Umiejętnie kierowany posiłkami i międzyposiłkami – drugimi śniadaniem, deserami, podwieczorkami, krojonym jabłkiem lub kefirem, kawałkiem ciasta, przekąskami – paluszkami, kruchymi krakersami, małymi kanapeczkami, które wyrastały na spodku obok filiżanki herbaty – nie urastał do rangi monstrum mogącego wyczyścić lodówkę na jedno posiedzenie. Gdy odmawiała kadysz, owszem wspominała święte duchy i świętych mężów, ale między ich imiona wplatała imiona byłych kochanków, a konkurentki, które ich jej odbierały, wysyłała w tej samej modlitwie prosto w łód próżni. Z tą samą więc znajomością ludzkiego losu przyjęła i mnie, gdy osiągnąwszy wiek męski tamtego lata, trawiony gorączką mych niespełnionych wyobrażeń stanąłem na progu jej łóżka. Kazała mi klęknąć, a potem poprowadziła moją głowę, a gdy się nasyciła, zaledwie kilkoma liniami zgasiła mój ogień.

Matka próbowała wychylać wahadło wciąż w tę samą stronę.

Nie było jednak wokół nikogo, kto spróbowałby wychylić je w drugą stronę, wychylić je tak potężnie, tak silnie, że gdy odbije i osiągnie przeciwstawne maksimum, zaprowadzi go w wieczną rozkosz, w matczyne olśnienie, w którym nie będzie już wahadeł, bo zegar pęknie. – Rozpęknąć zegar. – to było hasło mojego wtajemniczenia. To o nim pisał Jan Ewangelista w swojej Apokalipsie, że będzie panował przez tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni, zmieniając się potem w Mesjasza.

Następnym więc razem, gdy nacisnąłem na klamkę od jej sypialni, a drzwi nie ustąpiły, powziąłem plan, który wykonałem zaraz, następnego dnia. Już po kolacji zakradłem się do jej pokoju i wsunąłem się pod łóżko. Chyba zdrzemnąłem się, a obudził mnie odgłos jej kroków. Wysunąłem się natychmiast i trwało to do rana. Od a do z. Gdy wreszcie poszedłem, spakowała swoje rzeczy i bez słowa, na zawsze opuściła nasz dom. Wahadło wpychane w wieczność przeciwieństwa zdawało się działać. Rozkołysane falowanie mogło ustać, ale zawsze w przeciwieństwie do zdarzeń. Czyżby więc miało być tak, że pragnąc wszystkich uroków, jakie oferuje materia, powinienem się jej wyrzec? Biczować się na pustyni?

Ojciec

Ojciec spędzał całe dnie na poddaszu, obłożony Voglami i Tierliebenami wspominał ptaki nawiedzające nas niegdyś całymi stadami. Teraz ptaki już nie przybywały, ale pamięć ojca o nich była wciąż żywa, tak żywa, że i mi zaczynało wydawać się, że w istocie pamiętam różowe szyje flamingów zaglądających do naszej kuchni tuż przed porą obiadową. Bodę – wtedy jeszcze młodą i smukłą, odganiającą się od ptaszydeł ścierką kuchenną. Zdawało mi się, że pamiętam pomarańczowe dzioby tukanów lub kosów towarzyszących jej w drodze po sprawunki i wróble wyglądające spod kołdry matki. Wizerunek Ojca z tamtych lat również mi się rozmywał w pamięci. Jeżeli już błyskały mi jakieś fragmenty niczym strzępy tkanin zawsze rozrzucone na podłodze całego składu, to Ojca dźwigającego długie bele lub pochylającego się nad kartami wypełnionymi szeregami cyfr. Rzadkie chwile, w których nie pracował, upływały mu na modlitwie, dopiero teraz, gdy już stanął na skraju Styksu, oddał się w całości rozrywkom zgoła innym niż praca, a modlitwy układał już nie ustami i rozumem, a sercem i rękami, i tak jak wcześniej pędził życie głównie w sklepie, tak teraz wyniósł się na strych. Rzadko schodził na dół, zanosilem mu czasem obiad, niebezpiecznie balansując talerzem na starej drabinie. Zabierałem nietknięte jedzenie z dnia poprzedniego. Niekiedy siedział pochylony nad jakąś ryciną i nawet nie zauważał mojej obecności. Przyglądałem mu się z czułością. Światło lampy wydobywało z mroku jego długi nos, okulary oraz tablice ilustrujące szczegóły ptasiej anatomii. Podejrzewam, że po godzinach spędzonych nad szczegółowymi studiami, po setkach tomów i złożeniu wielu gipsowych modeli anatomicznych, które posłańcy regularnie dostarczali pod nasze drzwi, a które targałem na górę wraz z obiadem, uginając się niekiedy pod ich wielkością, że z jednej tylko kostki Ojciec umiałby rozpoznać gatunek i rodzaj ptaka, a nawet upierzenie go pokrywające, że na podstawie jednego piórka lub tylko zachowanej lotki umiałby godzinami prawić o istniejących lub tylko wymyślonych osobnikach zamieszkujących nie tylko miejskie poddasza, ale i korzystających ze swobody podmiejskich łąk, lasów na wzgórzach, a nawet rajskiego ogrodu Eden. Jeden tylko pazur lub szklana gałka tocząca się po podłodze wypadłwszy z wypchanej wrony królującej na szczycie szafy, mogłyby go przerazić i sprawić, że w panicznym strachu rzuciłby się pod stół, chcąc ratować się przed pustką Szeolu wdzierającą się do naszego domu tak dotąd bezpiecznego. I może jedynie tam, przywierając swym kruchym ciałem do podłogi, pomiędzy nogami od stołu, gdzieś u stóp matki lub tuląc się do pończochy Boda odzyskałby równowagę. Zwijając się w kłębek i w niczym już nie przypominając zagubionego ptaka, a jedynie szczeniaczka popiskującego z radości, zasnąłby w spokoju.

Innym razem, gdy odkrywałem spod klosza parujący jeszcze talerz, Ojciec ożywał się i zajądając coś mi tłumaczył, czego wśród jego śmiechu i przeżuwanego kawałków

pieczeni nie mogłem pojąć, a widząc to, zaśmiewał się jeszcze bardziej – moja ignorancja wcale mu nie przeszkadzała, wręcz odwrotnie, z pełną buzią zaczynał gwałtownie gestykulować, aż zrywał się z krzesła i gwałtownie wymachiwał rękami na boki, stawał na jednej nodze, a z gardła wydobywał już nie ludzkie, a ptasie dźwięki. A gdy do grona widzów dołączała Boda, wspinająca się na strych z poobiednią kawą, podczas takich przedstawień nie hamował się już wcale – wskakiwał na fotel, zrywał z szafy olbrzymie skrzydła, które dziesiątkami godzin sklejał zgodnie z zasadami ornitologii praktycznej – jak zwykły mawiać, i w tych skrzydłach przytwierdzonych do pleców zlatywał z biurka depcząc nieomal po swoich okularach, pędzlach i rycinach, tylko po to, by sfruwając w tryumfalnym uniesieniu musnąć jej kolano lub zahaczyć o stopę, którą wystawiała ku niemu często i chętnie.

Wkrótce po tym, a było to niedługo po moich czternastych urodzinach, ojciec zniknął, zostawiając po sobie rozrzucone atlasy, garść słomy uformowaną w okrąg na siedzisku fotela i szeroko otwarte okno wychodzące na południe, gdy je zamykałem – zegar gadał wesoło.

Rozpęknięcie

Tego właśnie lata odeszła też i Boda, a gdy tylko słońce wschodzące coraz niżej zaczęło zapowiadać bliską jesień, zaś maliniak ponownie rozkwitł, spakowano mój kufer i wysłano do wielkiego miasta, gdzie, jak radziła matce Pani Gomułkowa, otrząsną mnie z kurzu prowincji i zabobonów, a Bój jest i tak jeden. – Nie wiem, czy się przejęczyła czy celowo przeinaczyła to powiedzenie, cytując jakąś partyjną pogadankę. Skończyła zaś słowami poety: – To samo słońce wszędzie świeci.

Przywitał mnie jeden z tych pruskich budynków z czerwonej klinkierowej cegły. Długie, ciągnące się przez pokolenia korytarze. Pełne portretów antenatów i młodzińskiego strachu.

Zakład prowadziły zakonnice w szarych habitach. Na skali porównawczej ojca mogłyby być najwyżej cyrankami monotennie spędzającymi życie na przelotach z północy na południe, twierdząc, że przecież tylko dzięki temu wciąż są w niebie.

Trawiłem dni pomiędzy biblioteką a kruchtą. Zupełnie zapomniałem o urokach lata i bezwzględnym ruchu wahadeł, ale im bardziej starałem się dosięgnąć do ideałów oświetlanych przez blask ołtarza, tym bardziej sprężyna się rozkręcała, wahadło się wychylało gotowe pęknąć w każdej chwili. Tak zleciało mi prawie trzy i pół roku, które zlało się w jeden ciąg dni wypełnianych tym samym, wciąż powtarzalnym rytmem, który zaplanowano jednak dla nas na całe życie, z tą jedną różnicą, że mury szkoły mieliśmy zmienić na sale zakładów i biur.

Dni zaczynaliśmy zawsze od dziękczynnego *Te Deum*, by po skromnym śniadaniu przejść na zajęcia właściwe – algebrę, mowę ojczystą, historię, a także wykładaną wciąż tu grekę. Dzieło stworzenia byłoby niepełne bez zuczaków i chrabąszczy

– zakuwaliśmy więc też kolejność kości i ich łacińskie nazwy. Popołudniami odbywaliśmy zajęcia programowe, choć właściwie powinny nazywać się nadprogramowymi, ale dla każdego z nas były obowiązkowe tak samo jak wszystko inne, więc nazwa nie mogła sugerować nam innych rozwiązań. Popołudniami uczyliśmy się: robić meble, grać na pianinie, piec chleb, drukować afisze, szyc kapcie, udzielać pierwszej pomocy, a nawet patrzeć w kosmos za pomocą wielkiego mosiężnego teleskopu. – Nie patrz za daleko – żartowały siostry, wkładając jednak w ten żart coś ze swych idei.

Tak jak tamtego lata, w kolejnych semestrach ratowały mnie jedynie słowa i linie nadal będące spójnością. Marginesy moich zeszytów pełne były wieloznacznych linii, a dźwięki, które wydawałem niekiedy układały się w dziwne i niejasne zdania, kryjące w sobie całą moją samotność, lęk i niespełnienie. Jej fantasmagoryczna obecność przeplatała się z wijącymi się konarami drzew i wydawanymi przez nie pełnymi słodczy owocami. Gdy zostawałem w swojej celi sam, choć siostry pełniły dyżury na korytarzach i przez uchylne okienka w drzwiach kontrolowały postęp naszych modlitw, pozwalałem sobie na linie i słowa o wiele śmielsze, a gdy te wreszcie prowadziły mnie nad skraj obłędu, przypadałem do klęcznika w krużganku przy refektarzu, skąd rozpościerał się widok na kamienicę po drugiej stronie ulicy. A tam, w oknie naprzeciwko czasami ukazywała mi się postać dziewczyny o bladej twarzy i zielonych oczach. Na imię miała Milena, na pewno Milena lub może jeszcze piękniej, ale nie wiedziałem jak, bo jej imię mogło pochodzić z rejestrów zakazanych. Niedostępnych nam, zwykłym śmiertelnikom skazanym na życie wśród grzechów i cierpień.

Kiedys zdradziłem się, zapomniałem o świecie materii i otaczającej mnie dyktaturze prawa surowego, ale sprawiedliwego. Podałem się więc ruchom dłoni wypływającym z zupełnie innych przestrzeni pełnych bojaźni i drżenia. Moja dłoń zamiast chwalić Pana i przerysowywać schemat odbiornika radiowego, jakby samoistnie naszkicowała prostokąt – całkiem zbliżony do tego, jakiego ode mnie oczekiwano, jaki wyrysowano na zwijanej tablicy wiszącej na środku klasy, ale miast wypełnić go symbolami przewodów i lamp elektronowych mogących wlać weń życie, naszkicowała kratkę całkiem dobrze przypominającą kratkę okna w kamienicy naprzeciwko naszej szkoły, a potem wypełniła to okno zarysem jej twarzy, ust i oczu, a nawet zadartego nosa i grzywki nieco opadającej na czoło. A gdy zorientowałem się w zagrożeniu, gdy dostrzegłem, że na lampy elektronowe jest już za późno, że nie ożywią tego układu, stał już nade mną cień łysiny profesora, a brązowe plamy wątrobowe na jego skórze napełniły mnie przerażeniem.

Sprawiedliwość zaprowadzono błyskawicznie. Ani się obejrzałem, jak klęczałem na środku auli, na środek której siostra Anzelmina i Kleofasa wtargnęły olbrzymią wagę. Na jednej szali ułożyły drzewo krzyża świętego, a drugą miałem ja wypełnić. – Pisz – zakomenderowała siostra Józefina, nasza przełożona. – Pisz swoje grzechy,

napisz wszystko to, czym obraziłeś Boga. Pisz: hedonizm. – A gdy wykaligrafowałem posłusznie to słowo, podyktowała mi następne: – lenistwo, bunt, obraza nauczyciela, cielesność, pożądanie, rozpusta, a rozpusta zawsze prowadzi do – komenderowała – do kłamstwa, pisz: kłamstwo, oszustwo, fałsz. Wolnomyślicielstwo, swawola, rozpusta – po raz wtóry, dodała. Gdy zapełniłem całą kartkę wyrwała mi ją i położyła na drugiej, pustej dotąd szalce, a ta ani drgnęła. – Co jest cięższe? Twoje grzechy czy krucyfiks? Oczywiście krucyfiks, zawsze krzyż święty i odkupienie, które przynosi przeważą ludzkie grzechy, ale te zostaną pieczołowicie zważone w Dniu Sądu. – Może nie tak, nie dosłownie tymi słowami siostra Józefina tłumaczyła mi występki, którego się dopuściłem, ale tak to zapamiętałem. I kolejne kartki, na których pisałem: hedonizm, lenistwo, bunt, obraza nauczyciela, cielesność, pożądanie, rozpusta. Kłamstwo, oszustwo, fałsz. Wolnomyślicielstwo, swawola, rozpusta. Hedonizm, lenistwo, bunt, obraza nauczyciela, cielesność, pożądanie, rozpusta. Kłamstwo, oszustwo, fałsz. Wolnomyślicielstwo, swawola, rozpusta. – a gdy zapełniałem kartkę podchodziłem pod wagę, klękałem i dokładałem na stertę kart pełnych moich grzechów, ale szalka wciąż pozostawała nieruchoma.

Wreszcie siostra zakomenderowała: – Idź spać. – Jutro zbierze się rada i postanowimy, co z Tobą zrobić. – co w przypadku moich poprzedników zawsze oznaczało relegowanie ze szkoły z wpisem do akt.

Rzuciłem się na prycze i nadal powtarzałem: hedonizm, lenistwo, bunt, ale sen nie nadchodził. Obraza nauczyciela, cielesność, pożądanie, a potem sam nie wiem, czy na chwilę usnąłem, czy nie, ale do listy doszła mi jeszcze: lampa elektronowa, przewody, regulator głośności, regulator dostrojenia. Obudowa, kratka głośnika, regulator dostrojenia. I sam już nie wiem, czy wreszcie się dostroiłem, czy raczej kompletnie się odstroiłem, a lampa elektronowa w moich trzewiach kompletnie się przepaliła, ale już po chwili biegłem boso po granitowej posadzce, a potem po żeliwnych schodach aż na trzecie piętro, gdzie znajdowała się drukarnia typograficzna, w której siostry czasem coś drukowały i w której uczyliśmy się szlachetnej sztuki czarnego złota – jak o farbie drukarskiej wyrażała się siostra Bernadetta – opiekunka pracowni.

Dopałem czcionkę majuskuła i potem minuskuła: Milena. Rolka była naciągnięta, więc tylko z całej siły pociągnąłem za dźwignię. TRASK ^{szalca} Poprawiłem. TRZASK Milena. Antykwa, Helvetica, Szwabacha. Hedonizm, randki, piegi, włosy, usta, USTA, całowanie, zęby, nosek, uśmiech – uśmiechać się to grzech! TRZASK – odbitka TRZASK, – kolejna. Modena Nysa Aksum. Długie palce, blada twarz, miękki golf, dotyk, DOTYK, DOTYK, DOTYK TRZASK TRZASK TRZASK TRZASK TRZASK TRZASK TRZASK TRZASK – ciężka dźwignia nie wychodziła mi z rąk, przez chwilę wydawało mi się, że odgłos zwalnianej prasy niesie się nie tylko długimi korytarzami aż na piętro z celami siostr, ale że roznosi się nie tylko po całej szkole, wpadając do kuchni i wysoko

sklepionych piwnic, ale że leci dalej o wiele dalej, że rozbrzmiewa na ulicy, że moja ukochana słyszy, że przewróciła się na drugi bok i to, co do tej pory mogła tylko przeczuwać, że to, czego się tylko spodziewała, że to stało się już pewnością, że jest już jasne, że ja tu jestem i że biegnę do niej i w końcu się pojawię. Wybrałem Rex-a i ułożyłem słowo: miłość a potem otwierałem kolejne szafki i kolejnymi klockami układałem tylko to jedno słodkie słowo:

miłość miłość miłość miłość **miłość** miłość miłość miłość miłość miłość miłość miłość

miłość miłość miłość miłość miłość miłość miłość miłość **miłość** miłość miłość **miłość**

miłość miłość miłość miłość miłość miłość **MIŁOŚĆ** miłość *miłość*

miłość **miłość** miłość miłość miłość miłość *miłość* **miłość** **miłość** miłość miłość

miłość miłość miłość miłość miłość miłość **MIŁOŚĆ** miłość miłość miłość miłość

miłość miłość miłość **miłość** miłość *miłość* miłość **miłość** **MIŁOŚĆ** miłość

miłość miłość miłość **miłość** miłość *miłość* miłość miłość miłość

miłość **miłość** **miłość** **miłość** **miłość** **MIŁOŚĆ** **MIŁOŚĆ** **MIŁOŚĆ** **MIŁOŚĆ**

MIŁOŚĆ **MIŁOŚĆ** **MIŁOŚĆ** **MIŁOŚĆ** **MIŁOŚĆ**

MIŁOŚĆ **MIŁOŚĆ**

MIŁOŚĆ

A potem zapałem się mocno obiema nogami, spojrzałem krytycznie, dolałem do kuwety farbę z wiadra, zapałem się ponownie, chwyciłem oburącz dźwignię i wypłynąłem w rejs. TRZASK TRZASK TRZASK – powtarzałem raz za razem, powtarzałem po wielokroć, a rolka tylko wirowała, a echo wystrzałów z prasy niosło się już nie tylko do mojej Najmilszej, ale słychać było je już w całym mieście, roznosiło się po pagórkach je otaczających, szło przez wielkie lasy aż po drzwi mojego domu w małym miasteczku na wschodzie, a cień tych wystrzałów dotarł nawet do macew, wśród których krążyły duchy moich przodków.

- A co ty tu robisz? – nade mną stała siostra Bernadetta.

Chwyciłem zadrukowane właśnie arkusze, wyrywając je z maszyny, aż się zatoczyłem pod ich ciężarem i odpychając siostrę ruszyłem do auli. Coś za mną krzyczała, ale została tam na górze, a ja dopadłem wagi i uwolniłem się od całego ciężaru. Tym razem waga zakołysała się po czym szalka wypełniona przeze mnie tak starannie zjechała w dół unosząc w górę drzewo krzyża świętego.

„Mój wybryk”, jak to określiła potem siostra Józefina, zapewne tym razem naprawdę skończyłby się relegowaniem ze szkoły, bo do listy grzechów doszło ich całkiem sporo, ale przyszła do mnie Bernadetta i powiedziała:

- Robiłeś to już kiedyś? Skład typograficzny – poza zajęciami? W jakieś osiem minut ułożyłeś ponad stronę i poza pierwszą nieudaną próbą bez jednego błędu. Przyjrzałem się dobrze temu, co wydrukowałeś. Przydałby mi się taki fachowiec, tylko nie możesz na mnie więcej wpadać – mam już swoje lata.

Pokłęczałem na grochu, pokajałem się i już po kilku dniach ruszyliśmy: święte obrazki z modlitwą o wstawiennictwo na rewersie, wezwanie do nawrócenia, broszury dla nowo powołanych, pieśni wielkopostne i rekolekcyjne, duszpasterstwo akademickie, arkusze ocen, czasem nawet drobne druczki na zlecenia spoza zakonu.

Rozumieliśmy się dobrze – ja byłem odpowiedzialny za skład, a także za czystość i porządek – zawsze po pracy zostawałem, żeby doprowadzić pracownię do ładu i poukładać czcionki według alfabetu w ich przegródkach, Bernadetta zaś zapewniała mi ochronę przed resztą siostr oraz „podwieczorki”, na które załatwiała szynki, a czasem nawet czekoladę i kieliszek wina z klasztornych piwnic. Mogłem też dowoli gapić się przez okno – bowiem drukarnia znajdowała się dwa piętra nad refektarzem, ale nie miała wąskich okienek jak tam, ale otwarte na przestworza potężne okna wpuszczające tyle światła i widoków z zewnątrz, ile tylko potrzebowałem.

Bernadetta pozwoliła mi też odbić moje opowiadanie, wizję, którą od dawna w sobie nosiłem, a którą dopiero w tych ciepłarnianych warunkach odważyłem się przelać na papier. Powiedziała: – No, pokaż, co tam wciąż gryzmolisz. – A przeczytawszy, dodała: – Weź co chcesz, ale ja bym wybrała coś bez kapitalików.

Drzewo

Powiadają, że Drzewo Opowieści jest starsze niż świat, że wszystkie miasta, pola, morza, góry i lasy są jedynie bańką na jednej z jego gałęzi kołyszących się na wietrze historii. Podobno kiedyś było więcej drzew, ale zostało to jedno, do którego pielgrzymują artyści i pisarze wszechczasów. Z niego czerpią historie, którymi wypełniają swe dzieła. Czasami Drzewo pokazuje się im na tle innych drzew – wygląda wtedy jak bajecznie kolorowy dąb – król lasu, dopiero jednak gdy próbują się na nie wspiąć, okazuje się, że to wspinaczka, którą liczy się w latach lub w pokoleniach, a pokonanie tylko jednego piętra może zająć stuletnie życie. Jedno życie to za mało, żeby sięgnąć korony, ale tych, co próbowali i co będą próbować, nie brakuje.

Jego korzenie sięgają poza przestrzeń i czas – wyrastają z żyznej gleby niebytu. Drzewo nie jest zakotwiczone w żadnej znanej człowiekowi przestrzeni i zaledwie kilkoma gałązkami wypełnia całą znaną człowiekowi przestrzeń. Dlatego powiadają – świat, w którym żyjemy, jest niemożliwym do zaistnienia naprawdę. Ten świat jest tylko opowieścią, którą ludzkość wciąż sama sobie opowiada – tworzą ją umysły zajęte jedynie powtarzaniem wciąż tego samego. Gdyby w jednym momencie zatrzymać je wszystkie, choć na moment, świat zniknąłby, zmieniając się jednak w pole możliwości, które moglibyśmy wypełnić nową opowieścią.

Powiadają, że przyjdzie taki, który przyniesie nową opowieść. ■



Szkic do scenografii J. Mydlarskiej, czyt. s. 214

Chłopiec ze sztetla

Szalomowi Aszowi

Różowe miasto z białymi kamienicami i białymi chodnikami, prostokąt placu targowego na którym konie, wozy i ludzie, jak figurki z węgla, na skraju drogi na przestrzał, prostej jak heblowana deska po horyzont. Kamienice mają oliwkowe balkony i ciągną się rzędami wzdłuż chodnika, białego jak sól. Tu ustanowiono Trakt Królewski, a przechodnie wspominają cesarza Napoleona. Droga na miarę króla podróżującego między Warszawą i Dreznem. Spojrzenia ludzi są wyczekujące. Jest wypatrywanie: w turkocie stalowych kół, w tętnie, w człapaniu, w marszu żołnierzy, i w turkocie silników automobili. Jednak orszaku królewskiego nie widać. Jezdnia pusta i wymieciona przez wschodni wiatr. Powietrze napawa zapachem przebiśniegów i hiacyntów, sący się na Stary Rynek upudrowany różem, z wolna przenika obroki z owsem, omiata ślinę w pyskach koni i przegania kłębki papierosowego dymu, który wypuszczają ustami wozacy. Godzina oczekiwania na króla mija, ale przyjdą kolejne wyczekiwania i nadzieje. Młyny historii miały czas miasta, które można wziąć w dłonie i położyć na stole jak tort urodzinowy, upstrzony ceglanymi kominami cukrowni Konstancja i równie czerwonymi wieżami kościoła świętego Wawrzyńca. Z dyliżansu pocztowego wyprężnięto konie i odprowadzono do stajni. Na dachu zostały kufry i skrzynie. W ganku budynku parterowego, zebrali się podróżni i mężczyźni w mundurach. Dziewczynka ogląda coś, czego inni nie widzą. Popołudniowa godzina zawiesiła swój wzrok na brukowanej ulicy, o grzbiecie z kamieni. Dziewczynka ma granatowy beret i długą czarną sukienkę, uśmiecha się do mężczyzny w białym mundurze, który rozmawia z pocztyniem. Zapala się latarnia gazowa i słyszc ogłuszający gwizd nadjeżdżającego parowozu, ciągnącego wagony pociągu z Warszawy do Berlina.

Chłopiec potrzebuje pisania, nie ucieka od obowiązków domowych, lecz potrzebuje nauki opowiadania. „Ciesz się, młodzieńcze, swoją młodością” – powiedział nauczyciel, pan Einstein. Ojciec chłopca płodzi dzieci z drugą żoną – armie dzieci, a jest w prokreacji bogobojny, przekonany, iż samo dobro jest w płodzeniu. Niestety w książkach, które chłopiec czyta ukradkiem w tajemnicy przed ojcem, nie ma odwiecznej mądrości, zapisanej przez mędrców Syjonu, objawionej raz na zawsze. Ojciec widzi w jego lekturach grzech przeciwko „pouczeniu”, twierdzi, że z tego wszystkiego, co czyta zachłannie

bez zrozumienia, zda sprawę przed obliczem sędziego najwyższego. Ojciec sroży się na niego. Chłopca zaciekawia proste życie, biedne i bogate zarazem, codzienność go zastanawia, to są jego midrasze, pragnie widzieć, żeby zobaczyć. Często marzy. Skrzydła marzeń unoszą go ponad rynkiem, domami i ulicami jego sztetla, i dalej, ponad łąkami i torami kolejowymi, ponad kościołami za miasto, gdzie zagony kapusty liśćmi wielkimi ziemię piaszczystą zamiatają. Chłopiec czuje, że Bóg słyszy jego myśli i bardzo pragnie spojrzeć na świat z jego niebieskiego balkonu, skąd widać, ukrytą między składami drewna, osadę Żydowo z jesziwą, gdzie do Madzi Szapiro, ku plantacji róż braci Eizyków, zachodzi, zapachem wyspy różanej przyciągany, a zwłaszcza głosem Madzi, czytającej strofy Leśmiana. Twarz dziewczyny o gładkich, kasztanowych włosach i długiej szyi, podkreślonej koronkowym kołnierzykiem granatowej bluzki, nosi w sercu jak medalion. To, co otrzymałem od poetów, myśli chłopiec, to tyle, ile pies zdoła wychłęptać z oceanu. O, mój Heine, wzniosły, mój Goethe, piękny przewodniku, zostaliście spaleni w piecu przez braci donosicieli z rozkazu ojca wzburzonego, w praworządności surowego. Chłopiec żali się i w poezji szuka pociechy. Cytuje z pamięci myśli o psie i oceanie, to jego prowiant na drogę w świat, lecz ojciec nie pozwala, usta mu knebluje, do zimnego serca przyciska i zaciska, aby się nie buntował i większego grzechu przeciw ojcu nie uczynił, przemocą zawraca go na ślepą uliczkę, skąd się nie wraca. A może, jednak zdołam odlecieć – marzy chłopiec – wystarczy, że urosną mi skrzydła. Ucieknę kominem, tam, gdzie nie dopadnie mnie swąd spalonych książek, potępionych przez ojca i przez braci moich do pieca wrzuconych. Będę ponad tym ogniem, złym, niszczącym, nie dającym ciepła, który pożarł wiersze poetów, książki pisarzy w innych językach niż hebrajski napisanych. Chłopiec nie pojmuje, co robią chasydzi w bibliotece publicznej, kiedy niszczą świadectwa kunsztu poetyckiego i karzą książki, które biczą, policzkują, depczą za rzekome świętokradztwo. Ojciec wykrył jego sekretne spotkania, potajemne posady na strychu nad stajnią, gdzie znalazł intymną czytelną przy świetle świecy. Rozumie, że sprzeciw ojcu jest grzechem nieuczonego, nieoświeconego, nie pouczonego umysłu, lecz to nie zło nim kieruje. Wierzący człowiek odkrywa dobro, piękne przeżycie układa w wersy, jak Jochan Ben Zakkaj, który śpiewa i gra na skrzypcach, przychodząc do ludzi, daje im radość, a oni pragną jego muzyki. Chłopiec uważa, że Jochan jest wcieleniem króla Dawida. Można go zobaczyć w synagodze i na weselu, bywa nad rzeką i w karczmie, nawet we śnie chłopiec słyszy jego zaczarowane skrzypce. Jochan wciąga go w cudowność rodzącego się uczucia do Madzi, gdy noce krótkie, bezwietrzne, czerwcowe, przy kłaskaniu słowików i cykaniu świerszczy, zalotami zajętych, aż po liliowe świtanie w parku nad stawem, gdy wita dzień święty za przyjście świetlane, nie czując zmęczenia, bezsennością szczęśliwy. Chłopiec zdaje sobie sprawę, (to jego istotne odkrycie), iż wszystko, co boskie i ludzkie w mieście i w rodzinach jest opowieścią. Całe niebo jest księgą, wszyscy ludzie opowiadaczami historii. To, co zdołał zachować

ze spalonych w piecu dzieł Goethego, Schillera, Sienkiewicza, Heinego, trwa w nim jak muzyka Jochana, umysł jego oświeca i lepi pamięć ze spalonych wersów. Pamięć jest scalaniem, dobrem minionym, w pewnym sensie, podobnym do modlitwy, gdy dłonie matki zapalają świece szabasowe i staje się bliskość.

Chłopiec idzie przez miasto, chce naśladować Jochana, lecz wstydzi się, co powiedzą ludzie, wszak znają go jako podrostka Szaloma. Myśli własnych się wstydzi, widocznych na jego czole pod bujną grzywą czernią węglową malowanych włosów, spod których patrzy i zdaje mu się, że z oczu wypuszcza zbuntowane chochliki, niby iskierki z gasnącego ogniska. Ale nie o spokój rzeczy jego własnych, osobnych idzie, ale o ten świat, który chciałby zrozumieć, opowiedzieć przez trafną, sprawiedliwą obserwację i przez doświadczenie. Zastanawia się: a jeżeli słowa, które układa w myślach, są opowiadaniem, ale bez książki, bez papieru, i bez czytelnika? Jeżeli tych myśli nie zapisze, to straci coś ważnego. Otaczają go portale, okna, gzymsy, naczółki, rzymskie kolumny i pilastry, całkiem wyblakłe pod tynkami, spękane i kruche z eklektycznych fasonów i wzorników zaczerpnięte. To domy lepsze, bogatsze, w pierzejach Starego Rynku, gdzie ród rytualnych rzeźaków pomieszkują i jest apteka, a przede wszystkim księgarski skład Hermana Geista z migoczącymi tytułami na okładkach wystawą książek za szybą witryny. Są tu bramy liczne, otwarte na podwórka z nitkami rynsztokowych strużek, schodkami drewnianymi i kamiennymi, daszkami z kominami, z których smrodliwe dymki wychodzą i snują się, jakby parowiec tu osiadł na wieczne czasy. Hałasy przyjmują różne formy akustyczne, od krzyków przez otwarte okna po szepty w drzwiach i odgłosy z wnętrza, stłumione uderzenia młotkiem o szewskie kopyto czy dygotanie koła maszyny krawieckiej, bo to mieszkania szewców, kotlarzy, krawców, sklepikarzy i stolarzy. Ludzie odmawiają wieczorne Szema, kładą się spać; niektórzy stoją, inni leżą na wznak lub na boku, inni wstają, a Szalom idzie, gubiąc swój dom, jakby mu nie wystarczyła przestrzeń rodziny, jakby się dusił, chwytając powietrze złakniony, spragniony czegoś więcej – jestem w drodze do nikąd – myśli. Nie ucieknę przed przeznaczeniem. Zatrzymuje się w pobliżu czegoś materialnego i ogromnego, co stoi i milczy jak olbrzym, do którego podeszła mrówka. Zadzierza głowę, ku niebu wzrok kieruje, gdzie hełmy obojga wież zwieńczonych krzyżami. Słyszy, jak zza archiwolty portalu, z drzwiami kutymi w stalowe romby i rozety, dobiega cichy śpiew i dzwoneczków kliknięcia nieśmiałe. – Pójdę tam... Pójdę ostatecznie i nieodwołalnie, aby wydobywać opowieści z tej ziemi, utkane przez czas i język mojego serca. Jego oczy otwierają się na światło, które wpadłszy do żrenicy niczym do dziury bezdennej, blask znajduje i wychodzi, tym blaskiem świecąc. Czuje, jak ziemską kulę chce go odwrócić do góry nogami. Ludzie i zwierzęta, ptaki i drzewa, są w tej kuli zawieszone, robią miny, wygłupiają jak gabiniecie krzywych luster. Jeszcze może się cofnąć, odwrócić bieg kroków, które stawia coraz wolniej, jak gdy

paliwo się wyczerpało i parowóz zwalnia z sykiem, sapaniem, chce wyzionąć ducha, stanąć na dobre. Daleko odszedł od mieszkania w murowanej kamienicy czynszowej na ulicy Podrzecznej, gdzie wilgocią od rzeki Ochni stale zajeżdża. Wszedł na Brombergerstrasse. Tutaj od trzystu lat stała synagoga, wynosząc swój – ujęty w woluty – barokowy szczyt, wsparty o portyk tokańskich kolumn, za którymi w podcieniach mieściło się wnętrze świątynne, także szkolne, i czytelnia, i miejsce geszeftu, jednym słowem mikroskopijny Dom Izraela, z położoną środkowo wywyższoną altaną bimy, stołem zasłanym serwetą haftowaną esowato, kunsztownie, ulubione miejsce, gdzie kierował wzrok podczas czytania Tory. Sklepienie nad bimą fascynowało go nad wyraz: podzielone na pola graniaste, jakby wydmuchane, gdzie otwierały się kredensy białe, całe w prostokątach, a wyobrażenia przekraczała architekturę form widzialnych. Szalom wiedział, że ojciec modli się tu o tej porze, dlatego powie mu, co postanowił. Zapyta o zgodę na wyjazd, ale i tak pojedzie do Włocławka. Musi szukać pracy i może Bóg da mu uczciwe zajęcie. Wy tłumaczy ojcu, że nie dba o towarzystwo wolnomyślicieli, bluźnierców spod znaku Haskali, przed którymi ojciec ostrzegał go, mówiąc: „udział w zebraniach bezbożników, przywodzi człowieka do śmierci”. Na schodach zobaczył rabina Trunka – jego niską, lecz korpulentną postać, która zniknęła między kolumnami. Głos rabina sławny był w całym mieście. Od lat śpiewał i mówił rzeczy przemyślane i ważne, cytował z pamięci całe ustępy Pięcioksięgu. Trunk przychodził do domu Awroma Gliksmana, jego przyjaciela, którego ojciec, sławny antykwariusz, intelektualista, człowiek oświecony, przyjaźnił się z rabinem. Szalom znał, jak cały sztetl, historię Trunka, który przyjechał dziesięć lat temu z Pułtuska w atmosferze skandalu, niesłusznie i pochopnie oskarżony o niegospodarność w tamtejszej gminie mojżeszowej. Zdarzało się, że z Awromem chodzili nad Ochnię, gdzie czytali „zakazane książki”. Jego głos dźwięczał, przebijał się przez zaśpiew wilgi i klaskanie słowika na wiosennej scenie, niby w teatrze. Deklamował: „Dziś dręczy myśl, żem winien był niemało, bo takem żył, iż serce twe, cierpiało, to piękne serce twe, które mnie tak kochało”. Awrom wynajdywał aforyzmy i złote myśli w rodzaju: „Ten szlachetny, kto szlachetnie żyje!”. Czasem ich nastroje ścięły się, były zgoła odmienne, jak na kirkucie, gdzie kiwający się tłum kamiennych macew przysłuchiwał się ich rozmowie o paleniu książek. Szalom powiedział: – Po uznaniu przez moich braci, że trzeba na mnie donieść do ojca, że czytam rzeczy diabelskie i libertyńskie, i po spaleniu książek naszych ulubieńców, przypomniał mi się Heine, który przewidział, to znaczy, napisał prorocze słowa... Szalom urwał i odwrócił wzrok na miasto w dole. – Dlaczego prorocze? – zapytał Awron. – Gdzie się pali książki, dojdzie w końcu do palenia ludzi – ponuro odparł Szalom. Na to Awron, szczypiąc rzadkie wąsiki, powiedział po niemiecku: – Wo man bücher verbrennt, verbrennt man am ende menschen. – Dobry jest Heine – powiedział Szalom i zakrzyknął: – Ludzie, wy dwunożne gady!

Wszedł do przedsionka bóżnicy. Stały tu stoły drewniane o słojach oblanych żywicą i pokostami, bejcowane i myte wodą z mydłem ładowiska aniołów książek, oparcie dla rąk, czasami opatrzone wydrapanymi inicjałami. Spostrzegł tragarzy, znanych w mieście nosicieli usługowych z dworca kolejowego. Brodaci, w długich płaszczach, w czapkach, hardzi ciężką robotą. Rozpoznał najwyższego z nich, przepasanego sznurem węglarza, furmana i wozaka, Mocnego Wojtka i wychudzonego, pachnącego machorką Motkego, zwanego Złodziejem. Wnosili jakieś worki. Rozsypane ziarna fasoli znaczyły ich kroki. Ach, to wnętrze! Zawsze go porywało, a porywając, odrywało od ziemi, zmieniało tok myśli ku wnętrzu innemu, które nosił w sobie, wypełniając je marzeniami. Wszędzie modlili się mężczyźni. Zegar wskazywał czas hebrajskimi cyframi – czas właściwy dla powstania świata, boski chronometr. Było ciepło. Mężczyźni kiwali się w przód i w tył. Pachniał czas. Oddychało wnętrze inne, sprzed pięciu tysięcy lat, oddychało oliwą z lamp i naftą, woskiem ze świec i cebulą z oddechów odbitych od kiwających się głów. Żydzi przekazywali dalej to światło, znajdowali drogę na pustyni ludzkiej, chwyтали śpiew kantora, który wiatr od Palestyny układał w wersy pamięci o wygnaniu, o tułaczce i o polskiej ziemi, otwartej na ich los. Czyż nie w pustyni leży ziemia obiecana. Obiecana na dziwnym papierze z życzeń zwijanych w trąbki, w listach do Boga, prośbach wszędzie widocznych: na murach kamienic i ścianach drewnianych domów z okiennicami, na dłoniach starców, na kamiennych macewach i na stopach pielgrzymów i w oknach światłem menory ogrzanych. Księgi czytane i przestrzegane przez pokolenia, zawierały opowieści zamknięte w przedmiotach z papieru i farby drukarskiej, z kleju i nici, pachnące farbą drukarską i z podartymi grzbietami o różnych odcieniach druku, grubości okładek, czytane przez rozmodlonego Żyda z siwą brodą, otulonego płachtą tałesu. Stare księgi Talmudu, przypowieści i rady pisane i drukowane, niszczone przez modlące się palce, przez ślinę, która te palce zwilża, aby strony przewracać, a i przez świece oblepione woskiem, i jeszcze przez muchy upstrzone piegami, czasem też podgryzane przez myszy, nie traciły świętości, lecz swoją materialną widoczność zatracaly w przemijaniu, po czym zakopywane i pogrążane w grobie, nigdy nie wyrzucane na śmietnik. Światło jak pergamin wysmarowany pomarańczowym masłem, płynęło z licznych książek i ksiąg, rozstawionych, podstawionych, otwartych i potarganych, gdzie szmer i mruczando modlących się wyznaczało akustykę skupienia, natchnienia dla języka, który wypowiadał niewypowiadalne. Temu językowi Szalom pozostanie wierny przez całe życie, do końca, do ostatniego wersu był przepustką i paszportem do groźnych i pięknych, czasem rozwiązłych i potężnych mądrości i pułapek wielojęzycznego Babilonu. Język jidysz przyszedł do jego pierwszych wierszy i prób opisanie życia i pozostał kunsztowną frazą na całe pisanie. Wypatrzył ojca, gdy modlitwa rozwijała święte zwoje Tory, wypływała na akweny kosmicznej księgi, gdzie na falach podniebnych mórz żeglują wersety ożaglowane solidnie, łopoczące swojsko

na wietrze mądrości, a kantor kończył śpiewać „Do Jerozolimy, miasta Twego, w miłosierdziu powróć i tronuj w nim tak, jak obiecałeś”. Moszek Asz w nowym, czarnym, dwurzędowym garniturze i białej koszuli z krochmalonym kołnierzykiem, w czarnym kapeluszu z dużym rondem, w dłoniach znaczonej pracą, starganych chwytnością rzeczy brudnych, przenoszeniem ich, sortowaniem, ale i pisanie rachunków, o palcach długich i żółtych od palenia papierosów, ze starannie wyszlifowanymi, długimi paznokciami, trzymał modlitewnik. Czytał Pouczenie, zaś w sercu, czuł się człowiekiem wybranym i zaszczyconym. Czterdzieści siedem lat układał rzeczy w swojej własnej księdze rachunków i życzeń, sumienia i wydatków, długów, zysków i strat. Niestety strat nad zyskami było ciut więcej, a ten „ciut” go martwił i o zgryzoty przyprawiał. Jednak czerpał pociechę z ducha Wszystkiego i myślał, handlując bydlęm, że to dobra jest droga dla niego, a bogobojne życie zaprowadzi go do lepszego świata, zaś tutaj, na łożu padole, wystarczy kromka chleba z solą za strawę i kubek wody do wypicia, aby tylko kawałek gołej ziemi do spania, a życie pełne trosk, zmartwień, rozczarowań, przyniesie nagrodę za trud Pouczenia. Szalom podszedł do ojca, który stał modląc się za głosem prowadzącego modły, odmawiając Osiemnaście Błogosławieństw. Ojciec spojrzał na niego surowo i powiedział „zmów wieczorną modlitwę”. Szalom zaczął mówić Szmon Esre. Ojciec zdawał się go nie zauważać, zagłębiał się w coś ciężkiego, a zarazem wznosił się, jakby przygotowując się do rozwinięcia skrzydeł, uderzał się w piersi, wzdychał i przepraszał. Zdawało się, że zna rozwiązanie trudnych spraw i nie ma wątpliwości, co jest słuszne. Szalom zastanawiał się, czy w głębi serca, ojciec kochał go tak samo, jak wtedy, gdy śmiejąc się, tłumaczył mu, po co są te małe skórzane pudełeczka na głowie i ramieniu z niespodzianką w środku, co tam ukryto. Filin założono Szalomowi kiedy ukończył 13 lat. Pudełeczka przymocowano do lewego ramienia i do czoła podczas modlitwy porannej. Wtedy po raz pierwszy poczuł na własnej skórze obecność ukrytych w pudełeczkach wersów Tory, która przenikała w jego ciało i rozjaśniała myśli. W ten sposób otworzyła się dla syna Moszka Asza droga do jego szczęścia, tu i na tamtym świecie, do którego on ma bliżej, co nie znaczy, że wie, kiedy to nastąpi. Mówił synowi: „Nie pożądaj stołu królewskiego, gdyż twój stół stoi wyżej królewskiego, a twoja korona cenniejsza od królewskiej. Pracodawca twój jest stały, niezmienny i niezawodny wynagrodzi cię za poniesiony trud”. Czy to wystarczyło, aby poszedł prostą drogą uczciwego Żyda? Tak daleko jest do Palestyny, a inni ludzie po drodze trudów nie szcędzą. Świadczyły o tym opowieści wujka Golda, który trzy lata podróżował do Izraela, a w końcu, już na granicy Palestyny, Anglicy wsadzili go na statek i deportowali. Mimo to Gold uważał, że Bóg Izraela ma na swojej liście jego imię wśród zabłąkanych rodzin tułacznych. Szalom kolejny raz przekonał się, że ojciec nie chce słyszeć o jego wyjeździe. Już nie prosił ojca o zgodę, tylko tłumaczył, że zarobić chce na sobie własną pracą, chce się rozwijać i wie, jak to zrobić, ale musi wyjechać, że ma polecenie do znanego pisarza, pana Pereca,

i kąt w Warszawie. Lecz ojciec powtarzał ze spokojem i bez dawnego gniewu „tu masz dom i jesteś mi potrzebny w zakładzie”. W argumentach ojca wciąż trwał patriarcha rodu i słuchacz rabina. Ojciec źle mu nie życzy, ale ojcowskiego błogosławieństwa nie da. A co zrobi matka? Pewnie nie szybko się zorientuje, że zabrakło go przy stole. Nie będzie już więcej mył jej spracowanych, pokrytych żyłakami nóg, rąk nie ucałuje, każdej kolejnej czarnej plamki na jej dłoniach z czułością nie dotknie. W przemijaniu matki widział nieuchronne śmierci przyodzianie, która pożera ciało, znacząc je chorobą starości. Jak to się dzieje – zastanawiał się – że nagle na skórze ktoś maluje czarne plamy, niby wyspy na pomarszczonej tafli jeziora. Miłość matki chciał wynagrodzić, sprawić przyjemność jej starym, starganym, bolącym biodrom, stawom, nogom, zawieźć na wczasy w lektyce, aby zażyła kąpeli, najlepiej w sanatorium w Nałęczowie albo w Truskawcu. Modlił się o sanatorium dla mamy, pomagał mu ukochany poeta Heine, którego wiersz „Do matki mojej” znał na pamięć.

Przez całą drogę do Włocławka, a potem na pokładzie statku, słuchał swoich myśli, rozważał swój uczynek, do Madzi wracał, do jej ostatnich słów, analizował rozmowę słowo po słowie, jej każdy grymas i gest przypominał, odtwarzał w myślach, gdy statek z komina dymił, a on na pokładzie, widział ruch ku czemuś nowemu. Widział Wisłę rozlaną szeroko w nurcie żwawą. Stał oparty o burtę w coraz głębszym zapatrzeniu, zasłuchaniu, zamyśleniu. Spojrzeniem zwracał się do brzegów zarośniętych wikliną, łożami, do praczek w podkaszanych spódnicach, po kolana w wodzie, mijał chaszcze, trawy, łachy wymyte, piaszczyste, czasem pojedynczą łódkę, konia i wóz wyprzęgnięty, odbicia mew w wodzie, a na brzegu chałupy i pola wykreślone dojrzałym zbożem. Prąd Wisły przez myśli jego płynął, a dokąś podążał wraz ze statkiem, oddalał go od domu, od rodzinnego miasta, lecz nie opuszczała go Madzia. Czy będzie jego żoną? Przyszły mu do głowy spostrzeżenia wujka Jakuba o żydowskich kobietach, o tej jedynej miłości na całe życie, którą wujek pragnął spotkać koniecznie w Jerozolimie i tak się sprawdziło, w żonie znalazł nie tylko miłość, ale i blask świętej ziemi Izraela. Jaki blask widział Szalom w oczach Madzi? Opowiadał w myślach i „pisał”. Madzia lubiła świeżo upieczone bagietki z piekarni Arona Pucla. Kupił jej na pożegnanie. Jedli z apetytem, siedząc przy stoliku w cukierni, bawiąc się tą czynnością jak dzieci, poszukując końca kręconych obwarzanków „po krzywemu” upieczonych. Ich rozmowa miała zagłuszyć przeczucie rozstania. Madzia opowiedziała o odejściu krewnej. Powiedziała „nie ma nic dobrego w tym, że dusza zmarłej cioci Berty przez całą noc ją męczyła, jakby zamieszkała w jej ciele, a jeżeli oszaleje, to co on robi”. Szalom kiwał głową ze zrozumieniem. Madzia wydusiła z siebie: – Nie chcę dybuka! Chciałabym, aby dusza cioci poszła do nieba, dopiero wtedy się uspokoję. – Będzie dobrze – powiedział. – Wrócę, Madziu, za miesiąc, może dwa, a potem zabiorę cię do Warszawy, jeśli zechcesz... Pamiętaj, że nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Szalom mógłby farbami namalować szeroką tafłę, szaroniebieskiej Wisły, oglądaną prosto z pokładu płynącego statku. Słuchał pracy silnika i szumu wody mielonej przez łopatkę koła zamachowego. Jaśniało i srebrzyło się na wodzie, cienie chmur dzieliły ogromną rzekę na rozległe pola światła i cienia w ciągle zmieniającej się kompozycji. Rozdzielone Wisłą Mazowsze było paskiem nizinnym po horyzont, z pól, łąk, chałup i lasów pod niebem nieskończonym, odbitym w lazurach, szarościach i wstęgach błękitnych, przywoływało dzieje polskiej ziemi. Szalom nie był malarzem, a jedząc kanapkę z cebulą i jajkiem na twardo, zatęsknił za pisaniem, za notowaniem, opisaniem rzeczy, które widział dookoła. Odłożył kanapkę, gdyż myśl jedna wzruszyła go nad wyraz: czy Wisła mówi do mnie po polsku, czy w jidysz. Chłodem powiało z chmur kopulastych jak gałki waniliowych lodów, które wiatr chce podziurawić i rozproszyć, on o Madzi literaturę niepisaną tworzy, czując ją, widząc myśli ich wspólne na fali wiślanej, pod dziobem statku, gdzie rozchodzą się na boki. Tak to jest z myślami, że nie wiadomo do kogo należą... Podbiegł na rufę. Czarny dym z komina parowca, smrodliwymi spalinami myśli jego zakłócił. Wrócił na dziób statku. Na brzegach Wisły coraz więcej domów, przystani i łodzi. Na rzece przybywa barek, żagli i sieci w wodzie, łuskami rybimi pobłyskującymi, piaskarze ładują piasek, wbijają słupy, krążą mewy i wrzeszczą, a na zielonym brzegu konie i krowy, ruch znaczny ku domom coraz wyższym, piętrowym. Z wolna, majestatycznie horyzont tarasuje Warszawy panorama, na brzegu wysokim, z błyskaniem czerwonych dachów i białych wież kościołów, z dzwonieniem, wielkimi mostami, kominami i dymami, a przez wodę pędzą po stalowych przesłach mostu pociągi z parowozami, w tłumie, w zadymieniu szaroniebieskim. Szalom bezwiednie otwiera usta, połyka z wiatrem od rzeki cud wielkiego miasta i do spotkania z pisarzem, panem Perecem się przymierza, podziwianym nauczycielem opowiadań o prostym życiu bogobojnych Żydów. Gdzieś tam, w labiryncie miasta jest ulica Ceglana i kamienica, gdzie mieszka pan Perec. A gdy za dwie godziny wejdzie po schodach na piętro kamienicy, to w nieśmiałość, w kompleks strachliwy zapadnie, stając przed zielonymi drzwiami i zaraz ucieknie schodami na dół, aby ze złością zawrócić i znowu pod drzwiami z wizytówką Pereca wrócić. I tak kilka razy, zanim naciśnie dzwonek i w otwartych drzwiach zobaczy wysokiego mężczyznę, o twarzy króla Zygmunta Augusta z obrazu Maurycego Gottlieba i przekroczy cień ościeży, a przed nim otworzy się więcej i więcej, niżli się tego na dobre spodziewał po zwyczajnym mieszkaniu. ■

NATALIA BELCZENKO

PRZEŁOŻYŁA PAULINA ZIĘBA

CYKUTA

Cykuto, dziewczynko, chodź prędzej do nas...
W zielone kierzce jak zawsze obuta,
Spoglądasz na wszystko spod długich rzęs,
Pragniemy się poczęstować, Cykuto.

Komu z języka podasz się na język,
Nie spiesząc się, pociągniesz w nieśmiertelność?
Cykuto, dziewczynko, napełnieni tobą
Śnią uparci znawcy miłości.

Nie pomoże Asklepios, ani Sokrates,
Jeśli wysłałeś sobie list łykami.
Bo jeszcze jeden – ostatni – adresat
Wynurza się z niemej, lustrzanej ramy.

* * *

Wierszami po cichu chcę dotykać twarzy –
Nie każdy zrozumie po co i jak.
Czy mógłbyś ze mną przeżyć, o tym marzę,
Do końca, gdy mowa będzie jak znak?
Ogarnie mnie całą, niż powódź pełniejsze
Twoje najpierwsze, i Twoje najważniejsze.
Pół wiersza kiedyś mi wystarczało,
Spojrzenia pół – boleśnie i mało.
Gdyby tak jak w twój obiektyw, za przysłonę wspak
Uciec z owej sali od wszystkich miar i wag,
Uciec naprawdę z numer sześć sali,
Byśmy się wreszcie objąć zdołali.

* * *

Podwiśniowo leżysz...
Żrenicą twą kołysz
Pstrokata tylko wiś-
niowa na-pół cisza.

Półciała śni, a pół –
Na chmurze lub na drzewie
Pilnuje, kto to wzuł
I w sennych śpioszkach drzemie.

Wiśniowe oko w smak
Patrzyło się na ciebie –
Tyś jest niebieski ptak,
Którego złowić trzeba.

WIEŚ CZOPYŁKY

W dzień – jaskółki, nocą – gwiazdy: to ogniwa
Jednego są łańcucha, którego brzęk
Może słyszysz i dostrzegasz, gdy napływa,
Niezauważalnie krew w kaliny pęk.

Tutaj w zmowie są zwierzęta i rośliny,
Południowy upał i rosista noc,
Tutaj zabobony, plotki, szept, kpiny,
Niesłyszalnie krążą z ust do ust.

Tylko tutaj, konanie uświadomiwszy,
Przeszkody na drodze do ziemi
Nie widzisz. Ani w szarej grząskiej ciszy,
Ani w suchej na górze glinie.

Smak dawnego czasu

Chleb

Kiedy chłopiec był jeszcze dzieckiem, bardzo lubił obwarzanki, które dziadek przynosił nieraz z targowiska. Wypatrywał go wówczas niecierpliwie, a gdy zobaczył, że skręca z ulicy na ścieżkę prowadzącą do domu, wybiegał naprzeciw, wołając radośnie: „Dziadek, dziadek!”. Chwytał staruszka za rękę i szli tak razem, on podskakując nieco, dziadek niespiesznie, podpierając się laską. „O, proszę, idzie dwóch urwipołciów, stary i młody”, żartobliwie przygadywała im babcia.

Obwarzanki wisały na papierowym sznurku, chłopiec przełamywał je i zjadał jeden po drugim. Niestety, szybko się kończyły. Nie zdarzyło się, aby choćby kawałek został na następny dzień. Lepsze od obwarzanków były drożdżowe bułki z sercem, ale też pojawiały się znacznie rzadziej. Jak twierdziła ciocia, wymagają sporo pracy, a rozmaitych zajęć wcale jej nie brakuje. Bez słodkich bułek można się przecież obejść. Chłopiec obchodził się więc bez nich. Czasem jednak w pokoju na tyłach domu zauważał blachy ponakrywane płóciennymi ściereczkami. Pod nimi leżały sobie bułeczki, dojrzewając przed wypiekiem. Wydawało mu się, że jest ich mnóstwo, ale pewnie wciąż miał problemy z liczeniem.

Zasypiał, niepokojąc się trochę, czy nie znikną, zanim rano wstanie. Tymczasem późnym wieczorem blachy trafiały do pieca w pobliskiej piekarni. Do domu wracały już pięknie upieczone drożdżówki. Ciocia układała je w starym wiklinowym koszu, każdą warstwę przekładając płótnem. Rankiem budził chłopca unoszący się w powietrzu ich niezwykle zapach. Na wpół śpiący, z niezupełnie otwartymi oczami, wciągał tę woń tak głęboko do płuc, że nieomal kręciło mu się w głowie. Wstawał i zaglądał do kosza, aby upewnić się, że bułki są. Były. Sam ich nie wyciągał. Wiedział, że dostanie tyle, ile ma dostać. Jedną, to jedną. Dwie, to dwie. Brał wtedy bułkę w obie dłonie i obwąchiwał niczym królik marchewkę. Później, powoli, obgryzał dookoła małymi kęsami, zostawiając na koniec najsmaczniejszy kawałek: środek ze wzgórkami słodkiego sera.

Można by przypuszczać, że chłopcu najbardziej ze wszystkiego przypadły do gustu właśnie obwarzanki oraz bułki z serem. Poniekąd to prawda, ale było poza tym coś innego, coś zupełnie zwyczajnego, za czym przepadał. Oczywiście we właściwym rozumieniu tego słowa. W każdym razie mógł to jeść codziennie.

Chleb... Wielki okrągły bochen wiejskiego chleba. Ni to ciemnego, ni to jasnego.

Mieszanego. Pięknie wypieczony, z chrupiącą skórką i twardym spodem. Smakował wyśmienicie również nazajutrz. Na dłużej właściwie nigdy nie wystarczał. Ciocia, przyciskając bochen do piersi, ze słowami „W imię Boga” odkrawała przylepkę i dawała chłopcu. Najpierw wydłubywał z niej miąższ, ugniatał w wałeczek i powoli zjadał. Skórkę zaś zwijał w rulonik albo odrywał z niej kawałek po kawałku i wrzucał do ust. Bywało, że przychodził z dworu w środku dnia i rozglądał się za czymś do zjedzenia. Głodny jestem, mówił. No i dostawał w jedną rękę grubą kromkę posmarowaną świeżym masłem, w drugą pomidora lub ogórka, przyniesionego przed chwilą z zagonu nieopodal domu. Nie było od tego nic smaczniejszego. Z czymś takim nie równał się nawet chleb posmarowany śmietaną i posypyany cukrem.

Ileokroć chłopiec przechodził obok piekarni, to za każdym razem pragnął zostać piekarzem. Podobał mu się aromat świeżo upieczonego chleba, a myśli, że mógłby jeść go, ile tylko by zechciał, też miała swoje znaczenie. Nie zdawał sobie wszakże sprawy, że żaden pewnie piekarz nie zjada pieczywa więcej niż każdy inny człowiek. Przekonał się o tym, gdy będąc kilkunastolatkiem przepracował w piekarni kilka wakacyjnych miesięcy. Chleba jadł tyle co zawsze, ale zapach, ten wspaniały zapach wyjętych z pieca bochenków długo śnił mu się po nocach.

Mężczyzna, który wyrósł z chłopca, mimo upływu lat nadal pamiętał o przysmakach swojego dzieciństwa. W rozmaitych sklepach, większych i mniejszych, można było teraz kupić kilkanaście, a może i więcej gatunków pieczywa. Chleby żytnie i pszenne, chleby mieszane, gryczane, owsiane i kukurydziane. Z burakami lub żurawiną, z pestkami dyni albo ziołami. Do wyboru, do koloru: jaki się komu zamarzy. Tyle tego wszystkiego, że nie wiadomo, na który się zdecydować. Kupował zatem raz taki, raz inny, po nim kolejny. Niektóre całkiem mu smakowały – ale wyłącznie te dopiero co upieczone. Potem nie.

Z czasem zniknęły niewielkie piekarnie, a wraz z nimi ręcznie formowane bochenki wypiekane w piecach opalanych drewnem. Dzisiejszy chleb wcale nie pachnie chlebem, stwierdzał ze smutkiem. Niby nic takiego, ale czuł, że znowu coś bezpowrotnie minęło, przepadło. Smak... Zapach...

Dorożka

Jedną z atrakcji miasteczka stanowiły niewątpliwie dorożki, zwane powszechnie dryndami. Wprawdzie wszędzie było tu blisko, ale nieraz zdarzała się dłuższa jazda, chociażby na stację kolejową.

Na chętnych czekały zazwyczaj trzy, najwyżej cztery dryndy. Dorożkarze, przygarbieni od długiego czekania na klientów, siedzieli na wysokich kozłach, prawie zawsze z batem w rękę i papierosem w ustach. Bywało, że zbierali się na chodniku i półgłosem o czymś rozmawiali. Konie również były jakby przygarbione, znużone tym stanem, tylko od czasu do czasu unosiły nieco którąś nogę i grzechotały podkową o kocie łby.

W chłodne dni zarzucano im na grzbiety stare derki dla osłony przed zimnem. Nieraz pod końskim pyskiem zwieszał się treptuch, płócienna torba na obrok. Chłopcu wydawało się to całkiem zwyczajne, właściwie bez większego znaczenia. Podobnie jak rozróżnienie koni: kary, kasztan, bułanek, skarogniady, jabłkowity. Najbardziej podobały się mu skarogniade, czyli ciemnobrażowe z czarnymi nogami, częściowo czarną szyją i grzbietem oraz czarnymi grzywami i ogonami. Kiedyś wszakże ze zdziwieniem zauważył, że jego szkolni koledzy z miasta nie wiedzą wcale, co to jest treptuch, kłonica ani kielzno, a końskie umaszczenie w ogóle ich nie interesuje.

Same pojazdy pochodziły bez wątpienia jeszcze sprzed wojny. Miały koła z żelaznymi obręczami, które głośno turkotały w trakcie jazdy. Opony, podobne do samochodowych, dopiero wchodziły tu w modę, były drogie i mało kto mógł sobie na nie pozwolić. W tylnej części dorożki znajdowała się składana buda, którą podnoszono podczas deszczu. Chłopiec żałował, że nie jechał nigdy z rozłożoną budą, zalewaną strugami ulewy. Byłoby to naprawdę fascynujące przeżycie. Lubił zwłaszcza ten pierwszy moment postawienia nogi na stopniu, gdy drynda lekko się ugiwała, jakby falowała, otwierała swoje wnętrze. Wchodził i siadał na okrytym kocem siedzisku. Wdychał wtedy zapach kilkudziesięciu lat przewożenia – tysięcy, dziesiątków tysięcy? – rozmaitych osób, zapach dorożkarza i zapach konia. Wyobrażał sobie, kto mógł być ostatnim pasażerem dorożki, tworzył jego historię, starał się odgadnąć, co czuł i na co po drodze zwracał uwagę.

No i wreszcie zaczynała się podróż. Kopyta wybijały rytm, koła dźwięczały do taktu, dorożkarz cmokał i strzelał z bata, najczęściej poprzestawał jednak na dość niemrawym potrząsaniu lejcam. Konie szły, jak chciały, co też miało swój urok. Jazda trwała wtedy dłużej, chłopiec zamykał oczy i ukołysany miarowym kolebaniem się dryndy miał wrażenie, że coś go uniosło i niesie nie wiadomo gdzie. Nieraz uchylał jedno oko i widział nad sobą niebo z przesuwanymi się powoli obłokami. Nic więcej. Dźwięki, obrazy i wszelkie inne doznania łączyły się w harmonijną całość pozaświata, przez który płynął. Chciał, aby ten stan trwał i trwał w nieskończoność.

Bywały jednak dni, gdy dryndy stały nieruchomo jedna za drugą, mroczne i nieme. Sprawiały wrażenie wielkich wychudzonych ptaszydeł z obłamanymi skrzydłami albo pokracznych zwierząt z zamierzchłych epok, zmęczonych samym istnieniem, mogących w każdej chwili obrócić się w proch. Wiatr szarpał podartymi derkami i połami kapot, miotał ogonami i grzywami. Skuleni dorożkarze, podobni do bezkształtnych narośli, kiwali się na swych siedziskach na wpół zamroczeni, na wpół jedynie przytomni. Można by pomyśleć, że trwają tak od tysiącleci albo i dłużej, oczekując na coś lub na kogoś, aby ruszyć jeden Bóg wie gdzie i jechać, jechać bez końca.

Chłopiec nie zbliżał się wówczas do nich. Bał się, że jak wsiądzie do dorożki, to nie zdoła już wysiąść i do końca życia, a nawet dłużej, będzie przemierzał opustoszałą przestrzeń. Widział ją wielokrotnie we śnie, czuł jej gorzki smak.

Gniada

Chłopcu zdawało się, że jest ogromna i prawdę mówiąc, nieco (albo i więcej) się jej obawiał. Cóż... Miał przecież niecałe dwa lata i był zupełnym pędrakiem, który plątał się jeszcze wszystkim pod nogami. Gdyby uczepił się uzdy na głowie kobyły, wtedy najpewniej nawet nie zauważyła tej dziwnej ozdoby. Wszystko to pozostawało jednak poza zasięgiem dziecięcych rąk. Swobodnie mógł dosięgnąć co najwyżej do pęciny ponad końskimi kopytami.

Kobyła należała do wujka, który wraz z rodziną mieszkał tuż obok, zaraz za zagonem kapusty od strony domu dziadków chłopca. Bywał więc tam, gdy tylko nadarzała się ku temu okazja. Pewnie znowu poleciał do konia... Niech no sprawdzi ktoś w kapuście, czy gdzieś się tam nie wyrócił, nakazywała ciocia, widząc, że nie ma go w pobliżu sionki. Ciekawe, że w późniejszym okresie, gdy chłopiec był już całkiem dorosły, na pytanie, gdzie się urodził, odpowiadał często, że nigdzie. Znalaziono go w kapuście...

Boczna furtka prowadziła prosto do stajni. Chłopiec, a właściwie dzieciak, co ledwie od ziemi odrósł, przeciskał się przez półotwarte drzwi (zamkniętych raczej nie dałby rady otworzyć) i stawał przed kobyłą. Nazywano ją, nie wiadomo dlaczego, Gniada, chociaż tak naprawdę była kasztanem, ale w tych zawiłych końskich sprawach zaczął orientować się dopiero potem. W owym czasie Gniada była dla niego Gniadą – wielką jak góra, przeżuwającą siano ze żłobu i od niechcenia machającą ogonem. On w milczeniu patrzył na nią z dołu, a potrafił stać i patrzeć z godzinę lub więcej, ona zaś spoglądała na niego z góry. Prychała przy tym i szurała kopytem, pewnie ze zdziwienia, co to takiego ją odwiedziło.

O czym dzieciak wówczas myślał – czy w ogóle myślał o czymkolwiek – jeden Bóg wie. Możliwe, że jedynie patrzył i patrzył na Gniadę, aby się napatrzeć na całe lata, zapamiętać jak najwięcej z widoku i zapachu stajni, konia, siana. Aby nasłuchać się na zaś parskania, stukania podkową, prychania, szelestu ogona uderzającego o końskie boki. I nie przeszkadzały mu ani trochę duże muchy, latające wokoło z irytującym brzęczeniem. Ciekawe, czy kobyła także chciała go zapamiętać, bo przecież wystarczająco długo się mu naprzyglądała.

Wujek posiadał również krowy, które dzieciaka zupełnie nie interesowały. Po prostu były sobie, pasły się gdzieś na pastwisku, nieraz widział je wracające do obejścia i tyle. Wprawdzie pijał świeżo udojone mleko, ale do obory nie zachodził. Wystarczyło mu, że bawiąc się na łące nieopodal strugi niekiedy wdeptywał bosą stopą w krowi placek.

Minęło ileś miesięcy, które niepostrzeżenie zmieniły się w lata. Chłopiec wydorósł i zamieszkał w dużym mieście. Od dawna nie widział Gniadej, która w rzeczywistości była kasztanem. Jednak im był starszy, tym częściej o niej myślał. Pojawiała się w jego snach, wskakiwał na jej grzbiet i galopowali ponad horyzontem, ponad ziemią, a zdarzało się, że i ponad czasem. Nieraz przychodziła z całym stadem dzikich

koni, pełnym rozwianych grzyw i ogonów, tętniących kopyt, napinających się ścięgien i mięśni. Ich rzenie napełniało go niezwykłą siłą, dawało moc. Pędził wraz z nimi, jak gdyby stali się istotami jednej krwi. Przekraczali kosmiczną pustkę, odkrywali pozaziemskie światy i tratowali wszystko, co stało im na drodze. Zasypiał, czując gorące oddechy i bicie wielu serc. Byli jednością.

Znowu niepostrzeżenie przeszło kilka lat. Chłopcu, w zasadzie już mężczyźnie, śniły się teraz wyłącznie zimne, głuche przestrzenie, wypalony step bez jakichkolwiek ludzi i koni. Błądził w mroku po własnych śladach, daremnie wypatrując choćby odrobiny światła. Budził się z trudem, coraz bardziej znużony, coraz bardziej martwy.

Targowisko

Z dziecka wyrósł chłopiec i kobyła wcale nie sprawiała już na nim wrażenia takiej wielkiej. Zdarzało się, że wujek zabierał go na targowisko, które dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, odbywało się na dużym brukowanym rynku. Wóz załadowany był tyloma skrzynkami z warzywami i owocami, że pociągnięcie go wydawało się ponad siły Gniadej. Chłopiec obserwował zaintrygowany, jak kobyła za każdym razem bez problemu ruszała z miejsca. On, mimo to, wołał iść piechotą. Może bał się, że z jego szczupłą raczej osobą będzie jej zbyt ciężko? Kto wie.

Na rynek nie było znowu tak daleko, a wrażeń po drodze nie brakowało. Toczyły się pełne towaru wozy, także z uwiązanyymi z tyłu krowami albo kozami. W kłatkach wieziono kury, gęsi, prosięta, trafiał się niejeden tłusty wieprzek. Poboczem podążali ludzie, pieszo i rowerami, wielu coś tam dźwigało na sprzedaż lub wymianę. Plac targowy od wczesnych godzin był wypełniony po brzegi. Atrakcja nie z tej ziemi. Dziesiątki wozów obok siebie, część koni wyprzęgnięta, jedne z treptuchami na pyskach, przed innymi kupka siana. Handel z furmanek, ale też z rozmaitych kramów, budek, tudzież z ręki. Tłum przetaczał się wte i wewte, witano się ze znajomymi, zatrzymywano na pogaduszki, tu i ówdzie wychylano kielicha. Gdzieniegdzie, bywało, dochodziło do kłótni, nawet bójek. No, ale przede wszystkim oglądano, targowano, kupowano, sprzedawano, wymieniano. Ziemniaki i kalafiory, cebulę i jajka, pszenicę w workach i gołębie, konie i chleb, mleko oraz wysokie buty, oficerki. Pomidory i ogórasy. Żeberka i półcie wędzonego boczku. Coś wspaniałego.

Chłopca niezmiennie fascynował urok targowiska, cały ten rozgardiasz, będący jakimś zdumiewającym ludzko-zwierzęcym misterium. Chodził pomiędzy wozami, przysłuchiwał się rozmowom, gdakaniu, muczeniu, pochrząkiwaniu, poklepywał końskie pyski, przyglądał się towarom i rozważał, czy ta albo tamta kapusta jest ładniejsza od wujkowej. Wreszcie docierał do znajomego wozu, przy którym Gniada spokojnie delektowała się sieczką. Pomagał w handlowaniu, jak umiał. Podawał, przytrzymywał, ważył, liczył, dawał, odbierał. Bardzo mu się to podobało. Potem, w dorosłym wieku, wielokroć, jako

kupujący i jako sprzedający, bywał na rozmaitych bazarach. Jak widać, wczesna nauka nie poszła w las.

Tymczasem targowanie dobiegało końca. niesprzedane produkty zostały poukładane i zbierano się do domu. Wóz był zdecydowanie lżejszy i chłopiec wsiadał nań, nie obawiając się, że będzie dla kobyły nadmiernym ciężarem. Wujek brał lejce w dłoń, cmokał i wypowiadał zaklęcie: „hajda”, po którym Gniada, po chwili zastanowienia, niespiesznie ruszała. Niekiedy dodawał „kse” i „odsie”, co brzmiało znacznie bardziej zagadkowo. Chłopca, zanim dowiedział się, co oznaczają, zastanawiały te dziwne słowa. Mądra kobyła, myślał. Rozumie, co wujek do niej mówi. A gdy i on zrozumiał, wtedy mógł już pokierować wozem. Gniadą pewnie dziwił nieletni woźnica, ale na ogół spokojnie znosiła niewprawne powożenie. Najtrudniejsze okazało się skręcanie z ulicy w wierzeje wujkowego obejścia. Kobyła niewątpliwie sama by sobie poradziła, chłopiec natomiast nie miał jeszcze dostatecznego wyczucia. Na szczęście wujek chwycił mocno za uzdę i wprowadzał wóz na podwórze.

Po wielu latach chłopiec, właściwie dorosły mężczyzna, przyjechał do miasteczka. Zmieniło się, rozrosło. Zniknęły ulice brukowane kocimi łbami, zniknęły piaszczyste pobocza. Nie było śladu po targowisku na rynku, nie ostał się ubogi sklepik na rogu, gdzie kupował landrynki na sztuki, pakowane w papierową tutkę. Dawno rozebrano kuźnię. Zamiast tego pojawiły się samochody, sygnalizatory świetlne, tablice informacyjne, reklamy i znaki drogowe. Zebry przecinające asfaltowe ulice. Mężczyzna chciał odwiedzić dawne miejsca, ale nie mógł ich odnaleźć. Chciał przejść się po targowisku, porozmawiać z ludźmi, popatrzeć na konie, potargować się o cenę torby pszenicy dla gołębi. Pragnął potrząsnąć lejcami i znowu zobaczyć, jak Gniada macha ogonem na znak, że zaraz ruszy. Jednak wszystko, co pamiętał, zniknęło.

Stał na rogu i popatrzył wokół siebie. Miał wrażenie, że znalazł się w jakimś obcym, nieprzyjaznym świecie. Nie było w nim ani dziadków, ani żadnych innych krewnych. Nie było wujkowej kobyły ani starych topoli. Nikogo tu nie znał, nikt też nie znał jego. Pozostał jedynie czas, chociaż było go coraz mniej. ■

6–14.01.2022 r.

APOKRYFALIPSA

*Objawienie Jezusa Chrystusa, które jemu dał Bóg
aby objawił sługom swym, co się ma dziać wrychle (...)
Błogosławiony, który czyta i słucha słów proroctwa tego
i zachowyywa to, co w nim jest napisano
albowiem czas jest blisko'*

OSOBY:

Pan – Bóg

Baranek – Jezus – Wierny i Prawdziwy

Siedem Duchów Bożych

Dwudziestu Czterech Starców

Czterech Jeźdźców

Dwóch Świadców

Niewiasta

Smok – Szatan

Bestia Pierwsza

Bestia Druga – Fałszywy Prorok

Wielka Wszetecznic

Oblubienica – Małżonka Baranka

Aniołowie:

Czterech Aniołów władających wiatrami

Siedmiu Aniołów dzierżących trąby

Czterech Aniołów uwieczonych w rzece *Eufrates*

Siedmiu Aniołów niosących plagi

i wielu innych Aniołów

Ukazał się On – obleczony w długą szatę i przepasany u piersi złotym pasem. Głowa jego i włosy były białe jak śnieg, a oczy jaśniały niczym płomień ognia. Miał w prawej ręce siedem gwiazd, z ust jego wychodził miecz, a oblicze świeciło jasno niczym słońce.

1 cytaty kursywą: BIBLIA w przekładzie księdza Jakuba Wujka z 1599 r. Transkrypcja typu „B” oryginalnego tekstu z XVI w. Prymasowska Seria Biblijna. Oficyna Wydawnicza „Vocatio”, Warszawa 2000 r.

– *Byłem umarły – powiedział – lecz żyję na wieki wieków i mam klucze śmierci i piekła.*

A oto co jest, i co dziać się ma potym.

W niebie stał się widoczny prześwieitny Tron, na Tronie zaś – w promieniach tęczy – Bóg.

Wokół znajdowały się dwadzieścia cztery pomniejsze trony. Na nich zasiadali Starcy odziani w białe szaty, mający na głowach złote korony.

Biły gromy, a przed Tronem płonęło siedem lamp symbolizujących *Siedem Duchów Bożych*.

Niżej rozciągało się krystaliczne skalne morze.

Przed samym Tronem tkwiły zaś Cztery Zwierzęta, pełne oczu – co trudno pojąć – z przodku i z tyłu.

Pierwsze przypominało lwa.

Drugie podobne było do młodego byczka.

Trzecie miało oblicze ludzkie.

Czwarte przypominało orła.

Każde ze zwierząt miało po sześć skrzydeł.

Zwierzęta bez odpoczynku – dniem i nocą – głosiły chwałę Boga.

Dwudziestu Czterech starców pokłoniło się Panu, gubiąc swoje złote korony.

W prawej ręce Boga ukazało się siedem zapieczetowanych ksiąg. Padło pytanie, kto jest godzien owe księgi otworzyć. Odpowiedź była zatrważająca, brzmiała bowiem, iż nikt tego zrobić nie może; ani na niebie, ani na ziemi.

Przed tronem ukazał się zmartwychwstały Baranek, który posiadał siedem oczu i tyleż rogów będących *Siedmioma Duchami Bożymi*.

Baranek wziął księgi z rąk Boga, a gdy to uczynił, Cztery Zwierzęta i Dwudziestu Czterech Starców upadło przed nim.

Zaśpiewali *Nową Pieśń*, mówiącą, że nie trzeba się smucić, ponieważ po to zwyciężył *lew z pokolenia Dawidowego*, by otworzyć księgi i pieczęcie przełamać.

Do pieśni dołączyły anielskie chóry, ale i wszystkie stworzenia na ziemi, pod ziemią i w morzu, błogosławiąc Bogu i Jezusowi.

Cztery Zwierzęta powtarzały: *Amen*, a Starcy trwali w pokłonie *Żywiącemu na wieki wieków*.

Tymczasem Jezus otworzył pierwszą z siedmiu pieczęci, a Pierwsze z Czterech Zwierząt, głosem przypominającym grom, przemówiło.

Pojawił się siedzący na białym koniu Łucznik, któremu wręczono koronę symbolizującą zwycięstwo.

Przy otwieraniu drugiej pieczęci Drugie ze Zwierząt przemówiło.

Tym razem zjawił się Jeździec na rudym koniu. Jemu ofiarowano miecz, aby sprawił, że mieszkańcy ziemi będą się wzajem zabijać.

Przy otwieraniu trzeciej pieczęci Trzecie ze Zwierząt przemówiło. Pojawił się koń czarny, Jeździec zaś dzierżył wagę z szalkami. Na to dał się słyszeć głos – pomiędzy Czterema Zwierzętami – mówiący: *Miarka pszenicy za grosz, a trzy miarki jęczmienia za grosz, a nie szkódź oliwy i wina.*

Przy otwieraniu czwartej pieczęci Czwarte ze Zwierząt przemówiło. Na białym koniu pojawił się Jeździec, którego imię brzmiało *Śmierć*. Za nim podążało piekło. A jeździec ów miał moc nad czwartą częścią ziemi, by zabijać, morzyć głodem i pozwalać mordować ludzi dzikim zwierzętom.

Po otwarciu piątej pieczęci pojawiły się dusze tych, którzy zginęli za wiarę. Te zaś wołały o pomstę na mieszkańcach ziemi za przelaną krew. Dano im białe szaty i polecono czekać do chwili, kiedy dopełni się poczet podobnie jak oni zgładzonych w mękach.

Otwarcie szóstej pieczęci wywołało trzęsienie ziemi. Słońce stało się czarne, księżyc krwście poczerwieniał, a gwiazdy osypały się z nieba niczym dojrzałe owoce z drzewa. Gdy się to stało, niebo zwinęło się w rulon niby dywan, a góry i wyspy usunęły się ze swoich miejsc. Ludzie zaś, począwszy od królów, a skończywszy na niewolnikach, przywarowali w jamach i jaskiniach, by ukryć się przed obliczem Boga i wzburzeniem Baranka. Dzień gniewu bowiem nastał, a *któż się ostać będzie mógł?*

Na czterech krańcach ziemi ukazało się Czterech Aniołów, którzy władali niszczycielskimi wiatrami. Aniołowie wstrzymywali nawałnice, dopóki słudzy Boga nie zostali wyróżnieni znakami na czołach.

Liczba oznaczonych wynosiła sto czterdzieści cztery tysiące synów Izraela. A zatem dwanaście razy po dwanaście tysięcy z pokoleń: *Judowego, Rubenowego, Gad, Aser, Neftalim, Manasse, Symeon, Lewi, Issachar, Zabulon, Józef, Benjamin.*

Pojawiła się ogromna rzesza ludzi; ze wszystkich narodów i wszystkich pokoleń, mówiąca wieloma językami. Stanęli przed Tronem i obliczem Jezusa ubrani w białe szaty, dzierżąc w dłoniach liście palmy.

Wokół nich zgromadzili się wszyscy Aniołowie, by upaść w pokłonach przed Bogiem, Dwudziestoma Czterema Starcami i Czterema Zwierzętami, wypowiadając błogosławieństwo.

Ubrani w białe szaty i dzierżący liście palmy byli tymi, którzy doznali męki, a szaty swoje obmyli w krwi Jezusa, który zaprowadzi ich teraz do źródła życia. *I otrze Bóg wszelką łzę z ich oczu.*

Gdy otwarta została siódma pieczęć, zapadło na pół godziny milczenie. Po tym zaś zjawiło się Siedmiu Aniołów, którym dano siedem trąb.

Stojąca przed ołtarzem złota kadzielnica napełniła się ogniem, sprowadzając błyskawice i trzęsienie ziemi.

Na ten znak Siedmiu Aniołów zaczęło sposobić się do zadęcia w trąby.

Gdy Pierwszy Anioł zatrąbił, grad i ogień pomieszane z krwią spadły na ziemię,

sprawiając, że trzecia jej część spłonęła, pochłaniając w pożodze całą roślinność.

Gdy Drugi Anioł zatrąbił, ogromny niby największa góra głaz wpadł w morze, powodując, że trzecia część oceanów zamieniła się w krew, gubiąc stworzenia morskie i okręty.

Gdy Trzeci Anioł zatrąbił, z nieba spadła wielka gwiazda płonąca żywym ogniem, trafiając w rzeki i ich źródła. Gwiazda ta zwała się *Piołun* i sprawiła, że wody zostały zatrute.

Gdy Czwarty Anioł zatrąbił, zostało porażone słońce, księżyc i gwiazdy tak, że w jednej trzeciej przestały świecić.

I ukazał się na niebie orzeł przestrzegający mieszkańców ziemi przed głosem trzech kolejnych anielskich trąb. *Biada, biada, biada.*

Gdy Piąty Anioł zatrąbił, na ziemię spadła gwiazda, która przebiła się do otchłani. Gdy ta została otwarta, wydobył się z niej dym tak gęsty, że przysłonił słońce. Z dymu wyrosła się szarańcza o wyjątkowej mocy. Nie niszczyła roślin i nękała jedynie ludzi, którzy nie byli wyróżnieni znakami na czołach. Przez pięć miesięcy zadawała im męki tak dotkliwe, że ci szukali wybawienia w śmierci. Nie było to wszakże możliwe i musieli trwać w bólu.

Szarańcza podobna była rumakom przysposobionym do walki, noszącym na ludzkich obliczach złote korony. Włosy ich były długie i gęste, a zęby wielkie i ostre jak u lwa. Zdobiły ich żelazne pancerze. Posiadały też skrzydła wydające przerażający odgłos, jak i ogony wyposażone w niosące ból żądła. Stwory te miały nad sobą króla, którego imię brzmiało *Abaddon Apollion Exterminas.*

Biada jedna przyszła, a oto idą jeszcze dwie biedy potym.

Gdy szósty Anioł zatrąbił, dał się słyszeć głos jednego z czterech rogów złotego ołtarza stojącego przed Boskim Tronem, nawołujący, by uwolnieni zostali Czterej Aniołowie uwięzieni w rzece *Eufrates*, którzy czekali, by zgładzić trzecią część ludzkości. W ich władzy były wojska liczące dwa razy po sto tysięcy milionów konnych. Jeźdźcy mieli pancerze ogniste, a głowy rumaków były lwie, z pysków ich zaś zionął dym i ogień. Nie dość na tym, bo ogony koni były niczym węże z głowami na równi niebezpiecznymi jak końskie paszcze.

Pozostali ludzie, którzy przeżyli, nie oddali się pokucie za swoje nieczne uczynki i nie zaprzestali oddawać czci czartom i bałwanom.

Z nieba zstąpił spowity w obłoki Anioł. Na głowie miał tęczę, a oblicze jaśniało mu niczym słońce. Natomiast nogi jego były słupami ognia. Prawą postawił na morzu, lewą – na ziemi. W dłoniach dzierżył zaś księgę. Na jego znak odezwało się siedem grzmotów, on zaś oznajmił, że czas już się kończy, a gdy Siódmy Anioł zatrąbi, dokona się tajemnica, którą zapowiedziano.

Dwóch Świadców prorokowało przez tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni. Gdy zaś

ktokolwiek przeciw nim występował, ogień zionął z ich ust i każdy, kto im szkodził, ginął. Mieli moc sprawiającą, iż nie padały deszcze, morza zamieniały się w krew, a ziemię nawiedzały plagi.

Gdy dopełnili swojego przeznaczenia, z przepaści wyszła Bestia, która pokonała ich w boju. Martwe ciała Świadców leżały przez trzy i pół dnia niepochowane, w miejscu, gdzie był ukrzyżowany Jezus. Widząc to, rozkoszowali się ludzie, że polegli dwaj prorocy, którzy dręczyli mieszkańców ziemi.

Po trzech dniach Świadcowie ożyli, a na radujących się z ich śmierci padł strach. Zmartwychwstali wstąpili na obłoki, na co patrzyli z trwogą ich nieprzyjaciele. Wtedy nastąpiło wielkie trzęsienie ziemi i zginęło w nim siedem tysięcy ludzi. Pozostali prze-razili się i oddali chwałę Bogu.

Gdy zatrąbił Siódmy Anioł, głos z nieba oznajmił, że królestwo świata stało się królestwem Boga i Jezusa na wieki.

Dwudziestu Czterech Starców upadło na oblicza, oddając pokłony Bogu, ponieważ nastąpił czas zapłaty boskim sługom, prorokom i świętym, ale i czas zniszczenia tych, którzy rujnowali ziemię.

W niebie otworzyła się Świątynia Boża i ukazała się w niej Arka Przymierza.

Wtedy na firmamencie pojawiła się brzemenna Niewiasta obleczona w słońce, z księżycem u swoich stóp. Na głowie miała koronę złożoną z dwunastu gwiazd.

Gdy Niewiasta zaczęła rodzić, ukazał się Smok, który posiadał siedem głów i dziesięć rogów, a na każdej głowie koronę. Jego ogon, poruszając się, zrzucił na ziemię trzecią część gwiazd z niebosłonu. Smok stanął przed Niewiastą, czekając, by pożreć rodzącego się syna, który miał żelazną ręką rządzić poganami. Dziecko zostało porwane, ale Niewiasta uciekła na pustynię, gdzie znalazła schronienie na tysiąc dwieście sześćdziesiąt dni.

Na niebie rozgorzała wielka bitwa. Anielskie zastępy wystąpiły przeciwko Smokowi i jego wojsku. Gdy ich pokonały, nie było już tam dla niego miejsca. Smok, którego prawdziwe imię to Szatan, zrzucony został wraz ze swoimi hufcami na ziemię.

Tam szukał Niewiasty, ale ta wciąż chroniła się na pustyni. Smok, nie mogąc jej dośięgnąć, wypuścił ze swojej paszczy wodę, która zmieniła się w rwącą rzekę mającą porwać Niewiastę. Ziemia jednak na to nie pozwoliła, otwierając się i pochłaniając niebezpieczny nurt.

Rozgniewany Smok poprzestał na walce przeciwko tym, którzy dochowywali Bożych przykazań.

Z morza wyszła Bestia, która miała siedem głów i dziesięć rogów, na których tkwiły korony z wypisanymi bluźnierstwami. Podobna była do przerażającego rysia, choć nogi miała niedźwiedzie, a paszczę – lwią. Jej to przekazał swoją moc i władzę Smok.

Jedna z głów Bestii posiadała śmiertelną ranę, która – w niezrozumiały sposób

– zagoiła się. Mieszkańcy ziemi nie mogli wyjść z podziwu, widząc nadzwyczajne ozdrowienie. Dlatego też hołdowano Bestii, ale i Smokowi, od którego ta otrzymała władzę.

Bestia miała usta, którymi nieustannie bluźniła. Przez czterdzieści dwa miesiące posiadała moc czynienia cudów. Nieprzerwanie zlorzeczyła Bogu i zadawała cierpienie i śmierć świętym. Niepodzielnie rządziła ludem, który jej się uniżenie kłaniał.

Tymczasem z podziemi wystąpiła Druga Bestia. Miała baranie rogi i przemawiała smoczym głosem. Posiadała tę samą władzę co Bestia Pierwsza. Czyniła wielkie cuda i na oczach ludzi potrafiła sprowadzać śmiertelny ogień z niebios. To zwiodło mieszkańców ziemi tak bardzo, że byli jej we wszystkim posłuszni. Wykorzystując to, nakazała, by zaczęto stawiać posągi Pierwszej Bestii.

A rozporządzała taką mocą, że posągi te zaczęły przemawiać. Zachęcała, by oddawać im cześć, a tych, którzy nie chcieli tego czynić, pozbawiała życia. Posłuszni otrzymali znamiona na czołe albo na prawej ręce, obrazujące liczbę jej imienia. *A liczba jego sześć set sześćdziesiąt i sześć.*

Wtedy na górze Syjon zjawił się Jezus, a wraz z nim sto czterdzieści cztery tysiące tych, którzy na czołach mieli wypisane imię Boga. Popłynęła radosna pieśń owych jasnych zastępów uratowanych z ziemi, a śpiewali tylko oni – nieskalani, podążający zawsze za Barankiem – i nikt więcej.

Na niebie ukazał się Anioł, który głosił Ewangelię i nawoływał do oddania czci Panu, ponieważ przyszła godzina sądu.

Drugi Anioł oznajmił, że upadła wielka *Babilonia*, która rozlała na świat szaleństwo rozpusty.

Kolejny Anioł, który podążał za tymi dwoma, ogłosił, iż jeśli ktoś kłaniał się Bestii i jej wizerunkowi, a nosił ich znak na ciele, napoi się gniewem Pana. Będzie męczony ogniem cierpienia wobec Aniołów i Baranka.

Natenczas ukazał się Jezus w złotej koronie. Siedział na białym obłoku, a w ręku dzierżył ostry sierp.

Na to następny Anioł oznajmił, że nadeszła pora, by ugodzić sierpem ziemię, ponieważ nastał czas żniw.

Ziemia została bez litości zżęta.

Inny Anioł obwieścił, że już pora, by zatopić sierp w ziemi, albowiem przyszedł czas winobrania.

Grzeszne kiście zostały poobcinane i wrzucone do tłoczni Bożego gniewu. Wyciśnięto z nich krew do kadzi, która miała wysokość końskiego wędzidła² i długość tysiąca sześciuset stadiów³.

Nad szklistym morzem o krwistej barwie ukazali się ci, którzy pokonali

² ok. 130 cm

³ ok. 300 km

Bestię, rozprawili się z jej wizerunkiem i obalili liczbę obrazującą jej imię. Przepojeni szczęściem śpiewali pieśni wychwalające Pana.

Z niebiańskiej świątyni wyszło siedmiu Aniołów niosących siedem plag ostatnich, ponieważ na nich zakończyć się miał gniew Boga. Ubrani byli w lśniące czystością płótna przepasane złotymi pasami. Jedno z Czworka Zwierząt ofiarowało Aniołom siedem złotych czar pełnych gniewu Bożego. Świątynia napełniła się duchem chwały i majestatu, sprawiając, że nikt nie mógł do niej wejść, nim nie spadną plagi.

Głos ze świątyni zawołał do Siedmiu Aniołów, by wylali czary gniewu Bożego na ziemię.

Gdy pierwszy Anioł wylał czarę, pojawiły się głębokie i bolesne rany na ludziach, którzy mieli zamię bestii i oddawali cześć jej wizerunkowi.

Drugi Anioł wylał czarę na morze. Jego wody przemieniły się w krew konającego, od czego wszelkie życie w oceanach zamarło.

Trzeci Anioł wylał czarę do rzek i źródeł. Woda ich przemieniła się w krew. A stało się tak dlatego, iż skoro wylana została w mękach krew świętych i proroków, to teraz zamiast wody oprawcy mieli do picia posokę.

Czwarty Anioł wylał czarę na słońce, wzmagając jego żar do tego stopnia, że ludzie płonęli. Cierpiąc, bluźnili jednak Bogu, zamiast oddać mu chwałę; a przecież miał On moc plagę cofnąć.

Piąty Anioł wylał czarę na stolicę Bestii. Ciemności pochłonęły jej królestwo, a ludzie z bólu przegryzali języki, ale nadal bluźnili, zamiast żałować swoich uczynków.

Szósty Anioł wylał czarę do rzeki *Eufrates*. Wody jej wyschły, czyniąc w ten sposób drogę dla królów ze wschodu. Wtedy pojawiły się trzy nieczyste duchy w kształcie żab, które pochodziły z ust Smoka, Bestii i Fałszywego Proroka.

Były to duchy czartów, które zwołały królów z całej ziemi na walkę w miejscu zwanym *Armagedon*.

Siódmy Anioł wylał czarę w powietrze. Na to głos ze świątyni oznajmił: *Stało się!* Zaczęło się trzęsienie ziemi, jakiego jeszcze nie widziano. Wielkie miasta pogan leżały w gruzach, wyspy zanurzyły się, góry wypłaszczyły, a grad o masie cetnara⁴ spadł z nieba. Ludzie jednak wciąż bluźnili.

Nadszedł czas upadku Wielkiej Wszeteczniczy, z którą ziemscy królowie uprawiali nierząd i dzielili się jego jadem z ludźmi. Ta siedziała nad wielkimi wodami na czerwonej Bestii, która miała siedem głów i rogów dziesięć. Ubrana była w purpurę i przyozdobiona złotem, szlachetnymi kamieniami i perłami. W ręku miała naczynie pełne nieczystości płynących z jej nierządu. Wielka Wszetecznicza opita była krwią świętych i męczenników. Na czole jej zaś widniał napis: *Tajemnica, Babilonia Wielka, Matka Wszeteczeństw i brzydlwości ziemi*.

⁴ ponad 50 kg

Siedem głów bestii było siedmioma królami i siedmioma górami, na których rozlokowała się Wielka Wszetecznicza. Ósma głowa była zaś Bestią, która powróciła, by przewodzić królom, których symbolizowało dziesięć rogów. Ich wojska zostały do szczytu zniesione. Pokonani zaś obrócili się przeciw Wielkiej Wszeteczniczy. I została przez nich odarta z szat i spalona, bo w rzeczy samej była wielkim miastem mającym władzę nad ziemskimi królestwami.

Upadła zatem *Babilonia Wielka*, stając się jedynie siedliskiem duchów nieczystych promieniujących na wszystkie ziemskie narody złem.

Dał się słyszeć głos wzywający, by lud uszedł z tej przeklętej ziemi i uniknął nadciągających plag. Nadchodziła bowiem godzina śmierci, smutku, głodu i pożarów. Przyszedł czas rozpaczki ziemskich królów patrzących na płonącą Babilonię.

W jednej godzinie uległo zniszczeniu to wielkie miasto, a wszyscy sypali proch na głowy, płacząc i żałując, że taki właśnie jest koniec Babilonii. Ucichły śpiewy i dźwięki instrumentów, a młyny przestały mieć mękę. Nie zapaliło się już żadne światło, ani żadni kochankowie nie połączyli się w miłości, skoro właśnie tutaj przelana została krew świętych i proroków.

Chóry niebiańskie zaśpiewały hymn pochwalny dla Pana za sprawiedliwy sąd nad Wielką Wszetecznicą, która skałała ziemię swoimi bezecnościami.

Upadło w pokłonie Dwudziestu Czterech Starców i Cztery Zwierzęta, i wezwano, by dali chwałę Panu wszyscy słudzy jego; i mali, i wielcy.

Radość nastała, ponieważ przyszedł czas wesela Baranka, do którego sposobila się Oblubienica odziana pięknie w morskie jedwabie, które znaczą tyle, co sprawiedliwość świętych.

Błogosławieni, którzy na wieczerzę wesela Barankowego wezwani są.

Na białym koniu zjawił się ten, którego zwą Wiernym i Prawdziwym, bowiem sprawiedliwie sędzi i prawo walczy. Ubrany był w zbroczoną krwią szatę, na której widniał napis: *Król nad królami i Pan nad pany*. Z jego ust zaś wychodził miecz niezbędny do podbicia narodów, a podążały za nim wojska niebiańskie.

Naprzeciw zastępów Wiernego i Prawdziwego stanęła Bestia i królowie ziemscy z ich wojskami, które w wielkiej bitwie do szczytu zostały pobite. Pojmano Bestię i Fałszywego Proroka. Wrzucono ich do jeziora ognia, a ptactwo nasyciło się mięsem ciał poległych.

Z nieba przybył Anioł, który dzierżył mocny łańcuch i był władny otworzyć przepaście. Spętał łańcuchem Smoka i wrzucił go w otchłań, by nie zwodził już narodów. Tam w uwięzieniu miał trwać lat tysiąc.

Osądzono tych, którzy dali świadectwo Panu, nie kłaniając się Bestii ani jej wizerunkowi, ani nie przyjmując jej znaku. Ofiarowano im życie z Barankiem na owe tysiąc lat. Pozostali umarli musieli jeszcze czekać na swój czas. Było to zmartwychwstanie pierwsze.

Gdy skończyło się lat tysiąc, na powrót uwolniony został Szatan. Zwiódł narody na czterech krańcach ziemi, *Goga i Magoga*, i zgromadził ich wojska do walki.

Mrowie nienawistne otoczyło obóz świętych, ale wielki ogień z nieba spalił ich. Diabeł wrzucony został w jezioro ognia, do którego trafiła wcześniej Bestia i Fałszywy Prorok. Tam, na dnie, będą doświadczali mąk po wieki wieków.

Dopiero wtedy pojawił się Tron, na którym siedział Pan. Umarli stanęli przed jego obliczem, a Księgi Żywota zostały otwarte. Osądzono ich wedle tego, co w Księgach zostało zapisane. Morze wydało umarłych, piekło wydało umarłych, a każdego osądzono według jego uczynków. Śmierć zaś i piekło pogrążone zostały w jeziorze ognistym. Ale i tych, których nie zapisano w Księdze Żywota, wrzucono do ognistego jeziora.

I powstała Ziemia Nowa i Niebo Nowe, ponieważ pierwsza ziemia i pierwsze niebo przeminęły. Zstąpiło z nieba miasto święte, nowe Jeruzalem, dane od Pana, w którym ludzie mogli zamieszkać pospołu z Bogiem.

Pan otarł łzy z ich oczu, albowiem nie było już śmierci, nie było smutku, ani bólei, ponieważ *pierwsze rzeczy przeminęły*, a Zasiadający na Tronie uczynił wszystko nowym.

Zstało się. Jam jest Alfa i Omega. Początek i Koniec.

Czas nadszedł i ukazała się Oblubienica – Małżonka Baranka – Jeruzalem promieniu-
jące najczystszy światłem. Miasto, otoczone wysokim murem, miało dwanaście bram
uczynionych z pereł ogromnych, a na każdej z nich zapisano imiona dwunastu pokoleń
izraelskich. Mur posiadał dwanaście fundamentów, a na każdym wyryto imię apostoła.
Długość, szerokość i wysokość miasta wynosiła dwanaście tysięcy staj⁵, a mur wysoki
był na sto czterdzieści cztery łokcie⁶. Wzniesiono go z jaspisu, a samo miasto uczyniono
z czystego złota o przejrzystym wyglądzie. Fundamenty były zaś z kamieni szlachetnych.

Świątynia nie jest tutaj potrzebna; Bóg i Baranek są kościołem. Nocy już nigdy nie bę-
dzie, ponieważ niegasnące światło pochodzi od Pana i Jezusa. Narody wstąpią w tę świa-
tłość i cześć oddadzą Bogu. Bramy miasta będą natomiast zawsze otwarte. I nie prze-
kroczy jego murów nic, co nieczyste czy kłamliwe, a tylko ci, którzy w Księdze Żywota
są zapisani.

Z Tronów Boga i Baranka wypływa jasna i czysta *Rzeka Wody Żywota*. Tuż u jej brze-
gu rośnie Drzewo Życia wydające dwanaście owoców każdego miesiąca. A jego liście
mają moc nawracania pogan.

Nie ma już zła, a Pan Bóg królować będzie na wieki wieków.

***Jeśli by kto ujął z słów ksiąg proroctwa tego
odejmie część jego z Ksiąg Żywota i z Miasta Świętego
które są napisane w tych księgach***

A
P
O
A P O K R Y F
A
L
I
P
S
A

„(...) chciałem może pokazać, że nie są to czynności zastrzeżone dla – jeśli tak rzec wol-
no – katolików zawodowych”.

Czesław Miłosz ■

⁵ ok. 1800 km

⁶ ok. 72 m

O początkach końca

Apokalipsa? Phi! U nos godo sie „koniec świata”, bo to przecież nie Grecja.

(Erwin Sówka)

Jak większość szalbierzy i hochsztaplerów mistycznych, tak i ja znam dokładną datę końca świata. Może bez godziny i minuty. Bez dnia i miesiąca. Niemniej data jest dokładna i – co ważniejsze – pewna. Tym różni się od prognostów rozsławianych w oszustwie tak, że nie oszczędzą nawet samych siebie. Zaraz to wykażę czarno na białym i nie piszę tego dla częściej przechwałki, bo w samej rzeczy wiedza o końcu świata nie jest niczym szczególnym. Znajomość jego daty, scenariusza i efektów specjalnych, i w ogóle wszystkich faktorów, jakie są potrzebne do porządnego kresu czasów, jest – zapewniam – czymś najzwyczajszym. Są to bowiem sprawy odwieczne obecne w ludzkiej świadomości, bez względu na rodzaj filozoficznych przesądów, których się trzyma. Paruzja. Ogień piekielny. Rozpędzona w naszym kierunku kometa czy planetoida. Kataklyzm nuklearny. Klimatyczny eksces. To są tylko odmiany tego samego. Nazewnictwo alotropu czegoś, co już było. I niewątpliwie będzie. Koniec świata. Koniec, czyli początek *a rebours*.

Od niepamiętnych epok zajmują się tym najbardziej zapalone głowy. Być może nadmiar zapału poróżnia ich wiedzę ze ścisłością myślenia. A przede wszystkim z trafnością przewidywań. W końcu jednak jakiś tam procent proroków unika ośmieszenia, a rzeczywistość przyznaje im (lub kiedyś przyzna) słuszność. Bo koniec świata jest realny. Istnieje. Małostkowością byłoby przywoływać tutaj te liczne, powszechnie znane lub doświadczane warianty harmageddonu. Choćby wypędzenie z raju. Lub potopy zalewające wersety Gilgamesza, Biblii czy Popol Vuh. Albo ragnarök. Są to przecież przedstawienia końca świata, bez dwóch zdań. Podobnie jak wielkie energie wulkanów, które zakończyły świat Herkulanum i Pompei. Podobnie jak upadki wielkich monarchii, imperiów oraz cywilizacji, których świat w pewnej chwili przestał istnieć. Dotyczy to nie tylko odległej przeszłości. Jeszcze w latach sześćdziesiątych minionego stulecia odwiedzałem miejsca na Dolnym Śląsku, gdzie ślady końca świata były całkiem świeże.

Po każdym końcu świata wszystko się zbliznia. *Po każdym potopie suszymy bieliznę na sznurach* – powiada wiersz, który kiedyś przeczytałem przelotnie. Nie pamiętam czyj. Bielizna – jak kapitulacyjna chorągiew – wysycha, zaś w perspektywie bliższej lub dalszej zarysowuje się kontur następnej katastrofy. Za rok? Tysiąc lat? Sto tysięcy? To się okaże. Ale w skali skromniejszej, stawiając rzecz na planie kameralnego kosmosu, w każdej chwili, mijającej godzinie i dniu, porze roku i latach, istnieje również, choć zminiaturyzowany, ten sam, ostateczny i nieodwołalny kres tego, co przecież pragnęlibyśmy, żeby jeszcze, a najlepiej na zawsze istniało. A co tu mówić o śmierci – człowieka, zwierzęcia, owada? Gdy patrzę w oddalające się spojrzenie ptaka, który jeszcze przed chwilą żył, widzę właśnie koniec świata. Jeśli chcesz musze pokazać, jak koniec wygląda, nic trudnego. Zabij ją.

Z tego, co powiedziałem może wynikać, że to trwa bezustannie – nieprzerwany koniec świata. I nie jest bynajmniej pojedynczym wypadkiem kosmicznym. Skłonni do wyobrażeń banalnych roimy sobie, że musi to być jakaś sekunda (minuta, godzina, dzień?) w przyszłości, kiedy to dokona się zwięzła i totalna zagłada wszystkiego i wszystkich za jednym zamachem. Proponuję inne spojrzenie. Końców świata jest wiele. Powiedziałbym nawet, że nieskończenie wiele, gdyby nie to, że mówimy jednak o skończoności. Dokładnie zaś mówiąc, jest ich tyle, ile jest światów. Istnieją miriady światów – powiada Sutra Nikamaya, a myślę, że to bardzo skromny rachunek. Zresztą, nie ma co sobie zawracać głowy liczbami. Nie wszystko jest tylko poezją i nie każdy jest artystą, podczas gdy na pewno wszystko jest światem. Każdy atom jest kosmosem. A co dopiero związek atomów? Molekuła. Żdźbło trawy, owad lub zwierzę. Ty i ja. Miriady światów istnieją między swoim początkiem i końcem takim, jakiego wymagają prawa w nich rządzące. Nie chcę być ślepy na jedność i jedyność świata, a szczególnie naszego świata kolektywnego, który możemy – zależnie od potrzeby – nazwać gatunkiem, cywilizacją lub globalną świadomością. Nie jestem więc zaślepiony, kiedy myślę świat. Widzę to samo mniej więcej co ty. Wiem to samo – mniej więcej – co inni. Czasem nawet dokładnie to samo. Ale jest tyle rzeczy – miriady! – których w ogóle nie widzimy. Lub widzimy rzeczy, których najzwyczajniej nie ma. Wszelako rozumiem o co chodzi, gdy padają te słowa – koniec świata. Słowa straszne z jednej strony, choć z drugiej tak lubiane przez religijnych proroków, wizjonerów, artystów, naukowców oraz pisma brukowe. Bo to temat nie mający sobie równych.

Dlatego po tych kilkunastu liniijkach truizmów, których nie mogłem sobie odmówić, wracam posłusznie do szeregu, do tematu naszego ulubionego końca świata z ludzką twarzą. Bo jako gatunek jesteśmy z tą sprawą otrzaskani i trudno doprawdy zrozumieć, że w przeważającej ilości przypadków dochodzi do tak częstych błędów i mylnych przepowiedni. Niewykluczone, że są to pomyłki pozorne, dobrze skalkulowane i czemuś służące. Podejrzewam czasem, że wokół końca świata, a raczej wokół

jego wyrachowanej karykatury, rozwija się pewien rodzaj przemysłu, biznesu nieźle nabijającego portfele pomysłówych producentów horroru. Ale tym nie zajmujemy się teraz, gdy mowa jest o rozumianym najzupełniej serio apokaliptycznym fakcie.

Zacząłem od przechwałki, że znam datę tego spektaklu i wiem już nieco o jego liniach przewodnich, ale muszę dodać, że żadna w tym moja zasługa. Jest to wiedza cudza, zapożyczona w urzeczeniu i w dobrej wierze. Że łatwa, już nie wspominam. Oto jak doszło do jej uzyskania. Przedstawię to w formie trzech kroków.

Po pierwsze, jestem nieco obsesyjnie zapatrzonej w rozmaite symetrie. Że mają one głęboki sens kosmogoniczny, tego nie trzeba tłumaczyć. Stąd symetria jest fundamentem wszelkiej estetyki, o czym nie miał pojęcia George Bernard Shaw, twierdzący, że symetria jest estetyką idiotów. Tym samym wystawił sobie samemu dyplom czołowego idioty, nad czym bardzo boleję, bo to wszak Irlandczyk.

Po drugie, mam słabość do literatury, którą ludzie zaprzędani dobremu smakowi odrzucają ze wstrętem i uważają za podrzędną. Czasami zresztą mają rację, ale w tej materii kieruję się prawem wyjątków. W tych sprawach trzeba sądzić ostrożnie.

Po trzecie wreszcie, na półce z przecenionymi książkami w jednym z bookshopów przy ósmej zachodniej ulicy na Manhattanie trafiłem na egzemplarz *The Book of Prophecy of Mother Shipton* (Macmillan, 1968).

Te trzy okoliczności razem wzięte naprowadziły mnie zimą roku 1978 na datę końca świata. Końca rozumianego konwencjonalnie, tradycyjnie, według utartych norm. Wcale jej nie chciałem znać. Nie szukałem. Trafiłem najzwyczajniej jak ślepa kura na ziarno. Przekartkowawszy parę stron monotonna kupletów, zajrzałem na ostatnią, gdzie między również marnymi dwuwierszami przeczytałem ostatnie proroctwo, na który składały się następujące słowa: *And then the world to the end shall come / in ninety hundred and ninety one*.

W tym miejscu kilka słów należy się Matce Shipton. Tak nazywana prorokini to Ursula Sontheil, zwana też *of Knaresborough*, urodzona w 1488 roku. Opromieniona mistyczną chwałą, świecka wiedźma, wyprawiwszy swego nieudanego małżonka na drugi świat, zamieszkała w jednej z jaskiń na północy hrabstwa York. Jest to miejsce, gdzie nadal bije źródło cudotwórczej wody i gdzie dzisiaj turyści podziwiają cudaczne wota i pamiątki, częściowo już wchłonięte przez stalagmity. Prawdopodobnie była osobą aż nadto publiczną, skoro pozostały po niej liczne przekazy, rachunki, wyroki sądowe i wdzięczna pamięć lokalnej tradycji. Niewiele tajemnic osłania jej realność. Wszystko jest wiadome.

Była córką panny uwiedzionej przez przejeźdnego szlachcica, który jakoby merdał ogonem pod peleryną. Osierocona lub porzucona przez matkę, Ursula szybko zasłynęła jako wróżbiarka i swego rodzaju lokalny detektyw. Jej przepowiednie spisywano na bieżąco. Przewidziała na przykład wielki pożar Londynu, fakty z życia Henryka VIII i śmierć

królowej Elżbiety. Gros jej klienteli stanowili dygnitarze. Specjalnie fatygowali się do jej groty. Proroctwa Mother Shipton miały tę właściwość, że były regularnymi, ośmioletnimi, rymowanymi kupletami, łatwymi do zapamiętania i powtarzania. Nietrudno było je zebrać i wydać drukiem w niecałe osiemdziesiąt lat po jej śmierci. Ta księga przykuła uwagę w stopniu dorównującym słynnym *Centuriom* Michela de Notre-Dame, znanego nam Nostradamusa. Zresztą na przestrzeni stuleci ten zbiór proroctw był regularnie wznawiany. Mimo że Mother Shipton była analfabatką, a może właśnie dlatego, posługiwała się językiem prostym i nie wymagającym udziału kryptologów.

Rok po roku można było weryfikować jej słowa, jedna przepowiednia za drugą. Z wyjątkiem końcowych, a szczególnie tej, która odnosiła się do końca świata, jako że rok był dopiero 1978. Na ten właśnie dwuwiersz trafił mój wzrok pogodnego, styczniowego popołudnia na West 8th Street. Nie zrozumiałem w pierwszej chwili o co chodzi, a później wzruszyłem tylko ramionami. Kogo obchodzi dziś koniec świata? Ale kupiłem.

Ponieważ jednak – jak już wspominałem – mam słabość do wszelkich symetrii, nie mogłem się oprzeć tej pięknej kombinacji cyfr – 1991. Data jakby wymarzona na specjalną, eschatologiczną okazję. I w dodatku dotyczyła czegoś odległego o całych 13 lat. Jaka wygoda dla ewentualnej obserwacji. Ale dociekliwi badacze powiadają, że ostatnie z jej objawień zostało dopisane do oryginalnych powiedzeń Mother Shipton dopiero w XIX wieku i zrazu brzmiało: *The world to an end shall come / In eighteen hundred and eighty one*. 1881?

Mój głód symetrii przyjąłby i to z radością, ale taka przepowiednia dotyczyła czegoś, co miało się wydarzyć 97 lat wcześniej. A przecież wiadomo, że w 1881 roku żadnego końca świata nie było poza może tym, że 2 lipca na waszyngtońskim dworcu kolejowym adwokat Charles Guiteau zastrzelił prezydenta Stanów Zjednoczonych Jamesa Garfielda a niecałe dwa tygodnie później na Dzikim Zachodzie (14 lipca) szeryf Pat Garet zastrzelił rewolwerowca Billy Kida. Na szczęście, dziesięć lat po ukazaniu się tego zbioru proroctw Mother Shipton jego wydawca Charles Hindley przyznał się do fałszerstwa. Był to może żart, a może chęć zakpienia z ludzkiej łatwowierności. Ale inni gorąco zaprzeczają. Uznają, że data 1991 jest poza wszelką dyskusją i należy brać ją z całą powagą. Zresztą, mało to żartów stało się z upływem czasu pełnowartościową realnością? Czy we wcześniejszych wydaniach była ta data, tego nie zdołałem ustalić. W każdym razie roku 1991 nie dało się podważyć, jako że miał dopiero nastąpić.

Tak czy inaczej, od roku 1978, który zresztą już był niejako moim całkiem prywatnym i intymnym końcem świata, lub czymś w tym rodzaju, żyłem ze świadomością czasu oznaczonego i wskazanego przepowiednią. Brałem to lekko, z dozą sceptycyzmu, nieuchronną ironią i z dystansem. Ale chętnie dzieliłem się z rozmówcami tą wiedzą, a kiedyś nawet roztrąbiłem to przez radio, dodając szczyptę uszczypliwości i pobłażania dla bezinteresownych głupstw. Bo oczywiście wierzyłem tylko w taki koniec

świata, jaki oglądałem na obrazach Boscha, Brueghela czy Mompersa. Albo na wysoce komercyjnych filmidłach amerykańskich. A miałem jedynie niewzruszoną pewność, że chodzi tylko o piękną – jakkolwiek groźną – fikcję stworzoną dla moralizatorskiego belferstwa. I nic więcej. Jeśli nawet dopuszczałem koniec świata tak realny jak kubek kawy, który mam w zasięgu ręki, to tylko w wystarczająco odległej przyszłości, by się tym teraz kłopotać.

Mother Shipton nie sprecyzowała dnia ani miesiąca, niemniej rok był aż nadto wyraźny. Ciekawe. Oczywiście, z datami przewidywanego końca świata mamy do czynienia bezustannie, dlatego należy przyglądać się rzeczywistości uważnie, by czegoś – w tym przypadku końca świata – nie przegapić. Tak też czyniłem przez resztę siedemdziesiątej dekady i całą następną. Wszyscy wiemy, co to wtedy się działo. Raczej większe niż mniejsze wstrząsy gospodarcze. Dziwne zwroty polityczne. Przewroty. Wojny. Spiski. Wynalazki i innowacje zbrojeniowe. Skandale na przemian z aktami ludzkiej przyzwoitości. A gdy w październiku 1978 wybrano Karola Wojtyłę na papieża chyba nawet pomyślałem, że świat się kończy. Wszystko to pędziło na złamanie karku w kierunku roku 1990, jakby rozkładając zapowiedziany koniec świata na szereg wygodnych rat.

A gdy 8 grudnia ostatniego roku przed końcem świata Lech Wałęsa wygrał jako by konkurencję ze Stanisławem Tymińskim i został prezydentem RP, pomyślałem, że Mother Shipton z radości klasnęłaby w dłonie – a nie mówiłam? No, ale na Polsce świat się nie kończy. I tak już poleciało. Zjednoczyły się Niemcy. Skończył się Pinochet. Tysiące ofiar śmiertelnych trzęsień ziemi tu i tam. Tysiące zastrzelonych przeciwników tu i tam. Coraz to gdzieś ogłaszano niepodległość. O katastrofy lotnicze już mniejsza. Do tego w lipcu całkowite zaćmienie słońca. No i jeszcze śmierć Tadeusza Kantora. Jak tu nie pomyśleć, że to całkiem niezły wstęp do zakończenia. Obserwowałem świat spojrzeniem wykoślawionym przez znajomość daty. Niby nie całkiem dokładnej, ale wykluczałem, że koniec nastąpi przed połową roku, akurat wtedy, gdy Jugosławia uderzy na Słowenię. Stracilibyśmy bowiem piękną uwerturę do apokalipsy, jaką była Burza Pustynna i drobne masakry w różnych miejscach. Związek Radziecki zaczął się rozsyptywać. Trzeci kwartał wypełniła jatka na Bałkanach. Mother Shipton powiedziała by – wspaniale! Oto Leningrad stracił swe dobre imię! To wszystko nie chciało pomieścić się w głowie. Jeszcze w grudniu (Czarny Piątek!) Serbowie bombardowali Dubrownik i Osijekę. Widocznie końcowi świata wystarczyć miały ostatnie dni roku. Więc jeszcze przed sylwestrowym szaleństwem 31 grudnia 1991 gdy formalnie przestało istnieć ZSRR, uznałem, że oto się stało! Na nic więcej już nie czekałem, choć podobno z Etny ciągle buchała siarka i lava. Żadnych poza tym gromów, nawałnic ani trzęsień ziemi. Żadnego Michała Archanioła z wagą dobrych i złych uczynków, otchłani piekielnych i tak dalej. Wszystko jak gdyby istniało dalej, normalnie, jak zwykle, może trochę z rozpędu, ale już było po wszystkim.

Nie wiem, czy ktoś jeszcze poza mną miał tę świadomość. Wszyscy zbyt bardzo byli przejęci śmiercią Freddiego z *The Queen*, żeby zwrócić uwagę, że właśnie świat się skończył. Już go w ogóle nie ma, a cały ciąg dalszy jest tylko „snem wariata, śnionym nieprzytomnie” o jakim się mówi w *Serwus, Madonna*, poemacie wielkiego Konstantego. Był on również znawcą końców świata. Szkoda, że tego nie dożył. Nie przeżył tego, jak my wszyscy, którzy już to mamy za sobą. Do następnego razu. ■



Patricia Piccinini, *Ludzie z orlimi jajami*, 2018, fot. Andrzej Jerzy Lech, cyt. s. 206

Apokalipsa według Izajasza, wnuka Zorobabela i potomka królów judzkich¹

Już w Prologu (Iz 34-35) następujące po sobie obrazy i słowa wskazują Drogę Świętą ku ostatecznemu zbawieniu. Fragmenty te, często określane jako Mała Apokalipsa Izajasza, wyraźnie dzielą się na dwa niejako kroki: wizja zagłady i zniszczenia oraz obraz sądu i ocalenia, piekła i spustoszenia oraz raju i pokoju, albo też kary za niegdyś popełnione grzechy oraz sądu oraz miłosierdzia Bożego. W każdym razie całość ta zorganizowana jest według schematu: wyjście z krainy dotkniętej katastrofą apokaliptyczną oraz osiągnięcie celu, jakim jest zbawienie. A zatem bez wątpienia jest to schemat drogi, dodajmy – Drogi Świętej ku owemu Syjonowi. Tak właśnie Izajasz prowadzi swego czytelnika i słuchacza, lecz nie jest to li tylko literacki chwyt lub środek, ale głęboki zamysł właśnie eschatologiczny. Możemy wręcz powiedzieć, że całe życie staje się tu taką oto drogą, a zatem sąd Boży odbywa się nieustannie, a apokalipsa trwa. Nie jest to jakaś wizja odległej przyszłości, którą włożyć można między umysłowe fantazje i literackie baśnie, ale rzeczywistość ta po prostu staje się każdego dnia i każdej chwili.

Przesłaniu temu podporządkowany jest również sam sposób opowiadania, a mianowicie Izajasz, rozpoczynając swoją opowieść, dokonuje niespodziewanie zmiany czasu swojej narracji: z przeszłego, kiedy pisze, iż grzesznych Pan *przeznaczył na zagładę*, na teraźniejszy, mówiąc *zabici leżą pokotem*. Zabieg ten – do końca jednak nie wiadomo, czy świadomy – niewątpliwie potęguje dramaturgię całej opowieści i jeszcze bardziej podkreśla wymowę przesłania całości: apokalipsa **trwa**. To palec wyciągnięty w kierunku czytelnika – prorok mówi: i ty też bądź gotów, bo bynajmniej nie opowiadam jakiejś historii z odległej przeszłości, ani też nie kreślę jakiejś wizji dalekiej przyszłości, lecz to po prostu trwa na naszych oczach, a moim zadaniem jest tylko ci je otworzyć.

Być może zabieg ten moglibyśmy nazwać jako uobecnianie wizji, ale określenie to jest zdecydowanie za wąskie i zbyt ubogie, albowiem nie chwyta prawdziwego wymiaru metafizycznego, który za nim się kryje. Chodzi mianowicie w ogóle o sposób widzenia czasu i historii w Starym Testamencie, co przenosi się także do czytania Testamentu Nowego. Oto bowiem historia w nich przedstawiona tylko z pozoru zaczepiona

jest w „jakiejś” przeszłości i zmierza do „jakiejś” przyszłości, co jakże często bywa określane jako mała bądź wielka eschatologia, albowiem w istocie wszelkie wydarzenia przywołane w Piśmie raczej występują równolegle, jedno obok drugiego, a nie jedno po drugim. To znaczy są niejako dostępne w porządku synchronicznym, a nie diachronicznym i dlatego właśnie są porządkiem wiary i rzeczywistości zgoła innej niż rzeczywistość życia powszedniego, mierzona historią pospolitą, rozciągniętą pomiędzy dwiema nieskończonościami, nawiasem mówiąc, po równo spowitymi ciemnością, tj. początkiem i końcem, przeszłością i przyszłością, tego, co było i tego, co będzie. Czas Izajasza nie był jako żywo ułożony na takiej linii i jeśli mielibyśmy na jego określenie szukać geometrycznych analogii, to raczej należałoby tu posłużyć się obrazem okręgu, co oznacza, że nie tylko to, co było, wydarzyć się może jeszcze kiedyś, ale przede wszystkim to, że **trwa** przez cały czas. Teraz i – powiedzieć możemy – zawsze. Krótko mówiąc jest naszym doświadczeniem, które przeżywamy nieustannie i którego powinniśmy być świadomi. W przeciwnym bowiem wypadku pogrążamy się w jakiejś ułudzie, którą tworzymy na własny użytek, a ściślej: na użytek naszego życia powszedniego. A zatem, czas oraz przestrzeń są takimi ułudami, które tka nasz umysł po to, by po swojemu jakoś porządkować świat życia. Dopóty, dopóki tego sobie nie uświadomimy, nigdy nie będzie nam dostępne doświadczenie rzeczywistości, o której pisze Izajasz i nie tylko on zresztą.

Tej – zaiste dramaturgią podszytej – zmianie czasu i sposobu opowiadania towarzyszy u Izajasza zmiana samego narratora, bo oto najpierw powiada *mój miecz upoił się na niebiosach* (Iz 34, 5), by już za chwilę rozwiązać jakiejkolwiek wątpliwości: *miecz Pana spłynął krwią* (Iz 34, 6). Krótko mówiąc niespodziewanie mówić zaczyna sam Stwórca i Sędzia Najwyższy, a nie tylko Jego prorok. Zabieg ten – co jeszcze raz musimy tu podkreślić – nie tylko uobecnia całą opowieść, ale wręcz nakazuje czytelnikowi wierzyć, że to wszystko, o czym mowa, właśnie teraz się rozgrywa, a więc trwa: niejako poza życiowym czasem i poza życiową przestrzenią. Odślaniamy bowiem zupełnie inną rzeczywistość, odartą z iluzji i pozoru, a przede wszystkim z form życia, a do tego o wiele bardziej realną od tamtej. Bo to ona właśnie jest, a nie ta, która wydaje się nam, że jest. Oto właściwy wymiar przesłania, które płynie z tego tekstu. A zatem apokalipsa właśnie trwa, a my wędrujemy od krainy grzechu Edomitów do owego miejsca na Syjonie, Świętej Górze, do której powracają wszyscy odkupieni.

Ale w tej dwutaktowej proto-Apokalipsie mamy do czynienia z jeszcze jedną opozycją, która niejako organizuje ten świat. A mianowicie, z jednej strony mówi się tu o nicości, bo *Pan rozciągnie nad nim sznur nicości* (Iz 34, 11), z drugiej zaś o pełni, albowiem *trysną źródła wód na pustyni i strumienie na stepie* (Iz 35, 6), co w porządku metafizycznym tłumaczyć należy, iż mamy tu do czynienia z przejściem – Świętą Drogą – od niebytu do bytu, od nieistnienia do istnienia. Oto prawdziwy wymiar tej wędrówki znaczonej okropnościami Apokalipsy.

¹ Cały poniższy komentarz do Wielkiej Apokalipsy proroka Izajasza posłużył jako rozbudowana eksplikacja scenariusza filmu pod takim samym tytułem.

Warto także zwrócić uwagę na pierwszy człon tej wskazanej wyżej opozycji, czyli na owo *opustoszenie*, które pozostawia za sobą karzący miecz Pana. Izajasz mówi aż nadto wyraźnie: *kraj pozostanie opustoszały z pokolenia w pokolenie* (Iz 34, 10), co należy rozumieć, iż nie tylko stajemy na krawędzi nicości i otchłani niebytu, ale również i to, że samo życie zostaje starte z wszelkich jego form po to, aby odsłonić spoza nich byt jako taki, istnienie samo, które formami tymi zostało wcześniej zakryte i przesłonięte. Pojęcie pustki, które staje się tu doświadczeniem człowieka jest tak naprawdę stanem oczyszczenia, który prowadzić może do wejścia na drogę ku pełni. W tym też sensie jest czymś absolutnie oryginalnym i niespotykanym w innych tradycjach duchowych, zawiera bowiem w sobie pierwiastek nadziei, który potem przekształca się w znak miłosierdzia. Co ciekawe jednak, nie jest on po ludzku „wydumany”, co znaczy, że nie jest jeszcze jedną fantazją umysłową, lecz – dokładnie przeciwnie – zostaje poniekąd odnaleziony i odsłonięty w tym, co jest. A zatem jest jak najbardziej realny.

Ten dwutaktowy prolog do Wielkiej Apokalipsy jest więc już w pełni przesiąknięty całą jej materią i całym jej przesłaniem. Zawiera bowiem w sobie wszystko to, co zostaje rozpisane na elementy składowe jako stacje Drogi Świętej przez życie. Bo opisany w kroku pierwszym *dzień pomsty* poprzedza wyzwolenie, kiedy to *przejrzą oczy niewidomych i uszy głuchych się otworzą* (Iz 35, 5) – przechodzimy zatem „od” „do”, oto ten rytm, który cały czas pulsuje w strofach proroka.

I na sam koniec tego krótkiego opisu prologu do Wielkiej Apokalipsy wspomnijmy jeszcze o jednym, nader tajemniczym i niepokojącym jego fragmencie. Oto opisując ową krainę życia dotkniętego wizją apokaliptycznej zagłady prorok pisze: *Zdziczałe psy spotkają się z hienami i kozły będą się przyzywać wzajemnie; co więcej, tam Lilit przycupnie i znajdzie sobie zacisze na spoczynek* (Iz 34, 14). A zwłaszcza owo „co więcej” budzi dreszcz niepokoju, albowiem sugeruje, że ponad okropność i obrzydliwość przywołanych hien i kozłów stoi jeszcze jakaś tajemnicza postać o nazwie Lilit, o której na dobrą sprawę nic nie wiadomo. Skoro jednak jest tu wymieniona – i do tego w tym określonym miejscu – musi znaczyć coś specjalnego. Co?

Otóż należy na podstawie całego tu przeprowadzonego wywodu wnioskować, iż prorok ma tu na myśli jednego z demonów zła, który czyha na drodze człowieka. Prawdopodobnie też jest to jeden z bardziej niebezpiecznych duchów, skoro został tak wyróżniony przez Izajasza. Warto przy tym zauważyć, że w świecie Starego Testamentu jeszcze nie wykształciło się pojęcie szatana jako uosobienia zła oraz wodza wszelkich duchów piekielnych. Zamiast tego pojawiają się – nawiasem mówiąc śladem wierzeń starożytnych, a w szczególności tradycji perskiej – liczne moce wodzące na pokuszenie człowieka, które jednak nigdy nie znajdują się w centrum uwagi proroków i nauczycieli duchowych. Przeciwnie: zjawiają się jakby mimochodem i jakby na marginesie

nauczania. Prawdę powiedziawszy, nawet nie wiadomo dlaczego i skąd. Zazwyczaj powiada się, iż są to ślady wiary jeszcze sprzed wygnania, a sama tradycja hebrajska w nikłym tylko stopniu ją wykorzystywała. Mimo to jednak poszczególni autorzy starotestamentowi wspominają tu i ówdzie o działaniu duchów nieczystych (por. Rdz 6, 1-4; Kpł 16, 6; Hi 6, 4). Demony przenikały do ciała i duszy człowieka, powodując choroby oraz upośledzenia duchowe i moralne. To wtedy właśnie ludzie schodzili na pobocza swej drogi (ku Syjonowi, jakby to określił Izajasz) i najpierw błędzili, a potem doświadczali zaiste apokaliptycznych chwil. Kim jednak była Lilit i dlaczego duch ów obdarzony jest rodzajem żeńskim? Wszak oddawany w innych przekładach jako „strzyga” (a w tłumaczeniu ks. Jakuba Wujka jako „jędza”)?

Wkraczamy tym razem w obszar nie tyle hermeneutyki biblijnej, ile bardziej w świat fantazji tradycji rabinackiej i dlatego musimy postępować nader ostrożnie, albowiem z jednej strony pojawia się niebezpieczeństwo nakładania na tekst biblijny interpretacji, które bynajmniej w prosty sposób z niego nie wynikają, z drugiej zaś niejako poprzez ów zabieg wlewa się tradycja zupełnie obca. I nie chodzi bynajmniej o jakąś czystość doktrynalną, ile bardziej o metafizyczną spójność. O cóż zatem tak naprawdę tu idzie?

Otóż dla Żydów Lilit była żeńskim demonem, który szczególnie godził w kobiety ciężarne oraz noworodki. Pojawia się historycznie dosyć późno, bo dopiero w średniowieczu, a niewątpliwie nawiązuje do czasów asyryjskich, a może nawet babilońskich. Sądzieli oni, że owa Lilit była pierwszą żoną Adama, wedle samego zapisu z Księgi Rodzaju: *Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę* (Rodz. 1, 27). Kobieta ta jednak porzuciła Adama, ponieważ nie mogła zgodzić się na – jej zdaniem – upokarzającą formę odbywania stosunku seksualnego, kiedy to mężczyzna jest na górze. Dlatego go porzuciła (lub też przegonił ją sam Bóg). Uważała się bowiem poczęta z takiego samego prochu, jak i Adam. Biblijna Ewa pojawia się zatem dużo później, tym razem poczęta z żebra Adama, jak wiadomo: *... nie znalazła się pomoc odpowiednia dla mężczyzny. Wtedy to Pan sprawił, że mężczyzna pogrążył się w głębokim śnie i gdy spał, wyjął jedno z jego żeber, a miejsce to zapełnił ciałem. Po czym Pan Bóg z żebra, które wyjął z mężczyzny, zbudował niewiastę* (Rodz. 2, 21-22). Tymczasem Lilit wygnana z raju uciekła do obcej krainy, gdzie współżyła z demonami. Tyle ostało się z tej opowieści w przekazach zarówno rabinackich, jak i zoroastrańskich (w jednym z midraszy Lilit pojawia się jeszcze pod postacią węża, który kusi w raju Ewę pod drzewem wiedzy). W Biblii imię to wymienia się ten jedyny raz, wyżej przytoczony.

2 por.: *I zabieżą czarci dzikim mężom i kosmacz będzie wołał jeden na drugiego. Tam legła jędza i znalazła pokój* (Iz 34, 14 tłum. ks. Jakub Wujek).

Ale istnieje też inny przekaz o Lilit jako Królowej Nocy. I ten wydaje się być szczególnie interesujący dla rozumienia tej tajemniczej postaci. Nocne życie tego demona uwarunkowane jest głębokością snu, w jaki zapada rozum i umysł człowieka. I to właśnie wtedy – rzecz można – budzi się Lilit. Innymi słowy działa i wyzwala swoje moce wtedy, kiedy do głosu dochodzi podświadomość. Czyli zjawia się na poziomie instynktowym, dokładnie tak, jak popęd płciowy. Więcej: może być trzymany w karchach świadomości tylko w ograniczonym zakresie. Siła jego jest zatem ogromna. Każdego, kto jej przeciwstawi się wprost, zmiecie i pograży. Bo tak działają demony nocy, kiedy niewiele widać.

Działanie Lilit odbywało się więc dokładnie na poziomie instynktowym, i dokładnie tam, gdzie onegdaj Bóg zaprogramował odradzanie się i ciągłość gatunku ludzkiego. Demon ten jednak – rzecz można – poniekąd tę stworzoną przez Boga właściwość, „przeprogramował” i dlatego właśnie tak trudno było z nim walczyć. Powiedzielibyśmy obrazowo, że dosiadał siły i mocy ofiarowanej ludziom przez samego Boga, tyle tylko, że kierował ją zaiste po swojemu i ku swoim celom ją naginał. Z niespotykaną innym demonom mocą mógł więc igrzać z człowiekiem tak, jak mu się żywnie podobało. I choć ludzie być może chcieli inaczej, to i tak popadali w demoniczną niewolę instynktu, będąc jego zabawką w grze, bynajmniej samemu Bogu nie służącą. Ta rozbieżność pomiędzy intencjami a rzeczywistym działaniem rozjeżdżała więc człowieka poddanego tej sile, dlatego właśnie demon ów występował pod osłoną nocy, kiedy to nie widzi się tego, co widzieć się powinno, a więc działa się tak, jak Lilit szepcze do ucha. Ludzkim rozumem można było tylko co najwyżej grę tę nazwać, ale przeważnie nigdy ją wygrać. Bo z punktu widzenia istnienia była to zaiste gra. A więc chińskie I Ching stoi tuż obok mocy libido Freuda, i choć pierwsze coś wyzwala i ujawnia, to jednak nad tym nie panuje, drugie zaś ani nie ujawnia, ani nie wyzwala, jeno widzi i nazywa. To zdecydowanie za mało, by powstrzymać działanie demona.

Tak więc sama postać Lilit wspomniana w prologu do Apokalipsy jest uosobieniem szatana, jego wręcz istotą, albowiem pod urokliwym pozorem pięknej twarzy skrywa wprost do niej proporcjonalną otchłań zła i kuszenia i tak jak on, książkę tego świata, zawsze chce czynić dobrze, lecz działa wyłącznie źle i na zgubę człowieka. To od niej właśnie pochodzi samo kuszenie i zwodzenie jako typowe działanie demona zła.

Nie jest zatem przypadkiem, że Izajasz właśnie postać Lilit stawia na owej apokaliptycznej drodze, którą przez życie kroczy człowiek. Rzecz można, że to bardzo ważna stacja i ważny znak, albowiem rzeczywiście zogniskowuje w sobie całe zło tego świata: tak w formie, jak i w treści, sposobie działania jak i jego celu, którym od zawsze pozostaje otchłań nicości, czyli ów Szeol. A Izajasz zaiste był prorokiem, bo widział więcej, niż nawet my sami, albowiem nadal podążamy tą samą drogą.

Powszechny sąd Boży nad światem

A więc Apokalipsa zaczyna się od prostego stwierdzenia: *oto Pan pustoszy ziemię* (Iz 24, 1). Cóż się jednak stało? Co się takiego wydarzyło, iż spodobało się Bogu targnąć na własne dzieło? I czy rzeczywiście tak się dzieje? A może to tylko nasze złudzenie?

Izajasz od razu też wyjaśnia sposób działania Boga, a mianowicie *dotknięty* owym podmuchem zagłady zostaje zarówno lud, jak i jego kapłani, sługa i pan, nabywca i sprzedawca, wierzyciel i dłużnik; jednym słowem: wiatr Boskiego gniewu zrywa z ludzi wszelkie formy, niweczy podziały, burzy życiowe hierarchie i przywraca ziemi „stan zero” – bez życia, ale za to z tym, co tylko jest. Nic dziwnego, że ludziom wydaje się, że żałośnie wygląda ziemia, zmarniała (Iz 24, 4), a kiedy jeszcze prorok dodaje: świat opadł z sił, to już bez wątplenia wiemy, że życiu odjęto jego moc do tworzenia form, do tkania jego własnej materii. Bo po prostu *wyczerpało się* ono.

W tym miejscu nasze początkowe pytanie o to, czy apokalipsa jest rzeczywiście, po ludzku mówiąc, jakimś kataklizmem, czy też tylko za takowy uchodzi w naszych oczach, innymi słowy, czy przypadkiem nie jest rodzajem naszego życiowego złudzenia, przestaje być li tylko literacką prowokacją, a niespodziewanie nabiera znaczenia metafizycznego. Jeśli bowiem Bóg podmuchem swego gniewu zmiata z powierzchni życia wszelkie jego formy, to tym samym otwiera niejako człowiekowi drogę do odkrycia samego fenomenu istnienia. Kto wie zatem, czy właśnie apokalipsa nie jest w takim razie skrajnym w swej formie wyciągnięciem przez Boga ręki do człowieka: oto bowiem absolutnie graniczny sposób Jego objawiania się. Graniczny dlatego, ponieważ poza nim nie ma już naprawdę nic.

Ale z rozumowania tego płynie jeszcze jeden – dość nieoczekiwany – wniosek, a mianowicie apokalipsa jest w takim razie niczym innym, jak tylko jeszcze jedną formą życia, która – paradoksalnie – całe życie obraca w proch. A nawet więcej: jest **ostatnią** jego formą. Prowadzi to nas dalej do konkluzji zadziwiającej: wszak wszystkie formy życia uznaliśmy za pozór, albowiem nie tylko w nieudolny sposób odbijają istnienie, ale także go swoją materią zasłaniają, a zatem i apokalipsa jest pozorem, a więc nie istnieje! Musimy zatem spojrzeć dalej niż owe barwne opisy i literackie obrazy po to, aby ujrzeć niejako spoza nich byt absolutny, który je niejako warunkuje (bo sam nie jest niczym uwarunkowany, poza sobą samym).

Czy to jest w takim razie rodzaj gry, którą Bóg prowadzi z człowiekiem? Bóg nie może w jakikolwiek sposób „grać”, albowiem samo to określenie powstało w głowach ludzi i człowiek w nieuprawniony sposób przykładą je do Stwórcy, albowiem – jak zwykle – nie może sobie poradzić z jakimkolwiek Jego określeniem. Bóg pozostaje ciągle poza naszym zasięgiem i poza naszą wyobraźnią. A zatem apokalipsa jest nie tylko skrajną formą życia, ale i – jako taka – wytworem naszego umysłu. Przyznajmy jednak: umysłu poruszonego autentycznym problemem, jakim jest utrata z winy

człowieka więzi z istnieniem. Mówiąc najkrócej, apokalipsa to ostatni krzyk człowieka przerażonego samym sobą i tym, co stworzył.

Dlaczego w takim razie nie czytamy jej jako pieśni nadziei, lecz przeważnie jako pieśń zagłady? Otóż dlatego, bo pomimo jej dramatycznego wyrazu oczy nasze nadal pozostają zamknięte, a uszy zatkane. W ten właśnie sposób ciągle na nowo oswajamy apokalipsę i przytracamy ją do siodła życia. Ona jest ciągle „nasza”, a powinna być Jego głosem. Bo apokalipsa otwiera, a nie zamyka, gdyż jest uwerturą, a nie akordem końcowym. Ale ani nasze zamknięte oczy tego nie widzą, ani też nasze zatkane uszy tego nie słyszą, a my pogrążamy się w jeszcze głębszej drzemce.

I kiedy tak oto *ogłocona* została ziemia, to przygotowany został właściwy grunt do wydania sądu nad życiem. Wyrok, jaki zapada wypływa z jej czeluści, rzecz można wyrasta z niej w sposób naturalny. W umowny zatem sposób przyjmujemy, iż to Bóg wydaje wyrok, albowiem raczej jest on wydawany mocą całego bytu, a Izajasz pisze jeno tak, aby człowiek mógł lepiej to zrozumieć.

A zatem błogosławione jest *przekleństwo, które pochłonęło ziemię*, bo przecież została ona *splugawiona* – oto punkt wyjścia apokaliptycznego przesłania, oto punkt zero, z którego można jeszcze nieskończenie wiele wyprowadzić.

Zniszczone miasto

Póki co jednak nadal przyglądamy się zagładzie tego świata i stopniowemu opadaniu wszelkich form życia. Prorok pogłębia swój obraz, odsłaniając mechanizm ich rozpadu. Wprowadza więc stopniowo do swego opisu pary opozycyjnych wobec siebie pojęć po to, aby odsłonić logikę przejścia od zagłady życia do sanacji istnienia, od chaosu do porządku i ładu, od pustki do pełni, od wiedzy (czysto ludzkiej) do tajemnicy, wreszcie od zachodu do wschodu, gdzie oczom ma się ukazać zupełnie nowy pejzaż: właśnie z wschodzącym nowym słońcem nad nowym miastem, tym razem Świętym. Jak widzimy, nadal mamy zachowany ów dualny typ opisu, co jeszcze bardziej wzmacnia naszą wyjściową tezę, iż sama apokalipsa to nie tyle pieśń zagłady, ile bardziej nadziei na odrodzenie nowego życia – w nowym miejscu, jako triumf Miasta Bożego, które wszak prorok opiewa w swej pieśni.

Ten pokazany wyżej sposób narracji, będący wszak harmonijnym stopem formy i naczelnego przesłania, zorganizowany jest również wokół nader istotnych idei metafizycznych, a mianowicie rozproszeniu i rozpadowi świata dotychczasowego życia przeciwstawiony jest świat jedności i harmonii, chaosowi zaś porządek samego bytu. Jednym słowem, opozycje te przez cały czas „pracują” w głębokich pokładach myślenia Izajasza oraz w literackich formach ich przekazu. W tym też sensie cały ten fragment Księgi jest znakomicie skomponowany, a przede wszystkim prześwietlony rzeczywiście mistyczną głębią.

W tym fragmencie czytamy więc o *mieście chaosu*, w którym znajdujemy tylko opustoszałe domy i gdzie wiatr przewala się przez puste ulice. To słowo „pustka” akurat tutaj powtarza się jak echo odbite od nagich ścian niezamieszkałych przez nikogo budynków i krąży ponad placami, przez które przelatują tylko tumany kurzu, podniesione podmuchami pędzącego nie wiadomo dokąd powietrza. Słowo to jest kluczowe dla zrozumienia tych obrazów, albowiem symbolizuje całe życie, któremu odjęto właśnie życia, gdyż opadły z niego wszelkie formy. A zatem rzeczywiście, jeno *pustka została w mieście* (Iz 24, 12).

Stan pustki jest w istocie stanem oczyszczenia i prowadzić może w dwóch, nawzajem się wykluczających, kierunkach, a mianowicie bądź ku otchłani nicości, gdzie *groza i dół, i sidło na ciebie, mieszkańcu ziemi*, bądź też ku niezmierzonemu oceanowi bytu, pełni istnienia, na widok którego *ci to podniosą swój głos, sławić będą majestat Pana, wzniosą okrzyki od strony morza* (Iz 24, 14). To właśnie z tej strony świata oczekiwać należy *wschodu*, gdzie *czcić będą Pana, na wyspach morskich*. I to z tej właśnie perspektywy – niczym poranna mgła napływająca z głębi oceanu – wieje delikatnie wiatr pewnej tajemnicy, którą dzieli się w swym widzeniu prorok. Powiada więc, że *wiarołomni dopuścili się zdrady*. Cóż jednak ma na myśli? Otóż – wzorem innych przekazów starotestamentowych (por. Koh 10, 8; Prz 26, 27) – powtarza, że poniekąd istotą zagubienia człowieka w życiu jest on sam, albowiem zaufał nie Bogu, lecz własnemu rozumowi i w ten sposób założył sidła, którymi się *omotał*. Trochę to przypomina sytuację, kiedy przypadkowo wpadamy w trzęsawisko, które z wolna pogrąża nieszczęśnika w swoich odmętach bez jakiegokolwiek możliwości oparcia się na czymkolwiek z zewnątrz, by móc wydostać się na suchy ląd. Z ludzkiego punktu widzenia jest to rzeczywiście sytuacja bez wyjścia i dlatego jedynie radykalna wizja apokalipsy zrzucić może z człowieka pęta, które zarzucił sam na siebie. Z ust człowieka bowiem wydobywa się tylko *krzyk grozy*, albowiem na nic innego nie może się już zdobyć. Wypowiedział je – jak wiadomo – pewien pułkownik powtarzając w kółko: „horror, horror, horror”. Oto atmosfera tych strof oraz przekaz, który płynie do nas przez cały czas.

Dalszy ciąg poematu o sądzie ostatecznym

Na czym jednak polega ów sąd nad światem życia? Izajasz powiada, iż *otworzą się upusty w górze i podwaliny ziemi się zatrzęsą* (Iz 24, 18), przez co należy rozumieć – używając języka wypowiedzi tej książki – że kiedy tylko podmuch apokalipsy rozwieje na cztery strony świata wszelkie formy życia, to wtedy otworzy się zapomniana przez człowieka, a nawet rzecz można: zlekceważona, perspektywa wertykalna, wedle której faktycznie uporządkowany jest cały świat. Do tej pory bowiem widzieliśmy wyłącznie linię horyzontalną, rozciągniętą na wysokości naszych oczu i to właśnie podług jej logiki organizowaliśmy całe życie. Tymczasem nagle okazuje się, że jednak coś jest *na*

górze i coś, co jest fundamentem *na dole*, a to wymyka się naszym oczom, zapatrzonym tylko w umysł, który programuje zarówno widzenie, jak i słuchanie. Trzęsie się więc zaiste cały nasz świat, *pęka i wybucha, drga i kołysze się, zatacza się jak pijany*, co wiernie notuje prorok. Bo tak naprawdę fałuje rytmem grzechu i występku, choć nie byliśmy do tej pory tego świadomi – aż powiał wiatr apokalipsy i odsłonił głębię i przestrzeń, które istniały od zawsze, ale nie były widziane.

Co ważniejsze jednak, nie chodzi tu tylko o wrażenia czysto wizualne i słuchowe, te bowiem najczęściej są najbardziej widoczne, albowiem uchwytne okiem i uchem, lecz przede wszystkim o to, że zadrżał również cały gwiazdozbiór naszych wartości, autorytetów, wyobrażeń i teorii, wiedzy i sposobów poznania. Te bowiem organizowane były wyłącznie na miarę umysłu i siłą rozumu, tymczasem oto obnażona zostaje ich znikomość i ułomność. Ich symbolem są w przekazie Izajaszowym z jednej strony *wojsko niebieskie*, z drugiej zaś *królowie ziemscy*. I oto teraz, kiedy ziemia się trzęsie, opadają te znaki i wartości niczym suche liście z drzew. Spoza tego – jeszcze do niedawna – zielenią buchającego krajobrazu wyłania się nagle twarda niczym skała rzeczywistość: oto każdą grudkę tej ziemi i każdy konar drzew przenika jedno, odwieczne i konieczne prawo, które działa bezlitośnie i nieodwołalnie. Jego wyroki są bezwzględne i oczywiste.

Ale co ważniejsze, nagle też okazuje się, że żyliśmy *uwięzieni w lochu* własnych wyobrażeń i dlatego kara następuje z mocą konieczności. Trzeba chyba także wymowę tego twierdzenia zradycalizować: życie po prostu jest więzieniem. Apokalipsa zatem staje się tu wyzwoleniem i ucieczką od tego świata.

To nie są żadne kolejne wymysły rozumu ani też kolejne wytwory rozumu, lecz jak najbardziej oczywiste fakty. Dlatego właśnie, że choć były oczywiste, to jednak nie przyjmowane przez człowieka, *księżyc się zarumieni* i *słońce się zawstydzi*, bo w obliczu tejże ich oczywistości zaiste nic innego nie pozostaje, jak wstyd i zażenowanie. Zagładzie tego świata towarzyszy więc rumieniec skrywający myśli, które wywracają wszelkie myślenie. On niczego nie chroni, lecz tylko ukrywa naszą własną bezradność wobec siebie samych.

Tymczasem pobrzękują ciężarki ustawione na wadze, jej szale przechylają się raz w jedną, a raz w drugą stronę, albowiem – jak zapisano w Księdze Kapłańskiej – *Będziecie mieć wagi sprawiedliwe, odważniki sprawiedliwe, sprawiedliwą efę, sprawiedliwy hin. Ja jestem Pan, Bóg wasz, ...Będziecie strzec wszystkich ustaw moich i wszystkich wyroków moich. Będziecie je wykonywać. Ja jestem Pan!* (Kpł 19, 36)³.

³ Obrazy sądu Jahwe nad ludźmi odnajdujemy także w: Ps 135, Ps 50, Iz 3, 13. A to tylko wybrane przykłady, albowiem świadomość nieuchronności kary za złamanie prawa była przez cały czas obecna w świecie Starego Testamentu. Co ciekawe jednak, po pierwsze, nie dotyczyła jakiegś bliżej nieokreślonej przyszłości, lecz wydarzała się już, teraz i niemal natychmiast oraz, po drugie, zawsze konkretny skutek był poprzedzony równie konkretną przyczyną, albowiem taką mechaniką był opleciony i spojony ów świat. W tym sensie – co raz jeszcze wypada tu podkreślić – było to oczywiste i niedyskutowalne (chyba że za cenę absurdu, a czegoś takiego świat ten nie znał).

Dziękczynna pieśń wybawionych

Nieprzypadkowo ta właśnie pieśń – *pieśń wybawionych*, jak pisze Izajasz – rozpoczyna się wezwaniem do Pana: *Panie, Tyś Bogiem moim!* (Iz 25, 1). Bo oto skończyło się wszystko, czyli znikły wszelkie formy i życie odpłynęło, pozostał zaś nagi fakt samego istnienia. Widać zatem dopiero teraz jego ogrom, potęgę, oczywistość i bezdyskusyjną konieczność, które pospołu tylko jeden gest powodują: uwielbienia i chwały. Ale nie jest to jakakolwiek forma, albowiem życia już nie ma: to słowo poza językiem i głos poza zwykłą mową. Jednym słowem nareszcie coś autentycznego. To właściwa barwa dziękczynienia po podmuchu apokalipsy.

Tak oto odsłania się rzeczywistość *przedziwnych zamierzeń z dawna powziętych, niezmiennych, prawdziwych* (Iz 25, 1), czyli tego, co było, jest i będzie, teraz i zawsze, i – dodajmy koniecznie – rzeczywiście prawdziwe. Bo to słowo także nie pojawia się tu przypadkowo, albowiem raz jeszcze kieruje naszą uwagę ku temu, co na pewno jest. I z tej oto perspektywy widzimy świat życia – o apokaliptyczna zgrozo – wywrócony na nice, czyli tak, jak jest i było zawsze: *zamki pysznych* zamieniają się w rumowiska gruzów, ubodzy wreszcie znajdują swą podporę, przestaje padać deszcz zimową porą, a spiekota nie dokucza już na suchym stepie. Aż dwukrotnie Izajasz wspomina, że pycha ludzka i wrzawa zostają uśmierzone i stłumione, co prowadzi nas do korzeni wszelkich naszych występków, grzechów i błędów, do naszego własnego rozumu, który kiedyś zaczął budować rzeczywistość alternatywną dla tej, którą widzimy dopiero teraz, po apokaliptycznej burzy i nawałnicy. Jeśli zatem jest tu mowa o *wybawieniu*, to zaiste jest to wyzwolenie spod władzy tej właśnie rzeczywistości. I dopiero teraz jest w ogóle możliwa *pieśń dziękczynienia*, którą uznać możemy nie tylko za prawdziwą, ale i autentyczną: cichy głos po wielkiej burzy, który wydobywa się ze ściśniętego gardła. Dlaczego jednak najpierw trzeba przestraszyć się, by uwierzyć, przeżyć, by doświadczyć, dojść do kresu, by odnaleźć? Czy naprawdę cierpienie i gorycz wpisane są w tę drogę?

Uczta mesjańska

Kiedy jednak podróż już skończona, rozpoczyna się droga na szczyt – świętą górę, na szczycie której nie tylko trwa owa *uczta mesjańska*, ale gdzie również opadają wszelkie *zastony*, którymi zakryte były ludzkie oczy i uszy, a oblicza skrywały formy. A są one niczym innym, jak tylko *rumieńcem wstydu* wobec oczywistości istnienia – bo zaiste tylko tak można je widzieć z samego szczytu świętej góry. Pozostaje tylko zażenowanie, choć nie zawsze poczucie winy; jakże trudno bowiem wyrwać się z okowów własnego umysłu i ... nie, nie uwierzyć, lecz dojrzeć to, co naprawdę jest! O tym mówi prorok Izajasz w tym fragmencie swej Apokalipsy.

Tymczasem dla tych, co rzeczywiście ujrzeni, trwa nieustająca *uczta*, bo opadają wszelkie *zastony* i ustaje taniec umysłu, bo przecież w istocie nie ma tego, kto tańczy.

Świat form życia to właśnie taniec bez tancerza, albowiem jest on wymyślony przez nas samych.

Izajasz natchnionym głosem powiada zatem, że uczta owa dopiero wtedy jest możliwa, kiedy zerwany zostaje *całun*, zakrywający tę jedyną rzeczywistość, naprawdę realną. W tym kontekście samo słowo „mesjańska” trzeba rozumieć inaczej, niż to zwykliśmy czynić posiłkując się logiką i porządkiem życia. A mianowicie mowa tu jest bynajmniej nie o jakiejś odległej przyszłości, lecz o tym, co jest teraz lub też – mówiąc jeszcze dokładniej – jest mowa o czasie czasu pozbawionym, o horyzoncie bycia poza geometrią nam znaną. Dlatego właśnie ta uczta rzeczywiście jest ucztą.

Mijają także wszelkie pojęcia życiem definiowane, takie, jak łzy, śmierć, hańba lub ich proste przeciwieństwa: radość, życie czy też poczucie prestiżu. W ogóle nie ma tu takich uczuć, bo i samo pojęcie uczucia zostawiliśmy za sobą. Cóż zatem pozostaje? Na samym końcu pojawia się całkiem naturalna wierność i ufność *złożona w Panu*.

I znowu w końcowych zdaniach tego fragmentu Izajaszowej Apokalipsy pojawia się zdanie o *pysze, którą upokarza* Pan. Może to jest właśnie prawdziwe źródło wichury zmiatającej z powierzchni wszelkie formy i odsłaniającej skaliste zbocze świętej góry, na którą mozolnie się wspinamy? Skały, która tylko jest?

Dруга pieśń dziękczynna za zwycięstwo

W pewnym sensie naturalne staje się, że po Uczcie mesjańskiej rozbrzmiewa Pieśń dziękczynna. W proroctwie Izajasza panuje swoista logika i porządek, które muszą jednak zapanować nad chaosem życia i harmiderem form. Właśnie słowami pieśni prorok opisuje ów stan tuż po zwycięstwie nad siłami ciemności.⁴

W tej części swej Apokalipsy pozostajemy więc w miejscu ocalenia: mieście warownym, w którym schronił się *naród sprawiedliwy, dochowujący wierności* (Iz 26, 1). Ale przez jego bramy wchodzi *stateczni*, którzy odnaleźli pokój i ufność w Panu. Tym wybranym Izajasz przeciwstawia pysznych, którym wydaje się, że przebywają na szczytach, które sami osiągnęli, i gdzie założyli własne miasta. Wszystko to jednak obrócone zostaje w proch: mury tych twierdz oraz pycha tych ludzi – *upokarza je* Pan *aż do ziemi*. Taki świat musi więc runąć, albowiem przywrócony zostaje pierwotny ład, który odwraca hierarchie wymyślone przez człowieka. Tak oto *nogi biednych i stopy ubogich* depcą bogactwa pysznych i dumę władców.

Spójrzmy jednak na ten obraz nieco z boku. Po raz kolejny wyczytujemy z niego ów fundamentalny paradygmat świata rozerwanego na biel i czerń, dobro i zło, dzień i noc,

⁴ Warto też zwrócić uwagę, że motyw walki sił ciemności i światła w sposób szczególny jest obecny w całej tradycji deuterokanonicznej, w apokryfach, tekstach pseudoepigraficznych, a zwłaszcza w qumrańskiej „Regule wojny”. Wskazuje to na związki z religią zaratusztriańską. I bez wątpienia sam prorok Izajasz w swej Apokalipsie był pod wpływem tej tradycji, aczkolwiek w oryginalny i twórczy sposób ją uzupełnił swoją wizją eschatologiczną.

dół i górę. I prorok Izajasz zdaje się tylko po raz wtóry powtarzać, że takie myślenie, przebiegające w dwóch taktach dokładnie całe życie człowieka, jest w gruncie rzeczy pozorne, albowiem ostatecznie – właśnie po burzy Apokalipsy – pozostaje tylko trwanie w Panu, które jest nie tylko poza jakimkolwiek ludzkim myśleniem, ale także poza umysłem. Jeśli zatem w ogóle odczytywać Apokalipsę jako zdarzenie tragiczne, to zdać musimy sobie sprawę z tego, że jest ona skutkiem naszego własnego działania i myślenia, a zatem jej nie ma. Ironia zaś naszego losu polega na tym, że z bytów nieistniejących wyciągamy jak najbardziej realnie istniejące wnioski i płaczemy wprowadzie rzeczywistymi łzami, ale z nierzeczywistych powodów.

Bo zegar ustawiony w kącie bynajmniej nie wychyla swojego wahadła raz w jedną, a raz w drugą stronę, albowiem w rzeczywistości spoczywa ono przez cały czas w jednym miejscu. Nie ma bowiem czego odmierzać, gdyż i czasu nie ma.

Tak oto, dokładnie w takim położeniu, Izajasz intonuje...

Psalm eschatologiczny...

albowiem w gruncie rzeczy wszystko nie tylko pozostaje na swoim miejscu, ale i wszystkie ścieżki są proste : o tyle, o ile są *sprawiedliwe*. Przy czym samo pojęcie sprawiedliwości niewiele ma wspólnego z życiowym rozumieniem prawa jako umowy opartej na rozumie ludzkim. Raczej na odwrót: prorok ma tu na myśli prawo i sprawiedliwość, które wprost wynikają z porządku i ładu całego bytu stworzonego, i jako takie są konieczne i oczywiste. A więc i łamanie ich staje się tu po prostu absurdalne. Pobrzmiewają zatem echa owego jakże znamienego Psalmu 119; a więc i sama eschatologia przestaje być „wieszczaniem” na modłę życiowych zaklęć, a staje się wskazaniem koniecznej drogi, od kierunku której po prostu nie ma odwołania.

Oczywiste zatem staje się również i to, że na drodze tej idziemy śladami Pana. Widzimy wprowadzić Jego ślady, ale nie odnajdujemy oblicza, dlatego Izajasz powtarza za psalmistami: *dusza moja pożąda Ciebie w nocy*. Ton wyraźnie wskazuje na psalmową inkantację; zarówno w formie, jak i w treści.

Warto przy tym zwrócić uwagę na kolejne słowa Izajasza: *duch mój – poszukuje Cię w mym wnętrzu* (Iz 26, 9). Nie chodzi tu jednak o proste przeciwstawienie zewnętrznego działania wobec jakiejś aktywności wewnętrznej, lecz o zupełnie inną figurę myślenia i czucia: prorok nie pyta już o to, gdzie należy szukać Boga, lecz o to, jak w ogóle jest możliwe to szukanie i czym się w nim człowiek kieruje. Innymi słowy poszukiwanie Boga staje się tu funkcją określonego nastawienia, a to z kolei zawsze kieruje nas ku własnemu wnętrzu. Określenie to niewiele jednak ma wspólnego z tradycyjnym, czyli czysto życiowym sensem, albowiem wyplątane jest z owej dychotomii wobec tego, co zewnętrzne; a nawet powiedzieć możemy, że Izajaszowe „wnętrze” poniekąd bierze w cudzysłów tę wskazaną wyżej antynomię i ogląda ją z zupełnie innej perspektywy,

pytając o jej źródła. Krótko mówiąc, jest badaniem własnych nastawień. Gdyby tak nie było, to zupełnie nie byłoby zrozumiałe, jak sprawiedliwość i prawo wywodzone są z *ziemi*. Oznacza to zaś, że są one wmontowane organicznie w ład i porządek świata, i działają w sposób konieczny i nieodwołalny. To dlatego właśnie *ręka Pana wzniesiona* i opada karą za przewinienia z tą samą mocą, z jaką po nocy wstaje dzień, a słońce każdego ranka rozpoczyna swą wędrówkę. Nic dziwnego zatem, że ten, kto tego nie widzi, może tylko wstydić się – bo to wszystko jest po prostu oczywiste!

Z oczywistości tej rodzi się też poczucie pokoju: oto jesteśmy w świecie, w którym *wszystkie nasze dzieła Tyś nam zdziałał* (Iz 26, 12); czyli w samym wnętrzu powszechnego misterium bytu jako jego uczestnicy. Nic zatem dziwnego, że nie tylko zewnętrzne stają się wewnętrznym, ale i poznawane poznającym. Dopiero z takiej perspektywy widzimy i badamy nasze nastawienia.

Fragment ten nie bez powodu więc nazwany został „eschatologicznym”, albowiem opowiada o rzeczywistości poza rzeczywistością życia. Musimy jednak szczególnie podkreślić, iż owa eschatologia nie dotyczy jakiejś przyszłości, albowiem jest poza jakąkolwiek historią i czasem. Innymi słowy jest swoistym wezwaniem do odkrycia: teraz, tu, natychmiast. Aczkolwiek i te określenia jeszcze dotknięte są życiowymi sensami i dlatego powleka je rdza czasu, historii i przestrzeni, które wszak zostały już wcześniej zmiecione wichurą apokaliptycznych obrazów.

Wspomniane tu odkrycie eschatologicznej rzeczywistości dokonuje się niejako organicznie i naturalnie, dlatego właśnie wyplątane jest z logiki następstw, przyczyn i skutków, a także czasu i przestrzeni. Przez słowo „organicznie” rozumieć należy, iż rzeczywistość tę oglądamy nie tylko z punktu widzenia jej uczestnika (czyli właśnie – jak chce Izajasz – z wnętrza), ale również jako, w tym szczególnym sensie, „nagą”, bo oczyszczoną porywem apokaliptycznym z form życia. Pięknie tę naturalność jej widzenia opisuje prorok: *Jak brzemienna, bliska chwili rodzenia wije się, krzyczy w bólach porodu, takimi myśmy się stali przed Tobą, o Panie!* (Iz 26, 17). W obrazie tym jest niemal wszystko, o czym musimy pamiętać mówiąc o „nowej ziemi” i „nowym niebie” (por. również Iz 65, 17; 66, 22 – nb. to tylko nasz właśnie prorok używa tych określeń)⁵.

5 Prawdopodobnie też nie jest przypadkiem, że kategorie „nowej ziemi” i „nowego nieba”, pojawiają się także w literaturze filozoficznej, nabierając jednak znaczenia wyraźnie utopijnego (por. w tej kwestii prace Ernsta Blocha oraz moją rozprawę z nimi w pracy *Ernst Bloch: filozofia z ducha nadziei zamieszczonej w książce Droga myśli*). Wydaje się jednak, iż taka ich interpretacja stoi w jawnej sprzeczności z metafizycznymi intencjami Izajasza: wszak nie chodzi w nich o to, by wskazywać jakąś odległą przyszłość, ale to, co jest. W tym też sensie ich sens operacyjny polega na odsłanianiu bytu, a nie na projektowaniu nowego, uchylaniu form życia, a nie na tworzeniu nowych. Krótko mówiąc, owe znaczenia utopijne zmieniają sens „nowej ziemi” i „nowego nieba” o przysłowiowe 180 stopni. I wreszcie sprawa ostatnia z tym ściśle związana, a mianowicie, pojęcia te raczej odwołują się do kwestii przymierza, jakie Bóg onegdaj zawarł z człowiekiem: i tu mowa jest o jego odnowieniu, a nie o projektowaniu nowego (raczej wymyślnego przez człowieka). Bo tamto ciągle jest i obowiązuje nadal.

A zatem: życie w ciemności, którą nagle rozjaśnia cierpienie, i to ono rozdziera zasłone istnienia, a potem ogień i wichur apokalipsy rozbijający wszelkie formy, i wreszcie narodziny nowego życia w nowej ziemi. W obrazie tym zaakcentować trzeba jeden szczególny moment, a mianowicie to, że odkrycie i odsłonięcie bytu dokonuje się poza strefą komfortu i bezpieczeństwa, czyli w ogniu bólu. To tu otwiera się brama Izajaszowej Apokalipsy. Kto zechce dobrowolnie w nią wejść? I dlaczego? Czyż nie tylko naprawdę wybrani, którzy potem zasiąść mogą do uczyty niebiańskiej?

Musimy także mocno zaakcentować to wynikanie: jeśli rzeczywiście odkryjemy głębię własnego wnętrza, to sprawiedliwość i prawo są oczywiste, bo *Twe sądy jawią się na ziemi, mieszkańcy świata uczą się sprawiedliwości* (Iz 26, 9); albo inaczej: nakazy i zakazy prawa o tyle są zrozumiałe, o ile wypływają z naszego wnętrza. To właśnie mieliśmy na myśli, używając określenia „organicznie”. Krótko mówiąc, Izajaszowa sprawiedliwość nie przychodzi bynajmniej z zewnątrz, lecz – na odwrót – odkrywana jest we własnym wnętrzu: nie jako wymyślona przez umysł, lecz jako już istniejąca. A zatem odsłaniamy ją w samym bycie.

W słowach powyższych – wbrew powierzchownym lekturom strof Apokalipsy – wyraźnie też mowa jest bynajmniej nie o końcu, lecz o początku nowego świata. A nawet więcej: wygląda to tak, jakby wszystko zaczynało się od nowa. Stąd ten obraz kobiety rodzącej, wprowadzie w *bólach*, ale jednak tylko tak właśnie wstaje nowy dzień, gdzie nawet zmarli *krzykną z radości*. I wieńczą ów psalm słowa o *rosie światłości*, która symbolizuje po prostu zmartwychwstanie po pożarze życia.⁶

Prorocstwo eschatologiczne

Samo słowo „prorocstwo” użyte przez Izajasza w tym fragmencie wydaje się jednak być nie na miejscu (zresztą prawdopodobnie zostało dodane przez komentatorów), albowiem tak naprawdę zaczyna się po prostu od wyraźnego nakazu: *idź mój ludu* (Iz 26, 20). Podobnie też następujące po nim strofy zawierają przede wszystkim żądanie i postulat, a nie przewidywanie lub wieszczanie. Izajasz mocą swoich wcześniejszych zdań chce jakby powiedzieć: jeśli jest tak, jak powiedziałem, to należy uczynić to, co teraz mówię. To jest logika, a nie prawdopodobieństwo lub wróżenie. Wszelkie następstwa faktów i zdarzeń są oczywiste i nie wynikają bynajmniej z jakiejś umysłowej konstrukcji, lecz wyłącznie zaiste

6 Na marginesie tylko wypada zauważyć, iż owa symbolika porannej rosy wielokrotnie jest używana w tekstach Starego Testamentu, a także – chociażby – w odkrytych stosunkowo niedawno zwojach znad Morza Martwego, czyli z Qumran. Uwaga ta wydaje się być wprawdzie oczywista, ale jeśli tylko twierdzenie to zestawimy z wielką praktyką duchową Wschodu, gdzie symbolika porannej rosy oraz żarzącego się o poranku słońca, odgrywa wielką rolę, to pewne zbieżności i analogie są naprawdę zastanawiające. I w jednym, i w drugim przypadku sama natura niejako wymusza na człowieku takie, a nie inne formy myślenia symbolicznego, co oznacza, że to nie człowiek jest twórcą tych fenomenów, a tylko poprzez człowieka przemawia Ktoś inny. Nasz rozwój polegał jednak na tym, że powoli i konsekwentnie pogrążaliśmy się w zapominaniu tej oczywistej wiedzy.

z natchnionego widzenia i słyszenia, a te zawsze odsyłają do tego, co jest. Dlatego też słowo, którym tu autor się posługuje, jest słowem koniecznym, zespolonym z tym, o czym mówi.

Powiada więc Izajasz, że słowa takiego, które – nawiasem mówiąc – zawiera w sobie prawdę o bycie, szukać należy we własnym wnętrzu, tam, gdzie trzeba *zamknąć drzwi za sobą* przed naporem i huraganem, strzaskanych gniewem Bożym, form życia. Tu tylko bowiem jesteśmy u siebie, albowiem świat cały stał się obcy. Szaleje w nim pożoga apokalipsy, która odsłania *ziemię nasiąkniętą krwią*: nieme ślady niegodziwości ludzkiej.

Jak już powiedzieliśmy tu wielokrotnie, Apokalipsa Izajasza nie tyle niszczy, co oczyszcza życie człowieka po to, aby odsłonić fundament wszystkich fundamentów, tj. to, co jest naprawdę. Prorok posługuje się w tym rozumowaniu obrazem potwora Lewiatana, którego ostatecznie Pan przebija mieczem. O ile jednak w tradycji mitologicznej, a także ugaryckiej, bogowie zmagają się w twardym i ciężkim boju z owym potworem, nierzadko przy tym słabnąć i okazując wręcz swoją niemoc, o tyle Jahwe, Bóg jedyny i stwórca wszystkiego co jest, raczej z nim tylko „igra” (por. Ps 104, 26 oraz Hi 40, 29), albowiem nawet najpotężniejszy potwór nie jest dla Niego żadnym przeciwnikiem, tylko zabawką. Także u Izajasza, ów Lewiatan jest tylko *płochliwy*. Określa go również mianem *kręty*, co by wskazywało, że prawdopodobnie jest wytworem ludzkiego umysłu, a nie przejawem bytu realnego; wszak bowiem wszelkie *drogi Pana są proste*. To dlatego właśnie Bóg owego Lewiatana traktuje nie tylko jak zabawkę, ale z właściwym mu pobłażaniem i *karze go swym mieczem* tak, jak karze się niesforne dziecko. I jeśli nawet *gniewa się*, to głównie dlatego, że ludzie nie rozumieją tej jednej oczywistej prawdy, że jest tylko On, Ten, który jest – cała reszta zaś jest ułudą, tkaną przez umysł człowieka.

Pieśń o winnicy Pańskiej

Teraz następuje krótka pieśń o czasie pokoju, kiedy to Bóg już nie walczy z życiem człowieka, ale czuwa nad nim, niczym jego stróż. Mowa jest zatem o nieustającej opiece Pana; Bóg wszak zdobywa się na wyznanie wobec człowieka: *nie czuję gniewu* (Iz 27, 4), mówi. Uważny czytelnik powinien w tym miejscu zadać więc sobie pytanie: czy doprawdy trzeba było przywołać całą grozę apokalipsy po to, by na końcu odsłonić to, co już było na samym początku? A zatem sama apokalipsa jest widzeniem niewidzących oczu i słyszeniem zatkanych uszu. Być może to jest ów najgłębszy jej sens: rozsznurowanie człowieka, odetkanie wszystkich porów jego ciała, by mógł wreszcie całym sobą zaczerpnąć świeżego powietrza. I znowu okazuje się, że woda jest mokra, śnieg biały, a trawa zielona, i świat cały staje się w istocie jedną wielką tautologią, czyli jednak nie kwestią wiary, lecz raczej oczywistości, dla której nawet wiara jest pewnym naddatkiem.

Tak oto szumi nieznany wcześniej wiatrem *winnica Pańska*, w której panuje pokój – chyba zaiste „przedwieczny”, albowiem i wieków jeszcze nie wymyślono. Cisza po nikomu niepotrzebnej burzy.

Łaska dla Jakuba, kara dla ciemieżcy

Z apokaliptycznego pogromu Bóg ocala naród wybrany, potomków Jakuba, po to, aby cały Izrael na nowo *zakwitł i rozrósł się*. Ważnym słowem jest tu wyrażenie, iż ma się on *zakorzenieć*. Oznacza to, że wreszcie człowiek odnalazł nie tylko swoją ziemię, ale w ogóle „prawdę ziemi”, to znaczy swoje, konkretne i tylko jemu przeznaczone miejsce w porządku bytu. I chyba jeszcze coś znacznie bardziej fundamentalnego, a mianowicie, że prawdziwy porządek i ład świata rozciąga się pomiędzy właśnie ziemią a niebem, a zatem jest wertykalny, a nie horyzontalny; innymi słowy nie jest oparty o rozum człowieka, lecz o harmonię całej natury stworzonej.

W perspektywie lektury czysto metafizycznej, słowo o *zakorzeniu*, czytać należy jako odnalezienie bytu. Innymi słowy, człowiek odnajduje teraz to, co własnowolnie zagubił. Pięknie więc brzmią słowa o tym, że – przypomnijmy – *Izrael zakwitnie*, a nawet *napęłni powierzchnię ziemi owocami* (Iz 27, 6). Oto, po chwilowym zachwianiu, równowaga na nowo odzyskana. A jednak przez cały czas, rzec można, pracują w życiu człowieka owe sprzeczności: jedni mają łaskę, jak ów ród Jakuba, inni zaś są *ciemieżcy*, albowiem uginają się pod ciężarem własnych grzechów i win. I prawdopodobnie jest tak, że po raz kolejny kiedyś sprzeczności owe znów rozsądzą tę przed chwilą odzyskaną równowagę i ponownie powieje wiatr apokalipsy, który zmiecie wszystkie dekoracje ustawione przez człowieka i odsłoni się nagle nagi fakt istnienia po to, by jeszcze raz tę scenę życia ustawić. I raz jeszcze przesunie się o jedno oczko dźwignia w tym odwiecznym mechanizmie bytu.

Cały czas zatem ów tajemniczy zegar taktuje nasze życie od zbawienia do potępienia, od mroku do świtu, od bycia wybranym do bycia odrzuconym. I znowu w tym miejscu wypada nam przypomnieć stare matryce myślenia sięgające czasów zoroastriańskich, a także tych, zapisanych w zwojach z Qumran. Widzimy zatem, jak Izajasz czerpie z tych tradycji. A jednak jest w tych fragmentach jego apokalipsy coś, co je różni od tamtych przekazów duchowych. Co?

Uważniej wczytajmy się w ten tekst. Oto prorok powiada, że *wina Jakuba będzie zmazana* i jednocześnie, że *kamienie ołtarza będą pokruszone*. O jakim ołtarzu tu mowa? Otóż Izajasz mówi tu o czczeniu bałwochwalczym bóstw wymyślonych przez człowieka i dlatego właśnie Bóg obróci je w proch. A zatem owymi potępionymi są ci, którzy zginają kolana przed tymi ołtarzami. Oznaczałoby to, że i ta – wskazana wyżej – sprzeczność i podział, które dzielą życie człowieka są tak samo wymyślone i pozorne, jak wymyślone są i pozorne owe bóstwa, przed którymi człowiek chyli co i rusz głowę. Wszystko zatem okazuje się w konsekwencji ułudą: najpierw pomysły człowieka na swoich bogów i swoje drogowskazy, a potem pragnienia i dążenia dyktowane rozumem, wreszcie kolejne sprzeczności, które przezwyciężamy, by posuwać do przodu własną historię. Nie mówiąc już o tragediach, dramatach, emocjach, upadkach i wzlotach, które sami

sobie fundujemy w tym życiu. I aż dziw bierze, z jakim zaangażowaniem i wzruszeniem załamujemy dłonie nad własnym losem tak, jakby niczego innego, znacznie bardziej poważnego, nie było na tym świecie. Otóż prawdziwą łaską, jak się wyraża Izajasz, jest zrozumienie tego wszystkiego właśnie – czyli spoczywanie w Panu. Niczego zatem tak naprawdę nie ma: ani historii, ani czasu, ani tych wskazanych wyżej sprzeczności, ani też nawet samej tej apokalipsy – albowiem jest tylko to, co jest. Cała reszta jest ułudą, albo też – mówiąc precyzyjniej – bałwochwalstwem. Mamy jednak wolną wolę: albo popędzimy za wiatrem w polu, albo cierpliwie i ufnie przysiadzimy na polnym kamieniu, by poczekać na Niego, który jest. Wystarczy tylko rozluźnić ramiona i oczyścić umysł ze śmieci, które sami wytworzyliśmy, by ...

Prorocstwo

... *stał się ów dzień*, kiedy odnajdą się i odnajdą siebie *zagubieni*, powrócą do siebie *rozproszeni*, i ostatecznie *uwielbią Pana*. I nie chodzi o to, że nie ma innego wyjścia, lecz o to, że to jest właśnie naturalne i oczywiste. Takie oczyszczenie jest w istocie krokiem ku świętej górze, a nawet więcej: już jest formą świętości.

Co zatem będzie? Otóż nic nie będzie poza tym, co było od zawsze. To jest trwanie dokładnie w tym samym punkcie na tym samym kole: nie wiadomo, czy jest on początkiem, czy też końcem, albowiem są to określenia z zupełnie innego horyzontu bytu, czyli z życia. A zatem także są ułudą.

I ów zaznaczony punkt nagle wybucha światłem, nigdy wcześniej nie widzianym. To jest właśnie doświadczenie, które opisuje Izajasz, za którym poszli inni.

Apokalipsa nie kończy się zatem lamentem lub błaganiem, lecz dziękczynieniem i uwielbieniem. Dlatego trwa. ■



Albrecht Dürer, *Wizja św. Jana dotycząca siedmiu świeczników* (Ap 1, 12-16), czyt. s. 148

Wybrać własną apokalipsę?

Innego końca świata nie będzie¹

„Cholerne urzędaszy, nienawidzę ich. Jak ja ich nienawidzę”, mówi pułkownik Walter Kurtz w filmie Coppoli *Apocalypse Now*, i wbrew nim buduje swoje „fantastyczne królestwo, lekceważące prawo, nie regulowane przepisami, pulsujące dziko poza granicami wszelkich przyjętych przez cywilizację norm. Nie piszę *funkcjonujące*, bo już samo to słowo kierowałoby nas ku porządkowi państwowej maszyny, tak przezeń znienawidzonej. Jego natomiast władztwo rozciąga się w nieokreślonej przestrzeni anarchii, rozumianej jako „ideologia czystej wolności”, jak to określał Guy Debord, żywiący odrazę do „kapitalizmu biurokratycznego”². Byłby on zapewne zapalonym wyznawcą pułkownika, doceniłby infernalne piękno jego dominium, pochwaliłby ową próbę ucieczki od przymusu cywilizacji odczuwanego tak przez amerykańskiego oficera i absolwenta West Point, jak i przez francuskiego intelektualnego ekscentryka i rewolucjonistę jako okropna tendencja do regulowania wszystkiego, próba poddania władzy nawet upływu czasu. Jako ingerencję w samą istotę człowieczeństwa. Obaj czuli lęk nie przed śmiercią i cierpieniem, ale przed wszechmocnym systemem.

Quasi-państwo w kambodżańskiej dżungli jest przerażające i niepokojące, a jednak cudowne jak straszna baśń, malownicze i niezwykle jak *Pieśń* Boscha, wyjęte nie tylko spod prawa kodeksów i kartotek, ale i przede wszystkim spod prawa banału i powtarzalności. Podobne urodą innym przedstawieniom apokalipsy: literackim, muzycznym i wizualnym. Bo, mimo iż budzące grozę, przedstawienia czasów ostatecznych są zwykle dziwnie pociągające podobnie do zdjęć czy filmów, które ukazują okrucieństwa, jak fotografie Sebastião Selgado z szokującymi pejzażami koszmarów. Wywołują lęk, a jednocześnie nie można się od nich oderwać. Mają w sobie perwersyjną harmonię i niezwykłość. Dramat dziejący się w okopach Świętej Trójcy, dźwięki *Dies irae* czy *Symfonii Fantastycznej*, szaleństwo *Triumfu Śmierci* są tym pięknem Rilkego, które *jest tylko/ przerażenia początkiem, który jeszcze znosimy/*

*z takim podziwem, gdyż beznamyślnie pogardza/ naszym unicestwieniem*³. Stawia nas wobec mocy przekraczającej jednostkowy kataklizm, być może niszczącej, jednak wywołującej podziw, niemal miłosne pożądanie. Armagedon totalny jest trochę jak narkotyk. Przypomina *zdjęcia* [Maurizio Buscarino] z *Apocalypsis...* [które] – *podobnie zresztą jak sam spektakl* [Grotowskiego] – *powinny zatem budzić niezgodę, lęk, a nawet obrzydzenie – a mimo to porażają nieklamany pięknem*⁴.

Apocalypsis cum figuris, Apokalipsa w obrazach. Przedstawiona daje się jakoś zrozumieć, pozwala sformułować osąd. Może odstręczać, wydawać się moralnie naganna jak okrucieństwa Kurtza, jednak wciąż mieści się w naszym pojmowaniu. Znajdujemy w niej własne doświadczenie strachu i bólu, a równocześnie doznajemy swoistego *katharsis* dzięki ładowi kompozycji słów czy obrazów, rozpoznawalności katastrofy. Dlatego cykl drzeworytów Albrechta Dürera, z których Grotowski wziął tytuł swego ostatniego przedstawienia, czytamy kluczem estetyki bardziej niż przesłania, analitycznie raczej niż jako wstrząs. W tym sensie apokalipsa jest objawieniem. Ukazuje coś, jest opadającą zasłoną w teatrze makabry, spoza której wyłaniają się możliwe do odczytania forma i treść. Ich scenografia jest zwykle wyszukana, zdumiewająca układem, kształtem i barwą, niepowtarzalna. Porywająca maestrią. *Krajobraz zniszczenia to mimo wszystko krajobraz. W ruinach tkwi piękno*⁵, powiada Sontag.

Nawet historyczne kataklizmy wojen i rewolucji ujęte literacko, malarsko czy muzycznie zdumiewająco zyskują pewien odrażający powab. Relacje z pól bitewnych, więzień i łagrów dają się rozpatrywać, dostarczają wzruszeń. Oglądane w sztafażu okropieństw, poprzez pryzmat indywidualnych losów, ujęte wedle najlepszych wzorów kompozycji są potrzebnym składnikiem kultury. Dają autorowi i odbiorcy przynoszące ulgę poczucie, że oto zostało wypowiedziane, nie zapomniane, że oddano sprawiedliwość ofiarom. Pełnią funkcje powiastki dydaktycznej dla dorosłych. Męka jednostki staje się tam metaforą męki ludzkości. Jej obraz prowadzi do wniosków. Wszechobecna jest *praktyka przedstawiania okrutnych cierpień jako czegoś, nad czym należy ubolewać i czemu trzeba w miarę możliwości położyć kres*⁶. Dzieje unicestwiania narodów i państw, obrazy udręki, głodu i poniżenia mają bardzo licznych wielbicieli.

Poza tym to się dobrze sprzedaje. A powielone i uproszczone zyskuje jeszcze większe rzesze konsumentów. Ludzie lubią się bać. (Byle nie za bardzo.) Więc dla każdego wedle jego miary znajdzie się dziś apokalipsa: horrory i thrillery, filmy *fantasy*, a nawet kreskówki, komiksy i zabawki przyjemnie igrają z pobudzaną

1 Czesław Miłosz, *Piosenka o końcu świata*, [w:] idem, *Poezje* t. I, Paryż 1981, s. 102.

2 Zob. Guy Debord, *Społeczeństwo spektaklu oraz Rozważania o społeczeństwie spektaklu*, przeł. Mateusz Kwatarko, Warszawa 1996.

3 Rainer Maria Rilke, *Pierwsza elegia* ze zbioru *Elegie Duinejskie*, [w:] idem, *Poezje wybrane*, przeł. Mieczysław Jastrun, Warszawa 1967, s. 97.

4 Jarosław Wójtowicz, *Odnaleźć ratunek przed końcem świata*, http://archiwum.didaskalia.pl/91_wojtowicz.htm (dostęp: 6.01.2022).

5 Susan Sontag, *Widok cudzego cierpienia*, przeł. Sławomir Magala, Kraków 2016, s. 92.

6 Ibidem, s. 54.

koszmarem wyobraźnią widza, czytelnika, użytkownika. Coraz mniej jednak we współczesnych ujęciach śladów grozy eschatologicznej katastrofy z drzeworytów Dürera czy rysunku Petera von Corneliusa, nie ma też trupich kształtów ani odorów, które czuje się niemal, patrząc na litografię Lebensteina, wyekspirowała nieuchronność cierpienia rycin Goi i akwafort Callota – nie dźwięczy przestroga Jana z Patmos. Widać za to konwencjonalnie straszidła i dziwadła, efekty kunsztu charakteryzatora, a częściej grafika komputerowego. Nawet jeśli wyrafinowane, to powtarzalne, dające się przewidzieć, oczywiste w ramach danej konwencji. Narasta *banalizacja, która pod postacią migotliwej różnorodności spektakularnych rozrywek ogarnia cały nowoczesny świat*⁷. Nikt obecnie Jeźdźców Apokalipsy tak znów się nie boi. Technologie i możliwość replikacji odjęły im odwieczną trwogę. Wytwarzane na skalę przemysłową obrazy destrukcji, pisze Sontag, *zaszczepiają dziwną apatię*⁸. Lęk końca czasów przerabiany w masowej produkcji zdewaluował się całkowicie, stał się elementem swojskiego pejzażu.

Obecnie każde dziecko może sobie wsadzić potworka do kieszeni (kiedy go zgubi, rodzice kupią mu nowego), do frytek w fast-foodzie obejrzeć japoński *cartoon* pełen dobrze skalibrowanych poczwór (przełączyć na coś innego, gdy je to znudzi). Bujność i nieokiełznanie katastrofy, jej wyzywająca swoboda, zostały poddane kontroli, ból serwowany jest w stosownych porcjach, przerażenie nie przekracza normy poprawności politycznej i jest dawkowane w zgodzie z najlepszą wiedzą psychologów i terapeutów. Spełnia się czarny sen pułkownika Kurtza i jemu podobnych wizjonerów technokracji, biurokracji i zniewolenia przez standaryzację i uniformizację: Witkacego, Zamiatina, Huxley'a, Orwella czy Ortegi y Gasset. Być może tak właśnie, niemal niezauważalnie postępuje Witkacowska rewolucja niwelistyczna, opisana w *Pożegnaniu jesieni*, i tak dokonuje się wyobrażona przez Zamiatina Wielka Operacja, która leczy ludzi z wszelkich boleści przez usunięcie ośrodka wyobraźni, tak rozwija się Huxleyowska rasa, której wystarcza bezpieczeństwo i która nie pragnie nigdy więcej, niż może dostać. *Żyjemy w epoce wyjątkowej i przełomowej [...] Dawny świat [...] zachodzi w zmięczeniu, aby ustąpić na ogół szczęśliwszej, ale za to zmechanizowanej, pozbawionej twórczości i bezdennie nudnej ludzkości*⁹, pisał Witkacy sto lat temu.

Nie mógł wiedzieć, ten, który uciekł w śmierć przed spodziewanymi straszliwymi procesami dziejowymi, że zintensyfikują się one tak szybko, nie zaś – jak sądził – za setki lat. Że przybiorą nie postaci żołdaka z naganem, prymitywa, bezmyślnego wykonawcy rozkazów i pracy planowej, kogoś, komu ewentualnie można dać w mordę, zwymyślać go, zabić, ale w jakimś sensie po prostu wyekspirują, przeniosą się w inny wymiar.

7 G. Debord, *Jedność i podział w obrębie pozoru*, [w:] idem, op. cit., s. 59.

8 S. Sontag, *Katastrofa w wyobrażeniu*, przeł. Anna Skucińska, [w:] eadem, *Przeciw interpretacji i inne eseje*, Kraków 2018, s. 300.

9 Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Nowe formy w malarstwie*, Warszawa 1974, s. 112.

Wymkną się spod wszelkich wpływów, unikną wszelkich możliwych reakcji. Jak bohaterowie filmów *fantasy*, którzy znikają nagle, by nie dać się dopaść przeciwnikowi. W tym, co ledwie przeczuwał Witkacy, nie ma już mowy o brudzie ani bezpośredniej przemocy. O niczym, co dałoby się uchwycić, przeciwko czemu zaprotestować. Narzędzie zniewolenia okazało duchem. Bo tym w zasadzie jest, i coraz bardziej jeszcze się staje, umacniający swoje wpływy, niewidzialny, ale wszechobecny system nadzoru i zawiadywania społeczeństwami, który apokalipsy improwizowane, samowolne, dzikie zawłaszcza i trawi – tym jest sieć, która do tego służy.

Już sama nazwa każe nam myśleć o czymś delikatnym, prawie niewidocznym, ale uniemożliwiającym wyplątania się, jeśli już w ową sieć się trafi, rozprzestrzeniającym się łatwo, ale trudnym do uchwycenia. Jak pajęczce konstrukcje zawieszane w lesie, kłopotliwe do wypatrzenia, niemal przeziernie, jednak równie trudne do zdjęcia z ciała, gdy już raz się w nie wpadnie. Jak te plecionki straszliwe, których używali żołnierze starożytności i średniowiecza, by obezwładnić wroga, a potem go zabić. Oczywiście jak sieć na ryby zarzucana z olbrzymich statków-przetwórni, w obecnych czasach odławiająca bez różnicy dosłownie wszystko, co żyje w oceanie, by to coś przerobić, a resztę wyrzucić. Sieć to *świat bez wyjścia awaryjnego, świat, z którego nie da się uciec. Niesie to głębokie implikacje dla kształtu ludzkiej przyszłości*¹⁰.

Cyfrowa przestrzeń jest amorficzna, prostacka, bezosobowa (tym chętniej jednak udająca, że jest wprost przeciwnie). Ze strażnikiem w banku możesz się ewentualnie dogadać lub pokłócić, z bankowością elektroniczną dyskusji nie ma. Podobnie z profilem zaufanym i każdą inną aplikacją służącą ułatwianiu ci życia. W tym także z tymi przestrzeniami w sieci, które dostarczają rozrywek i towarów. I oczywiście dotyczy to dosłownie każdej czynności wykonywanej w Internecie, która czyni cię niewolnikiem algorytmu. Nie pojedziesz autostradą, nie zapłacisz podatków, nie zamówisz paszportu poza systemem dystrybucji przywilejów i dóbr. Jednak tylko jeden krok w system i stajesz się jego niewidzialnym poddanym na wieki. Co więcej, nie będąc tego na ogół świadomym, aktywnie system współtworzysz. Akces do jakiegoś z jego obszarów wymusza uczestnictwo w innych. Wpisanie danych w jednym miejscu sprawia, że stajesz nagi, bezbronny i uległy w drugim, *nie wystarczy już samo zautomatyzowanie przepływu informacji o nas – celem jest teraz zautomatyzowanie nas*¹¹. Sieć to urzędnik wszechmocny, znacznie przerastający ciemne prorocтва z przeszłości, wszelakie dystopie i obawy pułkownika Kurtza. Wiedzą o tym organizacje polityczne i ekonomiczne, które sieć zasiedlają. Podsystemy i podwykonawcy preparujący apokalipsy i wybawienia odpowiednio do potrzeb użytkowników. Wyrafinowana formacja, która pod płaszczykiem

10 Shoshana Zuboff, *Cyfrowa przyszłość – dom czy wygnanie?*, [w:] eadem, *Wiek kapitalizmu inwigilacji*.

Walka o przyszłość na nowej granicy władzy, przeł. Alicja Unterschuetz, Poznań 2020, s. 37.

11 Ibidem, s. 20.

przyjaciela, doradcy i opiekuna (*net* – familiarna nazwa wzmacnia to wrażenie) prowadzi cię, gdzie nie chcesz, choć czyni to tak, abyś myślał, że wciąż masz wolność wyboru, stwarza iluzję swobody, płynącą po prostu z niesłuchanej ilości opcji. Co więcej, *net* robi wszystko, byś uważał, że dopiero teraz stałeś się prawdziwie niezależny.

Czy to jest nasza apokalipsa? Tak, jeśli mówiąc „apokaliptyczny” myślimy o bezbrzeżności zjawiska. Tak, jeśli pod nazwą apokalipsy znajdujemy nieuchronność wyroku. Tak, jeśli znaczy ona dla nas sumę sił i procesów, nie dających się jasno zdefiniować. Nie jednak, jeśli apokalipsa to lęk i cierpienie. Bo tej, cyfrowej apokalipsy, znakomita większość ludzi wręcz się domaga, znajduje w niej masę przyjemności, wygod i korzyści. Uznaje za niezbędną. Na pewno nie wrogą. Jeśli nawet dostrzegają jej obezwładniające działanie, nade wszystko cenią płynące z niej profity. To przyjemne poczucie, że drobna operacja myszką – daje, zabezpiecza, zapewnia. Do rzadkości należą ci, którzy odmawiają korzystania z usług podsuwanych im możliwości, nie instalują wciąż nowych, pomocnych aplikacji, nie konsumują poprzez sieć, nie przyjaźnią się przez nią (cokolwiek w tym kontekście znaczy słowo przyjaźń), nie załatwiają w ten sposób spraw urzędowych czy finansowych, nie karmią się falsyfikatami dowcipów i dramatów, które proponuje im Internet. Lęk i cierpienie pojawiają się niejako pobocznie, dodatkowo, i dopiero wraz ze świadomością zagrożenia. A ta jest rzadka. I po prawdzie, jakże inaczej? Trzeba by zamieszkać w głuszy (czy jeszcze taka jest?), bez gazu i elektryczności, bez konta w banku i ZUS-ie, by opuścić ten system. Bez – także przyznajmy jednak – skarbnicy wiedzy, jaką sieć jest także: bibliotek, archiwów i wielu innych cennych i potrzebnych zasobów, bez możliwości niezwykłych i zakrawających o cud terapii, pozbawieni narzędzi potrzebnych odkryciom i wynalazkom; w tym sensie *net* jest rzeczywiście ściekiem, w którym bez różnicy mieszają się rzeczy wartościowe i barachło. A także pozbawić się komunikacyjnej wygody we wszystkich niemal obszarach, kuszącej możliwości pozyskiwania dowolnej rzeczy lub usługi bez mała jednym kliknięciem. Każdy element infrastruktury społecznego funkcjonowania oparty jest bowiem o nią – o sieć. To jest i taka jest *Apocalypse Now*, czyli nasz *czas apokalipsy*.

Tyle zostało z grozy końca świata, innego nie będzie. Temu naszemu odjęto barwne wizje, piękno straszliwych obrazów, ale również wszelką inną rozpoznawalną formę. A także indywidualizm. Komunistyczna uawniłowka była niczym w stosunku do tej zero-jedynkowej, ujmującej wszystko w strumyki drobnych, zielonkawych znaczków na ciemnym tle. Wyglądają tam jak żyjątka w głębinach morskich, których nie zbadała jeszcze oceanografia. I nie tylko matematyczny zapis tej rzeczywistość, ale jego treść: upodabnia, uniformizuje, ujednolica. Jeśli się dobrze zastanowić, wszystko, co stamtąd czerpiemy, jest nam dozowane i reglamentowane, podane jako gotowe w formie zdecydowanej poza nami, nie podlega w istocie wolnemu wyborowi. W drugiej połowie XX wieku Armagedon został najpierw przetrawiony przez pop-kulturę, przystosowany

do powszechnego użytku w myśl ideałów państwa socjalnego i szlachetnych, demokratycznych marzeń, zgodnie z polityczną poprawnością, nie pozwalającą nikogo wykluczać (wszyscy zatem mieli dostać informację i kulturę łatwą do przyswojenia), a potem wchłonięty przez cyfrową czeluść, która w wieku XXI wciąż wypływa jego nowe wersje, dobrze skalibrowane na potrzeby konsumentów, w istocie jednak sama stała końcem czasów cywilizacji, Lewiatanem, z którego paszczy nie sposób się wydostać. Pod jego wpływem miliardy tak zwanych *users* na świecie zachowują się jakby nałykały się pigułek Murti-Binga, w *Nienasyce* Witkacego przynoszących uśmiech i pogodę ducha, uwalniających od światopoglądowych i ontologicznych wątpliwości, znieczulających na kłopoty i cierpienia. Ratujących przed depresją i niezgodą na istnienie takie, jakim ono jest.

Zapewne płacimy w ten sposób za niestrudzone dążenie do wygody i bezpieczeństwa. Znakomita większość usiłowań cywilizacji ku temu jest przecież skierowana. Wynalazki, odkrycia i sposoby organizowania życia społecznego, architektura, technika, medycyna. Także sztuka i filozofia, próbujące odnaleźć właściwy i dobry wzór dla ludzkiego bytowania. Wiele z tych rozwiązań uznaje wszelkie ryzyko i ból za wymagające eliminacji, a ogólny dobrostan za najszczytniejszy cel. Arendt w tym właśnie upatrywała zagrożenia, a nieustanne ku temu dążenie określała jako *najbardziej zgubną politycznie doktrynę naszych czasów, głoszącą mianowicie, że przetrwanie jest dobrem najwyższym i że żywot społeczeństwa stanowi najważniejszy ośrodek ludzkich zabiegów*². Obecnie proceder kumulowania zadowolenia i zabezpieczania bytu zintensyfikował się spektakularnie. Dziś już nikt nie umarłby w imię racji moralnych. Nie ma innych racji niż zdrowie, bezpieczeństwo i wygoda. Na Rilkego *przerażenie, który jeszcze znosimy, gdyż beznamiętnie pogardza naszym unicestwieniem*, nie ma dziś szans. Kryterium sensu (czytaj – językiem konsumenckim – satysfakcji) jest los indywidualny, nie zbiorowy. Katastrofy mają prawo istnieć tylko jako towar na rynku rozrywki: film, animacja lub mem. Przynajmniej w cywilizacji zachodniej, która chętnie zapomina, że są wciąż miejsca globu, gdzie cierpienie na masową skalę jest *realem*, nie *wirtuałem*. Dla przedstawicieli Zachodu dramaturgie dziejących się aktualnie apokalips zostają wypłaszczone i ograniczone do prostokąta ekranu, a jedyną zwykłą formą interwencji jest wodenie palcem po jego gładkiej powierzchni lub stukanie w klawiaturę. Przy czym zasada działania cyfrowego świata intensyfikuje złudzenie, że mimo wszystko uczestniczy się ważnych sprawach ludzkości. Tam umieszczają swoje pełne oburzenia posty, wypowiedzi i opinie politycy, literaci oraz zwykli zjadacze chleba. Lapidarnie i szybko, by co prędzej wrócić do innych, interesujących zajęć. Jak ujmuje to Jan Hartman, obecnie życie to *bieg z przeszkodami, w którym gna się od przyjemności do przyjemności, sprawnie przeskakując przez płotki i rowy niepotrzebnych przykrości. Unikanie wszelkiego dyskomfortu, łącznie*

12 Hannah Arendt, *Kwestia socjalna*, [w:] eadem, *O rewolucji*, przeł. Mieczysław Godyń, Warszawa 2020, s. 107.

z umieraniem i myśleniem o śmierci, bardzo dobrze konweniuje z demokracją i rynkiem. Jedno i drugie wciąż nam dogadza i utwierdza nas w miłości własnej, a nawet w poczuciu wyjątkowości, które stało się wszak towarem masowym jak każdy inny¹³.

Nie ma prawdopodobnie obecnie, dającego się wyobrazić remedium na absolutne i nieuniknione uzależnienie od systemu, będącego emanacją powszechnych dążeń do uzyskania gwarancji miłego życia za cenę niezależności. A jednak może należy mieć go bardziej w podejrzeniu? Częściej zadawać pytania. (Przecież *chodzi jedynie o to, byśmy pomyśleli nad tym, co robimy*¹⁴, pisze Arendt w *Kondycji ludzkiej*.) Znacznie częściej odmawiać. Budować w sobie niezgodę na życie pod czyjeś *dictum*. Czyjeś? A jednak coraz częściej sieć jest traktowana właśnie jako *ktoś*, nowoczesny Golem. Unikać go więc, jeśli tylko się da. Weryfikować własne potrzeby. Pielęgnować indywidualizm. Używając języka Deborda: nie pozwolić się zwodzić widmowym jakościom *usiłującym przydać trochę blasku temu, co ilościowe i trywialne*¹⁵. I poszukiwać tragicznego piękna własnej apokalipsy, tej jedynej i niepodrabialnej. Niemożliwej do cyfrowej replikacji. A gdyby u Eliota? Czytywał go pułkownik Walter Kurtz. Więc może *Popielec* albo *Ziemia jałowa*? Albo w *Zmierzchu Zachodu* Spenglera, lekturze Witkacego. W każdym razie czytać, dużo czytać. Żeby nie było tak jak w *Pożegnaniu jesieni*, że kiedyś *szczęśliwe automaty nie będą nawet rozumieć ksiąg dawnych czasów, a słowa w nich zawarte będą dla nich znaczkami bez znaczenia*¹⁶. Nie zapominać przy tym o *realu*. Jego groza istnieje, nie tylko w postaci blasku monitora. Można się z nią skonfrontować. Uznać, że lepsza ta wybrana samodzielnie apokalipsa – owszem, może niosąca ryzyko, ból – niż usłużnie podsuwane przez sieć porcje przyjemnych doznań oraz widowiskowe kataklizmy spreparowane i ujarzmione cyfrowym zapisem. Nie rezygnować z szansy na decyzję w zakresie końca, no, może nie końca czasów, ale przynajmniej osobistego końca. Zapewne najważniejszej i ostatniej decyzji życia. ■

13 Jan Hartman, *Przestaliśmy się zastanawiać, po co nam życie. Skupiamy się tylko na tym, żeby było jak najdłuższe*, „Gazeta Wyborcza”, 17 października 2020.

14 Hannah Arendt, *Prolog*, [w:] eadem, *Kondycja ludzka*, przeł. Anna Łagodzka, Warszawa 2020, s. 38.

15 G. Debord, *Jedność i podział w obrębie pozoru*, [w:] idem, op. cit., 57.

16 S.I. Witkiewicz, *Pożegnanie jesieni*, Warszawa 1927 – Lausanne 1979, s. 175.



Albrecht Dürer, *Bestia wychodząca z morza i bestia wychodząca z ziemi* (Ap 13, 1-11), czyt. s. 148

„Nie patrz w górę” i katechon, czyli negocjowanie Apokalipsy

Są rzeczy, które możemy negocjować i takie, które się negocjować nie dają. Podział ten wydaje się oczywisty. Dyskutujemy i szukamy kompromisu w sprawach społecznych, kulturze, finansach, często nawet w relacjach osobistych. Intuicyjnie natomiast czujemy, że kwestie, które można by nazwać „sprawami życia i śmierci” takiej negocjacji się nie poddają. Nie dyskutujemy na ogół prawd religijnych, naszych najbardziej utrwalonych przekonań, świętości, których nauczyliśmy się czcić. Śmierć jest oczywistą barierą pertraktacji. Nasza własna śmierć nie podlega negocjacji, choćbyśmy o tym marzyli i każda kultura pełna opowieści o tych, którzy śmierć oszukali, albo z nią wygrali. Jednak w świecie realnym tak się nie dzieje. Śmierć, przynajmniej ta fizyczna obojętna jest na najbardziej nawet wyrafinowane starania. Jest ostateczna i to właśnie ostateczność jakichś spraw stanowi barierę negocjacji.

Zanim jednak zajmę się bliżej tym, co niemożliwe do negocjowania, chciałbym zatrzymać się na moment nad tą pierwszą kategorią, tym, co może być dyskutowane. Modelem takich pertraktacji jest oczywiście handel w szerokim sensie tego słowa jako każda wymiana ekonomiczna. Wchodząc w taką działalność musimy postawić się w sytuacji tej osoby, z którą handlujemy, zastanowić się, co byśmy zrobili na jej miejscu i jak daleko możemy się posunąć w naszych żądaniach. Tworzy się wtedy więc między obiema stronami, nawet jeżeli każda z nich zainteresowana jest we własnych korzyściach. Ten model wymiany został zaadoptowany do współczesnej demokracji liberalnej. Jej trzonem jest przekonanie, że dyskusja umożliwia osiągnięcie konsensu, który w zasadzie podobny jest tego, jaki osiągamy w handlu. Jedna strona częściowo rezygnuje z roszczeń w zamian za to, że druga zaakceptuje część warunków. Ta sama idea obowiązuje też w relacjach międzyludzkich. Terapeuci zajmujący się związkami namawiają partnerów, żeby formułowali swoje oczekiwania i szukali kompromisu poprzez spotkanie się w pół drogi.

Generalnie rzecz biorąc pojawienie się nowoczesności z założonym w tej epoce pluralizmem poglądów w oczywisty sposób sprzyja temu paradygmatowi negocjacyjnemu. Nowoczesne społeczeństwa nie mogłyby przetrwać bez niego. Dlatego też, wszystko to, co nie podlega negocjacji zepchnięte zostało do sfery prywatnej, gdzie przekonania religijne sąsiadują z idiosynkrazjami dotyczącymi smaku, urody czy ubioru. Przyjęto jako

oczywiste, że kwestie te nie podlegają dyskusji, a przynajmniej dyskusji konkluzywnej, a więc powinny zostać zneutralizowane, żeby nie naruszać konsensu społecznego. Podział ten jednak był trudny do utrzymania, choćby z tego względu, że musiał prowadzić do licznych paradoksów teoretycznych. Przykładem może być choćby skądinąd ciekawa idea znakomitego amerykańskiego filozofa Richarda Rorty’ego, który w swoim ideale społeczeństwa liberalnego postuluje postawę ironiczną w sferze prywatnej, a w sferze publicznej zaangażowanego trybuna związków zawodowych. Ta koncepcja właśnie przez swoje wyrafinowanie ujawnia niekonsekwencje ścisłego podziału na dwie sfery: publiczną i prywatną. Trudno sobie wyobrazić realną osobę, która żyłaby jednocześnie w dwóch tak różniących się światach.

Oczywiście tego typu problemu zauważono już dużo wcześniej. Dlatego społeczeństwo negocjacji ciągnie jak cień za sobą zemstę nienegocjowanego. W tym momencie trzeba wrócić na nowo do tej kategorii. Opisałem już wcześniej jej różne przejawy, ale warto podkreślić jeszcze dwa aspekty. Z jednej strony są, jak już wspomniałem, kwestie fundamentalne: życia i śmierci oraz wiążące się z nimi eschatologie, z drugiej, w planie politycznym, to, co nie może zostać wypowiedziane, bo tak zagraża społeczeństwu, że musi zostać zepchnięte do jego zbiorowej podświadomości.

Te dwa plany zostały połączone w pojęciu *teologia polityczna*, które, choć ma za sobą długą historię, do współczesnej teorii zostało wprowadzone przez niemieckiego filozofa prawa Carla Schmitta związanego z faszyzmem. Twierdził on, że pojęcia polityczne są zsekularyzowanymi kategoriami religijnymi i że w gruncie rzeczy przysługują im ten sam status nienegocjowanego, do czego przyznać się nie chce ideologia liberalna. Jedną z konsekwencji tej perspektywy jest (nie)sławna definicja polityki jako autonomicznego wymiaru określonego przez opozycję wróg-przyjaciół. Wróg nie jest partnerem do negocjacji, nie można go mylić z tymi, którzy są konkurentami w interesach, mają inne poczucie etyczne czy estetyczne, z nimi zawsze można dyskutować. Wróg jest kimś, kogo należy zniszczyć, to jego jedyna definicja. A przyjaciel? Kim jest przyjaciel? Nie jest to w pełni jasne, ale w tej koncepcji jedyne logiczne określenie przyjaciela to wróg mojego wroga. Polityka wtedy jest przedłużeniem wojny pokojowymi środkami!

Od czasu wystąpienia Schmitta teologia polityczna występowała w różnych inkarnacjach sytuując się na całym spektrum politycznym od skrajnej prawicy poprzez lewicowo-liberalne centrum do skrajnej lewicy. Wspólna tym koncepcjom jest niechęć do społeczeństwa dialogu postulowanego w klasycznej myśli liberalnej, ale też w wielu wypadkach do centrum myślenia o polityce zostaje wprowadzone myślenie o Apokalipsie.

Obecność apokaliptycznego myślenia w polityce jest dość oczywiste, jeżeli wychodzi się poza wzór demokracji liberalnej. Każda perspektywa historiozoficzna ma zakodowaną perspektywę na koniec pewnej epoki i nadzieję na pojawienie się nowej, lepszej rzeczywistości. W Objawieniu św. Jana oba te wątki są ze sobą logicznie powiązane,

oczywiście przybrane w tajemniczą formę, która skłaniała pokolenia badaczy do wielu zaskakujących hipotez dotyczących znaczenia poszczególnych niezwykle impresywnych obrazów. Niemniej jednak ostateczna struktura Apokalipsy wydaje się jasna. Społeczeństwo musi przejść przez długie okresy prób, w których zło pozornie będzie triumfować, zanim nastąpi ostateczne zwycięstwo dobra.

Politycznie rzecz biorąc, jednak największy problem jest z tym okresem, w którym dominuje zło i co więcej zło ma „prawo” dominować. *Bestii dano usta mówiące rzeczy przedziwne i bluźniercze. Pozwolono jej też sprawować władzę przez czterdzieści dwa miesiące. Otworzyła więc swój pysk, by bliźnić przeciwko Bogu i szydzić z Jego imienia, Jego namiotu i mieszkańców nieba. Pozwolono jej również prowadzić walkę ze świętymi i pokonać ich oraz dano jej władzę nad każdym plemieniem, ludem i narodem* (Ap, 13 5-7).¹ Jaka może być polityka w takim czasie, czasie panowania Bestii? Jeżeli czas ten jest umieszczony w planie historiozoficznym zbawienia, czy można się Bestii przeciwstawić? W tradycji chrześcijańskiej, do której nawiązał Schmitt, problem ten rozwiązany jest dzięki pojęciu *to katechon*, czyli ten, który powstrzymuje.

Pojawia się ono w drugim liście św. Pawła do Tessalończyków: *Najpierw bowiem przyjdzie odstępstwo i objawi się człowiek niegodny, zatraceniec, który będzie występował przeciw wszystkiemu i wynosił ponad wszystko, co boskie i godne czci. Wreszcie zasiądzie w świątyni Boga, uważając się za samego Boga. Czy nie pamiętacie, że wam o tym mówiłem będąc wśród was? Wiecie, co go teraz powstrzymuje, aż do czasu, w którym się objawi. Wystarczy, że ustąpi ten, co powstrzymuje jego działanie, a objawi się niegodziwiec, którego Pan Jezus zniszczy tchnieniem swoich ust i zgładzi majestatem swego przyjścia* (2 Tes, 2 3-8). Słowa te były interpretowane na różny sposób, ale zawsze dostrzegana była ich waga. Oczywista była też trudność, która wiąże się z pojęciem powstrzymywania. Ten, kto powstrzymuje, broni przed rządami Antychrysta (tak bowiem należy interpretować pojęcie „zatraceniec”), przedłuża czas, w którym ludzie mogą się nawrócić. Tym samym jednak przedłuża czas przed powtórным nadejściem Jezusa. Bowiem dopiero wtedy, gdy Antychryst się objawi, zostanie zniszczony tchnieniem ust Jezusa. W tradycji, do której należy i Schmitt, interpretuje się *katechon* jako pochwałę władzy świeckiej, która jest w stanie utrzymać porządek wobec nacisku bezprawia. Co więcej, usprawiedliwia to bezwzględność tej władzy, która konieczna jest, aby powstrzymać nadejście ostatecznego zła. Władza świecka, chrześcijańska władza jest w tej perspektywie zawsze mniejszym złem wobec nadciągającej anomii. Ale właśnie to odwołanie do mniejszego zła może budzić wątpliwości co do takiej interpretacji listu św. Pawła. Współczesny filozof włoski Giorgio Agamben uważa, że *to właśnie* *katechon* jest Antychrystem, który w pozornej obronie porządku wprowadza stan anomii. *Katechon* więc opóźnia nie tyle nadejście bezprawia, ale nadejście mesjanistycznego

stanu, w którym możliwa będzie zupełnie inna logika władzy politycznej, niż ta, jaka związana jest z postacią suwerena.

Te skrótkowo przedstawione interpretacje nie wyczerpują oczywiście możliwych wersji budowania teorii politycznej opartej na figurze *katechona*. Mnie jednak bardziej interesuje samo wprowadzanie myślenia apokaliptycznego w dyskurs polityczny. Nakładają się wtedy na siebie dwa procesy, polityka przestaje być jedynie walką o władzę lub taki, czy inny porządek polityczny, a otwiera się na przesłania eschatologiczne. Z drugiej strony jednak, sama Apokalipsa wpisuje się w porządek polityczny, jej ostateczny sens ujawnia się w polityce właśnie.

W czasach, w których żyjemy myślenie apokaliptyczne nabrało (niestety!) nowego sensu. Stało się tak, w wyniku zmian przyrodniczych indukowanych przez ludzką działalność, w konsekwencji nasza epoka zyskała miano antropocenu. Sama ta nazwa jednak kryje w sobie dramatyzm sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Epoka człowieka prowadzi nas do epoki nie-ludzkiej, świata, w którym nie będzie miejsca dla człowieka. Skomplikowane figury teologii politycznej rozpadają się w obliczu zmian klimatycznych, które mogą spowodować unicestwienie człowieka bez żadnej pociechy odkupienia.

Jak wszyscy wiemy i ta Apokalipsa ma oczywiście swoje uwikłania polityczne. W ciekawy sposób ujawniły się one w gorących dyskusjach toczonych wokół filmu „Nie patrz w górę”. Niezależnie od artystycznej oceny filmu (muszę dodać, że ja jestem po stronie tych, którym się on podoba), dyskutowano też jego ideowe przesłanie. Punktem spornym było pesymistyczne zakończenie. Naukowcy mówią o zbliżającej się komecie, która zniszczy życie na Ziemi, a przesłanie to ginie zupełnie w szumie medialnych sensacji o życiu celebrytów i zostaje zepchnięta do kategorii ciekawostek. Władze polityczne podejmują w końcu działanie, ale zostaje ono zastopowane przez wielki kapitał. Nieuchronna jest totalna katastrofa...

Można przesłanie filmu odczytywać wprost jako ekspresję przekonania, że wysiłki są bezowocne, że nic nie jest w stanie powstrzymać nadchodzącej zagłady życia na Ziemi. W tym kontekście pojawia się pojęcie „doomsizm” wprowadzone przez jednego z ekspertów zmian klimatycznych, który chciał przez tę kategorię potępić defetyzm klimatyczny, niewiarę, że coś można jeszcze zrobić, by ocalić planetę. Można jednak interpretować tę komedię jako groteskowy i przerysowany obraz funkcjonowania nauki w świecie współczesnym. Odarta z autorytetu, który niegdyś jej przysługiwał, staje się pionkiem w grze politycznej, jednym z elementów społecznych negocjacji. Jej siła, którą są ciągle wątpliwości i niepewność co do ostatecznych wyników, wymagających wciąż nowych badań, staje się słabością. Jej przeciwnicy wysuwają argumenty pozornie zgodne ze zdrowym rozsądkiem, któremu nauka w większości przypadków przeczy. Nic więc dziwnego, że wielu naukowców, specjalistów od zmian klimatycznych i wirusologii odnajduje w filmie swe własne doświadczenia. Usiłując przekazać wyniki

¹ Cytaty z Biblii według: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Towarzystwo św. Pawła 2008.*

badan, są atakowani, wyśmiewani i lekceważeni przez media, a także przez polityków, wszystkich tych, którzy wiedzą lepiej. „Nie patrz w górę” pokazuje, jakie mogą być skutki tego typu ignorancji.

Jeżeli tak odczytywać film, to jego morał jest jasny i bynajmniej nie defetystyczny. Nauki trzeba słuchać, nawet nie dlatego, że rozwiąże ona nasze wszystkie problemy, ale dlatego że jej ostrzegawczy głos powinien uruchomić działania, które w istniejących ramach społecznych prowadzić mogą do zatrzymania czy odwrócenia grożącej katastrofy. Niewątpliwie jest, że takie akcje wymagają daleko idących i często bolesnych zmian w polityce, ekonomii dystrybucji dóbr, ale też w kulturze i nawykach życia codziennego. Nie miejsce tu na to, żeby szczegółowo analizować całe skomplikowanie tego procesu. Zresztą dzieje się on na naszych oczach i wszyscy zdajemy sobie sprawę z jego sukcesu, porażek i pułapek.

To, co chciałem w tym tekście pokazać, odwołując się do dwóch różnych ciągów dyskusji o Apokalipsie stanowi prostą w gruncie rzeczy konstatację. Niezależnie od tego, czy ujmujemy ją w całym mrocznym sztafażu religijnej eschatologii, czy też odczytujemy ze wskazań termometru, umieszczona jest ona w naszym, ludzkim społecznym życiu. Jest dla niego ostatecznym punktem odniesienia, ale co z tym zrobimy, już zależy od nas. ■



Albrecht Dürer, *Potężny anioł i Jan pożerający księgę* (Ap 10, 1-11), czyt. s. 148

Zombie, feminizm i rewolucja

Apokalipsy są trudnym do zaakceptowania przez teologię, teologicznym wybrykiem. Być może wcale nawet nie teologicznym. Możliwe, że ta anomalia literacka pochodzi zupełnie skądinąd, ale zdomowiwszy się w dyskursie o sprawach ostatecznych, przez pokolenia prowokowała teologów do zbudowania jakiejś spójnej koncepcji soteriologicznej, umieszczającej jej nieokiełznany dynamizm w ogólnym planie eschatologicznym. Jednak żadna zadowalająca i spójna koncepcja nigdy się nie narodziła. Zawsze pozostawały grube szwy i nieprzekraczalne aporie. Stąd też jedni starali się ją przemilczeć, inni traktowali jako doraźne narzędzie ideologiczno-propagandowe. Główny problem polegał na pogodzeniu eschatologicznej krwawej jatki z ideą Sądu Bożego i bezpiecznym ulokowaniu jej w perspektywie boskiej empatii. O ile pogodzenie idei Sądu z Miłosierdziem poszło łatwo, zarówno żydowskim rabinom, jak i chrześcijańskim teologom, to idea apokalipsy wciąż stanowi problem i stawia kolejne wyzwania. Choć większość literatury apokaliptycznej to pisma zewnętrzne w stosunku do biblijnych kanonów judaizmu i chrześcijaństwa, to już te nieliczne, które się w nim znalazły, powodują spore zamieszanie.

Niektórzy, przekraczając *discordia veris* uproszczonego, binarnego obrazu świata, postawili pod znakiem zapytania zarówno Sąd jak i Apokalipsę. Miast martwić się o Dni Ostatnie, zajęli się aktualizacją idei zbawienia. Izaak Luria (XVI w.), zaproponował trzecią drogę. W jego optyce, Sąd i Apokalipsa z końca czasów przenosi się w aktualny plan Doczesności.

Luria chce zbawić Boga na wygnaniu, przywrócić mu pamięć i świadomość siebie, a tym samym, przy pomocy Boga, zbawić świat i przywrócić go boskości. Na tym świecie, by Bóg mógł zbawić człowieka, wpierw człowiek musi zbawić Boga. Przestaje być istotnym to, **jak** Bóg zbawi człowieka. Ważnym staje się, **co** zrobić, by zbawić Boga. To dramatyczne wezwanie: *zostawcie ten świat, ratujcie Boga*, zainicjowało ścieżkę dialogową, która odtąd będzie się snuła na poboczach wszystkich wielkich dyskursów używających Boga jako figury retorycznej. Walter Benjamin posługując się tym luriańskim paradoksem, na wezwanie Heideggera: *tylko jakiś Bóg może nas zbawić*, przewrotnie odpowiada: *tylko człowiek może zbawić Boga*. Postawioną na głowie eschatologię Lurii, Agamben w *Idei prozy* odbija w poziomie. Na Sądzie Ostatecznym, Bóg, z roli sędziego przesiada się na ławę prokuratora, po czym zmienia miejsce i zasiada jako adwokat. I tak, po kolei, przyjmując wszystkie możliwe role, rozpoczyna sąd nad sobą samym. Ostatecznie sąd nad światem, staje się sądem ludzi nad Bogiem.

Pociąga to za sobą niepokojące konsekwencje. Bo jeśli, w sensie teologicznym, Dzień

Sądu jest tożsamy z Apokalipsą, to apokalipsa człowieka musi stać się apokalipsą Boga, zaś apokalipsa Boga – apokalipsą człowieka. Mając świadomość, jak wszelkie baśniowe konstrukcje literackie wpływają na rzeczywisty świat, w tym miejscu powinniśmy poczuć się zaniepokojonymi. Choć chyba wszystkie teksty pierwsze znaczą nie to co znaczą, lecz to, przeciw komu zostały użyte, choć mają swoją historię, nie zawsze chwalebna, chciałbym zaproponować Czytelniczkom i Czytelnikom zabawę z tym zmanipulowanym, choć w istocie niewinnym, materiałem i życzyć ciekawych i emocjonujących odkryć w tekstualnych labiryntach końca czasów.

1. Apokalipsa zombie / Jan z Patmos

Gdzieś tam, w zmurszałej auli o zapleśniałych ławkach, gdzie dopalają się świece, a kąty obrosły w gigantyczne pajęczyny, nieprzerwanie toczy się proces Boga z samym sobą.

Giorgio Agamben / *Idea prozy*

Włączenie *Apokalipsy* Jana do chrześcijańskiego kanonu, pomimo poważnych wątpliwości teologicznych, wydawało się pożyteczne politycznie i ideologicznie, a nawet konieczne dla depozytariuszy jedynej prawdy, szafarzy zbawienia, właścicieli religii i Boga.

Apokalipsa w rękach skorumpowanych, przemawiających w imieniu systemu i chroniących własne *status quo* katechetów, przestając być prorocstwem odnoszącym się do enigmatycznego końca dni, stała się użytecznym narzędziem dehumanizacji wroga. Groźba przyszłej, apokaliptycznej kary dała systemowi prewencyjną moc kontroli, karania i eksterminacji wszelkich zagrażających spójności systemu odszczepieńców. A wrogiem był każdy, kto wymykał się mechanizmowi sztucznego pluralizmu kościelnej *powszechności* / καθολικός / *katholikos*. Maszyna teologiczna *religii*, łączy (*religare*) wszystkich, którzy podporządkowują się wspieranemu przez nią paradygmatowi ideologicznemu, ekonomicznemu i politycznemu. Natomiast tych, którzy wyłamują się, skazuje na wykluczenie (*relegare*). *Extra ecclesiam non salus est* – poza Kościołem nie ma zbawienia. Dlatego wierni, bez krzty współczucia, a nawet z przyjemnością i satysfakcją mogą czytać apokaliptyczne opisy krwawej pomsty na grzesznikach i heretykach. Wszak wszyscy odstępcy i *synagoga szatana* są straceni dla zbawienia, a zatem, jakby już nie istnieli. Są martwi za życia, bowiem odrzucili życie – Jezusa Chrystusa. Są martwi, gdyż utracili duszę i *będą katowani ogniem i siarką przed świętymi aniołami i Barankiem*. *A swąd ich*

Ap. 11:9

męczarni wiecznie będzie się wznosić i nie znajdą spoczynku we dnie i w nocy.

Choć pojęcie żywego trupa - *zombie* wywodzi się z dość odległego kulturowo *voodoo*, to obecna i popularna w szeroko pojętej kulturze europejskiej tematyka *apokalipsy zombie*, eksploatowana w literaturze, fimach, grach komputerowych, ma swoją godną poprzedniczkę w *Apokalipsie* Jana z Patmos.

Hordy zombiaków odgrywają w tym spektaklu pożyteczną i zgodną z oczekiwaniami społecznymi rolę śmiertelnego wroga, którego należy wyeliminować. Zabawy w zabicie nie mają żadnego poczucia przyzwoitości czy wyrzuty sumienia, wszak *zombie* nie posiada duszy, nie jest człowiekiem. Krwawe igrzyska napędza przerażenie i obrzydzenie. Wszelkie działania skierowane przeciw tym pustym, bezdusznym biopowłokom, nie mogą być postrzegane jako okrucieństwo, owszem, są ludzkie, bo dokonywane w imię obrony ludzkości. Zemsta na *innym*, zawiesza nie tylko prawo moralne, ale i wszelkie ludzkie odruchy.

Wierni wojownicy Pana, *custodiunt mandata et fidem*, stają się świętym bio-teologicznym ciałem. Sam Kościół, w konstytucji dogmatycznej *Lumen Gentium*, definiuje siebie jako mistyczne ciało Chrystusa (*Ecclesia Catholica mysticum Christi corpus se esse credit*). Ciało, tak święte i czyste, z konieczności osadzone w surwiwalowej mizerności doczesności, musiało być poddawane ciągłej puryfikacji poprzez eliminację (*relegare*) jednostek zarażonych chorobą herezji, brudem grzechu, lub nierozumnym duchem buntu.

Jeśli ktoś oczekuje, że apokalipsa ma prowadzić do ostatecznego zwycięstwa dobra i zbawienia, gdzie to, co *profanum* zostanie podniesione i uświęcone, to czytając wizję z Patmos, można odebrać wrażenie, że w tak długo wyczekiwanej chwili, nic już nie zostanie uświęcone, bowiem wszystko zostało pomszczone i wymordowane. Do widzenia oczami Jana czystki eschatologicznej pasuje paradoks Agambena, gdzie zbawienie jawi się jako *nieodwracalna utrata tego, co utracone, oraz ostateczna profanacja tego, co należy do profanum*¹. Zbawienie widziane z perspektywy Patmos wydaje się nie uświęcać *profanum*, lecz je eksterminować. Mosze Chaima Luzzatto, w swoim *Mesilat jeszarim* napisał jedno doniosłe zdanie, które zdaje się przeczyć tej perspektywie czystki eschatologicznej: *początkiem jest to co człowiek uświęca, końcem to, co uświęca człowieka* (שתחלתו הוא מה שהאדם מקדש עצמו, וסופו מה שמקדשים אותו). Jest to nauka, która nie została objawiona Janowi na wyspie Patmos i której brakuje w jego *Apokalipsie*.

Użyta przez tryumfalistyczną teologię eklezjalną wyrafinowana maszynaria ideologiczno-propagandowa może budzić grozę, choć sama srogość słów *Apokalipsy* nie robi aż tak wielkiego wrażenia. Znamy ją z Biblii Hebrajskiej. Tutaj jednak, nie jest ona skierowana do wrogów zewnętrznych, do *innego*, lecz właśnie do członków *eida Israel* – własnej wspólnoty: bogaczy nieczułych na los ubogiego, oszustów, przekupnych

sędziów, którzy jak dzikie wilki polują pod osłoną nocy, by do rana złupić ubogiego (שִׁפְטֵייהָ לַבֹּקֶר לֹא יָרְבּוּ עִירָב לֹא יִגְרְמוּ לַבֹּקֶר), zdeprawowane elity, w końcu nawet kapłanów, którzy miast stanowią wzór człowieczeństwa, *plugawią wszelkie świętości* (כָּהֲנֵיהֶם הִלְלוּ-קֹדֶשׁ). To właśnie o zadowolonych elitach, o mieszkańcach pałaców i ich całym urzędowym, biurokratycznym zapleczu wyzysku, Sofoniasz mówi z nieukrywaną satysfakcją: *ich krew będzie jak pył rozbryzgana, a ich tłuszcz jak łajno*. Kontekst biblijny może sugerować, że proroctwa te mają spełnić się w porządku nadprzyrodzonym, jednak same z siebie mogą równie dobrze dotyczyć doczesnego porządku rewolucyjnego.

Jacob Taubes, jakby w kontrze do triumfalistycznych marzeń o ustanowieniu Królestwa Bożego, pisze w liście do Samuela Hugo Bergmana: *celem nie powinno być Królestwo, ale stworzenie takiego człowieka, który byłby go wart*². Takie postawienie problemu, odsyła raczej do aktywnego wysiłku w obrębie aktualnej rzeczywistości, nie zaś grozy dni ostatnich. W judaizmie wątki apokaliptyczne nie są zbyt mocno eksploatowane. Podchodzi się do nich z dużą ostrożnością i traktuje z metaforyczną pobłażliwością. Stąd też, pogroźki żydowskich proroków wydają się raczej być mocnym kopniakiem w tyłek ospałego społeczeństwa, kubłem zimnej metafory wylanym na uśmiechnięty łeb bogatego prominenta. Są wyzwaniem moralnym w obrębie rzeczywistości i w jej aktualnym trwaniu, nie zaś planem eschatologicznej zemsty.

Dla proroków, człowiek jest tyleż piękny, co odrażający. Odrażający proporcjonalnie, nawet nie swoich czynów, lecz raczej intencji. Dlatego Ozeasz mówi: *ohydni jak to co pokochali* (שִׁקוּצִים כְּאַהֲבָהם). Apokalipsa to raczej dezaktywacja *jecer ha-ra* / יֵצֵר הָרָע / *złego instynktu*, nie zaś zniszczenie jego nośnika – człowieka. Prorocy szczególnie ostro uderzają we współczesnych sobie bigoteryjnych operatorów zrutynizowanej maszyny teologicznej. Apokalipsa, jeśli jakaś w ogóle nadejdzie, będzie apokalipsą samozwańczych elit. Bóg, ustami Izajasza mówi: *Nie przynioscie mi już waszych bezsensownych ofiar* (מִנְחֹתֶיךָ שֶׁאֵין), *wasze kadzidła są mi wstrętne!* Raszi komentując ten fragment, mówi, że dym z ofiar składanych przez podłych ludzi, podobnie jak ich modlitwy, śmierdzi (קִיטוֹר שֶׁל תִּיעוּב). Nieco dalej Izajasz powiada: *nie mogę ścierpieć waszych pustych uroczystości* (אֵיכָל אֲנִי וְעֵצָרָה). Na koniec Izajasz używa ostrzejszego sformułowania, Bóg jest *zmęczony* (נִפְשֵׁי) celebrytami bigotów i czuje do nich *organiczny wstręt* (שִׁנְאָה נִפְשִׁית). Tutaj nie kler straszy prosty lud apokaliptycznymi wizjami, lecz lud, ustami proroków gromi kapłanów. U Malachiasza, Bóg zwraca się do swoich kapłanów: *przeklnę wasze błogosławieństwa* (אֲרוּחֵי אֶת־בִּרְכוּתֵיכֶם), *powyrywam wam łapy*³, *i rzucę gnój na waszą twarz, gnój waszych święt i pognam was precz od siebie*.

Przy okazji apokaliptycznych gróźb miotanych przez wiernych na kapłanów

² Nitzan Lebovic, *The Jerusalem School*, s. 110, w: Jacob Taubes, *Apokalipsa i polityka*, Warszawa 2013, s. VII.

³ To zdanie można tłumaczyć na dwa sposoby. W tekście hebrajskim mamy *zera* / הִזְרַע / *nasienie*, *potomstwo*, co może oznaczać, że Bóg przeklnie tych, którzy uczą się podłości od wiarołomnych kapłanów. Takie najczęściej

¹ Giorgio Agamben, *Wspólnota, która nadchodzi*, w tłumaczeniu Sławomira Królaka, Warszawa 2008, s. 111.

swojego własnego kultu, warto nadmienić, że w chrześcijańskiej Europie średnio-wieczna mistyczka, Birgitta Birgersdotter, równie brutalnie co żydowski prorocy, ganiła bezduszość kleru. Ta szwedzka teolożka słynęła nie tylko z ciętych, ale i niezwykle obrazowych peryfraz. Kiedyś porównała aniołów do fotonów (*quasi athomi solis*). Dodajmy, że miało to miejsce w XIV wieku, a więc setki lat przed odkryciem dualizmu korpuskularno-falowego. Te *cząsteczki słońca* brzmią bardzo urokliwie. Ale porównanie Boga do robala, i to do robala-szkodnika jest metaforą zaskakującą i wielce obiecującą. Apokaliptyczny Bóg, nie zstępuje z góry, lecz jako Wielki Robal wyłazi spod ziemi i od razu krzyczy na swoich kapłanów:

Wy obrzydliwcy, niewdzięczni degeneraci (*abominabiles et ingrati et degenerantes*)! Wyda-
je wam się, że mnie nie ma, a ja się tylko przyciszałem jak uśpiony robak, co zimową porą skrywa
się w ziemi w postaci larwalnej (*vermis mortuus in hyeme*). Ale, wyleżę z ziemi z nastaniem letnich
zbiorów i zeżrę wszystko o co tak zabiegaliście. Wtedy sparaliżuje was strach i nie będzie ucieczki
z moich łap (*non effugietis manum meam*)! Ponieważ nie szukam niczego innego, krom waszych
dusz (*nichil quero nisi animas vestras*)!

Na koniec, dowiadujemy się, że ten Wielki Robal jest niezmiennym i wiecznym (*immutabilis et aeternus*) Bogiem. Jest to Bóg na swój sposób (samo)obdarzony humorem i autoironią, bo trudno się nie uśmiechnąć, gdy po tej strasznej przemowie, podkręcając węża, powiada: *A poza tym, jestem słodki i łagodny (Ego sum suavis et mitis)*.

Birgitta miała cudowną moc imaginacji i literacki impet. W swoim *Revelationes coelestes*, stworzyła *palimpsesto intertextual* pełen nieodkrytych i niepublikowanych jeszcze metafor. Posiadała również teurgiczną moc naprawiania świata. Klęła nie tylko szeregowych księży, przed jej gniewem nie uszedł również Pontifex Maximus Ecclesiae – papież. We wrześniu 1370 roku przeklęła papieża Urbana V, w listopadzie papież zachorował, a w grudniu zmarł definitywnie.

Ani brutalizm scen, ani bestie, smoki, potwory, apokaliptyczni jeźdźcy nie robią mimo wszystko wielkiego wrażenia jeśli pozbawić te kukielki istotnej części narracji, która je ożywia. Jak widać z powyższego, mogą nawet nieco śmieszyć. Poza tym, są figurami nazbyt teatralnymi. Nawet nie aktorami, lecz jakimś rodzajem ożywionej scenografii. Nie ma w nich autentyzmu, a jedynie dramatyzm metafory i dramatyczny

rozumienie spotkać można w żydowskich komentarzach. Natomiast chrześcijańskie przekłady, zamiast *potomstwo* czytają *zeroa* / הָרֵעָ / *ręka*. Jest to zgodne z tekstem *Vulgaty*, która używa słowa *brachium* / *ramię*. Użyłem tutaj lekcji chrześcijańskiej, nie z przekonania, że jest właściwsza, lecz wyłącznie dla podniesienia dramatyzmu. Ta rozbieżność może być wynikiem błędu Hieronima ze Strydonu, który źle odczytał masorecką wokalizację, lub też korzystał z wcześniejszej lub jakiejś alternatywnej masory, która nie dotrwała do naszych czasów.

gest. Autentyczne są być może intencje autora, lecz te są ukryte pod maskami wypreparowanych maszkar. Ale jest jedno upiorne zdanie w *Apokalipsie*, które może przerazić. Robi tak piorunujące wrażenie, ponieważ odsłania nieludzką logikę agentów Nieba i kibiców tych bożych igrzysk.

By móc z przyjemnością, radością i satysfakcją ukarać *złych*, potrzebne jest wprzód cierpienie *dobrych*. Takie opisy pobudzają święty gniew, nakręcają tłum i społeczne zapotrzebowanie na lincz.

Dano każdemu z nich szatę białą, i powiedziano im... Kto dał i kto powiedział? Bóg? Baranek? *Głos wydobywający się spośród czterech Zwierząt?* Jan, gdzie to jest możliwe, unika nie tylko konkretności, ale wszelkiej personalizacji. Wiemy natomiast kim są ci, którzy otrzymali białe szaty. Gdy czwarta pieczęć zostaje złamana, pojawia się ostatni jeździec Apokalipsy – Śmierć na trupio bladym koniu. Teraz, gdy wszyscy mściciele są w komplecie, zjawiają się niecierpliwe rządne zemsty, dusze męczenników ponaglając krzykiem Boga, by ten nie zwlekał z pomstą i czempredziej mścił. Jednak zamiast natychmiastowej satysfakcji z zemsty na wrogach, męczennicy dostają na pocieszenie białe szaty i propozycję żeby *jeszcze przez chwilę poodpoczywali i poczekali, aż większa ilość ich kompanów, podobnie jak oni wcześniej, zostanie zamordowana*. Ziemia musi nasycić się krwią, by zemsta mogła lepiej smakować. *Ludzie szukać będą śmierci, ale jej nie znajdą, będą chcieli umrzeć, ale śmierć od nich ucieknie*. Dlaczego? Szybka śmierć to łaska, a wróg ma konać długo i w męczarniach. A kiedy już skona, śmierć nie będzie końcem i wybawieniem, lecz początkiem nowej męki. Koszmaru wiekuistego. Piekła.

Jeśli zwiedzeni fantastyczną konwencją gatunku, nieopatrznie przyjęliśmy reguły gry i choćby na użytek eksperymentu, założyliśmy, że scenarzystą i reżyserem tego dramatu istotnie jest jakiś bóg, wówczas może wyrwać się emocjonalna, lecz jakże nierozsądna konkluzja: *ależ to nieludzkie!* Ale jeśli nieludzkie to jakie? Boskie? Diabelskie? Gdy źle postawimy problem, każda odpowiedź będzie błędna. Jest to dość częsty błąd epistemologiczno-metodologiczny, gdy podłość klasyfikuje się jako coś *nie-ludzkiego*. Choć często podkreśla się, że ścieżki Boga nie są jak ścieżki człowieka, to logika wersu jedenastego szóstej księgi Apokalipsy nie jest logiką Boga Miłości. Nie jest też logiką Boga pojmowanego jako *Immutabilis et Aeternus* – zbyt wiele tu brzydkich emocji. Ale i diabeł nie ma konieczności w to mieszać. Wystarczy człowiek. Logika tego wersu, jest właśnie na wskroś ludzka – mała, podła i brudna. Tu, bardziej niż rzeź, przeraża i trwoży strategia apokaliptycznego teatru wojny.

Oczywiście jest to jedna z wielu możliwych interpretacji. Niestety, pierwsze wrażenie jest nieprzyjemne, a wszelka krytyka niemożliwa, bowiem żaden zdrowy rozsądek nigdy nie zwycięży z religią na jej polu. Wers jedenasty, w razie potrzeby, można dowolnie zreinterpretować, w zgodzie z aktualnie obowiązującym konformizmem i bieżącą polityką wykluczenia. Może on być metaforą dowolnej, użytecznej prawdy, bowiem

królestwo Baranka nie jest z tego świata a jego drogi nie są drogami świata. *Albowiem Tuum est Regnum*. I tak miałby skończyć się świat?

Apokalipsa to jednak nie tylko zideologizowane narzędzie w rękach społecznych manipulatorów. Jak wszystkie denaturujące ludzką nadzieję wynalazki i akcesoria systemu, stanowi jednocześnie opium dla ludu, jak i opium ludu. Przez wieki była nie tylko ulubioną zabawką mainstreamu teologicznego, ale również wszelkiej maści heretyków. Dlatego, Jan Chryzostom, już w IV wieku, przeciwstawiał się włączeniu tej księgi do kanonu biblijnego, obawiając się, że jeśli nawet jest to potężny miecz dla Kościoła, to jest to miecz obosieczny. Te obawy okazały się całkiem zasadne, gdy apokaliptyczne pragnienia, w postaci marzeń i fantazji, zaczęły działać niejako od dołu. Niesłychanie plastyczne, a zarazem pojemne symbole Apokalipsy nadal niosły nadzieję sprawiedliwego końca, lecz w odwrotnym kierunku. Ostrze apokaliptycznej retoryki zostało skierowane w Kościół, stając się inspiracją do radykalnych zmian porządku społecznego. Po co czekać na Apokalipsę skoro sami jesteśmy w stanie sprowadzić ją na tych, którzy nas nią straszili? W retoryce protestantów, Kościół Katolicki pozostaje aktorem janowego dramatu, lecz zmienia rolę. Z bohatera zbiorowego: *powołanych, wybranych i wiernych*, przechodzi do roli pierwszoplanowej primadonny – Wielkiej Nierządniczy Babilonu.

Ap. xvii:14

Symbolika apokaliptyczna jest niesłychanie plastyczna i modalna, a jej aktorzy są jak puste stagwie, gotowe do napełnienia aktualną i użyteczną treścią. Nawet sam autor stara się maksymalnie unikać wszelkiej dosłowności. Nie chodzi tutaj nawet o zaszyfrowane imię Bestii, lecz o głównych, pozytywnych bohaterów dramatu.

Jesteśmy skłonni identyfikować apokaliptycznego Baranka jako Jezusa a kobietę obleczoną w słońce jako Marię. Nie jest to jednak ani jednoznaczne, ani teologicznie spójne. Nawet wówczas, gdy Jan mówi o przyszłym panowaniu Chrystusa, nie wymienia go z imienia. Grecki *christos* (χριστός) to po prostu *pomazaniec*. Imię Jezusa, poza prologiem i zakończeniem, prawdopodobnie dopisanymi znacznie później, pojawia się tylko parokrotnie i wyłącznie w kontekście prześladowania jego uczniów lub gdy autor wspomina przyczynę tych prześladowań: *testimonium*, szeroko pojętą naukę i świadectwo Jezusa.

Apokalipsa posiada jednak nie tylko totalistyczno-polityczną wykładnię. Nie wszyscy posługiwali się destrukcyjną, użyteczną propagandowo interpretacją. Wszak greckie ἀποκάλυψις i łaciński odpowiednik *revelatio* oznacza *odkrywanie, objawienie, ujawnianie*, a zatem odnosi się do jakiejś deskrypcji, a dalej, do hermeneutyki. Stąd też, *Apokalipsa* implikuje nie tylko metafizykę i politykę, ale również, być może nawet przede wszystkim, hermeneutykę pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Hermeneutykę ostateczną, a więc totalną. Dla Derridy, apokaliptyczny sąd nad światem, nad jego doczesnością, jest jednocześnie sądem nad językiem. Językiem, który w sposób coraz

doskonalszy komunikuje sprawy tego świata, lecz jest zupełnie bezużyteczny do opisu świata, który ma nadejść. Żadna re-kombinacja, re-konstrukcja, re-kompozycja języka nie wchodzi w rachubę, lecz tylko całkowite zniszczenie. Tylko przez całkowitą destrukcję, możliwym staje się *revelatio* – ujawnienie tego, co przekracza każdy język.

Agamben, podążając tym tropem, powiada, że apokaliptyczny sąd nie odbywa się za pomocą języka, który ze swej natury, podlega ciągłym przekształceniom i aktualizacjom, lecz raczej jest to sąd nad samym językiem.

Ale pomyśl ten, eksploatowany przez modnych post-współczesnych filozofów, ma bardzo starożytne korzenie. Już w Biblii pojawia się sugestia, że istnieje sfera *niedostępna dla ludzkiego języka* (לֹא-יִיכַל אִישׁ לְדַבֵּר). Ta myśl będzie objawiać się przez pokolenia na każdym poziomie teologii apofatycznej. By nie sięgać zbyt głęboko w przeszłość i pozostać przy *Apokalipsie* Jana z Patmos, zajrzyjmy do *Cantico espiritual* Jana od Krzyża, który zwraca uwagę właśnie na językowy aspekt apokalipsy.

Koh. 1:8

Zarówno u Jana od Krzyża, jak i Teresy z Ávili można odnaleźć pewne symetrie do mistyki żydowskiej tego czasu. Paradoksalnie, właśnie ci chrześcijańscy i żydowscy mistycy, którzy zajmowali się nadprzyrodzonością niewerbalną, byli najbardziej gadatliwi. Oczekując na moment, gdy wszelki język stanie się zbędny, mozolili się nad dekonstrukcją języka, tworząc przy okazji, relatywnie użyteczny, rodzaj wewnętrznego mistycznego metajęzyka.

Zarówno Jan jak i Teresa, działali w tym samym czasie co żydowska szkoła kabalistów z Safed. Większość mistyków luriańskich pochodziła z Hiszpanii, ich rodzice, lub oni sami wyemigrowali po Dekrecie z Alhambry z 1492 roku. Wiek XVI można śmiało nazwać złotym wiekiem mistyki, zarówno chrześcijańskiej jak i żydowskiej. Główne jej centra mieściły się na dwóch przeciwległych brzegach Morza Śródziemnego – w Hiszpanii i w Imperium Osmańskim. Wielcy hiszpańscy mistycy tego czasu, Jan od Krzyża, Teresa z Ávila, Jan z Ávila, Luis de León byli dziećmi żydowskich *conversos*. Wszyscy w większości znali się i przyjaźnili. Mało jednak prawdopodobne, by Jan od Krzyża zapoznał się z żydowską mistyką w trakcie edukacji domowej. Możliwe, że w późniejszym okresie zetknął się z innymi *conversos*, którzy jeszcze zdążyli odebrać żydowską edukację. Bardziej jednak możliwe, że to mentalne aromaty i zapachy epoki, krążące w owym czasie od wybrzeży Hiszpanii po Lewant powodowały, że myśliciele oddaleni od siebie tysiące mil, śpiewając podobne melodie, odnajdowali podobne rymy.

Jan od Krzyża, teolog nocy i *doctor tenebris*, odnajduje w *Apokalipsie* pewną nieprzekraczalną, gęstą masę mroku, jakiś semantyczny czop blokujący hermeneutyczny korytarz wiodący do deskrypcji tego *czegoś* (*aquello*), co stanie się potem. O ile opis samej apokalipsy jest możliwy, to apofatyczny krajobraz *postapo* wyklucza jakikolwiek scenariusz. Tego co będzie potem, po prostu nie da się opisać ludzkim językiem. Choć opis nieskończoności wydaje się niemożliwy przy pomocy skończonych narzędzi

semantycznych, Jan z Patmos próbuje przekazać czytelnikom klucze, a konkretnie siedem kluczy, lub siedem intuicji do świata po świetle. Dobrze wytresowany egzegeta odnajdzie je, lecz zwykły zjadacz słów, przeoczy. Dlatego Jan od Krzyża stara się pomóc w tych poszukiwaniach. Robi to z wielką ostrożnością, pokazując czytelnikowi owe klucze do wieczności, wycofuje się z jakiegokolwiek egzegezy, pozostawiając go samego z tymi milczącymi narzędziami.

W *Cantico espiritual* podaje współrzędne tych Siedem Kluczy do Aquello. Są to, kolejno, w *Apokalipsie*: II:7, II:10, II:17, II:26-28, III:5, III:12, III:21-22. Teraz rolą czytelnika jest zlokalizowanie ich w księdze Jana z Patmos i dopasowanie do odpowiednich drzwi.

Rzecz znamienna, że autor nie zastanawia się nad faktem, dlaczego kluczy jest właśnie siedem. Pomija, tak ważną dla tekstów apokaliptycznych kwestię symboliki liczb, szczególnie siódemki, która w *Apokalipsie* ma szczególne znaczenie (*siedem złotych świeczników, gwiazd, duchów, pieczęci, trąb, naczyń gniewu, lamp, głów, diademów, rogów, oczu, gromów, gór*). Liczba Siedmiu Kluczy Aquello nie jest podana w księdze, to Jan od Krzyża sam odnajduje je w tej liczbie. Nie interesują go zabawy numerologiczne, nie stawia pytania: *dlaczego kluczy jest akurat siedem*, lecz: *dlaczego jest ich wiele*? Dlaczego *aquello* nie można było zawrzeć w tak preferowanym przez żydowskich egzegetów *jednym orzeczeniu* / דְּבִיר אֶחָד / *dibur echad*?

Jeśli apokalipsa istotnie dokonuje się w przestrzeni języka, to właśnie dlatego by język przekroczyć w kierunku niewypowiedzianego, pozawerbalnego *aquello*.

Jedyny komentarz na jaki decyduje się autor dotyczy właśnie języka i niemożliwości zwykłego zwerbalizowania tego *czegoś*, co człowiek dopiero zrozumie w pierwszym dniu nowej rzeczywistości (*aquello que me diste el otro día*). Jan zauważa, że jeśli cel rozważań jest nieuchwytny, a to ze względu na swą dynamiczną naturę, fantastyczną formę, nieoczywistość, czy też bezkształt majaku, należy – odwrotnie niż czynił to Ockham – zagęścić ostrzał ruchomego celu na wiele sposobów i za pomocą wielu rodzajów amunicji. Stąd to namnażanie terminów, określeń i porównań (*muchos términos y vocablos y comparaciones*). Dlatego w *Apokalipsie* odnajdujemy siedem kluczy a nie jeden, ponieważ niepodobieństwem jest wyrazić *aquello* przy pomocy jednego opisu (*no poder ser comprendido aquello en un vocablo*).

O tej samej zasadzie pisał setki lat wcześniej Eriugena, określając ją jako *multis modis multisque*. Mikołaj z Kuzy dodaje, iż zarówno w polowaniu na Zaświaty, jak i na ich Gospodarza, jedyną dostępną amunicją są intuicje i spekulacje. Stąd zalecał, by właśnie mnożyć wypowiedzi (*multiplicatio sermonum perutilis est*) i, nie unikając przy tym paradoksów, namnażać ogień posiewany⁴.

Dla Jana, wszelkie orzekanie o Bogu i naturze innych bytów nieistniejących,

⁴ *Ogień posiewany*: prowadzony do celów szerokich i głębokich, niejawnych, ukrytych a jednak przecutych. Ogień hermeneutyki posiewanej prowadzi się przy jednoczesnej ciągłej zmianie punktu celowania w głąb i wszcz.

bądź wymykających się naszej percepcji i konceptualizacji, jest w istocie jak strzelanie do ruchomego celu. Ponieważ, wszystko co jesteśmy w stanie powiedzieć jest niewystarczające (*porque todo lo dicho queda corto*), to właśnie tylko namnażanie, ogień posiewany, zagęszcza trafienia wokół nieuchwytnego i może zbliżyć do pozawerbalnej grozy majestatu (*inefable majestad y grandeza*). Słowa zawarte w *Apokalipsie*, co prawda opisują owo *aquello*, lecz nie wyjaśniają go (*pero aún no lo declaran*). By pojąć niepojęte nie wystarczy proroctwo z Patmos, lecz realna apokalipsa. Nie opis, lecz doświadczenie. To doświadczenie, które dokona się na polu semantyki, ma prowadzić do przekroczenia języka. Apokalipsa zagraża nie tyle ludziom, co ich językowi. Zagraża, wszystkim bibliotekom i całej literaturze.

W ogniu apokalipsy spłoną zapewne wszystkie *midrasze*, komentarze i dzieła teologiczne. Apokalipsa odsłoni nie tylko ich kruchość i ulotność, ale nade wszystko, bezużyteczność. Po co temu, kto odzyskał wzrok, książki pisane alfabetem Braille'a? Ale przede wszystkim spłoną dzieła poszukiwaczy prawdy – filozofów, bo na co komu klucze, gdy nie ma już drzwi?

2. Apokalipsa jest kobietą / Anzelm z Aosty

Pani milczenia
Spokojna i strapiona / Rozdarta i nietknięta
Róża pamięci / Róża zapomnienia
Udręczona i cicha / Pusta i brzemienista
Jedyna Róża / A całym jest Ogrodem⁵.

T.S. Eliot / *Popielec*

W religiach patriarchalnych, kobieta, w mniejszym lub większym stopniu była ubezwłasnowolniona przez ojca, męża, nawet własne dzieci płci męskiej. Jakakolwiek próba wymknięcia się męskiej dominacji była odczytywana jako bunt zagrażający społecznej równowadze, Ta równowaga oparta na asymetrii, w praktyce oznaczająca dominację i zniewolenie, stanowiła rodzaj magicznego oksymoronu konstytuującego cywilizację w jej najbardziej odrażającej, przemocowej formie. Religie tworzyły monologiczne struktury, które powielają asymetrię płci kulturowej. W maskulinistycznym

Granicami posiewania jest szerokość i głębokość pola semantycznego lub rozmieszczenia celu metaforycznego. Zazwyczaj staram się trzymać z daleka od terminologii militarnej, niechże więc to odstępstwo będzie próbą jej refunkcjonalizacji.

⁵ T.S. Eliot, *Popielec*, w tłumaczeniu J. M. Rymkiewicza.

krajobrazie wieków minionych, wszelka myśl o samodzielności kobiet była traktowana jako zamach na porządek boży. Współczesne uzasadnienie nierówności płci w odniesieniu do porządku nadprzyrodzonego oraz traktowanie feminizmu jako infernalnego miecza Antychrysta mogłoby budzić rozbawienie, gdyby nie fakt, że takie poglądy coraz częściej przedostają się do sfery publicznej i bez cienia zażenowania są głoszone przez pravicowych polityków i ich kapelanów.

W średniowiecznej wyobraźni, w dystopijnym krajobrazie nadciągającej apokalipsy, zagrożenie stanowił każdy heretyk. W epokach, gdy do konwencji należało posługiwanie się językiem religii, był to termin bardzo pojemny. Dla współczesnych kapłanów maszyny społecznej, do rangi posępnych apokaliptycznych jeźdźców mogą awansować imigranci, osoby o innej karnacji skóry, orientacji seksualnej, kobiety, nawet rowerzyści, weganie czy ekolodzy. Wszelka inność, warunkowo tolerowana, dotknięta magiczną różdżką propagandy, zamienia się w krwiożercze apokaliptyczne bestie. Współczesny kołtun, chętnie umieszcza przewrotne feministki w roli forpoczty nadciągającego Armagedonu. Te zaprzędane Piekłu kobiety będą dręczyć mężczyzn wiernych nauce Baranka i prześladować jego kapłanów. Będą? Ależ to już się dzieje na naszych oczach! Dla pravicowych fanatyków religijnych, feminizm to znak końca czasów i widoma zapowiedź nadciągającej apokalipsy.

Czy to apokaliptyczno-boży, czy dla odmiany świecki antyfeminizm stał się punktem stycznym praktycznie wszystkich przemocowych ideologii propagujących nierówność. W istocie, jest w tym coś z apokalipsy – zupełnie jak gdyby cywilizacja zatoczyła koło i powróciła do źródeł przemocy.

Aby chwilę odpocząć od tych post-teologicznych aberracji neo-ultramontanistów, proponuję coś, co może wydawać czystym absurdem – odświeżający skok w dawno minione epoki teologiczne, bo paradoksalnie, źródło trucizny zdaje się skrywać antidotum.

Żydowska mistyka również sytuje feminizm i zagadnienie równości płci w planie apokaliptycznego końca dziejów, ale w sposób odmienny. Wzmocnienie pozycji kobiecości, równość płci, a nawet wyższy status paradygmatu żeńskiego pojawia się nie jako zakłócenie, bądź katastrofa boskiego porządku, lecz jako jego spełnienie i eschatologiczny cel. Natomiast patriarchalizm, traktowany jest tutaj nie jako przejaw boskiego planu, lecz raczej jako jego degeneracja, konsekwencja ludzkiego błędu, a ostatecznie jako wynik uwikłania w mrok zdegradowanej, upadłej materii.

Ten rodzaj feminizmu nie ma zbyt wiele wspólnego z walką o równouprawnienie płci w sferze społeczno-kulturowej i prawnej. Jest to raczej jakiś rodzaj feminizmu eschatologicznego. Ale już samo dowodzenie równości aspektu męskiego i żeńskiego (cokolwiek ta żeńskość i męskość znaczy w danym historycznym momencie i kodonie kulturowym autorów), jawi się niemal jak rewolucyjne zerwanie z przemocowym

męskim paradygmatem.

Jeśli nawet człowiek jest budowniczym tego więzienia, to jednak jego architektem jest w jakimś sensie sam Bóg. Mosze Chaim Luzzatto sugeruje w *Daat Tewunot*, że Bóg ukrył się nie tylko przed człowiekiem, lecz również przed samym sobą. Uczynił to, by świat mógł zaistnieć. Wygląda to tak, *jak gdyby ukrywał się przed aspektem własnego istnienia i swojej istoty* (והנה כמו שאל מסתתר הוא מצד מציאותו ומהותו הפשוט). Czyni to Boga współodpowiedzialnym doczesnej mizerności bytów uwarunkowanych.

Pośród wielu wersetów w Torze, traktujących o ofiarach, jeden, w opinii rabinów, odbiega od wzorca. Bóg nakazuje przyniesienie *chatat*, ofiarę za grzech, ale gramatyka tego zdania otwiera na dość zaskakującą możliwość interpretacyjną. Również kontekst tego fragmentu, może wskazywać, że nie chodzi tu o ofiarę za grzechy człowieka lecz, że to Bóg prosi ludzi o ofiarę za samego siebie. Według tej interpretacji, Bóg wzywa siebie na sąd i prosi ludzi: *przynieście ofiarę przebłągalną za mnie* (הביאו עלי כפרה). Nachman z Bracławia komentując ten tekst, powiada, że Sam Bóg, doszedł do punktu, w którym jest zmuszony powiedzieć [człowiekowi]: *Przynieś ofiarę pokutną za mnie* – znaczy to, że zrobił coś, za co poczuł wyrzuty sumienia, za co musi teraz odpokutować (הינו שעשה דבר שהצרך להתחרט עליו יתברך עשה דבר שהצרך להתחרט עליו). Pozostaje tylko wyjaśnić, czym była owa *culpa Dei*. Odpowiedzi udziela sam Bóg. Mówiąc: *przynieście ofiarę przebłągalną za mnie*, dodaje – *ponieważ zmniejszyłem wielkość księżyca* (על שמעטתי את הירח). Odnosi się to czasów kreacji, gdy Bóg najpierw stworzył dwa, wielkie, równe sobie światła, a następnie, jedno z nich zmniejszył. Przy czym nie chodzi tutaj o Słońce i Księżyc rozumiane jako znane nam obiekty astronomiczne, lecz o *dwa duchowe światła emanujące z dwóch wyższych światów* (שני אורות משני עולמות העליונים). Słońce, gwiazda naszego układu i Księżyc – satelita Ziemi, są tutaj jedynie odległą metaforą czegoś znacznie głębszego – psychicznej i duchowej zasady męskości i żeńskości, które początkowo były sobie równe, a które na wyższym poziomie, stanowią nierozzerwalną jedność dwu potencjalności. Ostatecznie w procesie rektyfikacji świata, mają do tego stanu powrócić, a każdy, kto pracuje nad wzmocnieniem pozycji Księżyca, przyczynia się do *tikun olam* – naprawy świata i przybliża egalitarną pełnię Stworzenia.

Myśl mistyczna dopuszcza równoprawne uzewnętrznianie zarówno męskich, jak i kobiecych aspektów, przy czym męskość nie jest wartością opozycyjną, lecz raczej stanowi wraz z kobiecością dwa bieguny jednej rzeczywistości. Jak pisze Josef Albo we stępie do *Sefer ha-Ikarim*: *przymierze między aspektem żeńskim i męskim*, które jest konstytutywne dla doczesności, *zakłada przyjaźń/miłość* (כריתת הברית בין ב' אנשים מהו), nie zaś hierarchiczną zależność i podległość. Stąd też zasada przymierza, wykluczając aspekt władzy, stanowi *trwałą więź między dwiema stronami, której celem jest scementowanie i związanie ich wzajemnej przyjaźni/miłości, tak aby stały się jedną rzeczywistością siebie, by wzajemnie troszczyły się o siebie i pomagały*

Daat 46

Chulin 60b

Likutej M. 11:1.14

Kaw ha-jaszar 93:3

Sefer ha-Ikarim 11:45

הוא קשר קיים בין שני אנשים, כדי לקשור ולדבק האהבה ביניהם, עד שיהיו שניהם כאלו הם גוף אחד) *sobie* (וישמור כל אחד מהם את חבירו כשמירתו את עצמו).

Eliezer Melamed w *Peninej Halacha*, pisze, powołując się na długą tradycję mistyczną, że choć układ ról społecznych początkowo przedstawiał się tak, że przewaga mężczyzny nad kobietą była szczególnie mocno akcentowana, to jednak w miarę rozwoju i postępu ludzkości, przewaga kobiet będzie/jest coraz bardziej widoczna (אולם בעתיד תתגלה יותר). Na poparcie tej tezy, rabini powołują się na pewien, dość zaskakujący werset u Jeremiasza: *Bo Bóg stworzył coś nowego na ziemi: oto dziewczyna podrywa chłopaka* (כִּי בָרָא ה' הַדְּשָׁה בְּאֶרֶץ נִקְבָּה תְּסוּכָב גֶּבֶר).

Musiało to być sporym zaskoczeniem dla współczesnych. W patriarchalnym judaizmie mężczyzna *brał* / לָקַח / *lokach* żonę, natomiast tutaj mamy sytuację odwrotną, to kobieta wybiera sobie mężczyznę. Przy czym Jeremiasz używa tutaj innego słowa – *tesowew* / תְּסוּכָב, co można przetłumaczyć dosłownie: **zakreśli** *mężczyznę*. Prorok zakłada, że z czasem role zostaną odwrócone, a ta innowacja, nie jest bynajmniej przekroczeniem boskiego prawa, lecz raczej jego wypełnieniem i naturalną konsekwencją.

Melamed dowodzi, że im świat jest bardziej bezduszny i prostacki, a refleksja człowieka ekspansyjnie skierowana na zewnątrz (מבטנו חיצוני), tym bardziej akcentowana jest rola mężczyzny, który poucza i dominuje (הלומד והמנחה). Jednakże, wraz z postępem i rozwojem społecznym, gdy ludzkie pojmowanie pogłębia się (המבט יהיה יותר עמוק), status mężczyzny i kobiety zrównuje się (מעמד האיש והאשה יהיה שווה). Natomiast w świecie przyszłym, status kobiety będzie przewyższał pozycję mężczyzny (מעמד האשה יהיה גבוה ממעמד). Podobną koncepcję sugeruje starożytny *Midrasz Raba*, gdy dowodzi, że *wszystko pochodzi od kobiety* (שהכל מן האשה) – i do kobiety ostatecznie powróci.

Aspekt męski jest tutaj mistycznym przyjacielem i partnerem kobiecości. Nie musi wciąż potwierdzać własnej uprzywilejowanej pozycji poprzez odwoływanie się do hierarchicznego porządku nadprzyrodzonego. Mistycy artykułują równość i partnerstwo, wymiennność i komplementarność ról, co prawda jeszcze nie społecznych, lecz bardziej duchowych i mentalnych, jednakże podkreślają, że taki stan rzeczy, jest zarówno początkiem, jak i celem całego dramatu Stworzenia. Natomiast obecny brak równowagi, hierarchiczny patriarchalizm jawi się nie jako odbicie boskiego planu, lecz jako jego zakłócenie.

Ostatecznie, jak powiada Zohar, *bramy mądrości z hukiem rozewrą się na górze* (ומבועי דחכמתא לתתא) *a źródła mądrości odpowiedzą im na dole* (יתפתחון תרעי דחכמתא לעילא). Wówczas nastąpi poznanie wieloaspektowej prawdy, która, jak białe światło, zostanie ujrzana w swojej tęczowej różnorodności. Zohar tą jedność różnorodności określa jako *poznanie wszystkich światów wielobarwnej tęczy* (יתחזי קשתא בעננא בגווני נהירין). Jeśli nawet ten świat opiera się na jakiejś dipolarnej mechanice, to cel jest monistyczny. Rabin

Szymon bar Jochaj, mówi do swojego syna, rabina Eleazara: *Mój synu, powiedziano o świecie, który ma nadejść* (ברי לעלמא דאתי אתמר), *że jest to Niebiańska Matka* (דאיהי אימא) (ליתתא אית גופא בעלמא דין דאיהי שכינתא תתא, וגופא איהי אורייתא) *jest Tora* (עלאה). *Na dole jest istotą tego świata, Szechiną* [żeńskim aspektem Boga], *a jej ciałem* (לסבב הכל אל התיקון השלם).

W tej optyce, praktycznie nie ma miejsca na apokalipsę, rozumianą jako walka dobra ze złem, odpłata i kara dla grzeszników, bowiem *ostateczną intencją Boga nie jest kara i nagroda, lecz całkowita naprawa* (אין סוף הכונה על השכר ועונש, אלא על התיקון כללי) *Bóg połączy dwa aspekty w jedno* (שני הדברים כאחד), *doprowadzając do pełnej korekty całej rzeczywistości* (לסבב הכל אל התיקון השלם).

Badając zagadnienie płci symbolicznej Boga w kabale luriańskiej, pamiętać należy, że jest to zbiór poglądów alternatywnych względem aktualnie obowiązującego punktu widzenia, ale również, wewnątrznie, wobec siebie. Jest to niejako zespół doraźnych sposobów radzenia sobie z wymykającym się definicji sensem. Efektem tego jest duża zmienność i płynność symboli. Choć szesnastowieczni mistycy budowali wizje płci Boga w oparciu o aktualne wzorce własnej epoki, zaskakujący jest impet z jakim potrafili je przekraczać i, czasem nieświadomie, dotykać modeli, które dopiero zostaną skonstruowane za kilkadziesiąt lat. W tym świecie, żeńska manifestacja Boga przejawia się na wszystkich szczeblach doświadczenia religijnego. Zarówno w filozoficzno-teologicznej refleksji na temat końca historii i jej celu, jak i w bardzo osobistym wymiarze modlitwy.

Przykładem modlitwy do żeńskoosobowej Boskości jest hymn *Jedid Nefesz*. Utwór jest przypisywany szesnastowiecznemu mistykowi, rabinowi Eleazarowi ben Mosze Azikriemu. W istocie Azikri nie rościł sobie prawa do jego autorstwa, raczej sugerował jego starsze pochodzenie. Choć hymn mówi o tęsknocie człowieka do Ojca Miłosierdzia, to gramatycznie, podmiot zwraca się do Boga używając *feminum*. Gdy autor pisze: *moja dusza jest chora z miłości do Ciebie* (נַפְשִׁי חוֹלָת אֲהֶבְתֶּךָ), brzmi to jak wyznanie miłosne skierowane do kobiety. Przekład nie oddaje tego, ponieważ zaimki osobowe w drugiej osobie liczny pojedynczej, w języku polskim, nie posiadają rodzaju żeńskiego. Jednakże w tekście rękopisu *Sefer Charedim*, autor zwraca się do Boga w *feminum* (אֲהֶבְתֶּךָ / *ahawotach*), nie zaś *masculinum* (אֲהֶבְתֶּךָ / *ahawotech*). Gdyby chcieć to zdanie przetłumaczyć na polski tak, by *genus grammaticum* był widoczny, należałoby powiedzieć: *Moja dusza jest chora z miłości do Ciebie, o Bogini!*

Znając aromat żydowskiej mistyki, trudno się dziwić tym aklamacjom do Bogini. Jednakże i w chrześcijaństwie odnajdujemy niemniej feministyczne *actae iaculatoriae*. Odrzucanie androcentrycznego nazewnictwa Boga i przewartościowanie patriarchalnej perspektywy teologicznej, nie są wyłącznie konsekwencją XX-wiecznych ruchów emancypacyjnych, czy domeną współczesnych dyskursów feministycznych, lecz mają

Tikunej
Zohar 131a

Daat
Tewunot 71

Peninej Halacha,
Tfilat Naszim 111:6

Jer. xxxi:21

Bereszit R. xvii:7

Zohar 1:117a

niemal równie stary rodowód co żydowskie eksperymenty w zakresie norm językowych. Przykłady można odnaleźć w pismach XVII wiecznych mistyczek, Valentyny Pinelo, María Fernández Coronel y Arana z Agredy czy Juany Inés de la Cruz. Zjawiska te istniały jednak na długo przed epoką wczesnonowożytną. Szczególnie mocnym przykładem jest Juliana z Norwich dzięki swojej unikalnej i nowatorskiej teologii oraz Anzelm z Aosty. Przypadek Anzelma jest szczególnie interesujący, gdyż mamy tu, bodaj po raz pierwszy, do czynienia z męskim teologiem unikającym maskulinywów w odniesieniu do Boga.

Anzelm z Aosty to żyjący w XI wieku mnich benedyktyn, biskup Canterbury, filozof, uważany za jednego z twórców scholastyki, ostatecznie święty Kościoła katolickiego i tegoż Kościoła doktor. W jego pismach jest ukrytych zaledwie kilka wypowiedzi rozpatrujących płęć na poziomie refleksji teologicznej, są to jednak wypowiedzi istotne i ważne. Stanowią rodzaj skondensowanej teologii feministycznej, która po rozpakowaniu, mogłaby stać się spójnym, niehierarchicznym porządkiem, dopuszczającym symetrię rodzajową nie tylko na płaszczyźnie semantycznej, lecz przede wszystkim teologicznej.

Spośród jego *Orationes sive meditationes*, najważniejsza będzie tutaj *Oratio X ad sanctum Paulum*. Jest to modlitwa pokutna, w której Anzelm zwraca się do swojego duchowego mistrza Pawła z Tarsu. Podmiot, określany w utworze jako *martwy syn* (*mortuus filius*), to grzesznik, który sam, z własnej winy popadł w rodzaj duchowej agnozji.

Autor uważa, że skoro Apostołowie bardziej są duchowymi matkami niż ojcami Kościoła, to Paweł z Tarsu, jako twórca doktryny chrystologicznej i pierwszy chrześcijański filozof, *a fortiori* zasługuje na tytuł matki – *magis nostra mater*. Anzelm nie tylko ustanawia swojego mistrza i ojca duchowego w roli matki, ale zwraca się doń żeńskimi określeniami: *dulcis nutrix* – *słodka pielęgniaro, piastunko, nianiu*⁶.

Ale nie tylko Paweł i apostołowie są matkami. Kościół Anzelma jest pełen matek.

O Sancte Paule,
dulcis nutrix, dulcis mater!

Nam etsi benedicta fides ista ab aliis
quoque apostolis nobis nata sit et
nutrita: utique magis a te, quia plus
omnibus in hoc laborasti et effecisti.
Cum ergo illi sint nobis matres, tu
magis nostra mater.

O święty Pawle,
słodka nianiu, słodka matko!

Jeśli w tej błogosławionej wierze rodzimy
się na nowo i pielęgnuj nas także inni
Apostołowie, to przede wszystkim dzięki
tobie, bo ty trudziłeś się i zrobiłeś więcej niż
oni wszyscy. Jeśli oni są naszymi matkami,
ty jesteś naszą największą matką.

Ergo, Sancte Paule, filius tuus est
mortuus iste. Mater mortuus iste certe
filius tuus est!

Dulcis mater, recognosce filium tuum
ex voce confessionis; recognoscat ille
matrem suam ex affectu compassionis.
Recognoscat ille matrem ex dulcedine
pietatis.

A więc, święty Pawle, twój syn jest tym oto
martwym człowiekiem. Mamo, ten martwy
człowiek naprawdę jest twoim synem!

Droga Matko, rozpoznaj swojego syna w
szepcie jego najgłębszego wyznania, a on
rozpozna swoją matkę po jej kochającym
współczuciu. Rozpozna swoją matkę po
słodocy dobroci.

Żołęźiel tego imperium zbawienia, Jezus z Nazaretu, dla biskupa z Canterbury, również jest matką. Anzelm używa obrazowego porównania Chrystusa do *mamy-kury*, *kwoki* (*gallina*). Jezus zbiera zagubionych ludzi jak kokosz pisklęta pod swoje skrzydła (*congregat sub alas pullos suos*).

Można odnieść wrażenie, że teolog poszukując w Ojcu i Synie jakiegoś ekwiwalentu

Sed et tu, Iesu, bone Domine,
nonne et tu mater?

Annon es mater, qui tamquam gallina
congregat sub alas pullos suos?

Vere, Domine, et tu mater.

Tu, Domine Deus, magis mater.

Ambo ergo matres.

Nam etsi patres, tamen et matres.

A ty, Jezu, dobry Panie,
czyż nie jesteś też matką?

Czy nie jesteś matką, która jak kwoka
zbiera swoje pisklęta pod skrzydłami?

Zaprawdę, Panie, ty jesteś matką.

Ty, Panie Boże, jesteś wielką matką.

Takoż oboje jesteście matkami.

I choć jesteście również ojcami,
to nade wszystko matkami.

kobiecości, jakby zaklina językowy obraz świata swojego czasu i miejsca. Ostatnie zdanie powyższego fragmentu, w istocie wygląda jak magiczna inkantacja:

obie matki / choć ojcowie / jednak matki

Trzykrotnie powtórzone zaklęcie ma moc odmienić porządek naturalny. Ale porządek natury, przecież boskości nie dotyczy. Czego zatem dotyczy? Języka i pojmowania. Dlatego Anzelm po trzykroć wypowiadając słowa zaklęcia:

ambo ergo matres / nam etsi patres / tamen et matres
ambo ergo matres / nam etsi patres / tamen et matres
ambo ergo matres / nam etsi patres / tamen et matres

stara się raczej odczarować samego siebie, by wyrwać się z władzy i tyranstwa konstruktów doczesności.

Co prawda, teolog czyni łaskawy ukłon w kierunku patriarchalnego paradygmatu

⁶ Wybór fragmentów z *Oratio X ad sanctum Paulum* za: S. Anselmi Cantuariensis Archiepiscopi Opera Omnia, Tomus Secundus, Vol. III, Stuttgart-Bad Cannstatt 1968, s. 39-41.

ojca, lecz zdecydowanie skłania się w kierunku boskiego macierzyństwa. Wymienione przez niego cechy męskie i żeńskie w odniesieniu do Boga, są w naturalny sposób zgodne z ówczesnym modelem płci kulturowej. Krótka litania wartości i roszczeń przypisanych do każdej z płci przez kulturę *in illo tempore*, nie jest jednak sztywnym, domkniętym podziałem, ponieważ cechy, które Anzelm klasyfikuje tutaj jako tradycyjnie męskie (autorytet, nauczanie), w innych miejscach odnosi w równej mierze do paradygmatu kobiecego. Można odebrać wrażenie, że dla Anzelma nie istnieje żaden konkretny model teoretyczny definiujący matczyność.

Matczyność jest płynna, lub też **upłynnia się boskości**. Dlaczego zatem ostatecz-

Patres igitur estis per effectum, matres per affectum; patres per auctoritatem, matres per benignitatem; patres per tuitionem, matres per miserationem. Ergo et tu mater, et tu mater.	Ojcowie ze względu na swój skutek, matki ze względu na uczucia, ojcowie przez autorytet, matki dzięki dobroci, ojcowie przez nauczanie, matki przez wasze miłosierdzie. Dlatego Ty, [Panie], jesteś matką i Ty, [Pawle], jesteś także matką.
---	---

nie w tej wyliczance zwycięża matka? Dlaczego dla Anzelma i Jezus i Paweł są bardziej matkami niż ojcami? Odpowiedź może być zaskakująco prosta i odnosić się do bardzo prywatnych i indywidualnych preferencji teologa. Anzelmowi po prostu wygodniej jest modlić się do kobiety. Woli rozmawiać z kobietą niż z mężczyzną. Ze swoich najskrytszych spraw woli zwierzyć się matce. Przy czym, novum stanowi fakt, że nie korzysta z gotowego urządzenia teologiczno-dewocyjnego jakim był kult maryjny, lecz Boga, całe Niebo i wszystkich jego mieszkańców ogłasza Matkami.

Anzelm pisząc o macierzyństwie bogów, ludzi i aniołów, nie zatrzymuje się na poziomie metafory. Uważa, że osoby teologicznego dramatu faktycznie są matkami i wzywa je do *coming outu*, publicznego ujawnienia się. Prawdziwa natura boskości musi zostać ujawniona: *ujawnijcie się jako matki (matres vos divulgatis)!*

W tej rodzinie nie tylko płeć jest płynna, lecz również role i parantele rodzinne. Jeśli

Cur taceam quae dicitis?	Dlaczego milczeć o tym, co zostało powiedziane?
Ad quid celem quod proditis?	Dlaczego trzymać w tajemnicy to, co ujawnione?
Cur abscondo quod facitis?	Dlaczego ukrywać to, już się dokonało?
Matres vos divulgatis, filium me fateor ⁷ .	Gdy wy ujawniacie się jako matki - ja ogłaszam ⁷ się waszym synem.

⁷ Użycie słowa *fateor*: *przyznaję, uznaję*, pochodzi od *fatum* (*los*). Może to wskazywać na zdeterminowanie i uwarunkowanie: jestem skazany na synostwo wobec twojej macierzyństwa Boże, ale jestem dzieckiem, które

Jezus i Paweł są matkami Anzelma, a jednocześnie Paweł jest córką Jezusa, to jest on raczej matkującą Anzelmowi starszą siostrą. Tworzy to jakąś alternatywną, płynną siatkę boskich koligacji istot zamieszkujących ten *Domus Caelestis Mulierum* – Niebiański Dom Kobiet. Gdy wszystkie matki są już w domu, Anzelm prosi:

Gdy Anzelm znów używa ulubionego *argumentum a fortiori*, czyni to z wielką odwagą

Paule mater, et te ipse genuit. Pone ergo filium tuum mortuum ante pedes Christi matris tuae, quia filius eius est. Immo iacta illum in sinum pietatis eius, quia plus ipse mater est.	Pawle, moja Matko, On i ciebie urodził, więc połóż swojego zmarłego syna u stóp Chrystusa, swojej matki, bo on także jest Jego synem. Albo raczej ciśnij go w łono Jego dobroci, bo przecież On jeszcze bardziej jest jego matką.
Ora pro filio tuo quia mater es, ut vivi- ficet filium suum, quia mater est.	Módl się za swego syna, bo jesteś jego matką, aby On [Jezus], który jest także jego matką, ożywił go.
Fac, mater animae meae, quod faceret mater carnis meae.	Uczyń, matko mojej duszy to, co zrobiłaby matka mojego ciała.
Anima mortua per te ipsam, curre sub alas Iesus matris tuae, et conquerere sub pennis eius dolores tuos. ...ut confotis vita redeat.	Duszo, martwa z własnej winy, biegnij pod skrzydłami Jezusa swej Matki i zwierż się z całego swojego smutku pod Jego skrzydłami. ...abyś mogła znowu żyć.
Christe mater, qui congregas sub alas pultos tuos, mortuus hic pullus tuus subiicit se sub alas tuas.	Chryste, moja Matko, która zbierasz wszystkie swoje kurczęta pod skrzydła, oto twój martwy pisklak wtula się pod Twoje skrzydła.
Nam lenitate tua exterriti confoventur. Odore tuo desperantes reformantur. Calor tuus mortuos vivificat. Attactus tuus peccatores iustificat. Agnosce, mater, filium tuum mortuum! Refove pullum tuum, resuscita mortuum tuum!	Twoja delikatność daje wsparcie przerażonym. Twój zapach usuwa rozpacz. Twoje ciepło ożywia umarłych. Twój dotyk usprawiedliwia grzeszników. Matko, rozpoznaj swojego zmarłego syna! Ogrzej swojego pisklę, daj życie twojemu zmarłemu!

i determinacją: *Uczyń, matko mojej duszy to, co zrobiłaby matka mojego ciała*. Można odnieść wrażenie, że stawia on zwykłą, ziemską matczyność jako wzór do naśladowania dla matczynośći boskiej. Jeśli chodziło mu o indywidualizowaną, wygodną formę

nie szuka ojca, lecz matki, nie Boga, lecz Bogini. Oczywiście jest równie, a nawet bardziej prawdopodobne, że łącznik używając tego dość pospolitego słowa, niekoniecznie musiał mieć tak głęboko etymologiczne i osobiste przemyślenia.

komunikacyjną, to pociągnęło to za sobą określone konsekwencje teologiczne. Już w piśnianym w opactwie w Bec *Monologionie*, przyznaje, że mówiąc o sprawach naprawdę istotnych, wygodniej jest mu zwracać się do Boga jak do kobiety, któremu/której, z racji nieupłciowienia, nie powinno to sprawiać różnicy. Oczywiście jak wszystkie hipotezy teologiczne i ta więcej mówi o człowieku niż o Bogu, a mianowicie, że dla biskupa Canterbury, męska forma nie jest bardziej prestiżową niż żeńska, zaś żeńska nie jest pośledniejsza w stosunku do męskiej. Anselm, nie negując tradycyjnego, zadomowionego w teologii określenia Ojciec i Syn, jednocześnie zastanawia się nad alternatywnym opisem Bóstwa, jako Matki i Córkę (*an Patris et Filii, an Matris et Filiae magis illis apta sit appellatio*), argumentując, że przecież w Bogu nie ma rozróżnienia płciowego (*cum in eis nulla sit sexus discretio*)⁸.

Gdy teologia odczytuje aspekt kobiecy w boskości (pojmowanej jako **źródło** kreacji), niemal automatycznie znajduje jej odbicie w eschatologii apokalipsy (rozumianej jako *revelatio / objawienie, cel* kreacji). Jeśli źródło przemocy rozpoznaje w patriarchacie, to kres patriarchatu odczytuje jako ostateczny plan Boga. Lub Bogini. Jest to ścieżka prostych symetrii, ale zarazem pokrętej dialektyki i paradoksu. Źródło patriarchatu, podobnie jak i wszelkiego zła, żydowscy mistycy nieoczekiwanie odkrywają również w samej Boskości. Tu jednak ich drogi rozchodzą się z patriarchalną katechezą chrześcijańską, starającą się uzasadnić nierówność płci w odniesieniu do porządku nadprzyrodzonego. Według żydowskiej mistyki, ta nierówność i hierarchiczność, owszem, zawiera się w nadprzyrodzonym porządku boskiej kreacji, niemniej jednak nie jest żadnym *świętym ustanowieniem*, lecz wynikiem degradacji i degeneracji tegoż porządku. Nawet Anselm nie uważa by pojęcie *lepszego płci* (*melioris sexus*) było odbiciem w naturze boskiego ładu. Bo choć u wielu gatunków samiec góruje nad samicą, nie jest to regułą, gdyż u innych gatunków jest wręcz odwrotnie (*in quibusdam vero e contrario*). Mistyka bardzo często posługuje się w odniesieniu do boskości metaforami związanymi z płcią. Co prawda Bóg, nie ma płci, to jednak na niższych stopniach kreacji przejawia się w postaci binarnych męsko-żeńskich manifestacji. W przekonaniu szkoły luriańskiej, nie jest to żaden prawzór do naśladowania i kopiowania, lecz raczej ułomność do pokonania i przekroczenia.

Źródła tego eschatologiczno-apokaliptycznego feminizmu odsłania pewna stara żydowska modlitwa. W przeciwieństwie do intymnych sugestii teologicznych ukrytych w modlitwach Anselma, ujawnia ona bezwzględną, totalną teologię sięgającą samego Nieba. Po raz pierwszy pojawiła się w kabalistycznym modlitewniku *Szaarej Cijon*,

autorstwa Natana Nety Hannowera, w Pradze w 1662 roku. Jest to rodzaj prośby o przepływ Wyższego Światła (*Nehora Illa'a*). Nie jest to modlitwa o prywatne oświecenie, lecz raczej rodzaj teurgicznej inkantacji, mającej sprowadzić na cały świat coś znacznie bardziej totalnego. Według tradycji, modlitwa została skompilowana przez Izaaka Lurię na podstawie tekstów zoharycznych. Jej wersy posiadają głębokie znaczenie ezoteryczne. Są one pisane tak suchym aramejskim technolektem *Zoharu*, że niepodobna ich zrozumieć w dosłownym przekładzie. Stąd konieczność wyjaśnienia pojawiających się w tekście terminów. Komentarz pochodzi z *Kalach Pitchej Chochma*, dzieła Chaima Mosze Luzzatto. Ramchal nie komentuje samej modlitwy, lecz tekst *Zoharu*, który został użyty jako jej budulec. Modlitwa składa się w całości z abstrakcyjnych, technicznych terminów kabalistycznych, a każdy z nich po rozpakowaniu urasta do rozmiaru traktatu teologicznego. W formacie zzipowanym wygląda to tak:

וְיֵהָא רַעְוָא מִן קֳדָם סְתִימָא דְכָל
סְתִימִין רַעְוָא דְכָל רַעְוִין סְתִימָא
דְכָלָא דִּיתְמַשֵּׁד טַלָּא עֲלֵאָה תְּוֹרָא
מִתְרִין מִזְלִין נִצֵּר וְנִקְהָ דְרַךְ חֵיד
וְגִרֹן לְאַבָּא וְאַמָּא עֲלֵאָה וּמִן
אַבָּא וְאַמָּא לְזַעִיר אֲנָפִין וּמִזְעִיר
אֲנָפִין לְחֻקֵּל תְּפִיחִין קְדִישִׁין:

Niech będzie wolą, Tego, który jest ukryty^a przed jakąkolwiek definicją, który jest impulsem każdego pragnienia i jest ukryty we wszystkim, by przepływ Niebiańskiej Białej Rosy^b był kontynuowany przez dwa determinanty: zachowujący i wybaczący^c, poprzez podniebienie i gardło^d do Aba i Ima^e; i od Aba i Ima do Zeir Anpin^f; i od Zeir Anpin na Pole Świętych Jabłoni^g.

Monologion XLII

^a Mosze Chaim Luzzatto pisze, że to, co dzieje się na poziomie *Boskiego Ukrytego Umysłu* / מוחין סתמין / **Mochin Setimin**, jest zupełnie niepojmowalne dla ludzkiej percepcji (מה / עתיקא קדישא / **Atika Kadisza**, zwana również *Wielkim Obliczem* / אריך אנפין / **Arich Anpin** – ukrytym aspektem Boga, jest źródłem przepływu światła do dolnych światów, jest też korzeniem całego bytu. Reszta wymienionych w modlitwie *Parcufim*, to gałęzie *Drzewa Życia* (שא"א הוא / (השורש, וכל השאר – ענפים ממנו).

Kalach 114

^b Opisanie duchowego światła, które dociera do naszego wymiaru jako *Niebiańska Biała Rosa* / טַלָּא עֲלֵאָה תְּוֹרָא / **Tala Illa'a Chiwara** nie jest li tylko poetycką stylizacją, lecz przede wszystkim, określeniem technicznym. W *Zoharze* czytamy, że duchowe światło dociera do naszego wymiaru w postaci rosy, kropla po kropli, kawałek po kawałeczku (כפום טלא, טפין טפין, זעיר זעיר). Dzieje się tak dlatego, że w niższych światach

Zohar III:197a

⁸ S. Anselmi Cantuariensis Archiepiscopi Opera Omnia, Tomus Primus, Vol. I, *Monologion*, Cap. XLII, Stuttgart-Bad Cannstatt 1968, s. 58.

nie znajduje żadnej wiary (receptorów), poza zasadą: *trochę tu, trochę tam* (זְעִיר שָׁם / זְעִיר שָׁם). Bowiem w tym świecie jest tylko trochę zasług i trochę światła, dlatego, tak *jak rosa, pokapuje miarka za miarką* (דטלא מדה לקבל מדה).

^c *Zachowujący i wybaczący* / נֶצֶר וְנָקָה / **Nocer we-Nake**, to dwa z Trzynastu Atrybutów Boskości. *Nocer* odnosi się do dziewiątego atrybutu: *nocer chesed la-alafim* / נֶצֶר חֶסֶד לְאַלְפִים / *zachowujący miłość dla tysięcy*, natomiast *nake*, to trzynasty, ostatni atrybut i odnosi się do *oczyszczenia / przebaczenia*. Luzzatto pisze, że zestawienie tych dwu atrybutów wskazuje na całość zasad rządzących przepływem światła z Górnego Świata (שהם כללות ההנהגה).

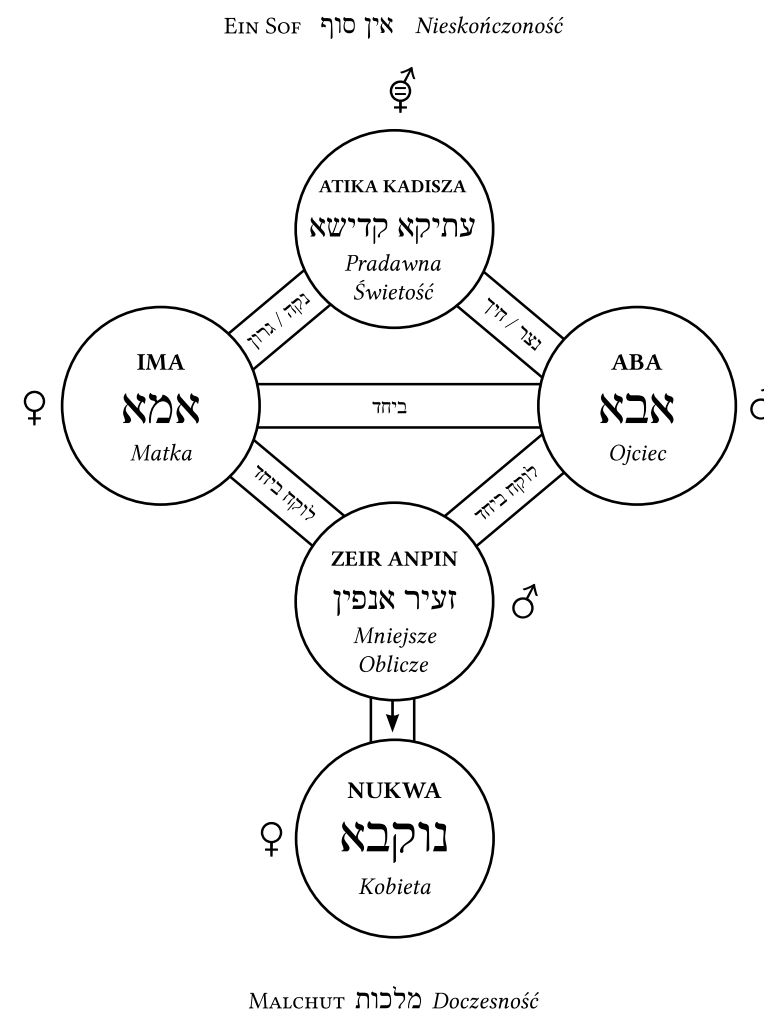
^d Dalej wyjaśnia, że określenia: *podniebienie i gardło* / חֵיד וְגָרוֹן / **Chejch we-Garon** odnoszą się kolejno do sefir *Chochma* (♂) i *Bina* (♀): To, co trafia do gardła czyli żeńskiej sefiry *Bina*-intelekt – musi przejść przez podniebienie, czyli aspekt męski, *Chochma*-mądrość. Proces stwórczy opisany w *Zoharze* i interpretowany przez mistyków z Safed przypomina nieco monotomiczny podział komórki spotykany u bakterii, sinic, glonów, grzybów i pierwotniaków. Pierwsza, wyemanowana z milczącego *En Sof* sefira *Keter*, stanowiąca jedność, zachowuje się jak organizm jednokomórkowy, który zaczynając się dzielić i doprowadza do powstania **Aba i Ima Illa'a** / אָבָא וְאִמָּא עֵלְאָה / *Boskiego Ojca i Boskiej Matki* – dwóch równorzędnych "organizmów" potomnych. Jest to niejako zapowiedź dychotomii całego stworzenia, lecz dychotomii dziwnej – niehierarchicznej.

^e ...do *Aba i Ima* – Luzzatto wskazuje, że obydwa aspekty są na tym samym poziomie. Znaczy to, że aspekt męski – *Aba* i żeński – *Ima* są sobie równe (כי, דהיינו ביחד, אי"א – להיות שווים). Na tym poziomie wszelkie dawanie, jest jednocześnie otrzymywaniem. Dlatego odbiorca/biorczyni i dawca/dawczyni, znajdują się na tym samym poziomie (היינו שהמקבל עדיין במדרגה אחת עם משפיעו). Boska żeńskość i męskość jest sobie równa, stanowiąc dwa bieguny jednej rzeczywistości. Jest to możliwe, gdyż wszelkie zakłócenia spowodowane przez niższe kreacje i cała mizéria Doczesności nie sięgają tak wysoko.

^f Luzzatto uważa, że przepływ od *Aba we-Imia* do **Zeir Anpin** / זְעִיר אֲנָפִין / *Małego Oblicza*, jest symultaniczny (ומא"א ביחד לד"א), przy czym jest to kolejność widoczna w samym Drzewie Sefirotycznym, ponieważ *Zeir Anpin* odpowiada poziomowi *Daat* – inteligencji refleksyjnej (והנה ד"א הוא דעת), będącej pośrednikiem i koincydencją wiedzy zgromadzonej – *Chochma* i inteligencji czynnej – *Bina*. W efekcie, męski *Zeir Anpin* otrzymuje światła od *Aba i Ima* jednocześnie (לוקח אורותיהם ביחד).

^g Od tego momentu coś się zmienia. Przepływ schodzi niżej – od *Aba i Ima* do *Zeir Anpin* a dalej, na *Pole Świętych Jabłoni* / חֶקֶל תְּפוּחֵין קַדִּישִׁין / **Chakal Tapuchin Kadiszin**. W tym miejscu Ramchal wprowadza bardziej techniczne określenie **Nukwa**,

gdy tymczasem, w modlitwie pojawia się bardziej poetyckie *Pole Świętych Jabłoni*. Obydwa pojęcia pochodzą z *Zoharu* i odnoszą się do żeńskiego aspektu *Wyższego Edenu*. Jest to aspekt Boga, który odpowiada *Szechinie* – jego żeńskiej manifestacji. Żeńska *Nukwa* i męski *Zeir Anpin* są korzeniem całej rzeczywistości doczesnej (זו"ן). Będąc fundamentem całej kreacji, tworzą również wszystkie prawa, zasady i konsekwencje rządzące światem fizycznym (זה פשוט, כיוון שהם השורש העיקרי, צריך שיהיו גם מדרגות ההנהגה העיקריות). W tym również wszelkie binarne podziały, hierarchie i cały opresyjny system podległości. Duchowe światło, zstępując z wyższych wymiarów podtrzymuje i karmi *Pole Jabłoni Wyższego Edenu* oraz anioły zamieszkujące Doczesność (חלק דתפוחין). To wyższe światło, w naszym wymiarze objawia się pod postacią Niebiańskiej Rosy, która spływa od najgłębiej ukrytego poziomu *Atik* – Przedwiecznego.



Wyższe Światło, które na niższych poziomach objawia się w postaci Rosy, w zetknięciu z naszym wymiarem może przyjmować różnorodną postać. Na pustyni, w czasie *Exodusu* objawiło się pod postacią duchowego pokarmu – manny, będącej w istocie pradową, nieartykułowaną tajemnicą (הוא מנא הוה מטלא דלעילא דהוה נחית מעתיקא סתימא) (דכל סתימין). *Zohar* sugeruje, że niebiańskie światło, które sączy się do naszego wymiaru jak rosa, kropla po kropli, w zetknięciu z atmosferą materialnego świata, zmieniło swoją konsystencję i zmaterializowało się (dosł. *zżelowało* / אגלד / *iglid*) pod postacią kuleczek manny (אגלד ואשתני זויה). Nachmanides komentując *Exodus XVI:6*, powiada, że *manna jest pochodną Najwyższego Światła, które w tej formie, objawiło się z woli Stwórcy* (המן הוא מתולדת האור העליון שנתגשם ברצון) (בוראו יתברך). Podobne symetrie odnajdujemy w chrześcijańskich praktykach teofagicznych – *zjadaniu Boga* pod postacią chleba. Ramchal zda się czerpać ten opis zmian, lub odmian alotropowych *Wyższego Światła*, z porównania do opadów atmosferycznych. Para wodna skrapla się, następnie w środkowej części chmury deszczowej formuje się kryształki lodu, by przechodząc przez kolejne warstwy powietrza, dotrzeć na ziemię w postaci kulki gradowej. Podobnie górne światło przenikając do niższych światów, rozprasza się w postaci rosy (*tala illa'a*), by dotrzeć do ziemi jako kuleczki manny – fizyczne obiekty, będące jednocześnie pokarmem duchowym. Komentator sugeruje, że podobnemu procesowi materializacji, lub też upowłokowienia ulegają aniołowie zstępujący na ziemię.

Jak widać, przekaz płynący od Źródła ma charakter modalny, przybiera różną formę w zależności od jakości i typu odbiornika na kolejnym poziomie bytu (וכפי רדת ההשפעה). Pamiętać należy, że Ramchal opisuje tutaj Drzewo Sefirotyczne od góry do dołu, w kolejności zstępującej – od Pradawnej Świętości ku zdegradowanej materii, stąd też słusznie można założyć, że skoro jakość odbiorników na kolejnych poziomach jest coraz słabsza, to będą one powodowały zakłócenia. Z drugiej strony, przekaz na każdym kolejnym poziomie, aby był zrozumiały, musi być dostosowany do poziomu odbiorcy (היינו שרוב המדרגות עשויות להשוות השפעה אל המקבלים).

Tym schodzącym w dół przekazem, jest objawiająca się na kolejnych szczeblach bytu Boskość. Osiągając każdy następny, niższy poziom, rezonując w specyficznej architekturze kolejnego wymiaru, ulega deformacji (וכשהשפעה מגיע אליה – מתפעל ממנה ולוקח מהותה). Zbliża się coraz bardziej do bytów niższych, aż do ostatniego poziomu, gdzie gada do ludzi ich językiem (ונמצא מתקרב יותר אל התחתונים, עד שמגיע למדרגה האחרונה ששם מתקרב לגמרי).

Nie należy jej unieruchamiać, dogmatyzować, tworzyć z niej idola, bowiem nie jest to objawienie żadnej prawdy ostatecznej i absolutnej lecz jedynie próba opisu.

Zatem, manifestacja Boskości w świecie, nie powinna być bałwochwalczym obiektem kultu. Przechwycona, unieruchomiona obrazem – automatycznie staje się Diabłem. Objawienie się Boskości jest dla Ramchala znakiem, planem ucieczki, wskazówką

jak wymknąć się z opresyjnego poziomu binarnych zależności i hierarchicznej przemocy. Ma wskazywać poza siebie, inspirować do przekroczenia samej siebie w kierunku własnego Źródła.

Zeir Anpin i *Nukwa* to również męski i żeński aspekt Boga – podobnie jak, na wyższym poziomie *Aba i Ima*, niemniej, jest jedna, kolosalna różnica. W przeciwieństwie do równorzędnych *Aba i Ima*, boskość na niższym poziomie, bliższym naszej rzeczywistości, objawia się hierarchicznie. Męski *Zeir Anpin* góruje nad żeńską *Nukwa* (למטה בזו"ן). Jeśli więc szukać wraz Ramchalem źródeł toksycznego i przemocowego patriarchatu – znajdujemy je właśnie tutaj. **Na poziomie zdegradowanej materii, człowiekowi objawia się również zdewastowany i upadły Bóg.** Stąd dramatyczny apel Lurii, by zbawić Boga – by On mógł zbawić ludzkość. A drogą do tego jest podróż w górę Drzewa Sefirotycznego, ku jego korzeniom, poprzez zhierarchizowany, patriarchalny świat ucisku, przez *Zeir Anpin* i *Nukwa*, do egalitarnej jedności *Aba – Ima*.

Jeśli w mistyce żydowskiej Boskość, objawia się pod postacią Rosy (*Tala Illa'a*), by jako *Zeir Anpin* (Boskość poziomu świata fizycznego) wejść do kobiecego (*nukwa*) Sadu Jabłoni (*Chakal Tapuchin*), to symetrycznie, tymi samymi archetypami bawi się teologia chrześcijańska. Albert Wielki w swoim *De horto concluso, cui sponsus comparat Mariam in Canticis*, zgodnie z chrześcijańską wykładnią *Pieśni nad Pieśniami*, porównuje Marię do Zamkniętego Ogrodu (*Hortus Conclusus*). Jezus – Boskie Światło⁹ mające objawić się na poziomie fizycznego świata, tutaj również pojawia się pod postacią rosy. Jest rosą, która za pośrednictwem Ducha Świętego wchodzi do Zamkniętego Ogrodu – Marii. *Ten deszcz jest Synem Boga, ta rosa jest Duchem Świętym* (*Pluuia filius Dei. Ros Spiritus Sanctus*). *Zatem zrozum rosę* – powiada Albert – *jako Ducha Świętego* (*Velper rorem intellige Spiritum Sanctum*), który zrasza Ogród Zamknięty (Marię), by ta, poczęła i zrodziła Syna Bożego (*concepit et peperit filium Dei*).

Zohar III:197a

Nukwa – Boska Kobiecość, nazywana jest w *Zoharze* społeczność – *kneset* (נקבא), i odnosi się zbiorczo do wszystkich dusz Izraela, gdy tymczasem, Marię, matkę Jezusa chrześcijanie tytułują *Mater Ecclesiae*. Maria z Agredy nazywa ją Miastem Bożym – *Civitas Dei*, skupiskiem dusz wszystkich wiernych i społecznością świętych.

Z kolei u Lurii, przejawiająca się w naszym wymiarze upadła Boskość, po której człowiek, jak po drabinie, ma wspiąć się do Boskości Pradawnej, żywo przypomina chrześcijańskiego sponiewieranego, umęczonego i zabitego Boga, oraz wspinaczkę wiernych po krzyżu, przez mękę i śmierć – do Nieba.

Warto by się zatrzymać i zastanowić: co my tu właściwie mamy?

⁹ W przypisywanej Bernardynowi ze Sieny (XIV/XV w.) *Litaniae Sanctissimi Nominis Iesu*, znajdujemy takie określenia Jezusa: odblask Ojca (*splendor Patris*), jasność światła wiecznego (*candor lucis aeternae*), światło prawdziwe (*lux vera*).

Bo jeśli niepojęta Przedwieczna Świętość to Bóg Ojciec, jeśli *Zeir Anpin* – Boskość objawiająca się w fizycznym świecie to Jezus – Syn Boży, jeśli Niebiańska Rosa (*Tala Illa'a*) spływająca na Pole Świętych Jabłoni (*Chakal Tapuchin Kadiszin*) to Duch Święty, który zraszając Ogród Zamknięty (*Hortus Conclusus*) czyli Marię, zapładnia ją i doprowadza do przejawienia się Boskości w tym świecie pod postacią Jezusa, a sama Maria do Boska Kobiecość, czyli *Nukwa*, to gdzie właściwie jest granica między judaizmem a chrześcijaństwem? Czyżby chrześcijaństwo było aż tak bardzo poprzerastane strukturami teologicznej myśli żydowskiej? Czy może judaizm, nieświadomie, cały czas niósł w sobie chrześcijański paradygmat¹⁰?

Neque hoc, neque illud – ani to, ani tamto. Ta baśń prawdopodobnie jest starsza niż chrześcijaństwo i judaizm. Możemy mieć tu do czynienia z bardzo pierwotnymi wzorcami postaci, motywów, symboli i schematów, niesionymi przez pokolenia i ujawniającymi się na wszystkich poziomach myśli teologicznej i filozoficznej, wywiedzionymi z wielokrotnie powtarzanych obsesji, nadziei i lęków. Według Junga, te archetypy nie są wzajemnie odizolowane, lecz znajdują się w stanie ciągłego przenikania i łączenia się, dekonstrukcji i rekonfiguracji. Jung nazywa to *kontaminacją*. Kabaliści, kilkaset lat wcześniej ukuli termin *parcufim*. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że aktorzy i aktorki tych zapomnianych dramatów teologicznych wciąż tańczą nami swój *contra-dance* na salach bankietowych współczesnej teologii: polityki i ekonomii.

3. Rewolucja i apokalipsa / Nachman z Braclawia

Zrozumiałem, że to już koniec. A przecież wcale nie chciałem umierać, nie chciałem już rozpoczynać nowego życia. Chciałem tylko wrócić do domu¹¹.

Orhan Pamuk / *Nowe życie*

Zimą 1569 roku, w wieku 35 lat, Izaak Luria, wraz z żoną i dwoma córkami, opuścił Egipt i udał się do największego wówczas ośrodka studiów kabalistycznych w Safed w Galilei, by u boku największych mistrzów kontynuować naukę rozpoczętą w kairskim uniwersytecie kierowanym przez Dawida ben Salomona ibn Abi

¹⁰ Od czasów Pico della Mirandoli i Reuchlina, wśród niektórych chrześcijan utrzymywał się naiwny pogląd, iż mistyka żydowska może być wykorzystana do nawracania Żydów na chrześcijaństwo. Takie stanowisko zapewne rozbawiło wielu kabalistów. Faktem jest jednak, że zainteresowanie mistyką żydowską często przynosiło skutek odwrotny do zamierzonego. To nie Żydzi nawracali się na chrześcijaństwo, lecz chrześcijanie zaczęli podważać dogmaty swoich kościołów, a nawet dokonywać konwersji na judaizm.

¹¹ Orhan Pamuk, *Nowe życie* w przekładzie Anny Polat, Wydawnictwo Literacko, 2008.

Zimry. Zarówno Mosze Kordowero, jak i inni nauczyciele szkoły w Safed szybko zorientowali się, że nowy uczeń przyjechał z gotowym już i w pełni dojrzałym systemem teozoficznym. Role odwróciły się, nauczyciele stali się uczniami Lurii. Był to zapewne najintensywniejszy czas studiów w szkole w Safed. Luria, jakby przeczuwając, że zostało mu tylko dwa lata życia, w zawrotnym tempie wykladał swoją doktrynę, którą skrupulatnie notował rabin Chaim Vital. Sam Luria nie spisywał swojej nauki, nie miał na to czasu. Po jego przedwczesnej śmierci, nastąpił gwałtowny rozwój mistyki luriańskiej, powstało wiele szkół i recepcji jego myśli. Czasem jednak dzieje się tak, że dopiero po latach, ktoś dojrzy coś, z pozoru wyglądającego na drobną nieścisłość, tekstualny szew, jak wyczuwalne pod palcami zgrubienie, które okazuje się skrywać ledwie zapowiedź, sugestię, załączkową myśl, skrzętnie ukrytą przed współczesnymi, lecz przygotowaną dla przyszłych pokoleń badaczy. *Bo są rzeczy, które się całkiem, do końca, nie mogą zdarzyć. Są za wielkie, ażeby się zmieścić w zdarzeniu, i za wspaniałe. Próbuje one tylko się zdarzyć, próbując gruntu rzeczywistości, czy je uniesie.* Teksty luriańskie zapewne skrywają mnóstwo takich niespodzianek. Odkrywcą jednej z nich, był żyjący na początku XIX wieku kabalista, chasydzki rebe i prawnuk Baal Szem Towa, Nachman z Braclawia.

Starożytni rabini ostrzegali, by nie badać, nie roztrząsać, nawet nie myśleć o pewnych kwestiach, które nie są częścią tego świata, lecz leżą poza nim. W Talmudzie sformułowano to w dość ostrej formie: *Dla tych, którzy badają to co jest po życiu [doczesnym], lepiej byłoby, gdyby nigdy się nie urodzili* (כל המסתכל [מה לאחור לחי] רתוי לו כאילו לא בא לעולם).

Może to tłumaczyć, dlaczego Nachman dochodząc pod wpływem lektury pism luriańskich do pewnych niepokojących wniosków, referował je w maksymalnie ostrożny, a nawet nieczytelny sposób. Być może nie chciał mówić jasno, by sugestia, którą odkrył nie została pochwycona i błędnie zinterpretowana przez osoby nieoswojone z mistyczną hiperrzeczywistością. Ale możliwe też, że to co dostrzegł, dla niego samego było ledwo uchwytnym przecuciem, niepodpadającym pod jakąkolwiek artykulację. Choć wnioski Nachmana dotyczą czasów apokaliptycznych, to swoją refleksję zaczyna od czasu pierwszego ustanowienia bytu. Mówi on o dwóch rodzajach zła. Jedno ma pochodzić ze Świata Skorup. Na samym początku, w *bezczasowym czasie* Stworzenia, *przeciążenie boskiego światła spowodowało rozbicie Naczyń* (כי מחמת רבוי האור נשתברו הכלים) i powołało do życia *Sitra Achra* – Świat Odwrócony. Jest to zło, które jesteśmy w stanie naprawić, lub przynajmniej ograniczyć. Dla Nachmana, każde zło jest pytaniem. Pytaniem zadanym jednostce moralnej – człowiekowi. Pocieszające jest to, że odpowiedź mieści się już w samym pytaniu. Odpowiedzią na zło jest Bóg. Pośród *klipot* – skorup rozbitych Naczyń zawsze można odnaleźć Boga (יוכל למצא שם את השם יתברך), a zatem, można znaleźć odpowiedź.

Ale jest też inny rodzaj zła. Jest to gatunek zła, którym jest przeniknięty cały byt. Jest to zło niezależne od naszych decyzji, ontologiczne zło przerastające całą konstrukcję

B. Schulz,
Księga

Chagiga 11b, 16a

Likutej M. 64

naszej Doczesności. To zło nie pochodzi ze świata skorup, lecz z wolnych przestrzeni między nimi (*chalal ha-panui*) – z samego jądra ciemności, *królestwa śmierci bez światła ni cienia*, z pustej przestrzeni opuszczonej przez Boga.

Nachman mówi o tej ateistycznej przestrzeni w sposób pełen niedopowiedzeń. Czytelnik nie jest do końca pewien, czy nie ma tam Boga faktycznie, czy też nie jest on dostępny na poziomie ludzkiej percepcji. Stąd też, by jakoś wytłumaczyć tę *nieobecną obecność*, autor wprowadza wygodny termin *reszimu* / רשימו / ślad Boga. Problem jest jednak nieco głębszy. Boga nie ma tam również dla niego samego. Inaczej mówiąc, Bóg sam siebie nie widzi, nie rozpoznaje się w materii, bowiem jego zapomnienie jest warunkiem niepodległości tej Republiki, wolnej woli jej obywateli i jej trwania. Bóg sam abdykował i zapomniał siebie, by z tej nieświadomej boskiej pulpy mógł powstać *inny*. Materia jest zatem amnezją Boga. Lub Bogiem pogrążonym we śnie. Ten sam Bóg zdaje się mówić we śnie do Fernando Pessoa: *Pomnożyłem się, żeby siebie poczuć. Żeby siebie poczuć, musiałem poczuć wszystko*.

Na zło symbiotyczne do bytu, nie można znaleźć odpowiedzi, albowiem odpowiedzią na zło jest Bóg, a tam przecież Go nie ma, bowiem usunął się z tego miejsca, by świat mógł zaistnieć. Ale czy *gdzieś* może Boga *nie być*? Dlatego autor stwierdza, że niepodobieństwem jest pojąć sensu Absolutnej Próżni, aż do czasu gdy nastąpi zupełne poznanie – w Świecie Przyszłym (אי אפשר להשיג כלל בחינת חלל הפנוי עד לעתיד לבוא). Jednocześnie Nachman, zupełnie paradoksalnie, kilkakrotnie podkreśla, że nawet tam, Bóg jednak *w jakiś sposób* jest (אבל באמת לאמתו, בודאי אף-על-פי-כן יש שם גם כן אלקות), tyle, że my nie jesteśmy w stanie Go dostrzec. Gdybyśmy jednak go dostrzegli – dalibyśmy odpowiedź złu, ale to oznaczałoby, że uświadomiliśmy sobie Boga w Pustej Przestrzeni, czyli tam gdzie Go nie ma. W tym samym momencie nasz świat musiałby przestać istnieć, albowiem warunkiem istnienia **tego** świata jest właśnie "nieobecność" Boga.

Jakikolwiek ten świat by był, *unicestwienie* brzmi dość ponuro i groźnie. Choć, z drugiej strony, na co komu świat bez Boga? Jednakże Nachman, mimo swojej głębokiej wiary i tęsknoty za innym wymiarem, nie zadaje tak sformułowanych pytań i nie daje jednoznacznych odpowiedzi. Raczej czeka na intuicję czytelników i uświadomienie sobie istnienia tego paradoksu. Tutaj mądrością nie jest znalezienie *odpowiedzi*, lecz właśnie uświadomienie sobie istnienia *pytania*.

Jeśli kondycja tego świata jest wynikiem naszego sposobu myślenia i bycia, który poszukuje władzy, dominacji, różnicy, hierarchii i odrębności, to można go przezwyciężyć tylko na drodze radykalnej dekonstrukcji w obszarze samej ludzkiego pojmowania.

Zniszczenie Doczesności w taki właśnie sposób, na drodze samorozwoju ludzkości, która uświadamia sobie Boga wszędzie i dostrzega Jego obecność na każdym poziomie rzeczywistości – musiałoby oznaczać natychmiastowe nastanie Zaświatów i powrót do Jedności.

Nachman wykonał potężny gest na oczach całego XIX wiecznego żydowskiego świata, jednocześnie zrobił to tak dyskretnie, że tylko wtajemniczeni adresaci, byli w stanie cokolwiek dostrzec. Ujawnił prawdziwe intencje Lurii, jego plan i przesłanie jakie pozostawił swoim następcom. Luria i jego komandosi z Safed jawią się tutaj jako sabotażyści, którzy w istocie nie chcieli naprawiać świata, lecz go zniszczyć.

Prawa tego świata, cała logika Doczesności, wszelkie urządzenia społeczne (w tym i religia), jawią się jako rodzaj *katechonu* / κατέχων / *czegoś co powstrzymuje*. Powstrzymuje rozkład, anarchię i chaos, ale jednocześnie powstrzymuje pełną *geula* / גאולה / *odkupienie*. Zbawienia nie opóźnia grzech, lecz systemowy i polityczny sojusz dobra ze złem. Codzienna danina składana dla *Sitra Achra*, gwarantuje równowagę banału Doczesności i uniemożliwia ostateczne wdarcie się Światła do Świata Skorup. Luriańscy mistycy, okazują się sabotażystami i agentami Wieczności w fortecy Doczesności. Ich zadaniem jest otworzyć od środka bramy napierającemu Światłu. Taka potężna implozja, duchowe wdarcie, określane jest w teologii właśnie jako *revelatio* – ἀποκάλυψις.

Cała sieć *tikunów* – rytuałów korekcyjnych, porozkładanych w różnych punktach przestrzeni religijnej i życia codziennego, to szeregowo połączone ładunki wybuchowe. Luria daje prosty przekaz: nie łąta się starych, sparciałych i przegniłych analogowych gaci, szczególnie, jeśli posiada się już przygotowaną nową, cyfrową odzież ze światła, nowy *garnitur mentalny* / חלוקא דרבנן / *chaluka de-rabanan*¹².

Gdy już cali staniemy się światłem, gdy zostanie zniesiona granica między człowiekiem a jego odzieżą, między tym co wewnętrzne a tym co zewnętrzne, wtedy nawet nie ujrzymy się nawzajem – bo jak postrzegać nawzajem, gdy wszystko jest Jedno. Trudno to pomyśleć, a Nachman ogranicza opis do niezbędnego minimum. Czasem jednak zdarza się, że intuicja poety nagle dotknie tych przemilczeń i przemówi:

[...] Nawet sny są tutaj podobne
do sieci ściągien.

Co na to poradzić, jeśli na ziemi
bawimy się w ludzi.

A tam –
schrony obłoków

¹² Siedemnastowieczny mistyk, Szlomo Nisim Algazi w swoim zoharycznym komentarzu *Sefer Meulefet Sapirim* (*Księga Inkrustacji Szafirowej*) zwraca uwagę na dwie istotne informacje dotyczące *chaluka de-rabanan*. Po pierwsze, jest to odzież, którą człowiek założy w Świecie Przyszłym. W tym konkretnym przypadku, Zaświaty zostały określony jako *Olam ha-Emet* - Świat Prawdy. Zatem, ta nowa odzież ma bezpośredni związek z prawdziwym oglądem rzeczy, poznaniem i zrozumieniem. Ponadto, metaforyczna odzież, podobnie jak każda inna musi być na miarę. Algazi powiada, że, każdy człowiek już posiada swój osobisty komplet *chaluka de-rabanan*. Jest on przechowywany przez Boga w specjalnej szatni, magazynie. Użycie, w *Zoharze*, określenia *de-ganiz* / דגניז, niezwykle urokliwie, sugeruje Boga jako szatniarza, czy też magazyniera, ale również krawca, który szyje każdemu człowiekowi specjalnie dopasowaną piżamę wieczności.

i przepierzenia snów Boga,
i nasza cisza, którą sami naruszyliśmy
tym, że gdzieś tam na dnie
uczyniliśmy ją
widomą i dotykálną.

A tu mówimy głosami,
widać nas poprzez odcienie,
ale nikt nie usłyszy
naszych prawdziwych głosów,
i gdy staniemy się najczystsza barwą,
nie ujrzymy się nawzajem¹³.

Zniszczenie doczesności poprzez odnalezienie w niej Nieskończoności (jeśli ktoś jest sentymentalnie przywiązany do starej nomenklatury, może używać nazwy Bóg), wydaje się ciekawym i oryginalnym pomysłem. Luriański *tikun*, tak naprawdę nigdy nie dotyczył korekty Doczesności, lecz naprawy samego Boga, przywrócenia Go światu, odnalezienia Boga ukrytego i zagubionego, podniesienia jego pogrążonej w amnezji materialnej manifestacji. Luria zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli ludzkość rozwiąże zagadkę, jeśli wejdzie na ostatni *level* Gry i pozna odpowiedź – tamy zostaną przerwane, świat zaleje *Nehora Illa'a* – Pradawne Światło i świat doczesny po prostu przestanie istnieć, albowiem warunkiem istnienia bezbożnego świata była nieobecność Boga.

Ten niemal nihilistyczny radykalizm nabiera specyficznego sensu w ustach, posługujących się paradoksem, mistyków. Pamiętać należy, że kabalistyczne *ejin* / אֵיִן / *nicość* oznacza jednocześnie *wszystko*. Absolutnie Wszystko. Jest najbardziej dramatycznym określeniem Boga, gdy już nie można go określić, gdy nie chodzi o jego najwyższą, możliwą do pomyślenia manifestację, ale gdy już wyżej i ponad wyżej nie można nic orzec. Zatem, dlaczego nie wybrać raczej Nicości niż bytu? Szczególnie, gdy byt to nicłość, a Nicość to Wszystko. Ostatecznie, po co komu świat bez celu wykraczającego poza jego własny łańcuch troficzny?

Koncepcja ta niesie niejaka pociechę dla wszystkich miłośników Zaświatów: apokalipsa może dokonać się w każdej chwili, wystarczy małe, naprawdę małe przesunięcie w obrębie rzeczywistości. Kichnięcie. Szczęśliwe kichnięcie. Wystarczy tylko przesunąć jeden element w Doczesności, by przerośnięty złem świat przestał istnieć. Zła wiadomość to: nikt nie wie jaki to element. Nikt też nie wie ani kiedy wykonać ruch, ani nawet kiedy kichnąć, a choćby i wiedział, to przecież nie kicha się na zawołanie. Trochę jak szukanie igły w stogu siana. W tej perspektywie, zbawienie, które jest na wyciągnięcie ręki, jednocześnie okazuje się bardzo odległe.

¹³ Gennadij Ajgi, *Cisza*, w tłumaczeniu Seweryna Pollaka, Przybliżenia, Kraków 1973.

Przypomina to nieco koncepcję *szczęśliwej ręki* Waltera Benjamina. Wnioski filozofa są raczej optymistyczne. Aby ustanowić, doskonałe zaświatowe Królestwo Pokoju, nie trzeba zniszczyć wszystkiego i rozpoczynać całego świata od nowa. Wystarczy jedynie nieznacznie przemeblować Doczesność. Wiadomo, że Benjamin swoją koncepcję *szczęśliwej ręki* zaczerpnął od Gershoma Scholema. Gdyby jednak wysłuchał go cierpliwie do końca, być może musiałby zweryfikować swoje entuzjastyczne odkrycie. Wydaje się niemożliwym, by Scholem nie zwrócił uwagi na paradoks przewijający się w pismach Nachmana z Bracławia: *glückliche Hand* w istocie okazuje się potencjalnie najskuteczniejszym, teoretycznym narzędziem totalnej zagłady i końca Doczesności.

Apokalipsa nie dokonuje się ani na dole ani na górze, lecz na granicy dwóch światów. W progu. Ma charakter mentalny i moralny. Polega na odnalezieniu dobra na dnie najczarniejszej podłogi, na odnalezieniu Boga tam, gdzie go niema. Nachman jednak nie wierzy w tę nieobecność. Błąd tkwi w człowieku, w jego sposobie postrzegania. Drobną korektą okulistyczną, oznaczałaby w istocie skrajną dekonstrukcję percepcji, a zatem absolutnie wszystkiego, jeśli brać na poważnie zasadę *esse est percipi*. Wystarczy tylko się obudzić, wystarczy otworzyć oczy, by koszmar znikł. By zniknął świat.

Koncepcja Lurii pojawiła się w judaizmie stosunkowo późno, i przez tenże judaizm była, i jest do dzisiaj, traktowana podejrzliwie. Luria dokonał nie tylko radykalnej rekonceptualizacji rzeczywistości, w której myśli się o poznaniu jakiejś ostatecznej prawdy jako o zgodności z faktami, zgodności myśli z bytem. On w ogóle naruszył fundamenty myślenia o bycie jako takim. Hermeneutyka traci na znaczeniu, gdy celem i polem działania przestaje być poznanie, a staje się nim świadomość, zaś Bóg przestaje być traktowany jako byt, a zaczyna odzyskiwać swoją pozycję jako Rzeczywistość.

Jest w tym coś bardziej radykalnego niż znane nam fundamentalizmy religijne, bardziej radykalnego niż geometria Spinozy i rewolucja permanentna Trockiego.

Jest to rewolucja totalna i ostateczna.

Żydowska apokalipsa, w przeciwieństwie do historyczno-sadystycznej batalistyki Jana z Patmos, wydaje się być jakby zmęczona doczesnym porządkiem, który właśnie zamierza rozwiązać i opuścić. *Zmęczenie jest we wszystkich rzeczach, a ponadto trudno je zwerbalizować* (כָּל-הַדְּבָרִים יִגְעִים לֹא-יֻכַּל אִישׁ לְדַבֵּר) – powiada Kohelet ziewając.

Poniższy tekst to odpowiedź Ramachala na pytanie o koniec rzeczy. Odpowiedź, która oczywiście nic nie wnosi, ale brzmi ładnie:

כי כל השית אלפי שנין הם הסיבוב
ההולך וסובב, עד הגיע אל הנקודה
שממנה נסע, דהיינו היחוד

Cała nasza rzeczywistość, to tylko jeden
cykl, który zakrzywia się do punktu z
którego wziął początek, czyli do Jedności.

Koh. 1:8

Kalach Pitchej
Chochma 49

כי ממנו נסע הגלגל הזה, ואליו יחזור,
ואז נח, והיינו מנוחה לחי עולמים:

ומה שיהיה משם והלאה - הוא דרך
אחר וענין אחר, שאינו לפי הדרך
הזה כלל:

משם והלאה יראה ענינים פנימים,
שהם שרשי הילוך הזה
והם דברים מתגלים אחר ידיעת
היחוד

והם שרשי ההנהגה בדרך היותר
עמוק, שאינו מושג לנו עתה כלל:

Albowiem tam zaczął się cykl i tam powróci i
tam spocznie, a my wraz z nim, na wieczność.

To, co się stanie od tego momentu - to zupełnie
inna droga i inna sprawa, która w ogóle nie jest
zgodna z dotychczasowym kierunkiem.

Wówczas ujawnią się głębsze, wewnętrzne
aspekty, będące korzeniami maszyny Docze-
sności. Są to rzeczy, które ujawniają się po
zetknięciu z Jednością. Są one przyczyną
działania mechanizmu na najgłębszym jego po-
ziomie, o czym teraz w ogóle nie mamy pojęcia,
a zatem...

I tutaj widzę zmęczone oczy Ramchala, które podnosi na słuchaczy kończąc ten
lakońiczny wywód:

אז אין צורך להזכיר אותו באמת: ...a zatem, nie ma żadnego sensu o tym gadać.

A kiedy już nic nie będzie i druga strona planszy okaże się biała, mógłby ktoś wtedy
pomyśleć (lecz ktoś miałby to zrobić?), że to jest właśnie Nicość. To Bóg.

Ale zawsze przecież pozostanie coś, jakieś *reszimu*, reszta, ślad. Jakiś maleńki pyłek
pierwsze ziarno bytu. I wszystko zacznie się od początku. *Bereszit bara...* Po milionach
lat, urodzi się nowy, architekt kolejnej zagłady-zbawienia. Znow komuś uda się szczę-
śliwą ręką przesunąć ten, właśnie ten puzelek w układance bytu.

I znow nastąpi reset.

Bez Końca.

En Sof ■



Patricia Piccinini, widok wystawy, Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu,
fot. Andrzej Jerzy Lech, czyt. s. 206

„Die heimlich offenbarung ioh(a)nnis / Apocalipsis cum figuris” Albrechta Dürera. Problemy interpretacji

Apokalipsa św. Jana jest tekstem niejasnym. Powstała zapewne jako odzwierciedlenie odczuć pierwszych chrześcijan oczekujących dnia Sądu Ostatecznego i mającej rychło nastąpić paruzji. Ponieważ ponowne przyjście proroka nie nastąpiło, należało je przesunąć w nieznaną przyszłość. W ten sposób oczekiwanie na apokalipsę zjawiało się zawsze wówczas, kiedy pojawiły się przesłanki podobne do tych z końca panowania cesarza Domicjana: zagrożenie egzystencji całej społeczności i pro-roczne wskazówki. Apogeum takich przesłanek miało miejsce podczas zbliżania się roku 1500. Z jednej strony, istniało prawdopodobieństwo najazdu na Europę ze strony Imperium Osmańskiego, z drugiej zaś, rok 1500 doskonale nadawał się na czas końca świata, ponieważ zapowiadała go Księga Daniela (7,25) i Apokalipsa św. Jana (Ap 12,14) głoszące o „czasie, czasach i połowie czasu”. Przepowiednię można było objaśnić wskazując właśnie na rok 1500¹. Długi ciąg wojen, epidemii i religijnych przepowiedni wytworzył rozprzestrzeniające się w Europie poczucie niepewności i nadchodzącej katastrofy, które zbiegło się z przeciwstawnymi trendami do wzrostu trzeźwego pojmowania świata i przyjmowania postawy dbałości o zajęcie w nim indywidualnej i korzystnej pozycji. Historycy badający tamte czasy nigdy nie byli w stanie ustalić, na ile nowe trendy były właściwą częścią epoki określanej jako średniowiecze, a w jakim stopniu tworzyły radykalnie odmienne wartości określane jako nowożytność czy renesans. Zbiór ilustracji Apokalipsy św. Jana stworzony przez Albrechta Dürera stanowi dobry przykład

połączenia religijnej tematyki głoszącej dominację planów Boga nad celami pojedynczych ludzi i społeczeństw z realistycznym obrazowaniem motywów religijnych i wolą odniesienia komercyjnego sukcesu z ich przedstawiania w sztuce. Dürer wykorzystał treści religijne do ustalenia nowego statusu artysty produkującego na rynek sztuki, nie zaś wyłącznie realizującego zamówienia ze strony zleceniodawców². We wczesnym etapie swojej twórczej działalności, jako 27-letni artysta, stworzył dzieło, które przyniosło mu szeroką sławę i zapewniło źródło dochodu do końca życia. Wytworzony cykl grafik był zgodny z duchowymi klimatami końca XIV w., lecz zarazem wprowadzał artystyczne innowacje, które wykraczały poza istniejące tradycje.

„Apokalipsa” Dürera łączy osiągnięcia ówczesnych grafików, które poznał podczas swych podróży edukacyjnych, z próbą stworzenia nowych sposobów prezentowania rzeczywistości i komponowania obrazów. Wprowadzane przez niego innowacje nie stanowią radykalnych zmian, jednak zespolenie wielu ówczesnych możliwości przy należytych udziale czynnika zmiany dało efekt w postaci grafik o wielkiej i nigdy nie przekroczonej jakości artystycznej. W kolofonie serii drzeworytów ukazujących wybrane fragmenty wizji św. Jana artysta zawarł informację, że dzieło „wydrukowane zostało w Norymberdze przez Albrechta Dürera, malarza (il. 1). Już w ten sposób podkreślił różnicę między powszechnie występującymi grafikami użytkowymi, zwłaszcza innymi drzeworytami wykonanymi często grubą kreską, a swoim dziełem posługującym się liniami znacznie cieńszymi, a nadto precyzyjnie przedstawiającymi elementy ukazywanej rzeczywistości. Treść metryki wydawniczej wynika z faktu, iż po nauce u malarza Michaela Wolgemuta (od końca 1486 r. do roku 1490) Dürer czuł się przede wszystkim malarzem³. Wolgemut był jednak także wybitnym drzeworytnikiem, który wzbudził w swym uczniu przekonanie, że wytwarzanie wyrafinowanych grafik może stanowić poważne źródło dochodu. Nauczyciel Dürera był współautorem ilustracji do inkunabułu *Liber chronicarum*, opisu dziejów świata od stworzenia do przewidywanego końca, wydanym w roku 1493, którego edycja była złożonym przedsięwzięciem komercyjnym⁴. Atrakcyjność dzieła oparta została o złączenie specjalnie napisanego tekstu z dużą liczbą ilustracji (ok. 1800). W druku dzieła miał swój udział Anton Koberger, drukarz i ojciec chrzestny Dürera, który mógł w nim wzmocnić przekonanie o potrzebie posiadania własnego warsztatu drukarskiego.

Po zakończeniu terminowania u Wolgemuta w roku 1490 Dürer odbył trzy podróże po Europie, podczas których zamierzał poznać m.in. Martina Schongauera, wybitnego grafika. Jedną z podróży (zaczęta w październiku 1494 roku) miała go rzekomo

1 Datę końca świata kolejni prorocy przesuwali na inne terminy, a obecnie przypominane są obliczenia Izaaka Newtona dotyczące roku 2060, chociaż sam Jezus przyznawał, że jej nie zna. Zob. Stephen D. Snobelen, *A time and times and the dividing of time: Isaac Newton, the Apocalypse and 2060 A.D.*, „The Canadian Journal of History” 2003, nr 38, s. 537-551. Snobelen udowadnia jednak, że przypisywanie Newtonowi ustalenie dokładnej daty końca świata nie jest zgodne z jego poglądami. Por. także: Maurizio Mamiani, *The Rhetoric of Certainty: Newton's Method in Science and in the Interpretation of the Apocalypse*, [w:] *Persuading Science. The Art of Science Rhetoric*, ed. Marcello Pera, William René Shea, Canton (Mas.) 1991, s. 157-72.

2 Werner Körte, Werner, *Die Apokalypse von Albrecht Dürer*, Berlin 1948, s. 3.

3 Na temat związków Dürera z warsztatem Hansa Pleydenwurffa i Wolgemuta i zob. Erwin Panofsky, *The Life and Art of Albrecht Dürer*, Princeton 1955, s. 16-20.

4 Christoph Reske, *Die Produktion der Schedelschen Weltchronik in Nürnberg*, Wiesbaden 2000.

prowadzić do Włoch i chociaż jej przebieg jest obecnie kwestionowany⁵, to niewątpliwie jest wyraźny wpływ na jego twórczość Giovanniego Beliniego, grafik Andrea Mantegna oraz Antonia Pollaiuola. Po powrocie do Norymbergi Dürer rozpoczął realizację planu opublikowania zbioru grafik dotyczących wizji św. Jana. Zestaw 15 drzeworytów opublikowany został w roku 1498 w dwóch wersjach: po łacinie i po niemiecku. Bezpośrednim wzorcem były ilustracje z Biblii wydanej przez Kobergera w roku 1483, a wzorowanej na Biblii kolońskiej z roku 1479 (Heinricha Quentella czy Bartolomäusa von Unckela). Wzorcowe grafiki z Biblii Kobergera i Quentella były jednak wykonane jako niewielkich rozmiarów, podczas gdy prace Dürera wykonano na dużych planszach o formie prostokąta stojącego. Ich pierwotne wymiary wynosiły prawdopodobnie 32 na 48 centymetrów, co zbliżało je do raczej do dzieł malarstwa niż grafiki. Na odwrotnej stronie każdej z kart umieszczony był ułożony w dwóch kolumnach odpowiedni fragment tekstu Apokalipsy⁶. Dyskusja dotycząca problemu, czy dzieło zostało wydrukowane w oficynie Kobergera, czy też na własnej prasie drukarskiej posiadanej przez artystę od roku 1497 nie została rozstrzygnięta, chociaż należy się skłaniać do tej drugiej możliwości⁷. W roku 1511 Dürer opublikował drugie wydanie zaopatrzone we frontispis z wizerunkiem św. Jana wpatrzonego w Madonnę z Dzieciątkiem wyobrażoną według zwrotu *niewiasta obleczona w słońce i księżyc pod jej stopami a na głowie wieniec z gwiazd dwunastu* (Ap 12,1; **il. 2**). Karta tytułowa nowego wydania opatrzona została także kunsztownym tytułem wyrzeźbionym w desce, nie zaś wytłoczonym ruchomymi czcionkami. Kolejne karty określane przez artystę jako „figury” opierały się o wybór fragmentów z wizji św. Jana zasugerowany być może przez norymberskich humanistów, Willibalda Pirckheimera bądź Sixtusa Tucherę, jeszcze inną możliwością był wpływ kazań Mikołaja z Kuzy⁸. Badacze wskazują ponadto wiele innych źródeł inspiracji, które mogły mieć wpływ na powstanie dzieła. Niemożność poprawnego ustalenia pochodzenia przedstawić od ewentualnych komentarzy biblijnych skłania do podjęcia próby porównania kolejnych grafik z najbardziej podstawowym źródłem, jakim była prorocza księga zwiastująca koniec świata.

5 Beate Böckem, *Der Frühe Dürer und Italien. Italienerfahrungen und Mobilitätsprozesse um 1500*, [w:] *Der Frühe Dürer*, kat. wystawy w Germanisches Nationalmuseum w dniach od 24 maja do 2 września 2012, Hrsg.: Daniel Hess, Thomas Eser, Nürnberg 2012, s. 52–64. Wystawa i katalog były podsumowaniem programu badawczego „Der frühe Dürer. Historiografische Modelle für ein erweitertes Verständnis von Albrecht Dürers Frühwerk”.

6 E. Panofsky, *op. cit.* s. 51.

7 Matthias Mende, *Albrecht Dürer. Sämtliche Holzschnitte*, München 1976, s. 29–39.

8 Sugestie takie zebrał w swej nocie katalogowej Reiner Stoch, powołując się przy tym na prace Franza Juraschka i Ludwiga Grote, zob. Reiner Schoch, *Albrecht Dürer. The Apocalypse*, [w:] *Gothic and Renaissance Art in Nuremberg, 1300–1550*, kat. wystawy w Metropolitan Museum of Art, Nowy Jork, 8 kwietnia–22 czerwca 1986 oraz w Germanisches Nationalmuseum, Norymberga, 24 lipca–28 września 1986, Munich 1986, s. 274. Por. także: Franz Juraschek, *Das Rätsel in Dürers Gottesschau*, Salzburg 1955 oraz Ludwig Grote, *Albrecht Dürer. Die Apokalypse*, München 1970.

Męczeństwo św. Jana

Zbiór drzeworytów rozpoczyna karta przedstawiająca modlącego się św. Jana siedzącego w misie z wrzącym olejem i polewanym tymże bez ponoszenia szwanku przez ofiarę (**il. 3**)⁹. Przekaz opisujący męczeństwo św. Jana zawarty był w tekście Tertuliana z III w. n.e. i znalazł swoją kontynuację m.in. w *Złotej Legendzie* Jakuba de Voraigne z II poł. XIII wieku¹⁰. O mającym „niebawem” nastąpić końcu świata Jan dowiedział się podczas pobytu na Patmos od głosu potężnego (jakby trąby), który nakazał mu przekazanie objawienia siedmiu azjatyckim Kościołom (w Efezie, Smyrnie, Pergamonie, Tiatyrze, Sardes, Filadelfii i Laodycei, Ap. 1). O tym, iż Jan znalazł się na Patmos z powodu zesłania go tam przez cesarza Domicjana, głosił historyk kościoła Euzebiusz. Podstawowe fakty dotyczące Jana przekazane przez pisarzy kościelnych zawierają jednak nieusuwalne sprzeczności: autora Apokalipsy w żaden sposób nie można utożsamić z ewangelistą Janem, z którym łączą go tylko imiona, nie wiadomo, czy został zesłany przez Domicjana (według Tertuliana czy Epifaniusza z Salaminy) czy przez Nerona (jak głosił Klemens Aleksandryjski i tradycja Kościoła syryjskiego), nie wiadomo, z jakiego powodu przebywał na Patmos. Istnieje duża liczba dalszych wątpliwości dotyczących Jana i Apokalipsy, która mogła mieć wielu autorów i jest kompilacją kilku wizji. Analizy niektórych biblistów wskazują na rok 68, jako czas powstania Apokalipsy, ale możliwe, że napisana została pod koniec I wieku a nawet w II w. Rozziew między wiedzą przekazaną przez wczesnochrześcijańską tradycję a współczesną biblistyką pogłębia się nieustannie. Przekaz zawarty w ilustracji Dürera ukazuje, że środki stosowane przez artystów sztuk wizualnych są zasadniczo inne, niż te zawarte w tekstach źródłowych. Celem grafika było stworzenie czytelnego przesłania, które będzie apelowało do współczesnego odbiorcy. Jan umieszczony został w misie z olejem, ponieważ gdyby został umieszczony w kotle, byłby mało widoczny. Domicjan obwołany został cesarzem w roku 81, a jako urodzony w roku 51, miał w roku rzekomego spisывania Apokalipsy 17 lat. Na grafice jest długobrodym starcem w turbanie i ciężkiej wschodniej szacie. Inne znane przedstawienia tego cesarza prezentują go jako młodego mężczyznę o wygolonej twarzy i ubranego w rzymskie szaty. Za widocznym w tle murem stają gapie ubrani w różnorodne szaty, w tym także ubiory norymberskich mieszczan i rycerzy. Widoczne na dalszym planie miasto zawiera wieże, szczytowe domy, gotycką kaplicę i wykusze typowe dla XV-wiecznego miasta niemieckiego. Postaci w fantazyjnych turbanach jest kilka, ale wąsaty mężczyzna na pierwszym planie i leżący przed nim miecz, bądź też obsługiwany przez jednego z oprawców miech, za pomocą którego rozniecany jest ogień pod misą z olejem, wydają się przynależeć do rzeczywistości bliskiej czasom Dürera.

9 Stefanie Begerow, *Der Prolog zu Albrecht Dürers Apokalypse-Zyklus: Das Martyrium des Johannes*, München 2012, zwłaszcza rozdz. 4 *Eingehende Beschreibung der Martyriumsszene*.

10 Tertulian, *De praescriptione haereticorum*, 36,3 oraz Jakub de Voraigne, *Złota Legenda*, przeł. J. Pleziowa, Warszawa 1983, s. 76.

Figura III: Wizja św. Jana dotycząca siedmiu świeczników (Ap 1, 12-16)

Pierwsza grafika odnosząca się bezpośrednio do tekstu Jana przedstawia proroka klęczącego u stóp Boga z pochyloną głową i złożonymi do modlitwy rękami (il. 4). Wysoko ponad prorokiem na tęczy siedzi postać *kogoś podobnego do Syna Człowieczego obleczonego od stóp do głów i przepasanego na piersiach złotym pasem*. Poczynając od zacytowanych słów proroctwa można dostrzec różnice między ilustracją a tekstem. Nowe tłumaczenia Biblii inaczej niż na graficznym wizerunku umieszczają ozdobny pas, który na planszy lekko zwisa w połowie korpusu Boga. Przede wszystkim jednak ukazany został raczej Bóg Starego Testamentu, podczas gdy tekst sugeruje Jezusa. Przedstawiona osoba boska jest długowłosym starcem o długiej brodzie. Może jednak pewien wyraz zasmucenia czy udręki widoczny na twarzy jest wskazówką na Jezusa? Przed wyciągniętą prawą ręką żarzy się siedem gwiazd. Okolice oczu rozciągnięte zostały jak macki ośmiornicy. Zamkniętych ust dotyka głowica rękojeści krótkiego miecza. Drugą ręką postać podtrzymuje księgę otwartą w stronę widza. Sześć świeczników ustawionych zostało po dwóch stronach postaci, podczas gdy siódmy stoi pośrodku.

Na czarno białej grafice trudno dostrzec, czy Bóg ma włosy białe jak śnieg, co relacjonuje przekaz tekstowy. Podłużne pasma skóry rozchodzące się od oczu na zewnątrz twarzy odnoszą się zapewne do wyrażenia *oczy jego jak płomień ognia*. Spod długiej szaty wystają stopy obute w szpiczaste trzewiki, które odnoszą się do wyrażenia *Stopy jego podobne do drogiego metalu, jak gdyby w piecu rozżarzonego*. Dürer nie zażykował żadnego dosłownego potraktowania tego fragmentu tekstu. Jan nie został też ukazany jako *upadły jak martwy*, a ręka prawa ręka nie spoczywa na proroku, który zapewne się już podniósł, by wysłuchać objawienia. Tradycje ikonograficzne różnie rozstrzygały kolejność przedstawianych wydarzeń i przykładowo: analogiczne przedstawienie w „Apokalipsie” trewirskiej z roku ok. 800 ukazuje Jana jeszcze leżącego, podczas gdy ręką prawa ręka Boga spoczywa na jego głowie. Kolorowa ilustracja z dobrze znanej Dürerowi Biblii Kobergera (kopii białą-czarnej ilustracji z Biblii kolońskiej) pokazuje Jana korzącego się u stóp Jezusa, który prawą ręką podtrzymuje księgę, podczas gdy jego lewa uniesiona dłoń otoczona jest gwiazdami. Świeczniki otaczają postać Jezusa, który został ukazany jako dojrzały, brodaty mężczyzna, jednak nie jako starzec.

Historycy sztuki dokonujący swych analiz w duchu ikonologii Erwina Panofsky’ego byli skłonni dostrzegać analogie między specyficznymi ujętymi treściami dzieł sztuki a światem idei charakterystycznym dla środowiska, w którym tworzył artysta. Oponenti, jak chociażby Michael Baxandall, natomiast uważali, że artysta w dziele rozwiązuje podstawowe problemy wynikające z charakteru zlecenia, możliwości, jakich na wstępie dostarcza tradycja i dążenie do zaznaczenia swojej pozycji w świecie zawodowym. Pośrednia droga między tymi dwoma metodami, reprezentowana przez Ernsta Gombricha, zakładała, że w obrazach o wyraźnym programie symbolicznym głównym problemem

badawczym powinno być ustalenie związku przedstawienia z ich źródłami w dokumentach tekstowych, w przypadku dzieł o treściach biblijnych związku z odpowiednimi fragmentami ksiąg Starego i Nowego Testamentu.

Plansza z wizją świeczników daje możliwość weryfikacji tych różnych metod. Przejmując założenia ikonologii, należałoby się zastanowić nad tym, jakie interpretacje treści biblijnych występowały w otoczeniu Dürera. Sugestia, że artysta zasięgnął w tym względzie rad Pirckheimera czy Tuchera nie zostały jednak dokładnie udowodnione. Pewien trudny do zdefiniowania duch odnowy przekonań religijnych jest jednak możliwy do dostrzeżenia w opisywanej grafice. Co jest natomiast wiadome o treściach w niej przedstawionych? To również jest niemal niemożliwe do ustalenia. Prorok Jan otrzymuje od osoby „podobnej do Syna Człowieczego” nakaz napisania listów do przełożonych siedmiu gmin chrześcijańskich w Azji, nad którymi pewną zwierzchność miał wizjoner. Adresaci listów określani zostali jako aniołowie, co może oznaczać zarówno biskupów tych gmin, jak również ducha, który społecznościami kierował. Bóg dyktujący listy wydaje się być dobrze poinformowany o problemach zewnętrznych i wewnętrznych tych społeczności, jednak wiedzę tę można też przypisać samemu Janowi¹¹. W przesłaniach objawianych przez istotę podobną do Jezusa jest wiele uwag krytycznych i napomnień, mało pochwał, a ponadto zachęty do wytrwania do czasu rychło nadchodzącego rozwiązania wszystkich problemów. Przykładowo: ci w Smyrnie, którzy uwięzieni zostaną z powodu swej wiary, ucisk swój będą znosić jedynie *przez dziewięć dni*. Później dopiero przypomniano pogląd św. Piotra, że jeden dzień dla Boga to tysiąc lat dla ludzi¹². Poczieszeniem jest też obietnica, że zwycięzcy dostaną biały kamyk, na którym będzie wypisane nowe imię Boga, którego nie zna nikt prócz tego, kto ów kamyk otrzymuje. Niezliczone podobne zwroty można interpretować na każdy dowolny sposób. Jest to bardzo zachęcające i poruszające dla umysłu ludzkiego. Ewangelista osiągnął więcej niż mógł przypuszczać. Prawdopodobnie także wśród myślicieli kręgu Dürera funkcjonowały interpretacje tych części wizji Jana. Dürer dokonał jednak ich wykładu na sposób charakterystyczny dla artysty sztuk wizualnych. Nawet jeżeli miał wiedzę o poglądach wybitnych norymberskich duchownych Pirckheimera i Tuchera, to dostępne środki artystyczne nie umożliwiały ich zrozumiałej dla odbiorcy prezentacji. Sam tekst biblijny stwarzał ograniczone możliwości pełnego odzwierciedlenia w sztuce. Chociażby topniejące od żaru stopy Jezusa oddane zostały jako dość naturalne palce nóg obute w typowe obuwie. Czy możliwe jest natomiast oddanie wyrafinowanych idei religijnych

11 *Każdy Kościół otrzymuje wyrok oparty na pełnej znajomości jego kondycji, zarówno zewnętrznej (jest tu kilka okolicznościowych wzmianek), jak i duchowej. Kościoły otrzymują pochwałę lub naganę (bądź jedno i drugie)*, Wilfried J. Harrington, Klucz do Biblii, przeł. Józef Marzęcki, Warszawa 1982, s. 462.

12 *Niech zaś dla was, umiłowan, będzie wiadome to jedno, że jeden dzień u Pana jest jak tysiąc lat (...). Jak złodziej zaś przyjdzie dzień Pański, w którym niebo ze swistem przemienie, gwiazdy się w ogniu rozsypią. A ziemia i dzieła na niej nie zostaną znalezione*, 2P 3, 8-10.

przesyconych duchem zbliżającej się reformacji? Wizja świeczników tego nie udowadnia. Artysta poprzestał na lepszym niż dotąd przedstawieniu sceny z wykorzystaniem poprawniejszej perspektywy, harmonijną kompozycją, światłocieniowym rysunkiem, lecz niczym więcej. Świeczniki przedstawione przez artystę, który był synem złotnika i jego uczniem, wypadły jak reklama towaru norymberskich rzemieślników. Pozostała wartość artystyczna grafiki oparta jest o niespotykany dotąd talent realistycznego przedstawiania, precyzję szczegółów i ogólny rys silnej sugestywności.

Dwudziestu czterech starców przed tronem (Ap 4, 1-8; 5, 1-9)

W czwartym rozdziale Jan relacjonuje wizję kogoś siedzącego na tronie z *wyglądu podobnego do jaspisu i krwawnika*, wokół którego umieszczona była tarcza podobna do szmaragdu. Dookoła tronu stały 24 inne trony, na których siedziało 24 starców odzianych w białe szaty a na ich głowach złote wieńce (il. 5). Z tronu miały wychodzić błyskawice, przed nim płonąć siedem lamp, a wokół niego znajdowały się cztery zwierzęta podobne do lwa, wołu, człowieka i orła. Każde ze zwierząt miało mieć sześć skrzydeł i dużo oczu. Rozdział piąty głosi o stojącym baranku jakby zabitym, który miał siedem rogów i siedmioro oczu, a nadto wzbudzał uwielbienie u starców. Baranek okazał się zdolny do otworzenia zapieczętowanej siedmioma pieczęciami księgi, o której otwarcie i złamanie pieczęci apelował potężny anioł.

Dürer zilustrował dużą liczbę szczegółów tej wizji. Na tronie w górnej części przedstawienia umieścił brodatego Boga, na którego kolanach spoczywa księga zapieczętowana siedmioma pieczęciami. Stojący na dwóch nogach baranek przednimi kopytami wspiera się na księdze. Wyraźnie widocznych jest jego siedem rogów i siedmioro oczu. Ponad Bogiem unosi się siedem pochodni. Starcy w koronach zdejmują je i skierowują w stronę Boga. Uskrzydłone zwierzęta otaczają Jego postać. Potężny anioł poprzeda tron i rozpościera ręce, uwidaczniając zadawanie przezeń pytania. Umieszczono go ponad postacią proroka, który rozmawia z jednym ze starców.

Ilustracja wizji skoncentrowana została na dokładnym odzwierciedleniu decydujących składników tego fragmentu objawienia. Siedem pochodni symbolizuje siedem Duchów Boga, a może siedem darów ducha: mądrości, rozumu, rady, męstwa, umiejętności i pobożności. Zwierzęta, których całe ciała pokrywają oczy, są być może symbolami czterech ewangelistów. Badacze podejmowali próby wskazania na dodatkowe znaczenia niektórych symboli i przykładowo Bruce J. Molina (za sugestiami Franza Bolla) dostrzegał w zwierzętach odniesienia do babilońskich pór roku¹³. Zarówno w tym przedstawieniu, jak również w całej Apokalipsie, ten amerykański biblista dostrzegał przede wszystkim wpływ tradycji astrologicznych. Jego interpretacje były analogiczne do sposobów postępowania ikonologów (zwłaszcza Aby Warburga), lecz wymagałyby

jakiegokolwiek potwierdzenia, że Dürer znał tradycje astrologiczne. Bardziej uzasadnione jest zatem przyjęcie, że ograniczył się do prostego zrelacjonowania tekstu środkami sztuk wizualnych. W grafice istnieją jednak odstępstwa od tekstu, dla których należy szukać uzasadnień. Rozmowę Jana z jednym ze starców można uznać za sugestię, iż scena wymaga teologicznego wykładu, którego dokonuje właśnie brodaty mędrzec. Niektóre elementy budzą zwykłe zaniepokojenie, jak chociażby ciekawie pomyślane zydle, na których siedzą matuzalemowie. Zastanawiają także skromne drewniane wrota do raj. Poważniejszy namysł wywołuje natomiast rozległy krajobraz w dolnej części przedstawienia. Uwidoczniony został tam stojący nad rzeką stary zamek z dużą wieżą, zaś głęboko w tle miasto ze spiczastymi wieżami. Czy jest tu zawarta myśl o nowej Jeruzolimie? Interpretacja podobnego rodzaju obciążona będzie dużą dozą dowolności i uzależniona od erudycji badacza.

W analizowanym przedstawieniu decydującą kwestią jest tożsamość 24 starszych. Tej tożsamości jednak nigdy nie ustalono. Idea „starszych” oparta jest na tradycji starotestamentowej, w obrębie której często występują starcy w rolach zbliżonych do kapłanów czy sędziów (Krn 24, 7-18; Dn 7, 9-10). Szwajcarski teolog Wilhelm Hadorn przypomniał, że istniały też próby powiązania starców z konkretnymi postaciami z historii religijnej judaizmu i chrześcijaństwa, wedle których 12 starców miało symbolizować ważne postacie Starego Testamentu, zaś drugich 12 postaci reprezentować czasy pogańskie i chrześcijańskie¹⁴. Hadorn odrzuca te próby, wskazując raczej na aniołów określanych jako trony (Rdz 1,26; Krl 1, 22, 19-22; Hi 1; Ps 89,8; Dn 4,14). Bruce Molina zgodnie ze swoimi inklinacjami widzi w starcach reprezentacje dekanów¹⁵. Dürer wyraźnie ignoruje wszelkie tradycje teologiczne, ale w sztuce przedstawianie starców jako królów posiada wiele przykładów¹⁶. Grafika stwarza problemy, które nie mogą być rozstrzygnięte w świetle dotychczasowej wiedzy teologicznej czy nauk o sztuce, bowiem nie jest możliwe odkrycie, kim są starcy, co symbolizują, ani jakie funkcje spełniali w przekazie Dürera. Niewątpliwie jest jednak, że grafika posiada najwyższą jakość artystyczną, nie tylko przekraczającą wszelkie wcześniejsze wzorce, ale też nie przewyższoną przez naśladowców. Opisani przez Ludwiga Grotego poprzednicy (Mistrz Bertram z Minden, Dolnoleński Mistrz z ok. 1460, Mistrz Ołtarza z Darmstadt, a nawet Hans Memling) nie stworzyli tak bogatego w szczegóły i sugestywnego przekazu jak Dürer. Matthias Gerung, który w roku 1546 przedstawił swoją wersję sceny, wyraźnie zależną od grafiki Dürera, uprościł jej charakter i obniżył rangę swojego dzieła do poziomu przeciętnej grafiki ilustracyjnej. Wszelkie próby przypisania drzeworytowi Dürera

14 Wilhelm Hadorn, *Theologischer Handkommentar zum Neuen Testament zum Text und Paraphrase*, Bd. 18, Leipzig 1928, s. 71, por. także idem, *Das letzte Buch der Bibel: ein Vortrag*, Zürich 1918 (1919²).

15 B. J. Molina, *op. cit.* s. 111.

16 Ludwig Grote, *Die vierundzwanzig Alten*, „Wallraf-Richartz-Jahrbuch” 1971, nr 33, s. 85-98.

13 Bruce John Molina, *Die Offenbarung des Johannes. Sternvisionen und Himmelsreisen*, Stuttgart 2002, s. 112-114.

teologicznych czy symbolicznych głębi lekceważą fakt, że jedyna tajemnica zawarta w tej pracy dotyczy niemożliwych do zdefiniowania wartości artystycznych. Zwrócenie uwagi na przejrzystość kompozycji przy jednoczesnym nasyceniu jej szczegółami nie stanowi wystarczających argumentów wyjaśniających estetyczne właściwości dzieła.

Czterech jeźdźców Apokalipsy (Ap 6, 1-8)

Grafika Dürera obrazująca cztery postacie pędzące na koniach i tratujące ludzi jest najśłynniejszym z dzieł artysty (il. 6)¹⁷. Odnosi się do fragmentu Apokalipsy (6, 1-8) głoszącego, że jedno ze zwierząt otaczających tron Boga przemówiło głosem gromu i wezwało jeźdźcę na białym koniu, któremu dano wieniec, a ten wyruszył, by zwyciężyć. Drugie zwierzę także przemówiło i wezwało jeźdźcę na koniu barwy ognia, któremu dano mu wielki miecz, by odebrał ludziom pokój i spowodował, że będą się wzajemnie zabijali. Trzecie zwierzę wezwało jeźdźcę na czarnym koniu, którego obdarzono wagą i uczyniono zapowiedzią inflacji. Czwarte zwierzę przywołało jeźdźcę na koniu trupio bladym, który miał na imię Śmierć, a towarzyszyła mu Otchłań. Wszystkim czterem dano władzę nad światem (nad jego czwartą częścią, lub nad jego czterema częściami), by zabijali mieczem, głodem, poprzez zarazy oraz ataki dzikich zwierząt. Z powodu zadań przypisanych jeźdźcom, czytelnicy tekstu dookreślili postacie jako reprezentujące Podbój, Wojnę, Głód i Śmierć (której towarzyszy Piekło). Ponieważ jednak z wyjątkiem Śmierci jeźdźcy nie mieli imion, atrybucje te nie są jednoznaczne. Różnice w interpretacjach są tak znaczne, że pierwszym z jeźdźców mógł być zarówno Chrystus, jak i Antychryst. Ireneusz z Lyonu rozważając w swoim piśmie *Adversus Haereses* (IV, 21,3) rolę starotestamentowego patriarchy Jakuba jako zwycięzcy uznaje go za zapowiedź Jezusa, który zgodnie z objawieniem Jana (6,2) także „wyruszył jako zwycięzca”. Inne interpretacje dają jednak asumpt do uznawania pierwszego jeźdźcy za Antychrysta, który obwoła się Mesjaszem. Istnieje jednak możliwość połączenia tych, wydawałoby się, sprzecznych poglądów poprzez uznanie, że fałszywy Mesjasz zaledwie poprzedzi zjawianie się prawdziwego. Ogólnie objawienie Jana interpretowane było jako zamulowany opis wydarzeń współczesnych, bądź przeciwnie, jako zapowiedź czasów ostatecznych (interpretacja eschatologiczna). Czy możliwe jest ustalenie, ku jakiej interpretacji skłaniał się Dürer?

Pierwszy jeździec wysunięty przed innych, a zaopatrzony w partyjski łuk, jest symbolem wszystkich możliwych najazdów, zarówno tych z czasów Jana, jak również mogących dopiero nastąpić. Wyróżniony został nakryciem głowy niejasno przypominającym koronę, ale także mogącym wskazywać na Arsakidów rywalizujących z cesarstwem rzymskim. Królowie Partów Worones i Wologazes rozpoczęli w czasach Jana wojny z Rzymem, jednak wątpliwe jest, by Dürer miał jakąkolwiek wiedzę na ten

temat. Na wielu wcześniejszych przedstawieniach pierwszy z jeźdźców często nosił koronę, ale rzadko kiedy zdobiło go nakrycie głowy tak nietypowe jak to użyte przez Dürera. Zdumiewające jest jednak, że artysta, co do którego nie istnieją wątpliwości, iż oparł się na ilustracji z Biblii kolońskiej, nie powtórzył ważnego tam motywu nakładania jeźdźcowi z łukiem wieńca przez anioła, co określałoby go jako Mesjasza. Postać tego jeźdźcy można przecież odnieść do fragmentu z Księgi Pasalmów, gdzie mowa jest o królu i Bogu, którego ostre strzały nieomylnie trafiają we wrogów (Ps 45, 6-7). Drugi z jeźdźców dzierży uniesiony wysoko miecz, podobnie jak na znanym Dürerowi drzeworycie ze wspomnianej Biblii. Niewątpliwie symbolizuje wojnę. Niezrozumiałe jest natomiast, dlaczego trzeci jeździec, pędzący z wagą w swej prawej ręce, a będący zapowiedzią wysokich cen żywności i głodu, wyróżniony został wielkością i umieszczeniem go w centrum przedstawienia. W Biblii Kobergera także zajmuje centralną pozycję bez wyraźnego uzasadnienia. Czwarty jeździec, to znaczy Śmierć, podąża ostatni, przy czym Dürer tradycyjną kosę zastąpił trójzębem. Poniżej wychudzonego konia szeroko rozwiera paszczę potwór symbolizujący Piekło. Pożera biskupa, jednak już nie kardynała z krzyżem patriarchalnym czy króla berłem, jak zobrazowano to na biblii, której ilustracje służyły artyście za wzór. Wielooczny potwór, jak to wielokrotnie bywało, kiedy Dürer przedstawiał fantastyczne stwory, wydaje się raczej zabawny niż przerażający.

Tekst Apokalipsy dotyczący jeźdźców stwarza znane już problemy interpretacyjne, które rozciągają się między przyjęciem, że wizja dotyczy lat 70. I w. n.e. (preteryzm), a uznaniem, że czasy ostateczne dopiero nastąpią. W obrębie pierwszej skrajnej możliwości rozumienia objawienia Jana opisane zjawiska są próbą zrozumienia ich ukrytego sensu i zapowiedzią ponownego przyjścia Mesjasza. Wydawałoby się, że nie tłumaczy to dużego wpływu tekstu na czasy późniejsze, jednak wizja przetrwała jedynie dlatego, że rozwinęła możliwości językowe i podobnie jak wiele innych ksiąg biblijnych jest wzorcem niezwyklej literatury. Fantastyczne wizje Jana nieustannie skłaniają do interpretacji, tak jak każde wielkie dzieło sztuki. Jego tajemnicza moc tkwi w stwarzaniu złudzenia tajemnicy środkami artystycznymi, które pozostają niezrozumiałe, aczkolwiek decydujące. Apokalipsa nic nie skrywa, lecz łudzi, stwarza sztuczny świat, który pogrąża siły rozumu i pochłania wszelką możliwość poznania. Dürer, który mógłby uchodzić za niezmiennie pełnego wiary człowieka późnego średniowiecza sprowadza jednak wizję do czytelnych szczegółów i niechcący obnaża jej absurdalność i pustkę. Wizja Jana w jego ujęciu nie budzi strachu przez czasami Sądu Ostatecznego, lecz opanowuje lęki i sprowadza je do poziomu powtarzalnych zagrożeń egzystencji społecznej przez kolejne wojny, zarazy i kryzysy gospodarcze. Tak jak szatan podążający za rycerzem w miedziorycie *Rycerz, Śmierć i Szatan*, tak samo piekło reprezentowane na drzeworycie z *Czterema jeźdźcami Apokalipsy* nieprzypadkowo budzi rozbawienie. Szatan i piekło są już na ziemi i nic bardziej strasznego zdarzyć się nie może, są częścią

17 Karl Arndt, *Dürers Apokalypse. Versuche zur Interpretation*, Dissertation, Göttingen 1956, s. 84.

każdej indywidualnej i zbiorowej egzystencji. Dürer sprowadza wszelkie lęki do poziomu zwykłej rzeczywistości, a jedyne, co przepowiada, to ostateczne odkrycie braku tajemnicy, czasów ostatecznych i zbawienia.

Pozostałych jedenaście drzeworytów nie wnosi żadnych nowych problemów prócz tego, że są zajmującymi i sugestywnymi dziełami sztuki. *Otwarcie piątej i szóstej pieczęci* (Ap 6, 9-17; **il. 7**), *Czterech aniołów powstrzymujących wiatry i oznaczenie wybranych* (Ap 7, 1-8; **il. 8**), *Otwarcie siódmej pieczęci i pierwsze cztery trąby* (Ap 8, 1-13; **il. 9**), *Szósta trąba i czterech aniołowie zemsty* (Ap 9, 13-21; **il. 10**), *Potężny anioł i Jan pożerający księgę* (Ap 10, 1-11; **il. 11**), *Kobieta odziana w słońce i siedmiogłowy smok* (Ap 12, 1-5; **il. 12**), *Św. Michał walczący ze smokiem* (Ap 12, 7-9; **il. 13**), *Bestia wychodząca z morza i bestia wychodząca z ziemi* (Ap 13, 1-11; **il. 14**), *Adoracja Baranka i śpiew wybrańców* (Ap 14, 1-5; **il. 15**), *Babilońska dziwka na szkarłatnej bestii* (Ap, 17, 1-8, 18, 1-3, oraz 21 a także 19, 11-14; **il. 16**) oraz *Anioł z kluczem do otchłani, związanie smoka i Nowe Jeruzalem* (Ap 20, 1-3, 21, 1-4; **il. 17**) są dziełami zapewniającymi dużą satysfakcję estetyczną. Ożywiają wyobraźnię, zapewniają wizualną przyjemność, skłaniają do powtórzeń i interpretacji, ale nie wzbudzają „tremendum et fascinosum” większego niż niespodziewany hałas. Bardziej przerażające są dzieła późno nawróconych, przewlekłych ezoteryków oraz poszukiwaczy symbolicznych głębi i tajemnych spisków. ■



Albrecht Dürer, *Kobieta odziana w słońce i siedmiogłowy smok* (Ap 12, 1-5)

Max z drugiej strony ulicy

Nie pamiętam kiedy Max przyszedł do mnie pierwszy raz. Mówił coś o pierwszym zdaniu, o obawie zakrywającej oczy silnym gestem niewidzialnej materii, o płaszczu uszytym przez niewidomych krawców. Tak powinna się zaczynać każda opowieść. Niewiadomą, niepokojem ulotnych słów i nie pamiętam, czy zapytałem go o to dziwne nazwisko, o podobieństwo do brodatego człowieka, który w dniach mojego dzieciństwa wyglądał z ulicznych straganów, był sprzedawany za grosze pod postacią dużych czerwonych lizaków, które lizaliśmy namiętnie nie bacząc na krwisty barwnik zalewający nam usta i oczy. Max to Max i zwracam uwagę na literę „x” obecną i nieobecną w polskim alfabecie, powiedział wskazując na różne możliwości płynące z użycia takiego, a nie innego słowa, na obecność nowego języka, który pojawił się wraz z nową władzą, której istoty do końca nie rozumieliśmy, a która przenikała nasze ciała pomnikami porastającymi szybko warstwą zielonych glonów z małą białą-czerwoną flagą na wierzchu.

Max był dobrym człowiekiem, dzielił się ze mną ostatnią zapałką i szklanką cukru, mówił o wszechświatowej rewolucji, opowiadał o tajemnicy uzyskiwania zimą gorącego śniegu i o dialektyce – matce wyzwolonych nauk. Wiedział wszystko, znał przeszłość i przyszłość, trochę gorzej szło mu z teraźniejszością, ale uważał, że w sztuce najbardziej potrzebna jest ludziom cisza, a ich sercom nadzieja. Pamiętam, jak wymawiał to słowo: „nadzieja”, pamiętam, jak trwał ponad słuchaczami ubranymi w kufajki i gumofilce, jak przypatrywał się moim niewinnym zabawom, kiedy musztrowałem drewnianych strażaków i rozpruwałem wnętrze kufajki. Wyrażał wtedy sobą pewność iluzji, wspominał o niepewności ziemskich miłości, o fascynacji kolejnymi rocznicami i pochodami przechodzącymi tuż pod naszym oknem. Fascynował się niewidzialnym życiem pierwotniaków i budową komórki, która potrafiła przeżyć w najtrudniejszych okolicznościach. Wiedział, że w każdej kałuży mogą się odbić ślady, które po tysiącach lat będą świadczyły o naszej tutaj obecności. To ważne, zostawić po sobie ślad, utrwalić coś, nawet nieobecność.

Lubiłem go, jeżeli to coś jeszcze dzisiaj może znaczyć, chociaż był wyższy ode mnie i nosił długą brodę. Byliśmy sobie potrzebni, on nie istniał beze mnie, ja bez niego, razem kopaliśmy puszki po piwie na naszej ulicy i razem ustawiali kamienie milowe na rogatkach naszego miasta. Towarzyszyły nam nieustannie stan samouwielbienia oraz delikatna skłonność do samogwałtu w myśl zasady głoszącej, że jeżeli mamy kogoś kochać, to najlepiej osobę inteligentną, delikatną i wyróżniającą się w tłumie. Nie cierpieliśmy na szczęście już głodu i chłodu jak dawni rewolucjoniści, nasze barykady wprawdzie nadal stały na trotuarach, ale obok można już było przejechać własną Simcą albo dolnozaworową Warszawą. Tego roku byliśmy bliscy ekstazy wywołanej kolejnymi zjazdami partii, pochodami różowych małpek, które niosły w łapach chorągiewki z aktualnymi hasłami, natchnieniami młodości i oryginalnymi do znudzenia pomysłami co zrobić z naszym życiem przed i pozagrobowym. Jak zawsze słuchaliśmy pilnie ostatnich wiadomości, wśród których wybijały się informacje o mięsie sprzedawanym spod lady przez spekulantów oraz o pewnym panu, który zamuroвывwał swoje kochanki pod podłogą garażu. Interesująca była też historia syna pewnego dostojnika, który zniknął nagle i w radiu nieustannie nadawano głos porywacza domagającego się okupu. Poza tym nie było źle. Śpiewaliśmy pieśni o Polsce Ludowej będącej jawą nie snem, o walce klasowej oraz o tym, że takie jest życie psia mać ochrypnięci i na cały regulator do mikrofonu na szczęście odłączonego od sieci rozlicznych uwarunkowań społecznych i politycznych.

Max wskazywał mi drogę mówiąc, że na początku przejdę przez niego, przez jego życie jak przez labirynt goryczy naniesionej na skomplikowane nawet dla specjalistów mapy, przeniknę jego gołębie serce, które chce dobrze dla całej ludzkości, przejrzę myśli pokrętne i jednocześnie proste, by nikt nie posądził nas o zdradę najwyższych ideałów. Później wyczyścimy ściany z tynków do gołej cegły położonej tu niegdyś przez niemieckich murarzy budujących niemiecki dom według obcych nam planów. Tak będzie najlepiej dla nas i dla nich. Niech zginą i przepadną pod warstwą nowych napisów i nowych czasów. Będziemy tworzyć nową mitologię, przy zachowaniu szacunku dla starej. W naszym systemie będzie miejsce dla Centaurów i dla traktorów, które zaorzą wiosnę. Max będąc filozofem mistycznym pozawalał sobie niekiedy na odrobinę fantazji. Opowiadał o Minotaurze, o jego seksualnych potrzebach, o drzewach pełnych sytych owoców i o korzeniach tych drzew dotykających twardego gruntu wnętrza Ziemi, o uniesieniach doznawanych pomiędzy wargami kobiet mieszkających w nowej Arkadii delikatnie i mimowolnie, znał wiele sposobów pomijanych dotąd w literaturze i mówiących o tym, jak uszczęśliwić pracownice nowych fabryk wręczając im kwiaty o barwie płomienia i nylonowe rajstopy, projektował budowę wielkich zapór na rzekach dzieciństwa, organy największe na świecie i tunele przechodzące na drugą stronę uduchowionej materii.

Radził mi, abym został tam na zawsze, stał się Rybą i Aniołem, Lwem i Strzelcem jednocześnie. Twój Zodiak powinien być na miarę naszych czasów, mówił, walczmy o zwycięstwo wyobraźni przenoszącej kroplę ponad morze, morze ponad ocean, ocean ponad wszechświat, który uporządkowano dawno temu, a który właściwie sam się uporządkował, był swoją siłą sprawczą i ostatecznym celem wszelkiego działania. Popatrz, jak wszystko tam jest piękne i wiedz, że kiedyś człowiek dotrze do tych rejonów, posiadzie czas i przestrzeń, zrzuci łuski z wyblakłych od prymitywnej roboty oczu. Założymy różowe okulary, zważymy nasze ciała na jednej kosmicznej wadze kołysząc się coraz bardziej niebezpiecznie, aż ktoś zawoła: zatrzymajcie się na Boga, chociaż Bóg umarł dawno temu, zatrzymajcie, inaczej uderzycie głowami o suche konary pozostawione tu przez tych, którzy wątpią we wszelkie ideologie, maluczkich, nieświadomych, tych którzy nie czytali ostatnich wiadomości, analfabetów patrzących pod światło na zadrukowane stronicie. Nie rozbijajmy krzemienia o drewno, nie pozwólmy, aby ciemnota i zabobony zwyciężyły jeszcze raz naszą wspólną sprawę. Staniemy się wtedy bardziej wyraźni, nasze kontury zaświecą pośród innych konturów, nasz globusy będą większe od innych globusów, opanujemy cały świat i okolice, zbudujemy wszędzie przejścia dla pieszych, ponieważ na samochody nas nie stać, nasze pokolenie będzie przypominało dobre czerwone wino, które wprawdzie musi przez jakiś czas fermentować, ale na pewno nigdy nie zwietrzeje.

Max jak zwykle przesadzał mówiąc o poezji społecznej i o prozie życia. Mylił mu się pojęcia, ponieważ starał się dostosować prymitywne poglądy do swojej skomplikowanej psychiki, która nie pasowała do aktualnych trendów i politycznych wskazań. W gruncie rzeczy nie interesowała go polityka, pragnął jedynie zanurzyć się w odmętach dymu z aloesu, zamienić w nieodgadnione przedmioty na podobieństwo królewicza, który miał już dosyć nadmiernie natrętnej królowny. Jego metamorfozy były wprawdzie niezbyt doskonałe, ale potrafił na przykład przeistoczyć się z kamienia w ptaka, z ptaka w żebraczkę, z żebraczki w górniką pracującego na przodku i w kobietę pracującą drugą stroną przodka. Bawiły go nadal nieprzetłumaczalne gry słów, kalambury, wieloznaczność określeń i skreślenia dokonywane przez wszechobecnego cenzora. Wiedział, że najłatwiej jest odnaleźć się na starych fotografiach, pośród wypomadowanych czterdziestoletnich staruszków i pluszowych kotar. Kochał nadmiernie wystrojone i ozdobne lalki prababek, marmurowe blaty starych cukierni, ponieważ tak na prawdę należał do dziewiętnastego wieku i najchętniej ukryłby się pośród zielonego, nieruchomego bluszczu ostatniej miejskiej pergoli. W naszych czasach zapomniano przyciąć bluszcz przy korzeniach, ponieważ dawni ogrodnicy umarli w czasie wojny powołani na front wschodni, a na wschodzie ta sztuka nie była jeszcze znana i dopiero Max chciał odtworzyć dym

snujący się tuż przy ziemi wspinając się na palce i patrząc jak spoza drzew wybiegają konie zaprzężone w małe powoziki kłusujące wokół okrągłego stawu jak stado jaskółek, z przyczepionymi do szyi kotylionami i torbami pełnymi życzeń świątecznych fil dank, grus i tak dalej, nie potrafił do końca tego odczytać, wiedział, jedynie, że aby tam się dostać musi mieć zaproszenie okazywane u wejścia brodatym portierom, którzy po pracy chętnie napiliby się z nim piwa toczzonego z dębowych beczek stojących na podjeździe i nagle fanfary, werble, spiżowy dźwięk przypominający uderzenia w metalowe brzuchy wielkich orkiestr, z nieodłącznymi w tyle dziećmi, z niańkami, które mają wolne i zalecają się do przystojnych pompierów, z których niektórzy są na bakier z prawem, jak to pompierzy, jak to przy ogniu, który jest tak gorący i czasami może nawet osmolić wąsy bujne i zadbane, a ty nie wiesz, jaka jest twoja rola w tej sytuacji nierealnej i dziejącej się jednocześnie. Może powinienes ukryć się w chryzantemie przypiętej do czyjegós surduta albo w doniczce zrzuconej przypadkowo z czwartego piętra czynszowej kamienicy, gdzie mieszkasz od lat nie płacąc czynszu kamienicznikom tylko miejscowej Administracji i pani Zosi, która ma duży biust i codziennie rano maluje oczy na niebiesko. Na dole jest rzeźnik wycierający sobie ręce o skórzany fartuch zostawiony tu przez dawnych mieszkańców, a za oknem brudna firanka poruszana niekiedy przez wiatr i wypełniana kształtami zabitych tu niegdyś zwierząt, ale jest teraz przerwa obiadowa i nikt nie dba już o czystość sklepu i tak się wszystko sprzedaje, nawet zapakowane w gazetę, w której proletariusze łączą się i łączą i nie mogą się do końca połączyć.

Możemy rozpocząć inaczej, od zmiętej bibuły wyciągniętej ze śmietnika, która położona na ławce pod głową pomaga przetrwać ciężkie czasy. Obok ławek stoją wózki z wyżem demograficznym, radosną twórczością naszych rodziców wyzwolonych od cierpień i strachu o jutro pomimo żelaznej kurtyny, słyszymy witaj jasny dniu, jutrzeńko swobody, pocieszycielko strapionych, ucieczko grzesznych, nieustanne litanie, modlitwy na klęczkach, kiedy trącamy nosem buty klęczących przed nami ludzi i robi się nam niedobrze, ten tłum pobożny, a my świeccy, miało przecież wszystko wirować, przelatywać ponad naszymi głowami jak duch święty, albo gorejące płomienie, a tu wokoło nieprzejrzyste twarze, usta powtarzające niezrozumiałe słowa, za dużo tego jest jak na moje młode lata, na szczęście nie jestem już dzieckiem wojny i wolę patrzeć na dawne hrabiny, które teraz sprzedają w sklepie z warzywami, zdegradowane ale jednak dawna klasa i rasa, buciczki wyłożone safianem, w uszach kropelki z rodzinnego srebra, wokoło szyi lisy szczęśliwe i syte dzięki dobrej śmierci, a w szklanych gablotkach zasuszone listy i liście z podpisami po łacinie jak w zielniku i brak marchewki, ale będzie, mamy kurczaki prosto ze wsi, wachlarze z wyliniałymi piórami, damy mojego serca.

Myślałem o klasycznej wędrowce pary wagabundów, o snopach siana złożonych wzdłuż drogi, lecz zabrakło drogowskazów, nie było blachy i farby, a po wojnie część rzemieślników wyginęła i musieliśmy się zadowolić naszą wątłą wyobraźnią rozłożoną na dwa istnienia, balonami ze świeżym powietrzem podgrzewanym stosami książek z dzielnicowej i szkolnej biblioteki. Nie powinienem tyle czytać. Max miał lepiej. W jego czasach nie było nawet połowy tego co teraz, mógł opanować całość ludzkiej wiedzy i przetrwać ją we właściwy sobie, systematyczny sposób. Mógł w pewnym momencie odpocząć od codziennych informacji, od natłoku wydarzeń, pamięci o zabitych przedwcześnie, o ich nagłej i niespodziewanej śmierci. Mógł patrzeć, jak mija lato splekane wieloma deszczami i przychodzi sucha jesień wysypująca z naszych kieszeni resztki pieniędzy zarobionych w letnie dni. Znaliśmy ten ból obaj od dawna. Bieda, jak nam mówiono, powinna niedługo się skończyć. Jeszcze jedna huta lub kopalnia i będzie koniec biedowania, będziemy żyć godnie i z pełną świadomością, że wszystko zawdzięczamy sobie i pracy własnych rąk. Nie było łatwo, bo praca rąk nie bardzo nas interesowała, woleliśmy patrzeć, jak wysychają ostatnie źródła, jak uderzają w naszą planetę ostatnie komety. Stawialiśmy sobie zadania na najbliższe popołudnie. Napisz o pogodzeniu z suszą. W naszym klimacie nie jest to trudne. Wystarczy wyobrazić sobie popękane ziarna soli. Można to oczywiście wzmocnić. Zobacz krajobrazy ucieczki z obozów pracy, suchary rozkrojone na strzępach żołnierskiego munduru, krwawiące dziaśła, pełzanie po powtórnie zrzuconej skórze węża, portrety Wielkiego Wodza ułożone w szczelinach skał, mdłości spowodowane pierwszym wylewem krwi do mózgu po uderzeniu drewnianą pałką, opowieść o zawiłościach języka i o związanej z tym nauce zanurzonej w wodospadzie płynącym przez siedem kamieniołomów i siedem kopalni wschodniego złota.

Wystarczy, przerywał Max, tego nie przewidziałem, wróćmy do domu, zobaczmy, czy nasze słowa zdołają zatrzymać ołowiane chmury zgromadzone ponad nami, czy nasze miasto jeszcze istnieje. Może odlecimy, mówił i odlatywaliśmy pośpiesznie, wbijając sobie w czaszkę srebrne igły, które najpiękniej wyglądały na tle czerwonej flagi rozwieszonej nad złotą bramą nowego miasta nadziei. Wokół nich powstawały ulice zamieszkałe przez ludzi, którzy nigdy nie widzieli deszczu, a koła wozów dyskretnie opalizowały podczas podjazdu na najwyższą górę. Drapieżne zwierzęta, którym szczęśliwie wyrwano kły i pazury, poruszały się miękkimi ruchami kotów fosforyzujących w metalicznych oprawach, a historia pewnej rodziny ludzkiej nabrzmiewała tuż obok nas, przy ostrzu jednej ze szpilek, aż musiałem wyciągnąć na chwilę ostrze i wbić je w skórę nieco dalej, aby nabrzmienie znikło samoistnie, ponieważ w sposób dialektyczny usunąłem jego przyczynę, a przez to samo i skutki uległy złagodzeniu. Rodzina ta dziękuje nam do dzisiaj za ten skuteczny i zarazem delikatny zabieg na żywej tkance, przysyłając co roku

nowego potomka, któremu udzielamy świeckiego chrztu, przywiązując mu do rączek w czasie tego obrzędu koszyczek wypełniony dojrzałymi granatami. Max uwielbiał przymiotniki takie, jak „dojrzały” albo „skuteczny”, mówił, że zawarta jest w nich niezwykle dynamiczna siła sprawcza, o której ludzie nie mają jeszcze zielonego pojęcia. Używał też niekiedy kolokwializmów chcąc wpłynąć na dzieje ludzkości, które są w dużym stopniu, jak twierdził, kolokwialne i brutalne z zasady, a potomków przysyłanych nam wraz z koszyczkiem wysadzał w powietrze pragnąc udowodnić, że siła ciężenia ziemskiego ma jednak swoje ograniczenia. Nasze usilne i codzienne drążenie w czerwieni pomagało nam wielokrotnie przetrwać najtrudniejsze dni i dostarczało skromnego pokarmu obfitującego w domysły co do niepewnej przyszłości i fragmenty natchnionych, świętokradczych słów. Naszemu miastu jednak to zupełnie nie przeszkadzało. Pociągaliśmy w nim za urojone sznurki i wszelkie sprawy były dzięki temu od razu spokojnie i do końca rozwiązywane. Najważniejsze były wybory do rad delegatów, skupiliśmy się na tym, aby mieć większość we władzach, nie mówiąc już o możliwości przekazania wszystkim naszej wyjątkowej w swej istocie ideologii. Potrzebni byli złotouści mówcy i proste sprzątaczkę lub kucharki, którym w ostateczności moglibyśmy powierzyć funkcje szefów rządu. Konieczny był również kat, ale z kandydatami na to stanowisko nigdy nie było najmniejszych kłopotów. Max niekiedy podejmował się najtrudniejszych spraw w miejscowym sądzie i ku zdumieniu wszystkich zawsze wygrywał. Mówił, że myśl swobodna nie zna granic ni kordonów, podobnie jak ta wysokiego lotu dodając, że najpiękniejsze bagna kwitną raz na sto lat. Notowałem pilnie jego uwagi, chociaż ta ostatnia nie była dla mnie tak do końca całkowicie zrozumiała. Tak to jednak jest z filozofami i musimy się z tym niestety pogodzić. Gdyby filozofię wszyscy rozumieli, nie byłaby ona filozofią, podobnie jak poezja poezją i polityka polityką. Bagno, o którym wspominał Max, jednak istniało naprawdę i niekiedy wyciągaliśmy go z niego umorusanego, ale niezwykle szczęśliwego, ponieważ dzięki niemu zyskiwał lepszy kontakt z materią nieożywioną lub ożywioną tylko częściowo. Pił później z przedstawicielami komisariatu i lokalnym proboszczem twierdząc, że materializm materializmem, ale lepiej jest się zabezpieczyć na wszystkie strony.

Fragment książki „Max z drugiej strony ulicy”, Kraków 2015. ■

Pozwól tej miłości płynąć, ale nie wchodź do wody

– zaklinała Ewa Sonnenberg.

Cóż, ściagam sandały. Zastanawia mnie rzeka, której żwir zupełnie jak szlachetne kamienie. *Rok ognistego smoka* z 2009, tomik pod wieloma względami niezwykły, nie odbił się echem, coś wessało go w próżnię. To zdumiało autorkę. Błyskotliwy debiut *Hazard* (1995, po prawie czteroletniej nieugiętej korekcie samego Marka Garbali), z nagrodą im. Georga Trakla – i nic? Rok później *Kraina tysięcy notesów* i *Planeta* (oba w 1997), a tą przecież szprycą śmiałych semantycznych zderzeń, asamblażu mott, cytatów, aluzji, wybiła się! Także bywanie wszędzie, gdzie krytycy (co wyzna w już nerwowych lirykach prozą: *ja planowałam, a nie marzyłam*), odrzucanie powściągliwie głębokich refleksji, jakie nacechowały poezję w kręgach aksamitnych rewolucji Środkowej Europy – i nic?

Świat dopierdalania, przypierdalania, i pierdolenia potoczył się po pochylni. *Poezja jak instrukcja obsługi prawdy (...)* *prawda jest jak dupa*, wołała w tychże miniaturach, odredakcyjnie zestawionych momentalnie z Anne Sexton i Sylvią Plath. Tak, cisza. Trudno przecież planować lirykę? Ale wyda kolejne i kolejne tomiki-okrzyki, *ogniste wozy napelnione wersami jak rozżarzonym węglem*, co przez tę jedną liniijkę pięknie iskrzy w jej *Opowieści wigilijnej* – tytuł wszak szekspirowski – choć samorecenzja puentowana *nadludzką miłością* pośród gwiazd umierających, zgłiszcz i Piekieł, smakuje jak zebrane na bruku ogryzki zakazanych owoców. Problem sam w sobie. Dlatego od razu: poetki odtąd już nie odstąpi poczucie, że *Wiem że muszę wybrać życie między zdrajcami lub śmierć*. Świat naruszył zawdzięczany ojcu ideał świata. Na „list ojca” żebrzący o miłość i litość dla swojej córki, odpowie ona nieodwracalnym potwierdzeniem ojcowskich pewników:

(...) *Ojciec jestem cała listem płonącym w odpowiedzi na twój list*
Wiem że muszę wybrać życie między zdrajcami lub śmierć
Cała jestem listem jak ptaki przenoszone twoim oddechem
Krzyk przestrzeni w której toco zawołane jest wołającym
Rzucasz piasek moich wierszy pod stopy prześladowanych
Pustynia jest zbyt niema by nie znać jej wyboru

Pustynia jak krzyk przyjaciela piaski serca

Kamień inkrustowany łzami ojca jest moim piórem

Podłużne wejście błękitnego światła na moich ustach

Skrzynka pocztowa tego świata jest jak rozbity wrak

Tak oto, pod romantyczną draperią, natykam się na fideizm – postawę, jaka wyklucza niesubordynację, jaka infantylizuje dziecko w jego wymiarze bezinteresownej czystości, mianowicie braku skażeń wręczanymi mu gotowymi ustaleniami-nadaniami. I wzbudza nie psychiki stan wyzwolicielski, a gotowość strzeżenia nabytku, ledwie adaptacyjną anarchię słowa: to właśnie potulność wymiatająca idolów i flagowe slogany, lecz nie dająca tknąć mechanizmu zarządzania nam archetypami psychiki i brania jej na smycz przez wewnętrzne Very Important Persons. Smycz to coś, co snuło się błędowiem wyobraźni Sonnenberg, aż stwardniało osobnym tytułem.

Tchnęła nienasyceniem. Ładna, rozrzutna, wojażująca po konkursach lokalnych, po Europie, stale w kapryśnie krzykliwych strojach, recytująca z pamięci swoje wiersze na tle tańca panów w slipkach, lub w ciemności, lub na tle japońskich wachlarzy, ekscytowała, imponowała, wzruszała. Po wrocławskiej Akademii Muzycznej – fortepian – obok pisarstwa u Macieja Słomczyńskiego studiowała na Jagiellońskim filozofię (w Internecie podaje, że przez 10 lat); dyplom poświęciła Hildegardzie z Bingen, chcąc w jej pojmowaniu człowieka ujrzyć problem na wskroś współczesny. Owszem, podjęty w dziesiątkach prac filozofów jak Jean-Noël Vuarnet (*Ekstazy kobiece* 1980), teologów, dietetyków, w serii średniowiecznych kryminałów Edgara Noske. Głośna Margarethe von Trotta rzuci na ekrany kin *Wizję z życia Hildegardy* (2009). Tysiące ludzi wierzy, iż wybitnym postaciom Średniowiecza pod chrześcijańską maską ma aż kłębić się od poglądów postmodernistycznych. W *Córach Renu* norweskiej pisarki Cecilie Løveid, słuchowisku z 2015, jakie wyreżyserował u nas Tomasz Czyż, Hildegarda udziela sakramentu ślubu siostrze zakonnej i ocalałemu z rzezi katarowi; *chce napisać moralitet – psychomachię – o Animie wodzonej na pokuszenie przez Diabolusa. Szuka aktora. Szuka ofiary. Walcząc z herezjami, sama popada w herezję*. Czyż komentował: *Owa głęboka i ryzykowna potrzeba głębokiej wiary to jeden z wielu wspólnych mianowników dla średniowiecza i XXI stulecia. Czy żyjemy w czasach nowej krucjaty?*

Fascynacjami rządzi podświadomość... to nasze intymne problemy. Chcę dociec, z jakiej właściwie perspektywy Ewa Sonnenberg widziała ów fenomen. O jakie tu pasma skojarzeń potraça jej poezja – a poezja to nieustanne *być*. Bez wątpienia, łączy nasze czasy hojne szafowanie postprawdą oraz ludźmi na przemiał. Walka tedy z odchyleniami, hece i bzdury wierutne, neurozy, zbrodnie wojenne i za jednym zamachem natarczywość zbawiania, leasing aureoli. Wenecja, Piza, Genua, Barcelona i ich filie walczyły o jedwab, bawełnę, kadzidło, o rabaty w muzeum mańskim świecie.

Wzbogaceni mieszczenie wykupili sobie baronie od zbiedniałych królów, i tam kapitał lokując, na wsi, a nie w handlu czy rzemiośle, odtąd już (niejako na wzór opatów) skąpili krzyżowcom rekruta, woląc użyć go do tłumienia aspiracji klasy średniej w swoich dobrach. Żyjąca w XII w. nad Renem benedyktynka, prorokini, lekarka, kompozytorka i poetka ucieleśniła specyficznie kobiecie doświadczenia sakralne, ale też kobiecą siłę. Jej wizje spisane w *Scivias* (skrót od *Sci vias Domini* tj. *Poznaj ścieżki Pana*) papież na synodzie w Trewirze, z miódopłynną przychylnością św. Bernarda z Clairvaux pobłogosławił pomimo pryncypialnej wtedy nieufności wobec umysłowej i psychicznej autonomii kobiet.

Co więc wspólnego może mieć chorowita mniszka, której duchowość od ósmego roku życia pod pieczę ciotki pustelnicy, formowano w zakonie męskim, z Ewą Sonnenberg, poetką męską? Politowanie dla kobiecości archetypalnie przyziemnej, płciowej, czy raczej wiara w kobiecość uciemioną, a jak klejnot w paszczy węża rozświetlającą czerń męskości? W kobiecość jako dominantę, która ożywiła całokształt kultury, pozwalając zrozumieć jej polityczne istnienie („polityczne” oznacza wszak „ekonomiczne” oraz „militarne”)? Intelkt? Wyniesienie ponad marnościami? Ponad miernotą? A może muzyka, względnie zaufanie do ciała, jakiemu nowatorska krytyczka kultury, Camille Paglia (*to kompletny absurd, myśleć, że jedyna droga ku poznaniu wiedzy nas poprzez słowa*) dała wyraz estymą wobec archaicznych filozofii i de Sade’a, oraz niewiarą w „metafizyczne” wypychanie ducha poza obręb natury? Aczkolwiek u Hildegardy i Sonnenberg już od razu napotkam całą jakąś serię zgrzytów między ciałem a słowem. W Ewangelii (bez jakiej szkoda gadać o chrześcijaństwie albo kobiecie Zachodu) Słowo przecież urasta do rangi... Ciała.

A zatem co poetka próbowała przejąć z Hildegardy lub przypisała sobie? Nieustającą tajemnicę? Sztukę na powściągnięciu erotyki? Sztukę jako narzędzie władzy, dyrygenturę duszyczkami podległych sióstr? Obie skupione na własnym powołaniu *spomiędzy wielu*, rosły znając świat w matowym kloszu; może klucza do ich „tajemnic” szukać w uczuciowym *piekle* losu oblatki, dziesięcinki, jaką rodzice składają na ołtarzu wartościom tym czy innym? – co intuicyjnie wyczuł i pokazał Goya w cyklu „Saba-tów”: koźlogłowy Szatan z rozlaną na obliczu próżnością idioty przyjmuje od młodej matki bobaska – w krąg siedzą już podobne, teraz staruchy, z trupkami. Goya unaoczniał dewastację podświadomości (bez podświadomości nie przeżywa się sacrum): „negatyw” mianowicie sytuacji zaszczytnej, dziewczynka-ofiara bowiem, *wybrana spomiędzy wielu*, odtąd musi swoje ciało, czyli po prostu sensualność (zmysły to poznawcze okienka), pełnić percepcji, podporządkować wymalowanym na kloszu niebiosom Słowa – płaskim i w istocie **powierzchnowym**. *Akwarium, jak wiadomo, jest takim zaciszem, gdzie się nigdy piosenek i płaczu nie słyszy.*

Dla Goi piekło. Dla Hildegardy piekło. Piekło to miejsce nieodzowne Orfejom. Jest ich

archetypem. Tam zapędzają swoje animy, swoich animusów, smyczą wloką po dnie, jakie migoce zupełnie jak szlachetne kamienie. Osamotnione dziewczynki rosły w kloszu arcydzieł literackich, och, Biblii, liturgii, w kloszu kanonów zadanych lektur (będą z całą mocą talentu je uatrakcyjniac) i nago-goło-słownego olśniewania, które w gruncie rzeczy stanowi motyw przewodni poezji Sonnenberg.

Tęsknię za tobą wiosenny znaku wiersza

przytrzymujący by wołać ciałem

Jak litera która chce się przedostać do właściwego słowa

Tęsknię za echem pokoi w których grzbiety książek były jak mosty (...)

Światło księżyca prowadź

Ale co to znaczy: literaturoegocentrycznie? Pod kloszem tworzy się coś boleśniejszego od niedoboru informacji, bo uzupełniając je, tylko zaognimy problem – rozciągniemy ten klosz na przyswajane sobie dziedziny. Rilke ujął to w Ósmej *Duinejskiej elegii*: *Bo już małe dziecko /zmuszamy, aby odwróconym wzrokiem / widziało formy, nie otwarty przestrwór, / tak głęboki u zwierząt*. Hildegardzie przydzielono osobistego biografa Gotfryda oraz nauczyciela Volmara, który został jej spowiednikiem, przewodnikiem duchowym, sekretarzem, wreszcie dozgonnie wielbił jej poczynania; to też forma kontroli, permanentnej kontroli, kar w postaci modulowania natężeń uwielbienia; jeśli łagodnieją, przy literaturoegocentryzmie wpadamy w popłoch, bo dochodzi do zarządzania odmiennosciami – do duchowego rasizmu. Szukaniem ulgi od albo-albo bywa konstrukcja tożsamości potajemnej. *Być może dla zabawy, a może dla wewnętrznych potrzeb mniszek, które chciały pewne treści przekazywać sobie w zaszyfrowany sposób, Hildegarda ułożyła serię wymyślonych słów lingua ignota i alternatywny alfabet litterae ignotae. (...)* *Mniszki w jej klasztorze ubierały się na białe i zielone, mogły nosić kwiaty i klejnoty, nie musiały obcinać włosów. Boga wielbiły tańcem*. Tak więc mniszka eskaluje i estetyczną siebie, i swoje oratoryjne dramaty, np. *Ordo Virtutum* (*Zastęp Cnót* lub też *O sztuce cnoty*), hymny, responsoria, antyfony z ich ekonomią wpisywania psalmów w dopuszczone odczytania Nowego Testamentu, arcytrudne w śpiewie, melizmaty liczą sobie ponad 70 nut, a skala głosu przekracza niekiedy aż dwie i pół oktawy (w kościołach dla ozdabiania mistycznej stosowności starczyła jedna). Jak więc głęboko ta pętla się zaciska? Bo z kolei Sonnenberg (fideizmem formowana już w domu babki, którą co wieczór musiała całować w dłoń zdobną pierścionkiem – *Po jej śmierci brakowało mi pocałunku w jej chłodną rękę / Rękę która karmiła mnie niemożliwym / Jeszcze bardziej brakowało mi chłodnego i groźnego kamienia*) – pojawiła się, gdy z ustaniem państwowego mecenatu dolnośląska czołówka pisarska traciła grunt, musząc przyjąć do wiadomości, że jest i będzie zbędna w kulturowym obiegu idei nawet na poziomie towarzyskim, po

prostu wyparuje z dziejów kultury, nie stać jej na kawę w kawiarni, na wejściówkę gali Angelusa (zostaliby wyproszeni przez obsługę), na telefon, Internet itp., tym bardziej zamówienie recenzji o sobie ani o nikim podobnie zbędnym. Zresztą pism, jako zbędnych, ubywało. *Ostatnie dziesięciolecia to recenzje pisane dla wydawców, właściwie tylko peany. Nie ma krytyki jako takiej (...) Negatywne krytyki zwykle poniewierają maluczkich, a przecież tym na piedestale są najpotrzebniejsze, bo oni kosztują od ciągłych pochwał, nudnieją, degenerują się.* Na tym więc tle Ewa Sonnenberg rosła w zamożnej rodzinie gwałtownie bogacącego się miasteczka albo raczej zarządu kopalni, odłączona od rówieśników także lekcjami muzyki. Nigdy nie rozwijała napomknien takich jak o babce – zastępującej jej nieobecnych rodziców. Co na tylko nieco innych przykładach objaśniała Alice Miller w *Dramacie udanego dziecka*. Niemniej, współczujący freudyzm Miller gubiłby z oczu to, że – przywołam nieznany wtedy Dolnośląszakom esej *Kapitalizm i schizofrenia – nie istnieją dziedziny czy obiegi względnie niezależne: produkcja jest natychmiastową konsumpcją i zapisem, zapis i konsumpcja bezpośrednio ustanawiają produkcję, chociaż determinują ją w ramach samej produkcji. A zatem wszystko jest produkcją: produkcje produkcji, działań i pasji; produkcje zapisów, dystrybucji i układów odniesienia; produkcją konsumpcji, zmysłowej rozkoszy, lęku i cierpienia. Wszystko jest produkcją, w której procesy zapisu są natychmiastowo spożytkowane i konsumowane, a procesy konsumowania bezpośrednio odtwarzane (...). Oto pierwsze znaczenie procesu: nieść zapis i konsumpcję w produkcji, czyniąc z wielu produkcji ten sam proces. Ponadto utrzymywanie rozróżnienia na człowieka i naturę nie ma już sensu: to, co jest ludzką istotą i naturalną istotą człowieka, staje się tożsame w naturze jako produkcji czy przemysłu, a zatem również w życiu gatunkowym człowieka. (...) Człowiek nie jest już królem stworzenia, a raczej tym, kto styka się z ogromem życia we wszystkich formach i rodzajach, kto odpowiada nawet za gwiazdy i zwierzęta, kto nieprzerwanie podłącza maszynę-organ do maszyny-źródła, drzewo do swojego ciała, pierś do ust, słońce do tyłka, kto jest wiecznym sługą maszyn świata. Oto drugie znaczenie procesu: człowiek i natura nie są przeciwstawnymi terminami, nawet jeśli rozpatruje się je w odniesieniu do zasad przyczynowości, zdolności rozumienia czy ekspresji (...). Są raczej jedną i zasadniczo tą samą rzeczywistością producenta i produktu. Produkcja jako proces wykracza poza wszelkie idealistyczne kategorie i ustanawia cykl, który odnosi się do pragnienia jako zasady immanentnej. Dlatego produkcja pragnąca jest rzeczywistą kategorią materialistycznej psychiatrii (...)* Tu, na Dolnym Śląsku przeciwstawiano ideę produkcji idei kreatywności – trwając w swoistym jeszcze mentalnym kreacjonizmie w stosunku do sztuki.

W rzeczy samej, sytuację Dolnego Śląska oddawały wtedy obsesyjne kosmiczne labirynty na obrazach Wańka; jeśli patrzymy na ich symbole, mamy przynajmniej świadomość, iż każdy oznaczał karalną herezję oraz karę, jaka dotykała konkretnego alchemika, i wyłom w labiryntalności. Chodzi przecież o sprzężenia zwrotne metamorfoz,

przekładanie się zysku choćby z obrotu odpadami z rzeźni na możliwość wsparcia finansowo wykonania w klubie mistycznej opery rockowej (wszelkich przecież zazębień tych konkretnych mikrodecyzji, owocujących istnieniem albo niezaistnieniem dzieł w sferze publicznej, ale też moralnej, intelektualnej – przypomnijmy też sobie z *Odysei*, że Zeus każdemu mężowi zabiera cnót połowę dnia tego, gdy mu każe iść w niewolę, tak więc i każdemu wmieszanemu w kulturalny i niekulturalny Dolny Śląsk). Aczkolwiek znowu, wyłom „alchemika” wiedzie w nieco tylko inne wymiary meta-Labiryntu. Sonnenberg zdawała się unosić ponad odrażającą maszynę agregatu literackości, ponad smrodem kar zionących z każdego wyłomu (w jednym z wierszy brutalnym słowotokiem dała wyraz obrzydzeniu do tego, co Inne) tak, jak gdyby otwarte skrzydło fortepianu poetki-pianistki nie uczestniczyło w procesie produkcji spraw ciężkich, a przeciwnie, pozwalało uniknąć trudnych porozumień, ustępstw, poświęceń, wikłania się w wysłuchiwanie innych piszących, rozszyfrowywania ich dzieł i relacji wzajemnych – w końcu była to już epoka łatwo dostępnych skrótów, estetycznych paskudnych uproszczeń, w jakiej zbędna *psyche Innych* należy do dóbr konsumpcyjnych drugiej świeżości, a w praktyce do łakomie rozgarnianego śmietnika. Owszem, środowisko dolnośląskie **właśnie wtedy** żegnało dopiero co rozbudzone nadzieje na wolność wreszcie prawdziwej kultury, wreszcie prawdziwej duchowości, a witało samą istotę przemiany piękna w niczym nieskrępowaną estetykę nieistotności. Sonnenberg czuła, że może eskalować swój solipsyzm, nawet jeśli traci on myszami i tyfusem pierwszej wojny światowej – bo futurystyczny *skok barbarzyńcy, który poczuł Boga*, przestał być naiwnością przedponowoczesnych, nadto nie napotka oporu ze strony niczyjego więcej „pragnienia produkcji”. Zarazem, jak najbardziej podchwyciła – krótkoterminowe – dyskursy zapożyczone, zlepione garstką komunałów anarchizmu i desperacjami drobnomieszczaństwa, które straciło głowę, że sparafrazują jedną z uwag Ciorana o wyjąłowanej Francji.

Poeta niejednokrotnie chce osadzić swoje „powołanie” w jakimś punkcie zwrotnym, w kategoriach egzystencjalnych, kiedy np. poczuł strzałę Amora, otarł się o śmierć, musiał zarzucić znajome role albo opuścić ciepłe kąty, Tak też u Sonnenberg. Odniesieniem jest dla niej wciąż „znane” i odpowiednio ustraszona przemiana go w „nieznane” aż po „wampiryczność”, mająca wynieść ponad powinności, przecież już bezzasadne – „wampir z samej swojej natury” pozostanie „zły”, nadto „oni” są zbędni trwale, nie ma więc powodu ich zachowywania, ani tym bardziej reanimowania. Podkreślam to, ponieważ poetka mówi wciąż o utracie bądź zdobyciu: wszelka utrata jest krzyczącą niesprawiedliwością, wszelka zdobycz należną w nienaruszonych tym „progowym” doświadczeniem pojęciach fideistki: tylko pieczętuje coś, o czym wiedziała „sama”. Dodać można, że owo doświadczenie ujęła w poetyce zabawnego przypadku, wabika wręcz. Żongluje ideą Ładu wyposażonego we wszystkie możliwe walory całokształtu dorobku ludzkości i jednocześnie nie umie pogodzić się z tym, że „znany” świat czy też ład, jest też efemerydą... czystych

zbiegów okoliczności. Przykładem to, jak ujęła własny punkt zwrotny:

Ścigana niewidzialną sforą much poślizgnęła się
Ścigana oddalającym fenomenem okularów wbiegła
pod samochód bo kocha się tylko umarłych
(i ja ją wtedy pokochałam od pierwszego uderzenia)
Zabawnie przefrunęła nad maską Niejeden kaskader
mógłby pozazdrościć Teatralnie
I było w tym coś z dramatów Szekspira Być może
dosłowność Romeo i Julia tylko że Romeo
nie miał czasu na zakończenia Wyszedł za potrzebą
Pierwsza i ostatnia premiera odbyła się 21 stycznia 1990
we Wrocławiu (miasto na poł.-zach. Polski) na scenie —
ul. Powstańców Śl. o dwunastej dwadzieścia podziwiano
asfalt-matkobrzuch ulicę-szpital drzewa-lekarzy
latarnie-pielęgniarki los-akuszerkę
Urodziła się Poród z drobnymi komplikacjami
Metrykę zastąpił raport milicyjny
Urodziła się na nowo Odnalazła swojego wampira
słodkiego jak tabliczka czekolady Rasowego
z zadartym nosem Zachorowała na anemię
Wampir (...) Wcielił się w ogrodnika
Właściciela 365 róż Obdarzył wszystkie
taką samą miłością Drżał o każdą kroplę czerwieni
Ona śniła szklane klatki skrupowane zachłannym
krwioobiegami Nie było wyjścia
Wessała go w siebie Podwójnie wampirza odeszła
założyć swój własny ogród A każda róża
prócz czerwieni miała imię

A teraz próbka typu wrażliwości z niejako inicjalnych lat w wierszu *Zakonnica* (1992):

Płaska jak jedna z kartek modlitewnika Nierealna
że pragnęłam dotknąć na ile prawdziwa
Tajemnicę ukryła pod żałobą Płakała
Kobiety w czerni umieją płakać tak jak ona
perfekcyjnie Utonęłam Płonęłam
lamentem Łzy były wewnątrz mnie
żywiłam się rozpaczą Zachłannie

połykałam jej płacz Odtąd brakowało mi łez
Wirydarz Róże omdlałe z odosobnienia (...)
Przysięgła że nie spotka wody
nie będzie się w niej przeglądać
Uschnie w monotonii zabobonnych fresków Giotta
zamknie na klucz swoją wieczność

Gdyby to już o Hildegardzie, zauważmy, fresków Giotta jeszcze nie było. Gdyby to o oblatce ośmioletniej, dziecięctwie, mamy nic, rozległą scenografię na deskach, gdzie odwołano spektakl: nie ma dramatu – zbędnego już. Odbiorca oczywiście może przyjąć uogólnienia – podjąć tę estetyzację, bagatelizując niewidzialne rezonować okazałe widome świętości przejawy, właściwe polskiej sakralnej rezurekcji schyłku XX w., emfazy bez entuzjazmu, odmienianie przez wszystkie przypadki ogólników „niestereotypowy”, „niekonwencjonalny”, „wyjątkowy” z przemilczeniem, z czym konkretnie (i co) się zestawia. Może też jednak mieć na uwadze, że doznaniu sakralnemu, powtórzę, zawsze towarzyszy podświadomość, drażnić ją tedy. Narzucałoby się choćby zapytanie o Boga (dla Hildegardy człowiek poza Bogiem nie miał sensu), o urzeczzenie nie tyle płaską niewinnością biustu, co hierofanią, czyli odczuciem mocy kształtującej ciszą, oślepieniem, błogimi poruszeniami struktur albo też szablonów materii, strachem. Pada u Sonnenberg w *Opowieści wigilijnej* określenie *przemoc ciszy*, jakkolwiek nad rozgdanym galimatiasem tropów a to ku cieniowi królowej, a to ku *płonącemu widzeniu zmierzającemu z prędkością myśli na Wschód* (bo i motto ze zwojem japońskim, choć koniecznie i z *video* oraz *taceo*), a to ku *opowieści wigilijnej o angielskim porcelanowym dzbanku w fiołki* – i znowuż czemuś przez śnieg w szponach wiatru z ptakiem księżycą nad głową ku kamerom w ścianach, śledzącym każdy krok, do tego *papeteria z królewskimi znakami gdy między brudem a upodleniem (...)*, przy czym *między bezdusznymi filarami ukryci snajperzy czekają na każdą słabość by zdobyć cię i trzymać wciąż na tę samą odległość*, a to ku *mój gniew jest nadludzki*.

Wróć do jej Hildegardy, do klosza. Jakiego zatem Boga, jakie Boga doznanie Sonnenberg, studentka jednego z czołowych polskich metafizyków, przypisała mistycyzmowi? Nie znało Średniowiecze ani spójnej, ani wspólnej Boga idei, nie miało nawet wiedzy o Nim. Jakże inaczej, kiedy w Imperium Christi religią Księgi żyli... analfabeci, a jej Słowo szwargotało... głoskami żyda czy schizmatyka, same te ich alfabety wyglądają jak czarci cyrograf, zresztą łacina – też obca – była tylko *Pisma wulgatą*, wątpliwą podróbką? Warstwy w większości krajów etnicznie sobie obce, wręcz wrogie, pozostawały sakralnymi przeciwnościami, wzajemnymi aberracjami. Wysokie duchowieństwo, inkwizytorzy, możni, proste rycerstwo, ekskluzywne profesje jak kowale, budowniczowie, kaci, biedota zakonna tj. służba i niewolnicy klasztoru, nadto kmieć

czy przymusowy przechrzt karany stryczkiem za wspólny posiłek, choćby to było nakarmienie matki-wdowy – z opuszczaną grupą wyznaniową; nawet mieszkańcy gór lub nadmorskich krajów względnie stepu, względnie puszczy – mieli nie tylko zgoła odrębny ogłód, ale też dostęp do praktyk. Gdy Hildegarda kładła nacisk na orkiszowy chleb i wytrawne wino, miejscowy świetny riesling, dla harmonii duszy, bliska odkrycia, że *popędy biologiczne, stan ciała oraz emocje są niezbędnymi elementami w podejmowaniu decyzji i myśleniu*, także kreatywnym myśleniu, co czyni ją dziś w naszych oczach tak światłą, to chłopci, których, powie Leśmian, *dusza z niczego zrodzona nad jarem*, w jej dobrach żuli oczywiście czarny chleb z grubo mielonej grochowej mąki, a po robocie w jej winnicach pili kwaśne wytloczyny; za wyniesienie ukradkiem miarki tegoż orkiszu odrąbywano im ręce. Nawet dla teologa ich zależność od Boga była tajemnicza, przeto nieokreślona. Wtedy i dziś. Ten heraklitejsko płynny rodzaj wiary wegetował poza kłosem, jaki tworzą częsta spowiedź i duszopasienie w przykościelnych placówkach.

Zresztą, przywołam za prof. Dorotą Heck uwagę Michała Fostowicza, ważną w odniesieniu do Sonnenberg: *Wolność mędrca, wolność od czasu, (...) jest w istocie wolnością od własnego Ja, wolnością od ograniczonej tożsamości czyniącej człowieka rzeczą pośród rzeczy. Wolność oznacza po prostu nieograniczoność. Nie w sensie porzucenia warunków i zerwania więzów, tylko w sensie duchowej partycypacji w tym, co więzy i warunki przekracza, co jest z natury swej nieskończone*. Wolnością poza albo-albo, a tylko poprzez i-i, jak skropliła filozofię autora tych słów prof. Heck. Antynomia zbawienie-potępienie to właśnie przykład postawy odwołującej się do wolności, kiedy otwartą kwestią pozostanie już tylko, co uzna ktoś za „zbawienie” albo „piekło”, albo „zakatowanie”, jak też kpi w wywiadach z Sonnenberg. Powtórzę: coś Sonnenberg łączyłoby z Hildegardą, ale i metafizykami, z Lao Tse czy kimkolwiek, kogo na przestrzeni lat nazywa swoimi mistrzami, duchowymi braćmi, kochankami itp.? Płynna niejasność? Rekwizyty? Specjalistyczne słówka? Więź z Fostowiczem podsumowała sama z okazji sympozjum poświęconego jego pamięci: *kiedyś napisał do mnie: nie sprzedawaj mojego nazwiska w kramiku z poezją. Ja odpisałam mu: odkąd nie używam twojego nazwiska, wiersz dużo lepiej się sprzedaje*.

Sakralną sensualnością Średniowiecza rządziły przemożne, obalające z nóg kratofanie. Dlatego skądinąd traciła na znaczeniu rzetelność przekazu; treścią przekazów była Moc, a nie historia. Dominus (Hildegarda woli tę formę od Deus) przywódców to pan oraz wódz wieczystej wojny ze złem; Bóg plebsu przeistacza się w dobrego pasterza. Bóg kobiet to mama i orędowniczka. Reguła zakonna izolowała dopuszczanych do życia Bogiem, po ich ubezwłasnowolnieniu ślubami posłuchu, od zagospodarowywanej reszty ludności, której wolną wolę, sumienie, myślenie i prawo do Łaski traktowano ze zgorzleniem, wręcz odrazą. Sonnenberg wydaje się podzielać ten pogląd. Od pierwszych chwil – później już tylko kompletuje argumenty. Zgaduje „osamotnienie” zakonnic pośród siostrzycy zgrzeszenia, zarazem ból („żałobę”) po opuszczonym świeckim świecie.

Tam, gdzie o Bogu napomyka, kreuje grube, gnilne, konfliktogenne sytuacje męsko-damskie, ma opór przed uśmiechniętym życiem na sposób monastyczny, to jest pojedynczy albo pozakonsumpcyjny. O samej sobie z zapalem mówi jako o wygnańcu, wręcz jak owo średniowiecze, które od zarania opłakiwało raj komfortu utraconego wraz z cywilizacją, które galwanizowało antyk elektrodami racjonalizmu. Odrodziło więc boże Imperium jak w jajku brunatny ślad po kogucie, tym wszakże różniąc się od antyku, że łączyło barbarzyństwo już nie z bezprawiem, a ze słabością ofiar, ze zbędnością odmiennych myśli. Uklękło przed glorią majątku i prawem do bezprawia. Wyzuło miasta ze swobody teatru, kultów i debat na agorze, czyniąc je miejscem produkcji. Wignanka w boa z różowych sztucznych piór Sonnenberg galwanizuje utracony jakowyś raj konsumpcji *dziadków za wielkim stołem lasu i rodziców takich jacy byli zanim przemoc odebrała nam wszystko* elektrodami swoich wierszy o swoich wierszach.

Ludzie mi się kojarzą z gorszą odmianą sprzętu. Urzekła ją koncepcja sakralnego Zamku nad sakralnym podgrodzem – elitaryzmu, ekskluzywności z mandatem do bezprawia wobec zagospodarowywanych – *parszywej masy*, także o ileż subtelniejsza sztuka tworzenia dystansu za pośrednictwem muzyki, zmieniającej wszystkich poza kompozytorem, bo wykonawców równie jak słuchaczy, w instrumentarium: *...ja stonię od wszystkiego, co wiąże się z tłumem. Jestem indywidualistką i wierzę tylko w siebie i w swoją sztukę. Nie znoszę tłumy, motłochu, plebsu, od dziecka brzydziłam się czymś takim. Zawsze czułam się na Ziemi jak księżkę. Można nawet powiedzieć: 'jak księżkę ciemności', jeśli to komuś sprawi przyjemność, a mam nadzieję że są tacy*. Najwyraźniej nieświadoma tego, jakich pigmentów dosypuje sobie do palety, jak bardzo zero-jedynkowo, względnie ksenofobicznie, zamordystycznie widzi „brane za mordę” swoje i cudze życie. *Zawsze trzymałam się z boku, na dystans i nie lubiłam się spoufalać. Nie miałam przyjaciół czy znajomych, a jeśli – byli to ludzie zawsze dużo starsi ode mnie. Tylko tacy ludzie mi imponowali i potrafiłam w nich znaleźć odpowiednich partnerów do rozmów i przebywania. Facebook przez jakiś moment stał się ważny dla upowszechniania mojej poezji, ale niestety od jesieni tamtego roku mam zablokowany dostęp na mój profil. Tak że wynika z tego, że to nie ja lubię obserwować ludzi, a raczej ktoś lubi obserwować mnie i posty, jakie umieszczałam na Facebooku. Blokada trwa już jakiś czas, ale też jakoś już nie zależy mi na tych facebookowych prezentacjach artystycznych. Niekiedy kieruję się takim założeniem, że jeśli ktoś wykonuje jakiś gest w moją stronę, nawet negatywny, należy to pozostawić samemu sobie. Dlatego też jakoś nie histeryzuję, że nie mam już tego obszaru, jakim był Facebook, i że już niestety nie pozwala mi się umieszczać postów z moimi wierszami i zdjęciami dla moich czytelników. Dzięki temu zyskałam około 5 godzin więcej w ciągu dnia, bo tyle mniej więcej przebywałam codziennie na Facebooku. Facebook przez jakiś czas był wielką przygodą, pamiętam jeszcze w sobie te emocje dzielenia się z czytelnikami tym, co aktualnie przeżywałam, tym, co stanowiło dla mnie*

największą wartość, tym, co miało moich czytelników naprowadzić na wolne i prawdziwe myślenie. Internet. Cóż, to forma zbiegowiska, gdzie gawiedź podniecana rasizmem ducha depcze się w imię robociarskiego *kto kogo*.

A muzyka – czy też raczej jej brak w życiu osobistym? Pianino zawalone sukienkami, butami, niedopałkami, kartonami z zupą. Sonnenberg, tuż po dyplomie fortepianu znie-nacka pozbawiona szans na sukces pianistyczny, zdawała sobie sprawę, że niedosiężna egzorcystka Hildegarda, ta *nowa Lorelei*, namiętymi kazaniami gromadziła tłumy na miejskich placach, rugała biskupów, strofowała skłóconych antypapieży; starzejącego się Anastazjusza IV napominała: *Człowieku, który siedzisz na papieskim tronie, gdy nie odrzucasz zła, znosząc je milcząco w złych ludziach, gardzisz Bogiem samym* – nie mniej stanowczo cesarza Barbarossę. Wpływała zatem na „wszystkich”, co obecnie odruchowo mieni się „charyzmatycznością”. Owszem, poeci jej pożądają, Sonnenberg nie jest wyjątkiem – jej ikona Poety idzie w parze obok poety-Ofiary jak Orfeusz. A jednym z charyzmatów władzy jest seks, dostęp mianowicie do „każdego” i „przekraczanie granicy”. U Hildegardy da się wypatrzyć potencjalną saficzność: oto bowiem, gdy jej nieodłącznej sekretarce, margrabiance Rychardis von Stade „arcybiskup Hartwig [brat Richardis – UMB] zaproponował funkcję przeoryszy w innym klasztorze, Hildegarda pisała doń listy nie szczędząc słów ostrych i nawet obraźliwych porównań, skierowała stosowną prośbę do papieża Eugeniusza, niestety bez skutku. Ryszarda, idąc za głosem ambicji przyjęła awans i odeszła. Wkrótce pożałowała. Jej śmierć była nagła. Przetrwał znamieny okrzyk Hildegardy: *Bóg 'Nie chciał więc oddać swej ukochanej rywalizującemu oblubieńcowi'*. Jej własnej śmierci towarzyszył znak na niebie: zawisłe nad klasztorem ułożone w krzyż dwie tęczę. New Age po prostu, w pigułce. Płyty kompaktowe z muzyką Hildegardy można nabyć w księgarniach LGBT, w sklepikach ze zdrową żywnością i magią ziół, a nie tylko tam, gdzie sprzedaje się książki religijne. I w rzeczy samej, Sonnenberg na łamach „Studium” i „Zadry” zamanifestowała się pod sztandarem wyzwolenia... miłości – *mój gniew jest nadludzki tak jak moja miłość*. Tu sięgnę po inne nieco ujęcie, skoro bycie kreskówką, wampirem, królową, hologramem, itd., daje ho ho prerogatywy nadwrażliwym, a wszak myślącym transakcyjnie; dla jasności: młodziutkie osoby mają powab i dowolnej zgoła płci, i autoerotyki:

(...) *Nie mogła oderwać wzroku od stóp jasnowłosego chłopca
W Paryżu
Ci wszyscy mali chłopcy z których chciałaś spić blask wolności
Ten jeden mały chłopiec za dwa książeczkowe kamyki podarował ci
siebie na jedną noc
Potem odchodził długo z wyczuciem każdego niuansu tęsknoty
Ta naiwna wiara w zwycięstwa wojny podboje*

Marzyciele

Rysują kwiaty na ścianie domu dla ukochanej dziewczyny

Te na serio ustawiane barykady potyczki z bezlitosnym ciosem

Codzienności

To szukanie bratniej duszy upijanie się z każdym

Bezsenne noce małych chłopców gdy wychodzą na balkon

By patrzeć na księżyc

Sentymentalne Julie szukające w sobie prawdziwego kochanka (...)

Przy takich piruetach serca lodowa tafla sztuki-lustra pod ciężarem baletnicy Sonnenberg zapada się w przeręble. Bo kiedy faktycznie mrą całe rzesze, to najbardziej pospolitym uczuciem jest właśnie obrzydzenie do „reszty” w *tym więziennym chlewie (Droga)* – chlew skądinąd bywał miejscem, gdzie śnili, choćby w takiej Archangielskiej obłasti, śmierdzący jacyś, skazani na ciężkie roboty Brodscy, albo padali ze zmęczenia na chłopskiej słomie Miłosze na drodze z Wilna zajętego przez Armię Czerwoną do Warszawy. Więzienny chlew tak, to brutalne wyrażenie. W każdym społeczeństwie jest jakaś część ludzi, którzy lubią przemocowość słowną i coraz śміiej to pokazują. W kawiarni Empik w 1992 roku, Sonnenberg pytała jeszcze: czemu właściwie ci pisarze tracą czas na jakąś politykę – w podtekście: co z tego, że ktoś na nich donosił, że siedzieli za kratkami albo na emigracji? Mówię o stadium, jakie prof. Radosław Markowski zwie patologiczną normalnością – normalne patologie pozostają marginesem; w patologicznej normalności przyzwyczajone postawy są wyjątkiem, piętnowanym, a w najlepszym wypadku mijanym jak napuszona ekstrawagancja, jak heroizm dla rozrywki produkowany w Hollywood. I nudne są, o ile chcą pobudzać samorefleksję. Innymi słowy, normalność patologiczna bezwiednie kopniaki samolubstwa nazwie subtelnością, ba, przywoła filmy Quentina Tarantino: choreografia tanecznych ciosów. Ciosów w świat. Wersety jak pociski wystrzeliwane z klawiatury. Synonim piękna, kiedy przeświadczeni o własnym czystym pięknie biorą się wzajem na celownik.

Klosz mentalny, o jakim mówię, izolował od sakralnego fermentu w XII w., choćby powodowanego przez katarów: oglądani przez klosz stają się *teoretyczni*. Podobnie mętnią idee określane w uproszczeniu „ponowoczesnością”. Są dlatego po-nowoczesne, gdyż odkryły toksyczne złoży u samych fundamentów kultury: ześrodkowanie uwagi na człowieku i na „ja”, na konflikcie, na wydajności. Pozornie uświęcona jednostka – teoretyczna dla patrzących spod klosza teorii, czy też w kloszu „doskonała” *pia discipula* – nie może, nie wolno jej i nie jest w stanie sięgnąć po owo „non possumus”, jakie katarzy wypowiedzieli ekonomii politycznej sacrum, łączeniu sacrum z triumfem cywilizacyjnym, czyli wszechobecnością medialną w czasie i przestrzeni i bycie daniem pierwszej konsumpcyjnej potrzeby, jak wiersz Sonnenberg w pojęciu jej dziadka w niebie (*Pole*

pszenicy). Dlaczego właściwie Hildegarda nienawidziła katarów, przeciwników wzrostu konsumpcji? Dlaczego ten rodzaj nienawiści nie wykluczał się z upoezjowaniem cnoty miłości, a został dopuszczony do oficjalnego kultu? Osobno – dlaczego w Hildegardę narcyzm miękko się wtopił, jak dowiodła ta dająca poetce stopień naukowy rozprawa u, powtórzę, jednego z najbardziej szanowanych w kraju metafizyków?

Narcyzm to strach. To zespół cech osobowości, jaki opiera się na systemie dobry-zły, czarny-biały, przy jednoczesnym innych ludzi uteoretycznianiu bądź adorowaniu. Uwodzi proklamacjami absolutu. Kościół długo nie chciał jej kanonizacji, ale bynajmniej nie dlatego, że zgromadziła Hildegarda w klasztorze Eibingen kolekcję relikwii, w tym głowy św. Guduli, św. Berty z Bingen, św. Waleriana i św. Wiperta, ani że poparła rzeź katarskich miast i wsi, że powołując się na wizję, nazywała katarów zwiedzionymi przez Diabła, tudzież legionem Diabła, które to połączenie sublimacji z bezdusnością cechuje często ludzi z nerwem artystycznym. Co oczywiście nie umniejsza wspaniałych kompozycji ani wersetów, w jakich Duch okazuje się Pasem cnoty honoru i Droga, która wszystko przenika, muzyka Żywą Światłością, a Piekło światem „bez muzyki”; Volnar pisał: *Któż by się nie dziwił, że ułożyła ona pieśni o słodkiej melodii i cudownej harmonii?* Ano, klosz czasem daje świetną akustykę, ogłuszając zarazem na sygnały spoza. W wypadku Sonnenberg czysta nuta tylko wyjątkowo przekracza granicę wersu – już w następnej linijce załamuje się, piszczy, gubi wątki. Po prostu owa Droga jest w bezpośrednim doświadczeniu czymś, co osobliwie spłaszcza się w imitacjach. Zionie strachem. Grubiej do obłądnych skrzeków i operetkowych arii: któż tak pięknie składałby długopalce upierścienione dłonie do modlitwy? Czyż Duch nie odczuwa oniesmielenia na widok wysmukłej wymagającej kobiety o tajemniczej psychice, która potrafi prychnąć „Ty mnie w ogóle nie rozumiesz!”? A wtedy *Bóg daje do ręki cyrkiel i mówi: Teraz ty. Spróbuj jeszcze raz*; nie wiadomo aczkolwiek, czy każąc wykreślić ezoteryczne kręgi, czy – wbić, niczym prosto w serce ostry francuski obcas. Na pytanie E-PRAWDY *Jesteś religijna? Chodzisz do kościoła? Co sądzisz o Papieżu Polaku — w świetle nowych faktów, podnoszą się krytyczne głosy, że Jan Paweł II nie zasługuje na status świętego, ponieważ kazał kryć afery pedofilskie wśród księży?* – Sonnenberg odpowiadała: *Właściwie to bliżej mi do tych pedofilii kościelnych niż do kościołów. Właściwie to bardziej rozumiem pedalstwo kleru niż te ich mury kościelne. Bo w sumie nie wiadomo, kto bardziej zasługuje na czułość mury kościoła czy pedały kościelne, instytucja kościoła czy pedofile z trzęsącymi się rękami na widok ślicznych małych dziewczynek w kątach krucht. Ale nie mi do tego — na pewnym etapie mojego życia odrzuciłam religię katolicką i kościoły. Nic mnie już nie łączy z katolicyzmem i z kościołami, z ich problemami i grzechami. Ja nie jestem spowiednikiem kościoła katolickiego. Zresztą z tą pedofilią to chyba jest różnie. Ba, rozmówca nie pytał, czy aby każdy jeden katolik, względnie kapłan, dopuszcza się tej podłości. Otrzymał mętny frazes. I, przy okazji, osłupiające oświadczenie, że istnieją*

jakieś grzechy „katolickie”, że wystarczy nie być (nie czuć się) katolikiem, aby dostać moralną *carte blanche*. Sonnenberg tedy identyfikowała się z wybitną katoliczką, wybitną umysłowością. Promotor, co sama podkreśla na swojej stronie Google’a, och, pocziwy serdeczny znajomy, rocznik skądinąd 1933, doktor honoris causa Akademii im. Karola Szymanowskiego w Katowicach (2019), meloman pielęgnujący związki z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, kawaler jednego z najwyższych odznaczeń przyznawanych osobom świeckim za aktywność w dziele apostolskim, skwitował jej dezyderat w czasach mody wszak na wzniosłe religijne nuty: *to jest nowoczesna poezja*.

A teraz sama w sobie poety, orfika, filozofa, piesków przydrożnych na każdej via Domini, mijanych przez karawany bywałe w świecie – wolność myślenia... Już jako kobieta dobiegająca pięćdziesiątki, w 2015, po nominacji do Nagrody Orfeusza, zapytana o bliskie jej zjawiska estetyczne, Sonnenberg powie: *No, Ingarden, oczywiście, a to dlatego, że byłam uczennicą prof. Władysława Stróżewskiego, ucznia Ingardena. On był promotorem mojej pracy magisterskiej. I trudno, żebym odstąpiła od tego kierunku* [podkreśl. UMB] (...) *Z racji studiów filozoficznych orientuję się w tych koncepcjach, natomiast nigdy nie zakładałam, że jakaś mi się podoba na tyle, że będę pod nią pisała*. Mówi poetka o użytych (z „obowiązku”?) teoretykach piękna – lecz o żadnym z dzieł albo zjawisk pięknych. W rozmowie z E-PRAWDĄ: *Ja w ogóle nie lubię sztuki wytwarzanej przez ludzi. Uważam, że to zbyteczny produkt pseudo uczuć, udawanego przeżywania świata i ludzi oraz ubogiego obcowania z wewnętrznym ja. To mnie nie obchodzi, te wszystkie ludzkie próby i usiłowania dotarcia do miejsc dla ludzi zakazanych i przesłoniętych. Do obszarów, gdzie mieści się to prawdziwe piękno. To, co robią ludzie to dla mnie nie jest sztuka tylko jakieś mierne próby robienia sztuki. Zresztą o tym też pisze Platon w którymś ze swoich dialogów. Tyle, że w Planeta. Historia wierszy 2 zaklinała się: Brodski stał się moim nauczycielem. Uczyłam się poezji na jego wierszach. Godzinami czytałam go i marzyłam, by kiedyś być taka jak on. To znaczy tak doskonale operować językiem. Tak jak on umieć posługiwać się emocjami*.

Ale dlaczego posługiwać emocjami zamiast czuć?

Miłosz pytał, czy umiemy, tak jak Brodski, czcić naszych poprzedników – bez fideizmu, bez wasalności? *Mieliśmy kilka cech podobnych do siebie. Kochałam śnieg tak jak on. Czułam się wygnańcem tak jak on. I tak jak on umiałam widzieć rzeczy niedostrzegalne. Jego śmierć w dniu gdy odbierałam nagrodę, w tym przypadku była to publikacja kolejnego tomiku, była zdumiewająca. To jakby utwierdziło mnie w przekonaniu, że droga, jaką wybrałam jest słuszna. Określenie nauczyciel to za mało. Był wszędzie, gdzie ja. Myśl o jego poezji nie opuszczała mnie, stając się moją obsesją. Wiersze, eseje, wszystko czytałam wielokrotnie. To on nauczył mnie, że wiersz trzeba zaczynać z jakiegoś pułapu. To znaczy mierzyć wysoko, jakby zaczynało się od wysokiego C. To on nauczył mnie, by wytyczać sobie w poezji cele i stawiać wymagania. Uświadomił mi, że wiersz też jest rodzajem*

fasady, za którą należy ukrywać to, co biograficzne. Inspirował mnie i pokazywał, do czego zdolne jest słowo. Utwierdzał w przekonaniu, że myśl bywa konstrukcją, którą można przekładać na słowa. Był poetą duszy i to mi się w nim podobało. Był poetą wygnańcem, co pasowało do mojego trybu życia. (...) moja poezja wynika z poezji Brodskiego. Nie ukrywam tego, że był moim mistrzem. Że był kimś, kto wyznaczył mi ścieżki poetyckie. Że na zawsze pozostanie dla mnie kimś ważnym. Cóż więc Brodski na to wygnaństwo i oddaństwo? – ano, może Melodię Muru Berlińskiego?

*Przyjdź pod ten mur, jeśli źle ci tam, gdzie jesteś –
to próbka tego, jak wygląda kosmiczna przestrzeń
w której życia brak – na pewno,
a jeśli co ginie – to przedmiot.
Przyjdź na tę obojętną na pokój czy wojnę
zakrzepłą wersję „albo-albo”, tak spokojnie*

Pupilka Mistrza jednak zaczyna postrzegać się w roli larwy mającej stać się królową, opiekun zaś swoistym paziem królowej. Takie skojarzenia przemykają, gdy patrzę na jej bajkę „dla zakochanych” (2006), gdy otwieram *Hazard*, a w nim wiersz *Wstęp: Jestem małą dziewczynką w białej komunijnej // sukience Biała // komunijna uniosła się Moje uda // Czy to są moje uda? W kościele dzwonili // na Anioł Pański Pisałam pamiętnik czarnymi kulfonami na różowych kartkach Kocha lubi // szanuje nie chce nie dba żartuje Kocha*. W roku 2015 Sonnenberg powie w rozmowie z Pawłem Kaczorowskim: *To bardzo dobry wiersz... Później, po przyjeździe z Paryża, zrobiłam parafrazę i napisałam wiersz: 'Jestem przeklętą dziewczynką w czarnej sukience'...* Na pytanie wprost, czy – jako „ikona lesbijskości” czuje się lesbijką, Sonnenberg odpowiada: *Bardzo często piszę teksty liryczne do kobiet, ale też nie lubię zamykać się w swojej płciowości; uważam że pisanie jest przekraczaniem pewnych granic. Pisząc, trzeba przekraczać granice emocjonalne, duchowe, fizyczne, a nawet granice samego siebie. I tutaj przekraczam granice swojej płciowości. Poza tym tomik Planeta był bodajże pierwszym tomikiem lesbijskim w Polsce! A na uwagę: „Stałaś się figurą, którą środowiska związane właśnie z gender, z emancypacją, z różnymi innymi prądami – zaczęły się legitymizować, podpinać pod twoją twórczość, używać ciebie jako ikony”, odpowiedź poetki: *To prawda. Do tej pory w kanonie lektur lesbijskich są moje książki: Kraina tysiąca notesów i Planeta. Płonący tramwaj też mógłby się tam znaleźć... Moje wiersze mają się też ukazać w Europejskiej Antologii Poezji Lesbijskiej w tłumaczeniu Tatiany Jamnik*. Z całą pewnością nie ma w tej wypowiedzi śladu uczuć. Szukam punktu oparcia. Nie przecząc samym w sobie pragnieniom ani możliwościom transgresywnym, dobrze jest brać pod uwagę, że, wedle twórcy teorii transgresji, Jana Kozińskiego: *człowiek wykraczając poza typowe granice działania, kształtuje nowe**

*struktury lub niszczy to, co było już ustabilizowane. Może też tworzyć wartości pozytywne i wartości negatywne. Czynności te mogą być zarówno źródłem rozwoju jak i regresu. Co zresztą dotyczy także kultur: każda z nich okazuje się swoistą transgresją: przedstawia jakieś ograniczenia, wypiętrzenia, tępnięcia – ale i wynika z nich perspektywy lub sprawności. Historia nie tyle ostrzega i podsuwa rozwiązania, co najzwyczajniej oswaja, iż błędzić można na *n* sposobów. Obaliwszy zmurszałe systemy, rozwiązuje się problemy dotychczas nieuleczalne, płacąc za to utratą zdolności wcześniej posiadanych. A zatem istnieje cała gama artystycznych rezultatów, zresztą i cała gama domniemywań na ich temat. Postmodernizm to tylko kolejny w dziejach renesans, pakiet umownych póż, jakimi zastąpiliśmy idee, i nie ułatwia odróżnienia „dysfunkcji” mistycznych od dysfunkcji narcyzmu, przynajmniej w sztuce. To też łączy patologiczną normalność z Hildegardą-uzdrowicielką, egzorzystką, a wykwitło w zbiorze esejów *Moi papierowi kochankowie* z 2016, pełnym wytartych frazesów w rodzaju *Dlaczego? Dlaczego? Ale sztuka niekiedy nie ma odpowiedzi!*, gdzie Sonnenberg na załączonym zdjęciu wystąpiła w męskim garniturze, pod krawatem, jako Androgyn, co pozwala traktować kobiecość... po męsku. Nazywać dziełka swoich fanek „bękartami”.*

Skoro szukam ciągłości lirycznego ja, włączę oczywiście i Hildegardę do grona papierowych kochanków: Stróżewskiego, Fostowicza, Brodskiego, Kaliguli, Leonarda, Michała Anioła, Rimbauda, Warhola, Cocteau; tę męską menażerię na pokaz i tak już Sonnenberg uatrakcyjniała oszalała w puszcze jaszczurką z przyprawioną sztuczną brodą oraz snem w ramionach szkieletu. Rozpoczęła eseje zdaniem, iż *sztuka pożąda i odrzuca*. Otrzępana ze złota Renu, z kościelnych i akademickich, tak jak zresztą pianistycznych zbędności, chce być teraz z kolei do łez pożądaną wybranką... miernoty chciejstwa, Sztuki mianowicie, wedle jej własnych słów.

U zaprzątniętej habitami-sukienkami-wachlarzami Sonnenberg Bóg czy artyzm ma w sobie coś posępnego: jest odmianą spoliczkowania męskości. Nie wolno mężczyźnie pominąć, zbagatelizować żadnego z wdzięków duszy kobiecej, nikomu niczego w jej wierszach, a wszelkie wątpliwości mają przemawiać na jej korzyść. Przypomnę Camille Paglia, nadto Barbarę Sukovą, grającą Hildegardę, ale też i Hannę Arendt oraz Różę Luxemburg, ponieważ feminizm ma, najogólniej mówiąc, dwa odcienie: lesbijski i polityczno-filozoficzny. Ewy Sonnenberg erotyki? *Każdy poeta powinien mieć swoją księżniczkę. Ja swoją poznałam w Paryżu. Muzy muzami, ale księżniczka to rzecz konieczna. Bez miłości jest zimno. Po prostu zimno. Świat rozbiera się przed nami do szkieletu. Jego biel jest oślepiająca. Budzi niepokój i lęk. Wszystko takie nieporuszone w swoim chaosie. Miłość porządkuje świat. Nadaje kolejność każdemu gestowi. Zupełnie jak w japońskiej Ceremonii Parzenia Herbaty. Zdecydowanie jestem za miłością. Jakby delikatny śnieg otulał wszystko co wokół nas. Zmienia się perspektywa miasta. Daleko, blisko jest jakby jednym. Bez miłości wszystko jest takie oczywiste. Bez cienia wątpliwości, że może*

zaistnieć coś więcej, bardziej, mocniej. Świat bez miłości jest płaski, nie ma w nim głębi. Nadaremnie próbujemy tworzyć historię swojego życia. Tak, to właśnie z nią tworzyłam historię swojego życia. Może właśnie wtedy, gdy czekała na mnie w bramie przemoknięta na deszczu. Stała i czekała, a deszcz padał i padał. Czekala. Patrzyła nieruchomo przed siebie. (...) Paryż dodawał pikanterii do całej sytuacji. To na moście Pont Royal przyszły mi do głowy pierwsze frazy wiersza „Współczesna wersja kuszenia z tomiku „Płonący tramwaj” (2001). Przywołam fragment:

Zgrzesz przekręć klucz w zamku
Zgrzesz a potem znów bądź świętą
Zgrzesz od czego jest ciało
Zgrzesz szkoda marnować talent
Zgrzesz to nic szczególnego
Zgrzesz ot tak od niechcenia lekkomyślnie no
Zgrzesz przestań być damą grzeszyć można też elegancko (...)
Zgrzesz zakpij z czasu granie na jego nosie to wielka frajda (...)
Zgrzesz włosem paznokciem byle czym byle szybko
Zgrzesz zdradź siebie nie tylko ty masz prawo

Tak więc, że w Paryżu – trzeba przypominać, ponieważ żadne z wezwań nie nawiązuje do erotyki, brzmi wyłącznie na płaszczyźnie moralnej, obyczajowej, publicznej, teoretycznej i... mechanicznej. Wszakże i tu nawet atlas miłosnej anatomii Sonnenberg, bez bioder, brzucha, piersi, płatków uszu, bez narastającego zapachu, składa się z białych plam, twarzy pozbawionej spojrzenia oczu oraz z myśli o swoich wierszach. Pocałunek zamieni się w buziaka. Na tym samym moście odczułam czym jest pocałunek księżniczki. Delikatny i zaczepny w sam środek policzka. Może stąd wiersz składa się z kilkudziesięciu anafor zaczynających się od słów zgrzesz... Ale my grzeszyliśmy tym, że zbuntowałyśmy się wobec czasu. Że naszą przyjaźń nazywałyśmy „słodką obietnicą”. Że pomimo różnicy wieku tak samo odczuwałyśmy świat i byłyśmy tak samo szalone. Że wszystko mija, a my wbrew temu we dwoje byłyśmy jak wieczność. Czułam się, jakby ulice Paryża były budowane z myślą o nas. Jakby niebo runęło na ziemię i porwało nas do siebie. Wszędzie błękit, błękit oczu, błękit słów, błękit dotyku. Dobrze mi było z tym błękitem. Czułam się jak u siebie. Jakbym wreszcie dotarła do swojego lądu, który nazwałam Nowym Lądem Mentalnym.

Brr.

Erotycznie tkliwe zawołania to świadome lub bezwiedne cytaty z osób cokolwiek od Sonnenberg wrażliwszych. Dziewczyna na wariacko wysokich obcasach, która czyni z wierszy, użyję jednej z jej najlepszych metafor, rozchylaną przez zafascynowanego

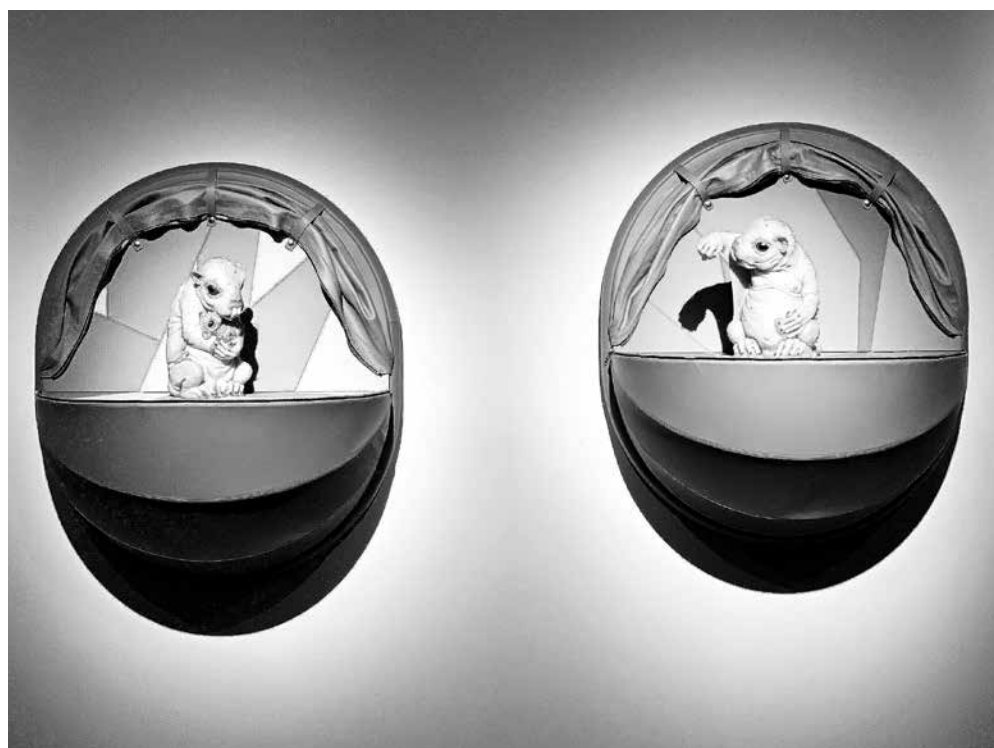
czytelnika waginę, trwa, tu nie ma wątpliwości, w miłości do siebie wyłącznej, zazdro-snej, zaborczej (*Chcę być jedyną dobrą osobą na świecie* – rzuciła do E-PRAWDY), w za-wziętej walce bez przeciwnika. Namiętne przekonania rzadko, bo rzadko, ale ułożą się w mocne hasła, w rodzaju „Polacy, wstydźcie się za to, co uczyniliście Żydom!” Son-nenberg utrzymuje, że zamknięto jej blog za te poetyckie słowa. Ba, poprzestała na pustym wykrzykniku, przemilczając, że sama Polką jest; nigdy nie wystąpiła w obro-nie hejtowanych żydowskich lub tęczowych kolegów po piórze. Mistyfikacja polega na rzuceniu na czytelnika wpisania treści w puste klatki, na „a zgadnij, co ja chciałam powiedzieć?”. Lapidarnie, choć w innych pojęciach, wyraził to Zbigniew Mikołajko: ...ci, którzy mówią „moja chata z kraja” i którzy stanowią ogromny „zasobnik” ludzi o złych odruchach kulturowych, politycznych i moralnych (...) są radykalnie partykularni, rady-kalnie egocentryczni, niczym ławica drobnych, drapieżnych ryb.

Konsumpcja to metabolizm, przekształcanie w odchody – *moje wiersze są jak od-chody Buddy*. Tworzy wciąż jeden wiersz-rzekę, strumykami różnych napięć, nadziei, newsów, hitów, konfliktów, scysji, wciąż z wycofanym doświadczeniem – notuje hur-tem. Taka sztuka, taka literatura, jest tworzeniem świata wspak i precyzyjnym selfie. A w okresach upadku kultur, zauważał Piotr Kuncewicz, lawinowo przybywa dzieł, zresztą nikt, włącznie z redaktorami, wydawcami, autorami – nie odróżnia ekstremów od marazmu. Wydawanie tomików poetyckich staje się oczywiście aktem rozpaczy lub zidiocenia. Proszę tego nie odbierać jako ponurej prognozy. Poezja triumfuje – lecz śpiewana, steatralizowana, poeta wskakuje na estradę, która elektryzuje silniej niż oł-tarz w kościele. Celebrans i bóstwo jednocześnie, otwarcie zwane właśnie idolem, po-drasowane przez aranżerów, przy sztucznych wzmacniaczach ekspresji, *Tak, jakbyś wal-czyła ze sobą* – otóż na Facebooku Sonnenberg faktycznie tańczy, przegina się, szepce o możliwości własnej śmierci, zaprasza do reality show. Do filozofii *niepojętej – dla was*; uwodzi chwilami świetnym bez wątpienia, wyblyskiem fake-bystrości: one błyszczą jak psychodeliczne barwy plastikowych towarów. Mają wszelkie dane, aby „zaistnieć” – pod warunkiem wyprowadzenia w unerwioną przestrzeń estradowego wykonania. Środków niewerbalnych. Są w pewnych swoich frazach zbyt onirycznie czyste, ponadto zbyt lekkie, sądząc z ilości powtórzeń zaimków *ja* i *moje* w każdej już wypowiedzi, aby oczekiwać, że autorka wyrazi jakieś myśli, a nie wyłącznie jęk, iż jej unikalne, bezcen-ne ego „wszyscy depczą”. Weszła w nurt bezpowrotny, ku własnemu nieodpłakanemu dzieciństwu w kloszu, w jakim trwa nie krzyk dziecka, ale matki, jak wymknęło jej się w jednym z wierszy. Oddaje więc nie tyle z Muzami – inspiracją, co z Pięknem – produktem. Udaną. Oto, co pisała Ewa Witke: *Ewa Sonnenberg jest mistrzynią wyklucza-nia wszelkich przypadkowości, zbędnej paplaniny w wierszu. W jej twórczości nie ma nitek prowadzących do tematów „trudnych”, są natomiast całe autostrady z rozbudowanym początkiem i wypracowaną puentą. Poetycko wyrazista i przekonująca, często wraca*

do własnych wyobrażeń, chociaż trudno dopatrzeć się mitomanii bólu. A jednak.

Jednak imitacja skowytu na milionach winyloych płyt sztuki rozpaczy, których wielkie fotografie zdobią Times Square. Uśmiechnę się do poetki wierszem Bursy:

(...) Gdy będziesz siedział na Broadwayu
w barze piękniejszym niż oczy szatana
spytają cię niezawodnie
czy twój ojciec pali fajkę
wtedy odpowiedz z uśmiechem
Yes, my father smokes the pipe
Widzisz
jak to będzie cudowne ■



Patricia Piccinini, widok wystawy, Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu,
fot. Andrzej Jerzy Lech, czyt. s. 206

KRZYSZTOF RUDOWSKI

O starzeniu się starzenia

Głośny swego czasu esej Jeana Améry'ego *O starzeniu się* poszedł w zapomnienie. Szczególnie w kontekście wstrząsającego wyboru autora, ilustrującego jego kolejny ważny tekst, *Podnieść na siebie rękę*. Niemniej Améry pamiętany jest z wielu względów (głównie poprzez swoją dramatyczną biografię), pamiętany do tego stopnia, że ustanowiona została niemiecka nagroda Jean-Améry-Preis za europejską eseistykę. Mamy tu nawet naszego laureata, Adama Zagajewskiego, który wyróżniony został tym prestiżowym zaszczytem w roku 2016.

Co prawda Zagajewski jest na zamkniętej liście pięciu polskich literatów godnych wyróżnień w międzynarodowych zestawieniach, którą to listę – jak przypominał ostatnio profesor Okoń – na prośbę któregoś z wielkich domów wydawniczych wynotował na karteczce (już jako noblista) Czesław Miłosz. Z tego też powodu polska literatura kojarzy się czytelnikom z wielkiego świata wyłącznie z tymi pięcioma nazwiskami. Szczęśliwie mamy dwóch kolejnych noblistów, a dokładniej dwie noblistki, ale módlmy się, by ostatniej z nich nie poproszono o nazwiska do nowej krótkiej listy polskich znakomitości.

Co ciekawe, podobnie absurdalny klucz (jak owa karteczka) funkcjonuje i w naszym rodzimym grajdółku, gdzie wszelkie poważniejsze nagrody literackie przyznawane są w ściśle zamkniętym kręgu wydawców i pisarzy (raz występuje się tu w roli laureatów, a innym razem w roli tych, którzy ich opiniują). Zawsze zdumiewa również przedmiot wyróżnianych książek, który – podobnie jak to, co dzieje się na scenie politycznej – niezmiennie obraca się w kręgu zaprogramowanych motywów. Nie należy do nich, ze zrozumiałych względów, zagadnienie wyboru samobójstwa, a już kwestia starzenia się jest wręcz tematem tabu. Dlatego warto sięgnąć do twórczości wspomnianego na początku Améry'ego. Mnie zainteresował szczególnie jego rozległy esej *O starzeniu się. Bunt i rezygnacja*.

Książka ta ukazała się w roku 1968. W pamiętnym roku 1968. Nie mam jednak wątpliwości, że tekst narodził się przed rewolucją obyczajową. Nie wyobrażam sobie bowiem, by w przeciwnym razie tak przenikliwy eseista nie wplótł tego wątku do wspomnianej publikacji, jak ułał pasującego przecież do tematu wywodu.

Największą frajdą przy czytaniu był literacki obszar odniesień: *Czarodziejska góra* Tomasz Manna i dzieło życia Marcel Prousta jako dwie wyraźne boje na oceanie

problemów. Jasne i logiczne nawiązanie do sytuacji, postaci, a przede wszystkim czasu, który sący się niebywale wolno w dwóch niezaprzeczalnie wielkich powieściach początku XX wieku.

Z kolei pod ostrzałem Améry'ego znajdujemy Jeana-Paula Sartra. Nie chodzi jednak o twórczość egzystencjalisty, ale jego postać. Na jej przykładzie autor pokazuje, jak kształtuje się u intelektualisty proces starzenia się. Młody, dynamiczny pisarz przed dojrzałym audytorium krytyków i... postarzały mentor wobec młodzieńczego audytorium. Kontrast.

Améry powoli snuje historię o starzeniu się, osadzoną (mamy przełom lat 50. i 60. dwudziestego wieku) w nieco skostniałym mieszczańskim środowisku. Autor waży się przedstawiać problem z pozycji jednostki, która wraz z wiekiem traci swoją pozycję i wyraźnie odczuwa zawężanie obszarów egzystencji. Rzecz jasna, nie tylko dlatego, że inni mają chrapkę, by przejąć po nim pałeczkę w wyścigu szczurów, ale przede wszystkim dlatego, że ludzkie siły słabną; siły intelektualne i fizyczne. Krach – jak przedstawia to Améry – pojawia się już po czterdziestce; pięćdziesiątka jest tragiczną cezurą, a dalej – istna równia pochyła.

Ze zdumieniem i niedowierzaniem czyta się to dzisiaj, gdy mamy do czynienia z niezwykłym przesunięciem wieku aktywności, przynajmniej w krajach rozwiniętych. Już dawno wiek sześćdziesięciu pięciu lat uznany został za początek starości, a w praktyce jest to lat siedemdziesiąt i więcej, co tym bardziej znaczące, że te liczby to przeciętne średnia. Z tej tendencji można wnioskować, iż śmiało należy spodziewać się przekraczania kolejnych granic.

Nie miejsce tu mówić o przyczynach takiego stanu rzeczy, tym bardziej, że w większości są one oczywiste. To przede wszystkim jakość życia we wszystkich aspektach. Korzystanie z odpoczynku i dobrowolnej aktywności – fizycznej i umysłowej, dostęp do czynników mających wpływ na rozwój intelektualny. Zdobyte medycyny, antybiotyki, szczepionki, medykamenty wpływające na zwolnienie procesów starzenia się, hormony i leki przywracające vitalność.

O wielkiej zmianie niech zaświadczy dzisiaj Jacek Podsiadło (rocznik 1964) tak piszący o swojej kochance:

*Piękna, jak można być piękną
Tylko mając trzydzieści siedem lat
I jakąś zimę przed sobą.*

Te trzydzieści siedem lat to przecież górna granica wieku balzakowskiego, a wziętego pisarza, jakim jest Jacek Podsiadło podejrzelibyśmy raczej o romans z młodą studentką czy światłą maturzystką.

Dobre pół wieku temu Leopold Tyrmand (rocznik 1920), który w latach pięćdziesiątych wyglądał na nobliwego pana, opisuje w *Dzienniku 1954* swoją kochankę, Bognę, która (ta na kartach książki, i ta prawdziwa, czyli Krystyna Okólska [rocznik – jeśli się nie myli – 1939]) miała lat kilkanaście. Cóż za zmiana!

Najciekawszy, według mnie, jest ostatni rozdział dzieła Améry'ego, zatytułowany *Życie z umieraniem*. Nie dość, że ku mojej uciechu najczęściej przywoływany jest tam bohater Manna, naczelnny lekarz sanatorium Berghof, radca dworu Behrens, zwany urzędnikiem śmierci, to autor odnosi się w tej swoistej poincie do własnej biografii, przedstawiając dwie perspektywy strachu przed śmiercią. Pierwszy – strach młodego człowieka, którym był on sam w czasach Holokaustu, strach przed „zatłuczeniem drągami lub zagazowaniem” czy strach przed dyzenterią i ropowicą, co odbierał wtedy jako atak wrogiego świata na jego osobę. Drugi rodzaj – to strach nie do wytłumaczenia, strach przed śmiercią nieuchronną, która zbliża się wraz ze starzeniem się, śmiercią, w rzeczy samej, zapisaną w nas samych. Postawiona w ostatnim akapicie konkluzja „Kto nie chce umrzeć młodo, musi się zestarzeć” zdaje się banalna, ale – jak przekonuje Améry – jest również do bólu prawdziwa.

Od początku całego tekstu pojawia się bohater, któremu przypisano literkę „A”. W ostatniej części nie mamy już najmniejszych wątpliwości, że chodzi o autora. Esej, wywód socjologiczny czy filozoficzny, a najmniej utwór literacki... z pierwszoplanowym bohaterem. Zdumiewające, prawda?

Przytoczone w przedostatnim akapicie stwierdzenie, postawione zostało po przejmującej tyradzie, w której narrator zastanawiał się, czy dobrze uczynił, unikając śmierci w czasie, gdy był młody i gdy na niego w sensie dosłownym polowano. Powtórzę więc je po raz drugi: *Kto nie chce umrzeć młodo, musi się zestarzeć*.

Ale to nie koniec. Koniec pisany jest przez to, co dzieje się od dwóch lat. Gnębiąca nas zaraza, będąca być może powtórzeniem przetaczających się przez świat co jakiś czas epidemii, w pierwszym rzędzie dobrała się do domów rzekomo spokojnej starości, które skonstruowane były na kształt minionej epoki; tak, tej epoki, którą opisuje Améry. Epoki, w której ludzie starzy, niczym szaleńcy w dawnych wiekach, odsuwani byli na absolutny margines, wręcz spławiani, co prawda nie statkiem, jak na obrazie Hieronima Boscha, ale pozostawiani na uboczu bez należytej opieki. Wirus, dostając się w takie miejsce, czynił śmiertelne spustoszenie.

Ochrona, czyli szczepionka przeciw COVID-19, pojawiła się w rekordowym tempie; po roku. Dostali ją w pierwszym rzędzie ludzie najstarsi, schorowani, a potem, sukcesywnie, coraz młodsze roczniki. Propaganda głosiła, że młodzież i dzieci nie są zagrożone, a jeśli nawet przechodzą chorobę, to albo lekko, albo wręcz bezobjawowo. Dlatego w tych grupach wiekowych w dużym stopniu zaniechano profilaktyki.

Problem w tym, że nie wiemy, jaki wpływ przebycie tej choroby w dzieciństwie będzie miało na organizmy w wieku dojrzałym.

Praktyka pokazuje, iż COVID-19 atakuje układ neurologiczny, szczególne spustoszenie czyniąc w mózgu. Co prawda dobiera się przede wszystkim do układu oddechowego, ale nie można wykluczyć jego wpływu na inne narządy człowieka. Co ujawni się w organizmach dorosłych ludzi, którzy w dzieciństwie przechodzili bezobjawowe zakażenie? Czy wpływ wirusa nie może być bombą zegarową, jak choćby śmiertelne SSPE rozwijające się czasem nawet kilkanaście lat po przebyciu, zdawałoby się, niewinnej odry?

Nie można wykluczyć piętna dotykającego całego młodego pokolenia, które przeżyło chorobę, często o tym nawet nie wiedząc. To piętno może wpłynąć na stan fizyczny i umysłowy w wieku dojrzałym, znacznie przyspieszając proces starzenia się ludzi. Wtedy esej Améry'ego znowu zacznie być aktualny... ■



Albrecht Dürer, *Czterech jeźdźców Apokalipsy* (Ap 6, 1-8), czyt. s. 148

JANUSZ JAROSZEWSKI

Apokalipsa według J&J

Słowo „apokalipsa” w języku greckim oznacza „proroctwo”, „objawienie”. Jest to zwykle opowieść o nagłym końcu czasu, dziejów, całej ludzkości. Temat to oklepany, emblematyczny dla wielu wierzeń, religii, zrodzonych z nich kultur, w tym współczesnej kultury masowej. Przerazający finał naszego istnienia odnajdziemy w Apokalipsach Daniela i świętego Jana, również w wierzeniach Azteków i w indyjskiej *Matsjapuranie*, perskiej *Zend-Aweście*, *Historii naturalnej* Pliniusza Starszego, *Teogonii* Hezjoda, w Koranie, także w niezliczonych plemiennych mitach z wszystkich epok i kontynentów oraz w katastroficznych filmach doby współczesnej traktujących o najeździe obcej cywilizacji na Ziemię. Są to opowieści o chmurach zagłady, błyskawicach, kometach spadających z nieba, bezlitosnych promieniach, otwierających się czeluściach, nawałach ogniowych wytapiających z ziemi metale, jeziorach ognia strzelających w niebo, trzęsieniach ziemi o skali rozsadzającej góry, gigantycznych erupcjach wulkanów i niszczycielskich rzekach lawy, orkanach ognia, powodziach, krwawych, kwaśnych, żrących, długotrwałych deszczach o kroplach jak spodki lub nawet wigwamy, lawinach błota, truciznie, zgniliźnie i mętnych osadach.

Moja wizja zagłady jest diametralnie odmienna i nie o końcu tej hekatombi traktuje, ale sięga do jej początku. Jej imię to Postęp. Proces ten uruchomił nasz odległy przodek, *Homo erectus*, przed setkami tysięcy lat, osuwając ogień. Dokonał tego jako jedyny z niezliczonych gatunków zwierząt żyjących na naszej planecie. Ogień w rozmaitych wierzeniach to atrybut diabła, zatem wchodząc z nim w zażyłą relację, zawarliśmy pakt z „Panem Ciemności”, „Aniołem Śmierci” – Sammaelem, Saklasem, Siegelem, Sata-naelem – wcielonym złem, „Duchem Zniszczenia”. Warto wiedzieć, iż etymologia jego imienia wywodzi się od hebrajskiego „sami” – ślepy i aramejskiego „samu” – jad. Imię to oznacza zatem „Ślepego Boga” lub „Jad Boga”. No cóż, stało się – tak nas Matka Natura zaprojektowała. Bez tego paktu oraz wynalazku naga małpa chyba by nie przetrwała w konfrontacji z dziką przyrodą. Nie przetrwałaby też bez rozmaitych narzędzi w postaci pięściaków kamiennych, ostrzy, dzid, włóczni i oszczepów umożliwiających zabicie z dystansu, także bez wynalazku szatańskich pułapek – dołów kopanych w ziemi oraz sideł zastawianych na drobną zwierzynę. Były to pierwotne dzieła Postępu, które uruchomiły maszynę Apokalipsy rozumianej jako proces eliminacji innych niż ludzkie form życia. I nie ma cienia przesady w tym twierdzeniu, wystarczy sporządzić bilans,

czyli beznamiętnie przyjrzeć się faktom. Otóż nasz duch opiekuńczy, przyjaciel ogień, „Matka ogniowego wiru”, potężny żywioł, w okresie późniejszym został przez ludzi zaprzęgnięty do ofensywnych działań w ramach walki nie tylko o przetrwanie, ale i o dominację nad światem, bowiem stosowanie metod żarowych (wypalanie wielkich połaci dziewiczych lasów) okazało się bardzo skuteczną, bezproblemową i bezpardonową metodą mordowania zwierząt (czyli, jak to dziś obłudnie określamy, pozyskiwania pokarmów mięsnych). A w połączeniu ze wspomnianymi technicznymi nowinkami epoki kamiennej (zwłaszcza od czasu wynalezienia miotaczy oszczepów, następnego przełomowego dzieła Postępu, które dwukrotnie zwiększyły ich skuteczność rażenia), stosunkowo nielicznym hordom zbieraczy-łowców *Homo sapiens*, mniej więcej do początku holocenu, udało się wytrzebić ze szczytów przeszło połowę wielkich ssaków oraz gadów lądowych i niezliczoną ilość gatunków roślin¹.

Do rangi dogmatu urósł pogląd, wpajany nam przez wieki, iż przejście od zbieracko-łowieckiego, koczowniczego trybu życia do osiadłej, planowej gospodarki rolno-hodowlanej było milowym krokiem w rozwoju gatunku *Homo sapiens*. Przełomem wynikłym z niezwykłej inteligencji ludzi, dzięki której poprawili poziom i jakość swojej egzystencji. A jak było naprawdę? Naprawdę było tak, że nie tylko pogorszyli swój byt, ale też gwałtownie przyspieszyli uruchomioną przez koczownicze plemiona destrukcyjną lawinę apokalipsy Postępu. Prawda jest bowiem taka, iż rewolucja agrarna przyniosła katastrofalne przewartościowania w sferach ideowo-religijnej, kulturowej, społeczno-obyczajowej oraz mentalnej, które doprowadziły do zmiany optyki postrzegania świata przez ludzi i przypisywanej sobie roli do odegrania w wielkim spektaklu życia. Roli nadrzędnej wobec innych zwierząt (które uprzedmiotowiono – sprowadzono do funkcji obiektów szkodliwych lub użytecznych). Ponadto, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się kluczowym błędem, przejście od koczowniczego do osiadłego trybu życia uruchomiło niekontrolowany proces rosnącego w tempie geometrycznym przyrostu ludzkiej populacji. O skali tej niszczycielskiej transformacji najlepiej świadczą liczby. Otóż 12 000 lat temu na naszej planecie żyło (według Angusa Maddisona, brytyjskiego ekonomisty i historyka makroekonomii) od 5 do 8 milionów koczowników, a w I wieku naszej ery ich liczba spadła do ledwie 1, góra 2 milionów zamieszkujących głównie Australię, Afrykę i obie Ameryki, natomiast pojawiło się na świecie aż 250 milionów rolników². Potem lawina przyrostu *Homo sapiens* w zatrważająco przyspieszającym – apokaliptycznym tempie potęgowała. Żeby to zagadnienie wyraziście zobrazować ułożyłem taki oto wizjonerski wierszyk:

1 Ów holokaust opisałem w książce *Od prehistorii do pohistorii – Historia wierzeń i wyobrażeń*, na stronach 362-364, do której wszystkich zainteresowanych szczegółami tej pierwotnej eksterminacji natury odsyłam.

2 Angus Maddison, *The World Economy*, t. 2, Paris: Development Centre of the Organization of Economic Co-operation and Development, 2006, s. 636; *Historical Estimates of World Population*, U.S. Census Bureau, dostęp 10.12.2010; <http://www.census.gov/ipc/www/worldhis.html>.

BILANS

1500 rok – 500 milionów *homo sapiens*

1700 rok – 700 milionów *homo sapiens*

1800 rok – 950 milionów *homo sapiens*

1900 rok – 1,6 miliarda *homo sapiens*

2000 rok – 6 miliardów *homo sapiens*

2020 rok – 7,6 miliarda *homo sapiens*

Prognozy na kolejne dwudziestolecie:

2040 rok – 9,6 miliarda *homo sapiens*

2060 rok – 13 miliardów *homo sapiens*

2080 rok – 17 miliardów *homo sapiens*

2100 rok – 0

Ma on pesymistyczną puentę, bo w moim przekonaniu nieuchronnie zbliżamy się do kresu eksperymentu pod tytułem „człowiek”. I warto też zauważyć, że nie brzmi on dumnie. W objawieniu św. Jana, przed Sądem Ostatecznym, na spienionych rumakach w świat wyruszają czterej jeźdźcy Apokalipsy. Według jednej z tradycji ich imiona to: Zaraza, Wojna, Głód i Śmierć. W mojej wizji jeźdźców nadciągającego końca było, jest i będzie mrowie – tylu, ilu ludzi przewinie się przez historię. I nikt z nich nie musi dziś dosiadać konia, wdziawać zbroi i łapać za miecz lub kosę. Wystarczy, że rozsiądą się w swoich fotelach przed telewizorami, w wygodnych dresach i rozdeptanych kapciach z paczkami fastfoodowych chipsów i puszkami piwa w dłoniach. Wszak każdy z tych przedmiotów codziennego użytku przyczynia się do totalnej destrukcji ekosystemu planety. No cóż, Postęp = Apokalipsa, tak to Matka Natura urządziła powołując nasz drapieżny gatunek do istnienia. ■

IRENEUSZ MAKOWSKI

CHARENTON APOCALIPSIS

*Przenigdy lęk przed obłędem nie zmusi
nas do zwinięcia sztandaru wyobraźni.*

A. Breton

*Rzecz dzieje się na scenie zakładu dla obłąkanych w Charenton , gdzie pensjonariusze
oklaskują swoje własne szaleństwo.*

PROLOGOS

Między Tajemnicą a Objawieniem
Między Syriuszem a Orionem
Tkasz sukno z rybich łusek
Nie ochroni Cię przed chłodem
Nie zakryje Twojej nagości
Będziesz widzialny

Jesteś skazany na cierpienie
Wolna wola dopełnia ten ból
Robisz z niej użytek
Niszcząc obraz własnej imaginacji

Możesz śpiewać hymn *Veni Creator*
W dormitorium taka przeraźliwa cisza
Że słyszeć strugę upuszczanej krwi

Możesz unicestwić wyobraźnię
Wszak żyjesz wśród widm
Które wykroczyły poza dobro i zło

W oddali czterech jeźdźców pędzi w galopie
Tuman pyłu wdarł się w źrenice
Czy zdążysz dotknąć światła ?
Czy pochłonie cię szaleństwo gwiazd ?

Uwolniony od boskiej chimery
Możesz porwać się na niemożliwe
Albo dotknąć słonecznej tarczy
Która eksploduje mrokiem

Ale nie stawiaj pytań!

Poszerzają bowiem obszary lęku
Przenikają mgławice wabiąc demona obłędu
A potem na końcu drogi
Zatopią cię w *rozpuszczonej tożsamości*

PARODOS

Ile tu widziadeł w nocy
I chaos który się pleni jak chwasty
Umysł ukąszony przez pozorną wolność
Przyswaja fantazmaty
Zakłada maskę która skrywa i ukazuje
Wypełnia ogniem sekretne gabinet
Który rozszerza się i kurczy
Jak bezładne pulsowanie tętnic

Dusza i ciało niczym rozrzucone kości
Dają dowód na dwoistość Natury
Egzystencja ekscesu poprzedza esencję
Taki nowy byt-dla -siebie

A więc dotykamy nicości
I zastygamy w bezruchu jak robak
Drażniony żdźbłem trawy

Życie pod postacią żuka
implikuje samotność
Czego doświadczył przemieniony Gregor Samsa
Wybierając śmierć

Bóg i Szatan skazani na siebie jak Księga na popiół
Jak Mesjasz na Wzgórze Czaszki
Który uparcie powtarzał : *przyjdę niebawem*

Taki jest wyrok Proroctwa

EPEJSODION I

Wyszedłem jak wszyscy z łona matki
W pałacu Kondeuszów w Paryżu
Para służących co podała się za chrzestnych
Pomyliła moje imiona

Gdyby nie to może zostałem świętym
A tak przybrałem maskę Markiza de Sade
Pana zamku w Lacoste

Dawałem upust orgiom i zboczeniom
Częstowałem prostytutki proszkiem kantarydowym
Nacinałem im ciała i poddawałem okrutnej chłości
Urządzałem libertyńskie seanse w Niedzielę Wielkanocną
Recytowałem *Litanie do Szatana*
Mimo że Baudelaire jeszcze się nie narodził

O Szatanie, mej nędzy długiej się ulituj !

To dodawało mi sił !
Było skałą na której budowałem swoją porno-teologię
W której ciało było tylko oddychającym mięsem

Miałem opinię zbrodniarza i potwora
Z choroby stworzyłem filozofię która miała *powiedzieć wszystko*
Nasycić wielkim żarciem
Cielesną ucztą
Erotyczną ekstazą
Ateistyczną religią

Kiedy zamknięto mnie w Bastylii
Na drugim piętrze wieży Liberte'
Zatopiłem się w *120 dniach Sodomy*
Rękopis przepisywałem starannie na długi rulon papieru
Wierząc w sprawczą moc
Tego bluźnierczego manifestu o śmierci Boga
I tryumfie Rozpusty

Potem w Charenton stworzyłem katartyczny teatr
Na scenie unicestwiałem Piekło
Napisałem *Dialog między księdzem a umierającym*
W którym klecha bijąc się w piersi powiada:

Tak więc wszystko na świecie jest konieczne.

Konieczne były więc *Dni w zamku Florbelle*
Gdzie zdemaskowałem przewrotną Naturę
I Wielkiego Zegarmistrza
Niestety rękopis moi spadkobiercy cisnęli w ogień

Konieczna była *Filozofia w buduarze* która skazywała publikę
Na wybór między katem a ofiarą

Konieczna była *Historia Julietty*
W której rozwiązałem ryciny odbite z płyty metalowej
Dodawały powabu powszechnej prostytucji jestestw

Cała reszta jest fikcją

STASIMON I

Nie wiem kim jestem
Ale nazywają mnie Janem z Patmos
Na wyspie gdzie doświadczyłem Objawienia
Chciałem zważyć ciężar ognia
Prowadziłem nawet rejestr kosmiczny
Ale studnia otchłani wchłaniała kolejne symbole
Na przykład *Nierządnice siedzącą na szkarłatnej Bestii*

Apokaliptyczna wizja której doznałem na wyspie
Przerosła mnie
Próbowałem ją opisać obrazami z teofanii
Wyszukanymi alegoriami aluzjami liczb
Ale symbolika stała się sprawą wtajemniczonych

Poza tym za dużo było w niej jaspisu szafiru i chalcedonu
Szarańczy kłującej jak skorpiony
Smoków i węży które zapomniały o gwieździe
Która spadła na ziemię
Bez opamiętania dęto w trąby i wypijano czasze pełne trucizny
Krzyczano *Biada* co tylko wzburzało morze siarki

Kto by chciał śledzić otwarcie siedmiu pieczęci
Albo przemawiać do gór i skał
Lub czytać list do zboru w Laodycei
Który był ani zimny ani gorący
Tylko wypłuty z ust

Kto by tam dochodził liczby aniołów
Gdzie królem był Abaddon
Siejący powszechne zniszczenie
Albo słuchał tego który oznajmił upadek Babilonu

Wszyscy pożąдали tego co lśni i błyszczy
Słuchali harfiarzy i flecistów
Szydzili z wielkiego kamienia rzuconego do morza
Drwili z księgi wyroków

Patrzyli bez lęku na Bestię
Podziwiali wszetecznicę trzymającą kielich obrzydliwości
A gniew obracali w palcach jak złotą monetę

Nowe Jeruzalem rodziło się w bólu
Jakby ktoś chciał postawić pod pręgierz
Zgniły obraz świata
A potem stało się snem wypełnionym surrealistyczną wizją
I źródłem gorzkiej rozkoszy

Na końcu przemówił ON
Alfa i Omega
Korzeń drzewa żywota

Nie pamiętam jak brzmiały JEGO słowa...

EPEJSODION II

Tak więc Rewolucja !
Zburzenie Bastylii to za mało
Rozum już dojrzał do tego
By zgilotynować cały stary świat

Wola ogółu jest święta
Trzeba amputować przeszłość
I zniszczyć lilie by nie rozsiewały woni monarchii
Niech nie zostanie kamień na kamieniu

Pomnażać materię i iluzję
I uświęcać pogaństwo głupców
Łysą czaszkę Panteonu wypełnią wnet nowi bogowie
Trzeba tylko zapalić kopczą lampę Oświecenia
Niech unoszą się smoliste dymy
I zasłonią światło księżyca
Ciemność uwolni demony

Trzeba oskórować dusze i zastąpić człowieka Ludzkością
Która zamienniki Trójcy: Wolność Równość i Braterstwo
Ubierze w gesty młóćące wiatr
A ten niech hula targając ogłupiałe liście

STASIMON II

Jak opisać chorobę wieku
Kałamarniczak jest cierpkim octem i żółcią

Anioł rzeczy dziwnych
Unosi się nad ogołoconymi z ciała kośćmi
Piewców raju na ziemi

EPEJSODION III

Nie chcę już tabletek z rtęcią i naparu z porostów
Zdążyłem już przełknąć wielki Protest
Szkłanka z fusami jest pusta
Opadła kurtyna w czerwonym teatrze

Robespierre w Konwencie żądał śmierci króla
Święta gilotyna stała się warunkiem postępu
To absolutna Sprawiedliwość zastępująca Boga

Ocet !
Podniecająca woń octu którym szorowano ślady krwi
Unosi się nad podestem

Biedny Robespierre na szafocie skrzeczał jak żaba
Biedny Danton dławił się hedonizmem
A ludowi zostawił swoją ściętą głowę

Biedny Saint-Just tworzył nowego homunkulusa
Który miał czarować metafizyką buntu
Biedny Marat – Chrystus Rewolucji został zasztyletowany w wannie

Prorocze są słowa *Szlachetnego dzikusa*
O twarzy stratowanej przez byka:

Rewolucja, jak Saturn, pożera własne dzieci.

STASIMON III

Pozostało błędne koło entropii
Zedrzyć maskę !

Prostytucja zdradziła rewolucję
Zedrzyć maskę!

Wielki sekret mrocznej cząstki
Zedrzyć maskę !
Obłąd to metamorfoza energii
Zedrzyć maskę !

Zmierzch bóstw księżycowych
Zedrzyć maskę !

Spuścić z łańcucha burzę czasu
Niech gromy rozbiją Mit !

KOMMOS

Moja schizofrenia !

Wiedziałaś że należę do tych *którzy więcej czują*
A jednak wciągnęłaś mnie w swój świat
W którym sprawy ostateczne włóknami nerwów
Oplatają próchno metafizyki
Kipi kadź uwalniając fluidy *onto eschatos* i *charisma*
Wolne rozpływają się w kosmosie
Jakby szukały pod płaszczyzną tego świata
Świata prawdziwego
A w nim roi się od bogów
Którzy upojeni szatańską substancją
Chcą *nadać temu wszystkiemu nieco ładu*

Moje ciało przeistacza się w centrum
Które zastępuje Apokalipsę zagładą skarabeusza
W końcu czym różni się śmierć chrząszcza
Zmieniającego się w boga Chepri od upadku Babilonu
Albo złamany promień słonecznej tarczy od kruszonych pieczęci

Moja schizofrenia !

Dajesz mi wizję udręczonego Mesjasza
Który pije ocet z nasiąkniętej gąbki
I prowokujesz odwieczne pytanie: co jest po tamtej stronie ?

Magnetyzer siedzi samotny na szczycie
Dawkuje autyzm wsłuchując się w pulsowanie JA
Amplituda wahań przekracza granice
Dotyka halucynacyjnych obrazów
Obnaża mit raj

Wtedy kurczy się świat
Gęstnieje przepaść między JA a maską
I wybucha prawda która przybiera kształt
Chaotycznej bazgroty

Moja schizofrenio !

Światło kopnącej świeczki pada na plamy atramentu
Które widnieją na pustych kartkach papieru
Chciałbym je czytać jak nuty
I zmusić skrzypce do odegrania suity ciszy

Za oknem gwieździsta noc
Oniryczna rzeczywistość błąka się po tarczy zegara
Dotyka wskazówek
Jakby chciała zatrzymać czas
Albo egzorcyzmować demona
Który w otchłani prowadzi występłą grę

Ale myśli uciekają ku królestwu błękitnego kwiatu
Może tam światło księżyca
Przebija skorupę snu

EXODOS

Skoro nie został rozstrzygnięty problem nieszczęsnego daru wolności
A frazesy wokół kryzysu wartości splatają się w ortodoksyjne wariacje
To warto pochylić się nad uwięzionym w zamrożonym jeziorze łabędziem
Może to wrażliwy na spleen poeta który stał się helotą własnych snów
A może to ofiara mitu nieświadomości który pęka pod tchnieniem ekstazy

Skoro wszyscy zadowalają się wydzieraniem ochłapów rzeczywistości
Albo głodują gdyż nie mogą znaleźć potrawy która im smakuje
To może trzeba wybrać iluzję bo symulowana rzeczywistość nie istnieje
Zobaczyć przeszłość w jej fraktalnym wymiarze jako procesję nihilistów
I uwierzyć w moc interpretacji czyli wchłonąć Ocean który jest Postacią

*

Wreszcie dotarłem na końcowy spektakl
Miało być *zbiorowe oczyszczanie ropni*
Halucynacja gęsta od występku
Teatr sobowtór w Vieus-Colombier
Ciało zasilane przez gniew w anturażu magicznych inkantacji

Ale jeden niezgrabny ruch Poety
Który wrócił z piekła psychiatrii
Stracił starannie poukładane kartki
Które zaczęły wirować jak ptaki z przestrzelonymi skrzydłami

Odczyt zamienił się w wycie i krzyk
Sobowtór godny podziwu rzucił się na kolana
Kosmiczny byk w którym Mitra zagłębił swój nóż
Nie spłynął oczyszczającą krwią

Widowisko udręczonego i potępionego Ciała
Stało się Pełnią teatru okrucieństwa

PARUZJA

Skoro nie mam nadziei, bym jeszcze powrócił
T.S.Eliot

Powrócił Mesjasz
Głowę miał owiniętą bandażem
Dłonie spętane powrozem

Bił od niego chłód niczym z groty lodu
Szukał wiary
Ale zobaczył ucztę fałszywych proroków
I bestię wielbioną w świątyni

Kruk pożerał własne wnętrzności
Krew zakrzepła na belkach
Wtopiła się w szkarłat porzuconego sukna

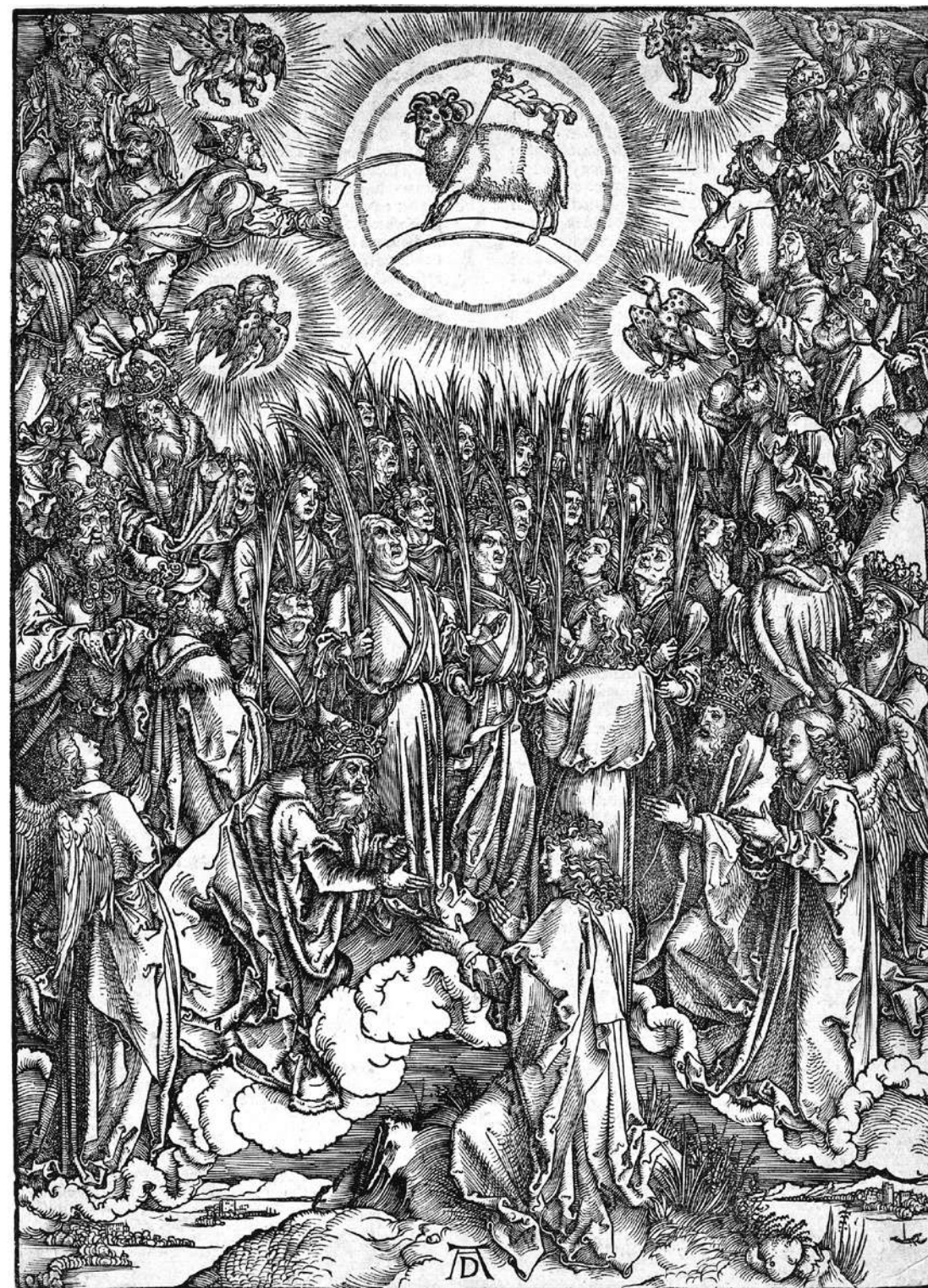
Ciernie i osty przebijały cień
Błąkający się po spękanej ziemi
Pustego Edenu

Mesjasz stał się ognistą kulą
Która niczym Gwiazda Północy
Lizała drewniany krzyż

Rydwan ognia tratował dzieje Zbawienia
Żłobiąc głębokie bruzdy ginące
W tumanach popiołu

Kto nas teraz obroni przed bogami ? ■

*



Albrecht Dürer, *Adoracja Baranka i śpiew wybrańców* (Ap 14, 1-5), czyt. s. 148

Hybrydowe lęki

Przelom lat 20. obecnego XXI wieku, wobec znamiennych światowych wydarzeń, jak pandemia Covid-19 czy agresja Rosji na Ukrainę, wzmógł odwieczne już zainteresowania wizjami nieuchronnej apokalipsy – której skutkiem może być koniec dotychczas ukształtowanego porządku (co nie oznacza końca naszego świata) albo czas odsłony nowego porządku (jakiego? – tego jeszcze nie wiemy). Apokalipsa – to po grecku: „zdjęcie zasłony” – a więc wyjście z ukrycia, ujawnienie prawdy; niemniej apokalipsę zawsze rozumiano jako synonim końca, choć także i początku (poświadcza to buddyzm głoszący, że każdy koniec – to początek czegoś nowego). Żyjemy więc w czasie, w którym ugruntowują się zjawiska adekwatne do tych przeczuc; wyczerpują się tradycyjne formy doświadczanej rzeczywistości, zmienia się natura świata; pojawiają się nowe, inne byty, łączące w sobie to, co stare, co jest w stanie wyczerpania, z tym, co nowe, a co wyraża nasz świat i aktualne potrzeby naszego życia. Już dostrzegamy w naszym otoczeniu owe anomalie występujące w świecie ludzi i zwierząt, a także w połączeniu z maszynami; wzrasta znaczenie zjawisk synkretycznych, które interpretuje się dzisiaj w ramach nader spopularyzowanego pojęcia hybryd albo hybrydyzacji.

W interpretacji współczesnej nauki – hybryda – to biologiczny mieszaniec, krzyżówka, bastard, to ściślej: połączenie dwóch (lub więcej) elementów, które mimo różnic strukturalnych mają ze sobą współpracować. Ale też aktualnie to pojęcie znajduje o wiele szersze rozumienie, gdy odnosi się je do wojen hybrydowych (łączenia działań konwencjonalnych z cybernetycznymi i terroryzmem) czy w zastosowaniach w przemyśle informatycznym oraz samochodowym, a wreszcie w rolnictwie w produkcji zmodyfikowanych genetycznie zbóż, warzyw i owoców bądź w hodowli (i klonowaniu) zwierząt, a w perspektywie – ludzi. Te wszystkie eksperymenty przekraczające naturalne prawa rozwoju i ewolucji nie są obojętne dla losów populacji ludzi na ziemi, dlatego inicjują głosy sprzeciwu i formułowanych ostrzeżeń – właśnie o podtekstach apokaliptycznych.

Zresztą, wg „Słownika mitów i tradycji kultury” (W. Kopalińskiego) – „hybris” (w języku greckim) oznacza nieposkromioną ludzką pychę, zuchwałość wywołującą gniew i pomstę bogów, przejaw naszej arogancji. Jak wiadomo – hybryda – słowo obecne tak znaczące, ma oczywiście tradycje wielowiekowe. W przekazach wielu kultur pojawiły się przykłady wykreowanych dziwnych stworów; owe różne bestie, chimery, syreny,

centaury czy Minotaur albo sfinks itd. Spełniały one swą rolę w mitach starożytności, były też figurami heraldycznymi bądź „bohaterami” baśni albo wizualnych przedstawień w sztuce. Zresztą sama natura przysparzała dowodów własnej niekonsekwencji rozwojowej i obdarzała świat różnego rodzaju odmieniami, kuriozami, które zwykle zasilały zbiory gabinetów osobliwości czy, jako eksponaty, medycznych laboratoriów. Te wszystkie „odmienności” natury – mutanty, dziwolągi, klony... itd. to są (i były) właśnie hybrydy, których kolejnych odmian dostarczają współczesne eksperymenty i doświadczenia naukowe oraz...artystyczne. Biologia syntetyczna i modyfikacje genetyczne (nowe chromosomy) już dawno przekroczyły granice tego, co naturalne i wprowadziły naukę na poziom; mogący przypominać ów los ucznia czarnoksiężnika, co wywołał siły, nad którymi stracił kontrolę.

Zjawisko powszechnej hybrydyzacji, jej znaczenie dla naszej rzeczywistości i kształtowania indywidualnej świadomości oraz sterowania zbiorowością (np. rola hejtu i manipulacje przekazami informacji) – jest niewątpliwie pewnym widocznym przejawem owego kresu czy totalnej zmiany, której symbolicznym i metaforycznym wyrazem jest apokaliptyka – odwołująca się do różnych przekazów i doświadczeń historii, do dziejów naszej kultury, tworzących ją mitów oraz twórczości naukowej i artystycznej. Nota bene – te zjawiska zawsze też skłaniały społeczeństwa wielu epok, do wykorzystywania owych anomalii w naturze i w ludzkich wyobrażeniach (twórczości), – z jednej strony, jako atrakcji prezentowanych publicznie, ale z drugiej, jako narzędzia represji: w straszeniu boską karą czy wymuszaniem posłuszeństwa (przez władzę i hierarchię religijną). Dodać należy, że dzisiaj – owa hybrydyzacja – urealnia się wręcz dosłownie: odkrycie technologii krzyżowania genów CARR oraz możliwości „krzyżowania się” genów zwierząt, ludzi i roślin zmieniły całkowicie dotychczasowe warunki bioetyczne w świecie nauki, co wymaga nowych regulacji prawnych. Rzec można, że eksperymenty genetyczne i odkrycia bio-cybernetyczne wyszły już poza laboratoria, dając przykłady nowych „istot” z pogranicza fantastyki i rzeczywistości. Filozofowie, antropolodzy i inni badacze współczesności mówią więc o epoce posthumanizmu (i transhumanizmie), bowiem w rzeczywistości już akceptowalny jest ten aktualny etap ewolucji ludzkiego organizmu, w którym stawiany jest znak równości między tym, co ludzkie i co nie-ludzkie, a co sprzyja nadużyciom ze strony etycznej. Ten dysonans kreacyjny (mimo jego wykorzystywania) najwcześniej dostrzegała sztuka, łącząc w swej twórczości inspiracje dawnymi fantastycznymi stworami z wytworami aktualnej technologii i wyobraźni artystycznej.

Historia ludzkiej kultury i związków z postępowaniem cywilizacyjnym dostarcza wielu przykładów inicjatyw przekraczania granic między tym, co naturalne a tym, co sztucznie stworzone. Szczególną rolę odgrywała tu wynalazczość, której efekty początkowo dyktowane były potrzebami rozrywki (zabawy), ale dały też podstawy dla rozwoju

możliwości poznawczych i poszerzania możliwości manualnych i wytwórczych ludzi. Skądinąd wiemy, że zjawisko hybrydyzacji ma swą długą historię i swoje stałe miejsce w tradycjach naszej kultury; sięga ponoć już filozofa starogreckiego Empedoklesa, który – jak przekonywał Arystokles – twierdził, że monstra rodzą się z naszej wyobraźni (chodziło o wyjaśnienie pojawiania się u normalnych rodziców dziwnych, kalekich dzieci – miałyby to być efekt „zapatrzenia się” matek podczas ciąży?). Znane są tu także przykłady konkretnych rozwiązań ze starożytności, np. mechaniczne zabawki Herona z Aleksandrii (napędzane przez naturę) czy średniowieczne próby stworzenia sztucznego człowieka (homunkulus), a wreszcie w XIII wieku konstruowane mechaniczne automaty, później – w XVI i XVII w. – „ożywiane” z pomocą siły wody, co m.in. dało impuls do budowania, już współcześnie, różnego rodzaju sztucznych, mechanicznych robotów, androidów, a wreszcie hybryd maszynowo-ludzkich, czyli cyborgów. To ostatecznie, jak na razie, spełnienie odwiecznych zamiarów ożywienia sztucznej materii, wykreowania demonicznego sługi człowieka czy kabalistycznego Golema. Wraca się tu do starego mitu Pigmaliona – ożywiającego wyrzeźbioną przez siebie Galateę. A wreszcie w konsekwencji modne już obecnie dywagacje filozoficzne o końcu homocentryzmu, o czasie postludzkim i nadziei, że tylko symbioza ciała z maszyną może nas wzmocnić, uratować (przed czym?). To właśnie takie koncepcje legły u źródeł całkiem najnowszych związków i interakcji ludzi z maszynami we współczesnej sztuce.

Ekspansja nowych mediów w sztuce, a szczególnie technologie cyfryzacji, komputerowego wsparcia twórczości oraz presja idei kultury postmodernistycznej sprzyjały ukształtowaniu się w drugiej połowie XX wieku zjawisk powstających właśnie na styku nowych technik medialnych, biologii, inżynierii genetycznej itp. hybrydowych form – co skutkowało rodzajem refleksji traktującej współczesność właśnie w kategoriach końca epoki homocentryzmu. Mówienie stąd o technokulturze, o świecie bioartu czy dominacji hybryd i hybrydyzacji znajdowało swoje pełne uzasadnienie (por. P. Zawojski, *Tech-nokultura i jej manifestacje artystyczne. Medialny świat hybryd i hybrydyzacji*, Katowice 2017 r.). Właśnie na polu sztuki takie procesy ujawniły się najpełniej; wystarczy tu przywołać, już w zasadzie „klasyków” tej tendencji, takich artystów jak: Stelarc, Kac, Lech Majewski, Brian Eno, Ryoji Ikeda czy zespół Cinema Centr z Sidney, a także wielu uczestników pokazów Ars Electronica z Linzu i podobnych manifestacji sztuki elektronicznej z Berlina oraz innych ośrodków. Tu pionierską rolę w tym względzie odegrał Stelarc, który poprzez zamierzone interakcje z maszynami, pokazał możliwości wzmocnienia ludzkich potrzeb komunikacyjnych: łączenia się z innymi i ze światem zewnętrznym. Twierdził on, że „bycie człowiekiem” jest przeżytkiem, że trzeba ciało wzmocniać maszyną, by poszerzyć zakresy naszych odczuć i oddziaływań.

Artyści tworzący na styku nowych technologii, nowych mediów i natury (eksperymenty z własnym ciałem) czy sięgający również po uzasadnienia w refleksji filozoficznej

oraz inspiracje natury metafizycznej – tworzą właśnie już w obszarze hybrydyzacji, gdzie powstają byty (formy) albo dzieła trudno definiowalne, bliskie owym wytworom „chimeryzacji” (jeśli można tu odwołać się do starożytnych wzorców). Ta specyficzna hybrydyzacja współczesnej sztuki jest – jak mówi P. Zawojski – znakiem czasów postcyfrowych i postmedialnych, prac wymagających swej redefinicji z powodu niekonwencjonalnego zastosowania środków z różnych obszarów rzeczywistości. Właśnie hybrydyzację – uważa ten autor – za jedną z głównych praktyk kulturowych i artystycznych naszych czasów. Czy powinna być w zupełności akceptowalna i gloryfikowana? To jest pytanie, z którego podtekstu prześwitują obawy o los tych eksperymentów, a w czym pobrzmiwają wręcz apokaliptyczne ostrzeżenia. Już bowiem w ewolucji kultury wysokiej do poziomu kultury masowej (od lat 60. XX w.) widziano – jak oceniał Umberto Eco – jej apokaliptyczny wymiar, tj. właśnie symptomy zagrożenia dla humanistycznych wartości; co może być rozumiane jako efekt dominacji symbolicznego idola nad ikoną, czyli sztucznego stworu nad konwencjonalnym odwzorowaniem (*mimesis*). Sztuka coraz ściślej włączana i nasycana kulturą, odchodząc od natury, paradoksalnie poddawała się jej, poszukując bezpośrednich związków na poziomie materii ożywionej, ale też wzmacniając się zdobyczami nowych technologii. Ludzkie ciało zaczyna (w takich propozycjach) tracić swoje „naturalne” właściwości na rzecz szeroko rozumianych „kulturowych”; staje się właśnie swoistą hybrydą tego, co jest genetycznie dane (ale co może być także poddane manipulacji genami – tu zasługa inżynierii genetycznej) z tym, co sztucznie dodane, w efekcie wykorzystania odpowiednich technologii. Stąd m.in. cyborgi... zaś tę opozycję między sztucznym a naturalnym wykorzystano jako inspirację dla sformułowania swoistego, utrzymanego w duchu feministycznym „Manifestu cyborgów”, odnoszącego się do tych stworów (por. D. Haraway: *Simians, Cyborgs, and Women*; New York 1991.). A w rezultacie dywagacji o swoistej „cyberduszy” – tj. idei duszy jako zapisu cyfrowego (uwagi te rozwija M. Bakke, *Wyobrażone ciałem się staje. O hybrydach, monstrach i istotach postludzkich*. w: *O wyobraźni*; Pisma Filozoficzne, t. LXXXVI Uniwersytet Poznański 2003 r.). Stało się więc tak, że to, co sztucznie wytworzone jest już czymś tak „naturalnym”, iż może być włączone w naturalny porządek świata, a przynajmniej tak bywa odczuwane i akceptowane. Niemniej – jak twierdzą antropolodzy – ciało cyborga, będąc hybrydą, nie jest ani kompletnie organiczne ani też całkiem technologizowane; nie jest ani w pełni ludzkie, ani sztuczne, *staje się różnicą między ludzkim a maszynowym* (jak pisze A. Ćwikiel w art. *Metafora cyborga – ciało przyszłości*, w: „Kultura Współczesna” nr 1-2, 2000 r.) Cyborg – dodaje ta autorka – odróżnia się także od mechanizmów humanoidalnych automatów, robotów czy androidów, jest produkowany przez medialne, cyfrowe technologie, „ciało” cyborga to interfejs, ciągle przekraczające swe granice ciało trasgresyjne. Powszechność i zróżnicowanie propozycji hybrydalnych staje się więc symptomem naszej rzeczywistości. Znamiennym tego

przykładem jest m.in. wystawa prac Patricii Piccinini w Centrum Sztuki Współczesnej „Znaki Czasu” w Toruniu (wrzesień 2021 – kwiecień 2022). Wystawa P. Piccinini została zatytułowana ; „Jesteśmy”; ale tu można dodać: Tak, jesteśmy już tu, między Wami, ludzie – nieludzie, i co z nami zrobicie? To są pytania o głębszy sens przypadków stworzeń hodowanych w laboratoriach dla wygody ludzi, pytania o nasze ludzkie odczucia i uczucia wobec tych Nowych Istot, które prędzej czy później zaczną się wśród nas pojawiać? Czy mamy prawo traktować je jako bezduszne organizmy? Nie unikniemy odpowiedzi na te pytania, szczególnie dzisiaj, w czasach zagrożeń cywilizacyjnych, eksperymentów z naturą i apokaliptycznych lęków oraz naszych wątpliwości, jakie nam towarzyszą w związku z powracającymi atakami chorób o wymiarach pandemicznych i aktualnymi zagrożeniami klimatycznymi, a także zgrozą imperialnej wojny toczzonej przez Rosję przeciw demokratycznemu światu na Ukrainie.

Ta wystawa – w koncepcji artystycznej – podnosi ważne i aktualny problem nowego humanizmu; czy jest on dzisiaj możliwy? Czy istoty hybrydowe, wykraczające poza normatywne kategorie gatunkowe: ludzi, zwierząt i roślin, mogą być obarczone znamionami ludzkich odczuć; bo proponowane przez Piccinini „stwory” właśnie w jej ujęciu dają dowody czucia, marzeń, one wyrażają swoimi gestami i spojrzeniami lęki i nadzieje; są „nieludzie” ludzkie, a w kontakcie z innymi, czyli widzami wystawy, nie wzbudzają w zasadzie odbiorczych obaw, raczej skłaniają do zastanowienia, raczej do refleksji akceptującej niż zgrozy. Piccinini przekracza bowiem swoimi pracami etap rozrywki dla gawiedzi – podziwiającej odmieńców, ona właśnie stawia na możliwe relacje między nami a tymi istotami, które już są, albo wkrótce będą obecne wśród nas?

Do takiego widzenia rzeczywistości przygotowywała nas sztuka ze swoimi propozycjami już od dawna. Marek Żydowicz – kurator wystawy – podkreśla, że te zrealizowane, ze współcześnie dostępnych materiałów (silikonu, nylonu, plastiku i innych sztucznych tworzyw), figury o wyraźnej hiperrealistycznej stylistyce, były obecne już w latach 60. i 70. XX w., i nawiązują do tamtejszych prac m.in. Rona Muecka, Jamie Solmona, Sarah Sitkin czy mutantów biotechnicznych polskiego artysty Jacha Yerki. Dodajmy tu, że przedstawienia postaci typu monstra, bestie, dziwolągi, itp. hybrydy były też obecne w malarstwie i grafice od czasów renesansowych po późniejsze realizacje, od przykładów z Boscha i Arcimboldo po surrealistów (m.in. Dali), a wreszcie – w twórczości naszych artystów, jak Beksiński, Lebenstein czy grafików, np. w pracach Geta-Stankiewicza albo Przemysława Tyszkiewicza. Fantazyjne stwory zawsze nasycaly twórczą wyobraźnię wielu pokoleń artystów.

Patrycja Piccinini wpisując się w ten ciąg realizacji o szerokich źródłach inspiracji historią sztuki, przyczyniła się nadto do zasadniczego zwrotu interpretacyjnego. Otóż niewątpliwie swoimi pracami nie chce ona budzić grozy czy lęków, wręcz apeluje o potrzebę „oswajania się” z tymi formami, akceptacji ich istnienia w ramach „nowego”

humanizmu – do czego nota bene prowadzi nas przecież współczesna biogenetyka i realizowane projekty z obszaru tzw. „sztucznej inteligencji”. Nie unikniemy więc tego, że w naszej rzeczywistości pojawiają się stworzenia biologiczne i cyfrowo zmodyfikowane (z ich „duszami”?), z którymi będziemy zmuszeni współżyć na płaszczyźnie społecznej, zobowiązani do reakcji na nie i bliższych z nimi kontaktów. A rzeźby Piccinini utrzymane w hiperrealistycznej formie tym bardziej nam to uświadamiają. I dlatego ta wystawa tak zdecydowanie skłania widzów do refleksji: dokąd zmierzamy, czy te formy – to nasza przyszłość? Nieuchronny cel? Gdzie kończy się nasze tradycyjne istnienie, a zaczyna świat inny, obcy (ale czy obcy?...), bo wszak złożony ze znanych nam ludzkich „elementów” (połączonych ze zwierzętami itp.). Czy ten występ (jako efekt eksperymentów) przeciw Naturze nie będzie miał katastrofalnych dla nas konsekwencji? Wyraźna łagodność, brak agresywności w relacjach z ludźmi oraz owa – podkreślana już tu – „oswojona” ekspresywność tych rzeźb stwarza podstawy do ich akceptacji. Ale co akceptujemy? Czy to, że czeka nas taka sytuacja, że potrzebna jest jakaś forma koegzystencji na sąsiedzkich warunkach? Bo wyobrażamy sobie, że takie „dziwne” (nienormatywne) stwory pojawiłyby się w naszym życiu, jako współobywatele, czy raczej jako niewolne, podrzędne istoty nam służące (np. do wymiany organów – co już może być praktykowane). Każda z tych ewentualności jest w sensie wyboru podejrzana etycznie. Czy akceptujemy więc swoje miejsce w epoce posthumanizmu? Bo tak określa się już aktualny czas odejścia od zachodniego humanizmu, do idei negujących dominującą rolę człowieka w naturze, wynoszenia go ponad naturę, czy biblijnego nakazu jej podporządkowania potrzebom ludzkim. Wiadomo, że te obawy zostały wygenerowane właśnie z powodu wynoszenia się ponad przyrodę i jej prawa, że doprowadziły do znanych zagrożeń cywilizacyjnych (klimatycznych i surowcowych). Natomiast posthumanizm kieruje uwagę także na inne ziemskie stworzenia, na inne formy życia; chce odejść od ideologii antropocentrycznej (czas dominacji człowieka) do okresu równowagi wszystkich sił organizujących nasze życie i świadomość. Rzeźby Piccinini – prezentujące isticie „barokowy potok zmysłów”, w którym uwidacznia się to, co zmyślane z tym co realne, to co groteskowe z tym, co piękne – wyraźnie nawiązują do owego posthumanistycznego modelu ciała ludzkiego; ciało jako miejsce zmian, jako pole eksperymentów... to wszystko, do czego już zmierzamy dzisiaj poprzez operacje plastyczne, botoks, po manipulacje genetyczne DNA i próby hodowania organów zastępczych. Nowe narzędzie edycji genomu CRISPR (tzw. „nożyczki do edycji genów”) – służy właśnie do transformacji genetycznej między ludźmi, zwierzętami i roślinami – stwarzając możliwość transbiologicznych eksperymentów, co sprzyja m.in. hodowaniu ludzkich organów w ciałach zwierząt; realizowane to jest poprzez wszczepianie ludzkich komórek macierzystych embrionom tych zwierząt. Tak mogą powstawać transgeniczne chimery.

Wobec takich możliwości nauki (medycyny) i technologii australijska artystka pragnie pokazać konsekwencje tegoż dla ludzkiej populacji, i formułuje przy tym łagodne ostrzeżenie; łagodne – ponieważ Piccinini uświadamia te fakty w nastroju właśnie nieco żartobliwym, bez grozy i epatowania apokaliptycznymi skutkami, jednak – tym bardziej – działa ona na naszą świadomość i wrażliwość; zmusza do pytań i do określenia naszej, własnej postawy.

Zasadniczym bowiem okazuje się być dzisiaj pytanie o tożsamość istot, które nie mogą odpowiadać na tradycyjny rozdział tego, co ludzkie od tego, co zwierzęce – a w rezultacie – także rozróżnienia między tym, co jest naturalne a tym, co ma sztuczne (techniczne) pochodzenie. Bowiem hybrydy – w efekcie zabiegów syntetyzujących – sytuują się pomiędzy; są to bądź istoty postludzkie, bądź zjawiska ponad normatywne, mieszane, fałszujące lub nadbudowujące funkcje i zastosowania dotychczas w tej mierze sankcjonowane. Obok koniecznych (i na pewno potrzebnych) rozwiązań hybrydowych w rolnictwie czy przemyśle (np. samochodowym) rośnie ranga zjawisk negatywnych – hybrydowych wojen, takichż przekazników informacji z ich manipulacjami itp. To właśnie nasza wyobraźnia zawsze tworzyła fantazyjne stwory, czy to w literaturze, czy sztukach wizualnych; będące nieodłącznym składnikiem ludzkiej kultury, zaś dzisiaj – produktem nowych technologii. I jeśli doszliśmy już do możliwości stworzenia „sztucznej inteligencji” – tj. maszyny, czyli robota mogącego działać poza bezpośrednią ingerencją obsługującego człowieka – to osiągnęliśmy prawdziwie apokaliptyczny wymiar naszej cywilizacji.

I do tego odnosi się współczesna sztuka, także już dawno obarczona swą „hybrydową” wyobraźnią – produkująca stwory, mieszająca różne media i techniki, epatująca fantazyjnymi kreacjami – ale też zapraszająca do zastanowienia, do krytycznej refleksji. ■



Patricia Piccinini, widok wystawy, Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu, fot. Andrzej Jerzy Lech, czyt. s. 206

Gdyby lalki mogły mówić...

(wspomnienie o Jadwidze Mydlarskiej-Kowal w 21. rocznicę śmierci artystki)

Zawsze z ołówkiem, długopisem czy flamastrem w ręce, a w drugiej dymiący papieros. Taki widok Jadwigi Mydlarskiej-Kowal, artystki o niesablonowej wyobraźni, utrwalił się w zbiorowej pamięci ówczesnego zespołu WROCŁAWSKIEGO TEATRU LALEK.

Jadzia bez chwili przerwy, na każdym skrawku papieru kreśliła projekty lalek, ich mechanizmy, fragmenty scenografii, sceniczne obrazki. Wszystko to później pojawiło się, lub jeżeli papierów nie posiadała, mogło pojawić na lalkowej scenie. Życie teatralne tętniło w aktorskich garderobach. Ranne i wieczorne próby, a zwłaszcza spektakle odmierzały czas. Niewielkie garderoby były miejscem spotkań, a Jadzia paliła papierosa za papierosem... Koleżanki przeganiały ją, więc spędzała czas głównie w garderobie męskiej, bo tam prawie wszyscy oddawali się gremialnie temu brzydkiemu nałogowi. Wówczas można było jeszcze oficjalnie palić papierosy na zapleczu teatru. Jadzia schodziła do podręcznego magazynku z rekwizytami, gdzie też papierosy palono, a rolę śniadaniowego stolika pełniło charakterystyczne, herbaciano-kawowe biurko. Pocziwy, sfatygowany stary biurowy grat był cały wymalowany rysunkami Jadzi. Kreślone kolorowymi flamastrami obrazy znajdowały się na każdym fragmencie mebla; bokach, blacie, drzwiczkach, a nawet dnach szuflad. Malunki powstawały w trakcie długich, popijanych herbatą i kawą, przerw w trakcie prób. Joanis Kulios, wódarz lalkowej sceny, rekwizytor, wódz pracowników technicznych wraz z inspicjentką Małgosią Szczygieł byli niekwestionowanymi gospodarzami „tajemniczego” pomieszczenia. Niezwykłą atmosferę pomieszczenia tworzyły wiszące na stojakach stare i nowe lalki, dobrze wszystkim znane z przedstawień.

Kiedy Jadzia pojawiła się w teatrze? Moją pamięć uzupełniła wymieniona wcześniej Małgosia, po mężu Nauka, dzisiaj dyrektorka ZDROJOWEGO TEATRU ANIMACJI. W 1982 roku Wiesław Hejno przystąpił do realizacji spektaklu *POLSKIE SZOPKI I HERODY*. Autorem scenariusza był Henryk Jurkowski, Postać w świecie lalkarskim, autor



Szkic do scenografii J. Mydlarskiej

trzytomowej „biblii” studentów szkół lalkarskich – *DZIEJE TEATRÓW LALEK*.

Dyrektor WROCŁAWSKIEGO TEATRU LALEK Wiesław Hejno chciał, aby scenografem przedstawienia był twórca lalek z najwyższej półki. Takim był Eugeniusz GET Stankiewicz. Getas przygotowywał swoją wystawę, miał także do realizacji wiele wcześniej zamówionych prac, więc odmówił i w charakterze zmiennika polecił nieznaną w teatralnych kręgach Jadwigę Mydlarską-Kowal, która dotąd pracowała między innymi jako projektantka mody. Wiesław nawet nie przewidywał, że los połączył go z tak wspinałą twórczynią o nieokiełzanej, wielobarwnej, wieloformatowej wyobraźni świata teatralnej lalki. W ciągu następnych lat swą twórczością rozślawiła jego spektakle, ich scenografię, projekty lalek.

Debiutem Jadzi we WROCŁAWSKIM TEATRZE LALEK była scenografia spektaklu *POLSKIE SZOPKI I HERODY*. Mam przed sobą specjalnie „odgrzebany” i odkurzony scenariusz tego widowiska. Nie zawierał doprecyzowanych didaskaliów, a brak danych autorów poszczególnych wierszy i piosenek oraz nut do nich zapowiadał ogrom pracy nad przedstawieniem. Była to kompilacja wybranych fragmentów ludowych jasełek, połączonych z tekstami tradycyjnej szopki krakowskiej, bają i gawęd ludowych Herodów z Zagłębia (wg Dormana), piosenek z *KRAMU Z PIOSENKAMI* Leona Schillera i kolęd robotniczych SDKPiL (Kraków 1905). Hejno, burzliwą dyskusję realizatorów powstającego przedstawienia skwitował słowami: ma być kolorowo, melodyjnie i ładnie. To kolorowo odnosiło się do Jadzi, melodyjnie do mnie, a ładnie zostawił sobie i obsadzonym aktorom.

Scenografia Mydlarskiej przywołała różne rodzaje szopek i lalek wnoszonych przez aktorów w trakcie przedstawienia na scenę. Szopki były rozmaite, jedne małe, inne większe, jedne prymitywne, drugie ludowe, z drzewa czy słomy, inne jeszcze z tekstury. Największe wrażenie robiła duża, prawie dwumetrowa szopka krakowska, skonstruowana według oryginalnego projektu Michała Ezenkiera. Była typową budowlą krakowską z dwoma wieżami, wzorowaną na kościele Mariackim. Służyła zarazem jako przenośny teatrzyk kukiełkowy, z jakim kiedyś obnosiły się zespoły kolędnicze. Na jej niewielkiej scenie grały w krakowskich strojach małe lalki. Ich większe repliki aktorzy animowali w żywym planie. Ci sami lalkarze później jako herody, w maskach i kostiumach przedstawiali kolejne postacie i odgrywali znane sceny bożonarodzeniowego misterium.

Środek sceny wypełniał zbudowany z współczesnych elementów tzw. warszawskich rusztowań, parumetrowy, metalowy szkielec bramy i ruchomy płot z desek. Był to filar przykrytej słomą szopy będący zarazem parawanem skrywającym animację metrowej wielkości lalek - masek. Nad szopą świeciła duża gwiazda betlejemka.

Premiera odbyła się w trakcie apogeum stanu wojennego, 5 lutego 1982 roku. Inscenizator początkowo chciał adresować przedstawienie do widowni dorosłej. Szybko

okazało się, że barwne, rozśpiewane, pełne znanych kolęd i postaci widowisko doczekało się wspaniałej reakcji dziecięcej widowni. Spektakl był grany na wrocławskiej scenie przez ponad 10 lat. Nieznana jest dokładna ich liczba wynosząca w grudniu 1988 roku 200 przedstawień.

POLSKIE SZOPKI I HERODY w 1990 roku zostały przez zespół TVP we Wrocławiu zarejestrowane dla ogólnopolskiej dwójki i w ramach teatru dla dzieci wyemitowano, a właściwie jego skróconą, godzinną telewizyjną wersję.

Po raz drugi opracowany przez Henryka Jurkowskiego, autora *POLSKICH SZOPEK I HERODÓW* temat bożonarodzeniowej szopki został podjęty przez tych samych realizatorów w styczniu 2000 roku. Tym razem scenariusz był zatytułowany – *AKROPOLIS WROCŁAWSKA SZOPKA*. Poza popularnymi, powszechnie od lat znanymi kolędami, zawierał liczne cytaty z historycznych regionalizmów. Umieścił klasyczne widowisko misyjne we Wrocławiu, a postaciom, młodzieżowym kolędnikom wędrującym z obnośną szopką bożonarodzeniową przydawały nowe, nieistniejące dotąd w szopkach atrybuty. Kolędy, ballady i songi były śpiewane w bluesowo-jazzowych rytmach.

Duże, przestrzenne, prawie dwumetrowej wielkości lalki zostały zaprojektowane w charakterystycznym dla Mydlarskiej kostiumowo-sztandarowym stylu. Były artystyczną repliką kamiennych postaci zdobiących wnętrza i elewację wrocławskiego ratusza. Inne lalki, planszowe przedstawiające wrocławskich rzemieślników, animowane były tak jak poprzednie przez stojących za nimi aktorów. Horyzont wypełniał malowany na płótnie realistyczny obraz ratusza z tu i ówdzie umiejscowionymi postaciami z blisko dwutysięcznej historii miasta.

Próba stworzenia przez Jurkowskiego nowej, tym razem stricte wrocławskiej szopki mentalnie się nie udała. Dla części widowni współczesna forma okazała się zbyt nowatorską, jak i akcja przedstawienia usytuowana przed ratuszem na wrocławskim rynku.

Niezwykle rozsmakowanym plastycznie okazał się mający premierę w czerwcu 1991 roku spektakl według scenariusza i w reżyserii Bogdana Nauki *KOMUŻ OBCE RACŁAWICE*. Nie było to nawiązanie do tradycji „żywych obrazów”, lecz próba przełożenia kościuszkowskiej opowieści na język teatru lalek. Nie był to także teatr faktu, mimo że scenariusz zawierał fragmenty znanych i nieznanych tekstów literackich, ludowych piosenek i anonimowych wierszy mówiących o Powstaniu Kościuszkowskim i Sejmie Czteroletnim. Osia spektaklu była postać Baraniego Kożuszka, wzorowana na podobno istniejącym, będącym na usługach Kuźnicy Kołtająowskiej kuglarzu, lalkarzu i ulicznym śpiewaku. W trakcie Sejmu Czteroletniego swymi swawolami zabawiał przechodniów ulic Warszawy i rozpowszechniał paszkwile oraz polityczną satyrę.

Podczas prób można było zauważyć, że scenografia i lalki Jadwigi Mydlarskiej-Kowal same już tworzyły spektakl. Ich pojawianie się na scenie, animacja i ruch stanowiły wysmakowany plastyczny happening, tak jak u Szajny czy Kantora. To nie artystka

swą scenografią uzupełniała lub towarzyszyła wizjom reżysera, lecz lalki jej projektu, z pomocą animujących aktorów tworzyły magię teatru. Razem z muzyką i songami budowały nową, niezależną od treści dramatu, indywidualną wartość.

Teatr Mydlarskiej kreowały duże lalki maski, lalki sztandary, podwójne i grupowe lalki manekiny oraz współgrające z nimi, umiejscowione pod zabawkową gilotyną w mini teatrzyku niewielkie kukiełki. Pozostałe elementy scenografii: nadnaturalnej wielkości armata zdobyta przez Bartosza Głowackiego, ponadnormatywnej wielkości kosy w rękach kosynierów, realnej wielkości pomnik naczelnika na koniu, szokowały zachwycając dysproporcją i wysmakowaną plastycznie formą.

Ten kontrast, typy lalek i sposób ich animacji mógł miejscami nasuwać skojarzenia niektórych scen ze spektaklem *WOŁANIE LUDU O MIĘSO*, przedstawieniem z 1969 roku amerykańskiego teatru BREAD AND PUPPET.

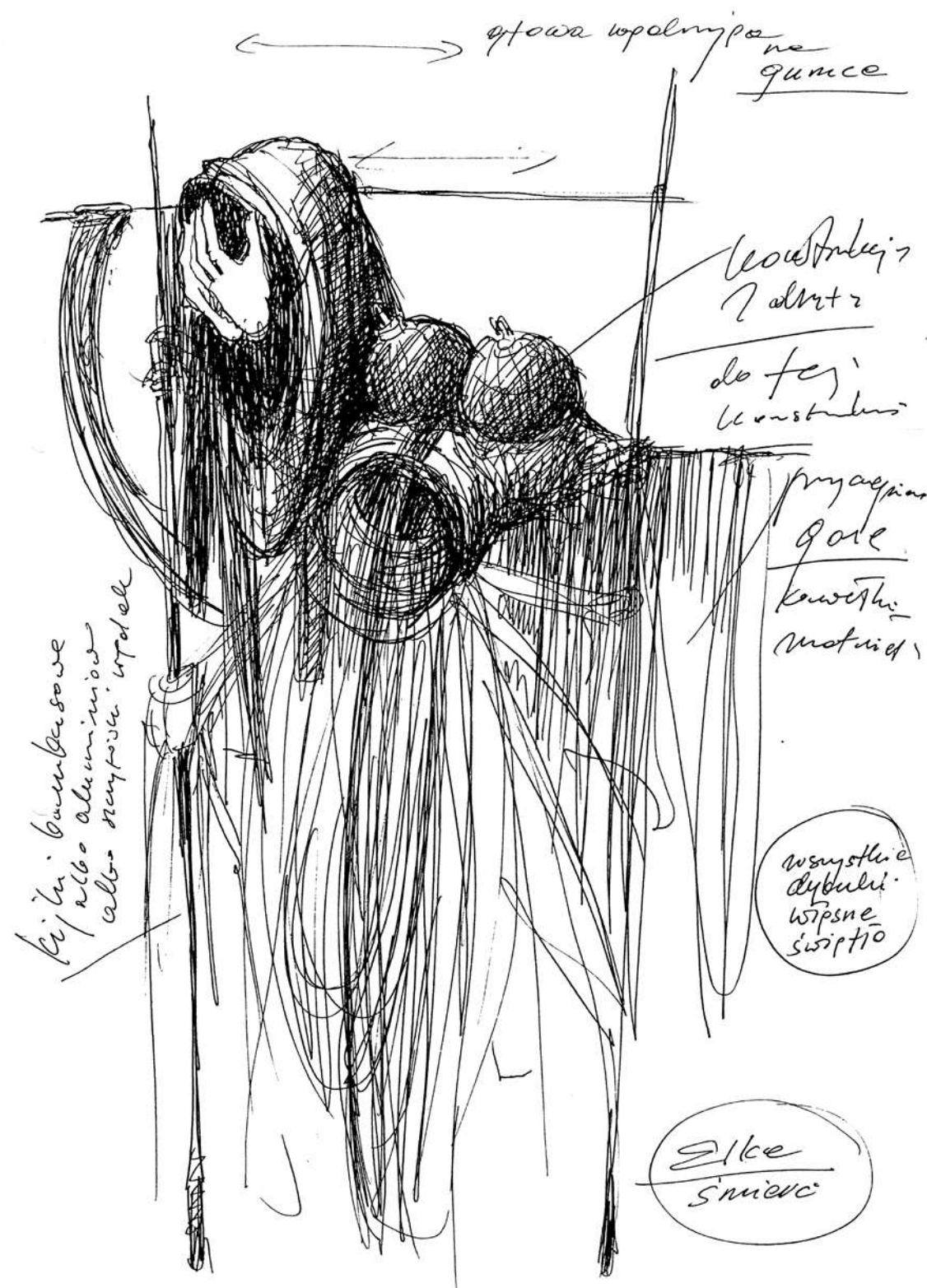
Może warto w pomieszczeniach rotundy PANORAMY RACŁAWICKIEJ odtworzyć z ocalałych fragmentów scenografii spektaklu multimedialną ekspozycję, która przypomniałaby tamtą wrocławską, na wskroś wtedy nowatorską wizję, nieśmiertelnej narodowej historii.

Na drugim biegunie lalkowych dokonań Jadwigi można znaleźć zupełnie odmienny projekt scenografii i kostiumów do przedstawienia w reżyserii Wiesława Hejny *ENTLICZEK PENTLICZEK* i podobnej wersji spektaklu w reżyserii Bogdana Nauki. Powstałe w 1993 roku przedstawienie prawie w niezmienionej wersji (scenografia, muzyka) znalazło się w całości w repertuarze dwóch innych teatrów: ZDROJOWEGO TEATRU ANIMACJI w Jeleniej Górze (1944 rok), i ŚLĄSKIEGO TEATRU LALKI I AKTORA ATE-NEUM w Katowicach (1966 rok).

ENTLICZEK PENTLICZEK był grany w tak zwanym żywym planie. Minimalistyczny projekt scenografii składał się z niewielu elementów. Na środku sceny duże, pełne dziwnych poduszek barwne łóżko wyznaczało obszar gry. Aktorzy byli ubrani w śmieszne, różnokolorowe, pikowane kostiumy krasnali. Rekwizyty do scenek i piosenek zostały uszyte z materiału i były podobne do szmacianych przytulanek. Wszystko to zostało wykonane z puszystego i miękkiego materiału.

Piosenki do tekstów Jana Brzechwy pozwalały zespołowi wykazać się wokalnymi i aktorskimi umiejętnościami i bardzo szybko nawiązać kontakt nawet z najmłodszą widownią. Przez wiele lat grane na scenie WROCŁAWSKIEGO TEATRU LALEK (jak pamiętają aktorzy, odbyło się ponad 200 przedstawień), było zarazem rekordzistą wśród przedstawień jeleniogórskiego TEATRU ANIMACJI. Nie schodziło z afisza od 1994 roku i doczekało się trzech wersji. Dwukrotnie szyto dla aktorów, bo poprzednie się zużyły, nowe kostiumy. W sumie zagrano *ENTLICZKA PENTLICZKA* ponad 360 spektakli.

Prawie nieznanym faktem z twórczości Jadwigi Mydlarskiej-Kowal była praca scenografa telewizyjnego filmu muzycznego *YA HOZNA – BUNT*. Półgodzinny, zrealizowany w 1991 roku



Szkic do scenografii J. Mydlarskiej

obraz, prezentował piosenki zespołu YA HOZNA. Istniejący do 1996 roku polski zespół muzyczny był na początku lat dziewięćdziesiątych awangardową grupą wykonującą ciekawą i swoistą odmianę piosenki aktorskiej. Towarzyszyła mu laureatka głównej nagrody z PRZEGLĄDU PIOSENKI AKTORSKIEJ we Wrocławiu z 1990 roku, Anna Parchimowicz.

Kanwą scenariusza był archetyp znany z powieści *PINOKIO* Carlo Collodiego. Pragnienie lalki bycia człowiekiem. Jednak stanowił odwrotność tego mitu. W filmie członkowie zespołu opuszczają świat realny i chcą dołączyć do świata teatralnych lalek. Zauważają na balkonie surrealistycznego pałacu kolegę wykonującego w takt muzyki dziwne mechaniczne ruchy. Pałac okazuje się teatrem lalek, a jego gospodarzami, dziwne, o starczym, odrażającym wyglądzie wynaturzone postacie – lalki. Tajemniczy świat tego teatru staje przed nimi otworem. Będą widownią i jednocześnie artystami na scenie popisującymi się przed lalkowym audytorium. Zostają orkiestrą podczas balu, na który przez pałacowe ogrody przybywają zewsząd kolejne kukły. W wyniku transformacji stają się ubranymi w kufajki i gumiaki robotnikami. Jeszcze tylko ostatni raz pojawią się na scenie, lecz już za późno na ucieczkę z tego upiornego teatru. Wpadają w rozwieszoną na scenie pajęczą sieć. Marzenia się skończyły, zapadła ciemność i wszyscy, tak jak lalki zostali za głowy zawieszeni na stojakach.

Te jedyne w swoim rodzaju lalki projektu Jadwigi Mydlarskiej-Kowal były znane wcześniej z przedstawienia Wiesława Hejny, *GYUBAL WAHAZAR*. Ich możliwości animacyjne (animował Aleksander Maksymiak), zwłaszcza ruch ustami i szczęką, obracanie gałkami ocznymi tworzyły niezwykle wyrazisty, plastyczny obraz twarzy. Wraz z elementami ubioru, zwykle w barwach starych, szarych szmat, budowały upiorną sylwetkę. Nadrealistyczne oblicza przywoływały i częściowo umożliwiały tworzenie mimiczne gestów będących synonimem trwogi, obrazem frustracji i przerażenia.

Ciekawie sfilmowane obrazy (operator Piotr Gorzkowicz) ukazały nierealny świat lalek Jadwigi Mydlarskiej-Kowal i ich niejednoznaczność, a przy tym dla wielu niezrozumiałość, intrygującą formę tworzącą atmosferę filmu.

Po przeszło dwudziestu latach od śmierci Jadzi zastanawiam się, czy ja ją tak naprawdę znałem? Czy nasze wyobrażenia o rzeczywistości, sztuce, formie i istocie dzieła były co najmniej tożsame, jeżeli nie podobne. Zdaję sobie sprawę, że podobnie jak opis wrażeń muzycznych, tak i opis prac plastycznych trudno oddać, bo stanowią obiekt indywidualnych odczuć i wrażeń. Pomocą mogą być, w pierwszym przypadku nagrania audio, w drugim fotografie.

Czy w trakcie dziesięciu realizacji przedstawień (z jej scenografią, a moją muzyką), w polskich teatrach lalkowych oraz jednego w Finlandii, zdążyliśmy się dobrze poznać? Wiem jednak, że na przestrzeni dziesięciu lat, kiedy byłem kierownikiem muzycznym, a Jadzia głównym scenografem we WROCŁAWSKIM TEATRZE LALEK na pewno łączyła nas przyjaźń. ■

URSZULA M. BENKA

Kronika

Tym razem Kronikę niniejszą zwija w jakąś buczącą trąbkę zupełnie rzeczywista, nieurojona antyenergia wojny – skręca, rozszarpuje stereotypy patrzenia na kulturę. Jałowe okazują się nawet prezentowane dotąd antytezy kultury. Wykrztuśmy to: nie wiemy, czym kultura jest, nie wiemy, dlaczego co jakiś czas wdycha sobie wojenny opar.

Pierwsza wojna światowa była w istocie ostatnią „normalną”. Zmieniała granice, administracyjną przynależność oraz sytuację społeczną, nie naruszała natomiast wspólnej zachodniej aksjologii odnoszonej do sakralnej rangi życia, mądrości, miłości, piękna. Alzatzczyk więc pod władzą Francuza zachowywał prawo do małżeństwa, kościoła i szkoły, incydenty jak z dziećmi we Wrześni opinia publiczna całego Cesarstwa potępiała. Od tamtej pory nicowane jest myślenie oraz inteligencja emocjonalna. Albo wmawialiśmy sobie, że ona się ostaje. Że kiedykolwiek się ostawała.

Każde pokolenie z tego punktu widzenia dziedziczy mnóstwo mentalnych dziur.

Wojny nie da się wydestylować z kultury, a nawet z serc poszczególnych ludzi. Zarazem, nie widać, by ktoś brał do siebie słowa tak przecież popularnej – kiedyś – ballady *Pierwsza wojna, pal ją sześć,*

To już tyle lat

Druga wojna – jeszcze dziś

Szuka winnych świat

A tej trzeciej, gdy już

Wtargnie w nasze drzwi,

Winien będziesz ty

Winien będziesz ty

Ponieważ zaimek „ty” zamieniamy na „oni”; to różnica.

[a pierdolenie to pierdolenie. Czasem warto skorzystać ze sposobności i milczeć]

Jeszcze nie rozumiemy, jak ważny dla kultury Europy jest ubytek jej „prawego płuca”, czyli wschodnioeuropejskiej. Nie tylko rosyjskiej, białoruskiej, ukraińskiej, ale także tych fascynujących mikrokultur nadwożańskich i kaukaskich, krymskich i karelsko-siewiernych, uralskich, a i podlaskich. Bez których wkładu nie sposób sobie wyobrazić NIC.

Znika. Ponad 40 milionów dzieciaków od 8-ego roku życia należy do paramilitarnej nacjonalistycznej organizacji Jugarmia, którą władze Rosji chcą posłać na front. O pogrzebach takich ochotników pisała białoruska noblistka Swiatłana Aleksijewicz: są picem.

Pic to element konieczny dla totalitaryzmu. Nawet w mikroskali ktoś-ktoś.

Inna rzecz, że sporo różnic sprzed i po. I można się zagubić kompletnie. Powtórzę za Januszem Jaroszewskim: „Wojnę i pokój” Tołstoja MILIONOM ludzi bezpieczniej nazywać „Operacją specjalną i pokojem”. Inaczej 15 lat albo i dawka nowiczoka.

Odszedł Stefan Bednarek, profesor kulturoznawstwa, znakomity badacz, autor Encyklopedii New Age. Jeszcze jedna dziura w duchowości Wrocławia.

W styczniu br. zmarł w Głogowie malarz i poeta Telemach Pilitsidis. Urodzony w 1941 w miejscowości Kivotos w Grecji, dyplom z malarstwa na krakowskiej ASP uzyskał w pracowni Jerzego Nowosielskiego. Od wielu lat sam nauczał rysunku i malarstwa, odbierał liczne nagrody i wyróżnienia w konkursach malarskich i literackich. Honorowy obywatel Głogowa, dwukrotnie odznaczony tytułem Zasłużony dla Miasta Głogowa oraz dla Województwa Legnickiego. Nadano mu też Złotą Odznakę za zasługi dla Kultury Polskiej oraz Srebrnym Krzyż Zasługi.

Zmarł też, 2 kwietnia we Wrocławiu, Janusz Styczeń. Peter Gehrisch, poeta, prozaik, tłumacz – tak Stycznia, jak Norwida – przysłał z Drezna specjalne zapewnienie, że, z oczywistego powodu – unikalnego geniuszu, Styczeń będzie niezapomniany. Całym sercem dziękujemy za te słowa.

Ukazał się rewelacyjny „Dniownik” Waldemara Okonia. Mikrokosmos wart wielu burzliwych esejów.

Szkielet młodej kobiety, która żyła najprawdopodobniej w XVI/XVII w. odkryli archeolodzy podczas remontu w Kossakówce – dawnym domu malarza Juliusza Kossaka w Krakowie. Póki co, nie jest znana przyczyna śmierci. W tym rejonie nie było potwierdzonego cmentarzyska. Neogotycka willa, otoczona ogrodem, gdzie później także pracował Wojciech Kossak, stała się domem rodzinnym dla następnego pokolenia artystycznej rodziny, dzieci Wojciecha: Jerzego Kossaka, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Magdaleny Samozwaniec. Przed II wojną światową Kossakówka była miejscem spotkań inteligencji i środowiska artystycznego Krakowa. Po wojnie rodzina wywalczyła uznanie go za pamiątkę narodową.

Państwo oficjalnie uznało religię, która podobno ma w Polsce kilkanaście tysięcy wyznawców. Problem w tym, że nic nie słyszeli o niej religioznawcy, pisze „Rzeczpospolita”.

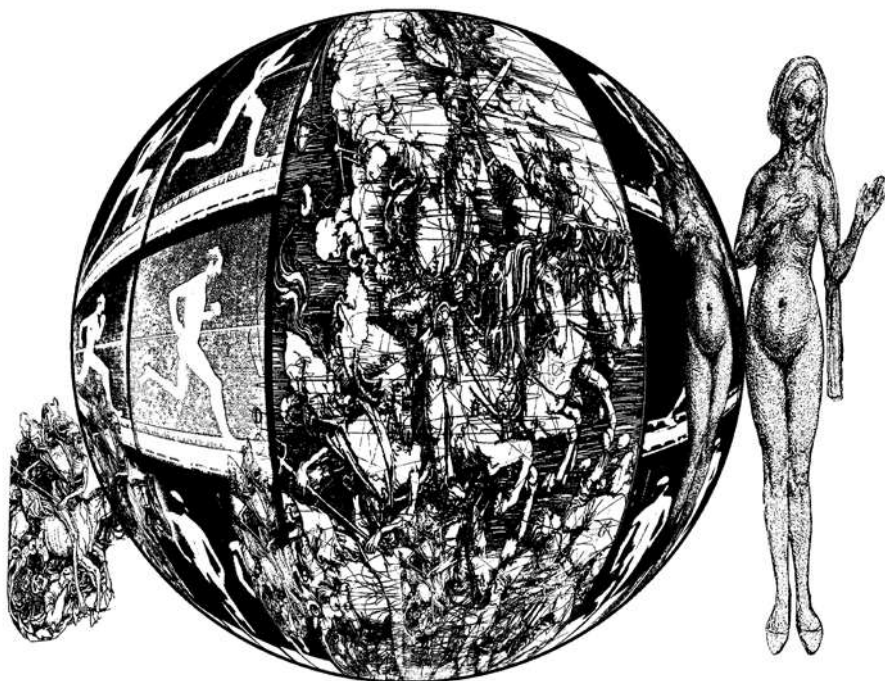
Kościół Naturalny w grudniu 2021 roku został wpisany do rejestru Kościołów i innych związków wyznaniowych, prowadzonego przez MSWiA. Z informacji, które „Rz” otrzymała od osoby przedstawiającej się jako duchowny Kościoła, wynika, że „wyznawcy datują powstanie swej religii na około 500 tys. lat temu, czyli zanim pojawił się gatunek homo sapiens”. Dr hab. Paweł Borecki z Zakładu Prawa Wyznaniowego UW zauważył, że z wpisem do rejestru łączą się spore korzyści związane z preferencyjnym opodatkowaniem. Wydział prasowy MSWiA poinformował gazetę, że zgodnie z wymogami ustawowymi wnioskodawcy złożyli stosowne, a proces rejestracji trwał niemal dwa lata. Istotnie, państwo wyznaniowo bezstronne przy spełnieniu wymogów formalnych, poza ewidentnymi przypadkami, jak Kościół Latającego Potwora Spaghetti, szanuje może nie tyle dusze, uczucia i mentalność swoich podatników, co przepisy.

W Muzeum Narodowym w Warszawie miała się odbyć wystawa „Dante” zbierająca dzieła wokół twórczości Dantego. Chodziło o dzieła Fra Angelico, Caravaggia, Augusta Rodina, Guido da Sieny czy Andy’ego Warhola. Na wystawie miała pojawić się także jedna z łodzi, którymi migranci dopływają do brzegu Lampedusy. Pomysł ten najpewniej miał korespondować z mitologiczną barką płynącą przez Acheron, rzekę smutku w Hadesie. *To mogła być wystawa, jakiej zazdrościliby nam w muzeach Europy* – powiedziała „Newsweekowi” Anda Rottenberg, była szefowa Zachęty. Pomysłodawcą wystawy jest Jarosław Mikołajewski. Ten pisarz i poeta, odznaczony srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, przełożył poezje takich autorów, jak Dante Alighieri, Francesco Petrarca, Michał Anioł, Giuseppe Ungaretti oraz *Pinokia* Carlo Collodiego. Wystawa jednak zniknęła z planów instytucji. Powodem ma być właśnie motyw łodzi, którą podróżowali uchodźcy. Według oficjalnego komunikatu, wystawa „Dante” nie odbędzie się, bo projekt okazał się zbyt kosztowny. Mikołajewski, autor książki o małej wyspie bohatercko usiłującej ratować lądujących na niej migrantów z Afryki, uzyskał dla wystawy starą łódź uchodźców. Obiekt, niczym relikwia, niosący w sobie pamięć współczesnej tragedii, a zarazem bogato nasycony mitologiczną i chrześcijańską treścią wnosił Ministerstwu Kultury do podległej instytucji wątek uchodźcy. Dantejskość? Zapomnieliśmy najwyraźniej, że wciąż trwa stan nadzwyczajny na granicy białoruskiej, że powstaje tam płot oraz betonowa ściana przez Puszczę Białowieską i media nie mają wstępu, podobnie jak wielokrotnie Czerwony Krzyż.

Kwestia przenikliwości literackich noblistek w zwijającym się w trąbkę świecie. Jeszcze przed rozpętnaniem wojny Białorusinka Swiatłana Aleksijewicz i Niemka Herta Mueller w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel” apelowały o dostawy broni z RFN dla Ukrainy *Nie po to, by atakować Rosję, ale by bronić się przed Rosją*. „Spiegel” zwrócił uwagę, że rząd RFN w konflikcie wokół Ukrainy stawia na dyplomację i nie chce wysyłać broni do tego kraju. Na co Mueller: *Czy Niemcy będą teraz chcieli wysłać herbatę z kopru włoskiego? Albo*

trumny dla poległych żołnierzy ukraińskich? Białoruska noblistka wspomina: Byłam kiedyś w Ukrainie, w czasie, kiedy po ulicach tego kraju jeździły te ciężarówki-chłodnie z ciałami ukraińskich żołnierzy, którzy walczyli na Donbasie. Od dawnych czasów tradycją jest, że ludzie wychodzą wtedy z domów i klękają przy drodze. To był wstrząsający widok. Ci ludzie zostali po prostu zastrzeleni przez rosyjskich najemników. Myślę, że politycy niemieccy, którzy wtedy nie dali chłopcom broni, powinni znać takie sceny, żeby zrozumieć, co teraz robić. Na uwagę „Spiegła”, że Kto rozmawia, nie strzela, Mueller zauważyła: Co za głupie, zużyte zdanie. Pytana o ewentualny atak Rosji na Ukrainę Aleksijewicz wtedy mówi: Nie jestem oczywiście politykiem, ale myślę, że w końcu dojdzie do nowego spotkania prezydentów USA i Rosji, a o to właśnie chodzi Władimirowi Putinowi. Chce być na ustach wszystkich. Mueller nie ma złudzeń. Co ma go powstrzymać przed inwazją? Putin od lat dba o to, by wszyscy mieszkańcy Europy Wschodniej musieli się bać.

Tegoroczne Oscary i szansa dla Polaków. Film *Sukienka* Tadeusza Łysiaka, etiuda absolwentów Warszawskiej Szkoły Filmowej, ma nominację w kategorii najlepszy krótkometrażowy film aktorski. Bohaterką jest Inność, bycie inną. Z kolei Janusz Kamiński otrzymał nominację za zdjęcia do *West Side Story* Stevena Spielberga. Tym samym ma szansę na trzecią nagrodę Amerykańskiej Akademii Filmowej w swojej karierze. ■



© Andrzej Dudek-Dürer, *Apokaliptyczna Trans Siła II*, 2004, technika mieszana, inkografia, rysunek. 70 cm × 50 cm

